

Naprawdę, naprawdę dobra. — JOJO MOYES



Megabestseller!  
Prawa sprzedane  
do 26 krajów

# MROCZNY ZAUŁEK

LOUISE DOUGHTY

LOUISE DOUGHTY

MROCZNY  
ZAUŁEK

Z języka angielskiego przełożyła

EWA KLESZCZ



# Spis treści

Dedykacja

Motto

Prolog

Część pierwsza. X oraz Y

1

2

3

4

5

6

Część druga. A, T, G i C

7

8

9

10

11

12

13

14

Część trzecia. DNA

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

Podziękowania

O autorce

Wszystkim, którzy chodzą po tym świecie ze świadomością,  
że prawda jest inna

Jak oko, ucho czy łokieć, tak i genom nie zdradza śladów wzorca. Jest natomiast wypełniony kompromisem, przypadkowością i rozkładem.

STEVE JONES

Idziemy przez życie, z premedytacją źle słysząc, źle widząc i źle rozumiejąc, aby nadać jakikolwiek sens...

JANET MALCOLM

# Prolog

Napięcie wzrasta. Moment, w którym uświadomię sobie, że przegraliśmy, jest coraz bliżej. Przede mną stoi młoda adwokatka nazwiskiem Bonnard – drobna kobieta, jak zapewne pamiętasz, z kasztanowymi włosami skrytymi pod tradycyjną peruką. Jej spojrzenie jest chłodne, głos delikatny. Emanuje spokojem, wiarygodnością. Czarna toga wygląda raczej szykownie niż złowieszczo. Zajmuję miejsce dla świadka już od dwóch dni i jestem zmęczona, naprawdę zmęczona. Dopiero później zrozumieć, że pani Bonnard celowo wybrała właśnie tę porę dnia. Wczesnym popołudniem zmarnowała sporo czasu, wypyując o moje wykształcenie, małżeństwo, zainteresowania. Kluczyła tak bardzo, że nie od razu dotarło do mnie, iż ta nowa linia przesłuchania ma znaczenie. Napięcie wzrasta, ale powoli; aż do punktu kulminacyjnego.

Zegar na tyłach sali sądowej wskazuje piętnastą pięćdziesiąt. Powietrze jest gęste. Wszyscy czują się zmęczeni, włącznie z sędzią. Lubię go. Skrupulatnie robi notatki, grzecznie unosi dłoń, gdy chce, żeby świadek mówił wolniej. Często wydmuchuje nos, a wtedy sprawia wrażenie bezbronnego. Jest surowy wobec adwokatów, ale pełen życzliwości dla członków ławy przysięgłych. Gdy jedna z kobiet zająknęła się w trakcie składania przysięgi, uśmiechnął się, pokiwał głową i powiedział: „Proszę się nie śpieszyć, *madame*”. Ławę przysięgłych też lubię. Wydaje mi się, że to zadowolający przekrój społeczeństwa; z lekką przewagą kobiet, trzema osobami czarnoskórymi i sześciorgiem Azjatów, w wieku od jakichś dwudziestu do sześćdziesięciu kilku lat. Aż trudno uwierzyć, że taka niewinna grupa ludzi może mnie posłać do więzienia. Jeszcze trudniej uwierzyć w to właśnie teraz, gdy wszyscy oklapli, rezygnując z dziarskiej, wyprostowanej postawy, którą przybierali, gdy proces się rozpoczynał. Siedzieli wtedy z rozpromienionymi twarzami, przepełnieni adrenaliną płynącą ze świadomości własnego znaczenia. Zapewne tak jak ja byli początkowo zaskoczeni, że godziny urzędowania sądu są tak krótkie. Rozprawy zaczynały się najwcześniej o dziesiątej rano i trwały aż do lunchu, a dzień pracy kończono nie później niż o szesnastej. Ale teraz to rozumiemy. Powolność tego wszystkiego – właśnie to nas tak wyczerpuje. Proces jest już w dość zaawansowanym stadium i przytłacza szczegółami. Sędziowie przysięgli też są zmęczeni. Tak samo jak ja nie mają pojęcia, do czego zmierza ta młoda kobieta.

A na ławie oskarżonych, ozdobionej boazerią, za grubymi taflami pancernego szkła siedzisz ty – mój współoskarżony. Zanim zajęłam miejsce dla świadka, siedziałam tam razem z tobą, chociaż rozdzielało nas dwóch strażników. Doradzono mi, żebym nie zerknęła na ciebie w trakcie zeznań składanych przez innych. Powiedziano, że wyglądalibyśmy wtedy na spiskowców. Teraz, gdy sama zajęłam miejsce świadka, patrzysz na mnie spokojnie i bez emocji. Twoje niemal puste spojrzenie dodaje mi otuchy, bo

wiem, że próbujesz mnie wesprzeć, abym pozostała silna. Wiem, że mój widok tutaj, siedzącej na podwyższeniu, odizolowanej, obserwowanej i osądzonej, wzbudza w tobie opiekuńcze uczucia. Ktoś, kto cię nie zna, nie nazwałby twego wzroku zdeterminowanym, ale ja nieraz się przekonałam, że to spojrzenie jest niedbałe tylko z pozoru.

Wiem, o czym myślisz.

W sali rozpraw numer osiem brakuje naturalnego światła i to mi przeszkadza. Sufit pokrywa kratownica świetlówek w kwadratowych oprawach. Na ścianach wiszą podłużne białe lampy. Wszystko jest takie stonowane, nowoczesne i surowe. Drewniana boazeria, fotele ze składanymi siedziskami obite zielonym materiałem, nic nie pasuje do sytuacji... Dramat, będący przyczyną naszej obecności tutaj, kłóci się z otępiającą prozaicznością procedur.

Rozglądam się po sali. Pisarz sądowy, siedzący rząd niżej, przed sędzią, ma opadające ramiona. Widzę Susannah na galerii dla publiczności, tuż obok grupy studentów, którzy weszli jakąś godzinę temu, oraz emerytowanej pary, która siedzi tam od samego początku procesu, ale z tego, co mi wiadomo, nie jest związana z naszą sprawą. To tylko fani teatru, których nie stać na przedstawienie na West Endzie. Nawet Susannah, która obserwuje mnie ze zwyczajową troską, nawet ona od czasu do czasu zerka na zegarek, nie mogąc się doczekać zakończenia sesji. Nikt nie spodziewa się żadnego spektakularnego przełomu na tym etapie.

– Chciałabym się nieco cofnąć w czasie. Mam nadzieję, że okaże pani trochę cierpliwości – mówi młoda adwokatka.

W trakcie całego przesłuchania była nienagannie uprzejma. Nie zmienia to jednak faktu, że jej nienaturalne opanowanie mnie przeraża. Sprawia wrażenie, jakby znała jakieś nieskończone przydatne informacje, o których reszta z nas nic jeszcze nie wie. Zgaduję, że jest niemal dwie dekady młodsza ode mnie. Niewiele starsza od moich dzieci... Ma najwyżej trzydzieści kilka lat i musiała szybko wspiąć się po drabinie kariery.

Jeden ze świadków, ubrany w różową koszulę czarnoskóry mężczyzna w średnim wieku, siedzący po prawej stronie, otwarcie ziewa. Zerkam na sędziego. Wzrok ma skupiony, ale powieki mu ciążą. Tylko mój adwokat Robert najwyraźniej zachowuje czujność. Ma zatroskaną minę, ściąga gęste białe brwi, bacznie obserwując panią Bonnard. Później będę się zastanawiać, czy coś zauważył w tamtym momencie, czy kobieta zdradziła się z czymś mimo pozornie lekkiego tonu.

– Czy mogłaby pani przypomnieć sądowi – kontynuuje Bonnard – kiedy po raz pierwszy uczestniczyła pani w posiedzeniu komisji w pałacu Westminster? Jak dawno temu?

Nie powinnam odczuwać ulgi, ale nie potrafię się powstrzymać. To łatwe pytanie. Moment demaskacji jeszcze nie nadszedł.

– Cztery lata temu – odpowiadam pewnie.

Młoda kobieta odgrywa przedstawienie, udając, że musi zerknąć do notatek.

– To była nadzwyczajna komisja Izby Gmin dotycząca...

– Nie – przerywam jej. – To była komisja stała Izby Lordów. – Poruszam się po pewnym gruncie. –

Komisje stałe już nie funkcjonują, ale w tamtym czasie w Izbie Lordów istniały cztery. Każda z nich zajmowała się inną sferą życia publicznego. Ja występowałam przed komisją stałą do spraw nauki. Omawiałam postępy w sekwencjonowaniu mapowanego genomu.

– Ale pracowała pani na pełen etat w Instytucie Beauforta, prawda? – wtrąca kobieta. – To znaczy zanim została pani wolnym strzelcem... W... hmm... Instytucie Badań nad Genomem imienia Beauforta. Tak brzmi pełna nazwa, jeśli się nie mylę...

To stwierdzenie zupełnie bez związku i na moment zbija mnie z tropu.

– Tak, tak, pracowałam tam na pełen etat przez osiem lat, potem ograniczyłam wymiar godzin do dwóch dni w tygodniu i zaczęłam pełnić swego rodzaju funkcję doradczą...

– To jeden z najbardziej prestiżowych instytutów badawczych w kraju, czyż nie?

– Cóż, powiedziałabym, że tak. W tej dziedzinie. Razem z placówkami w Cambridge i Glasgow. Byłam bardzo...

– Czy może pani powiedzieć sądowi, gdzie znajduje się Instytut Beauforta?

– Na ulicy Karola II.

– To ulica równoległa do Pall Mall, jeśli się nie mylę, prowadzi do St James's Square Gardens?

– Tak.

– Jest tam całkiem sporo instytutów, prawda? Instytutów, prywatnych klubów, bibliotek badawczych... – Zerka na ławę przysięgłych i uśmiecha się lekko. – Kuluary władzy, tego typu rzeczy...

– Ja nie... ja...

– Proszę wybaczyć. Czyli jak długo pracowała pani dla Instytutu Beauforta?

Gdy odpowiadam, w moim głosie pobrzmiwa nuta irytacji, której nie potrafię stłumić, chociaż to kolejna rzecz, przed którą mnie ostrzegano:

– Wciąż tam pracuję. Ale na cały etat pracowałam osiem lat.

– Ach tak, przepraszam, już pani mówiła. I w trakcie tych ośmiu lat codziennie dojeżdżała pani do pracy komunikacją miejską, autobusem i metrem?

– Głównie metrem, tak.

– Dochodziła pani pieszo z Piccadilly?

– Od stacji metra Piccadilly, zazwyczaj, tak.

– A w porze lunchu, w przerwach na kawę... Czy jest tam dużo miejsc, w których można coś przekąsić? Dużo pubów, do których można pójść po pracy i tak dalej?

W tym momencie oskarżyciel, pani Price, wzdycha cicho i widać, że zamierza zgłosić sprzeciw. Sędzia spogląda znad okularów na młodą adwokatkę, a ona przepraszająco unosi dłoń.

– Proszę mi wybaczyć, *My Lord*. Zmierzam do konkluzji...

*My Lord*. Do tej pory czerpałam wiedzę na temat rozpraw wyłącznie z filmów, dlatego początkowo spodziewałam się sformułowania *Your Honour*. Ale to jest sąd karny Old Bailey. Sędziego nazywa się tutaj lordem, a sędzinę – lady. Ostrzeżono mnie, że peruki i ceremonialne zwroty mogą wydać mi się dziwne i onieśmielające, ale ja uważam je przede wszystkim za komiczne. Tym, co mnie onieśmiela, jest



ta cała biurokracja – stenograf uderzający w klawisze, laptopy, mikrofony, świadomość rosnącej sterty akt na mój temat, coraz większej i większej z każdym słowem – cała żmudność tych procedur. Właśnie to mnie przeraża. Sprawia, że czuję się jak polna mysz w trybach kombajnu. Czuję się tak, mimo że jestem równie dobrze przygotowana jak każdy świadek. Mój mąż tego dopilnował. Wynajął najlepszego adwokata, za czterysta funtów za godzinę, żeby mnie wyszkolił. Przez większość czasu pamiętałam, żeby patrzeć na przysięgłych w trakcie udzielania odpowiedzi, zamiast instynktownie kierować się ku adwokatowi. Poradzono mi, że najłatwiej to osiągnąć, gdy się ustawi stopy palcami w stronę ławy przysięgłych. Trzymałam się prosto, zachowywałam spokój, nawiązywałam kontakt wzrokowy. Cała moja ekipa była zgodna co do tego, że radziłam sobie bardzo dobrze.

Adwokatka uznała autorytet sędziego i z powrotem przenosi wzrok na mnie.

– Zatem w sumie pracowała pani na stałe lub dorywczo na terenie gminy Westminster przez ile... jakieś dwanaście lat? Dłużej?

– Prawdopodobnie dłużej – mówię i napięcie zaczyna narastać.

Właśnie wtedy zrodziło się we mnie to przemożne poczucie niepokoju, które zjawilo się pod postacią lekkiego ucisku w splocie słonecznym. Zdiagnozowałam je w sobie, mimo że jednocześnie wprowadziło mnie w zdumienie.

– A więc... – mówi Bonnard coraz wolniej, łagodnym głosem – można powiedzieć... przy tych wszystkich dojazdach i spacerach od stacji metra i wyjściach na lunch, i tak dalej, że jest pani dobrze zaznajomiona z tamtą okolicą?

Napięcie wzrasta. Zaczynam oddychać coraz szybciej. Czuję, jak moja pierś wznosi się i opada, początkowo niezauważalnie, ale im mocniej próbuję się kontrolować, tym bardziej widoczne się to staje. Atmosfera na sali sądowej się zagęszcza, wszyscy to czują. Sędzia wpatruje się we mnie uważnie. Czy tylko to sobie wyobraziłam, czy przysięgły w różowej koszuli, którego widzę kątem oka, odrobinę się wyprostował, pochylił do przodu na swoim siedzeniu? Nagle nie mam już dłużej odwagi patrzeć bezpośrednio na ławę przysięgłych. Nie mam odwagi patrzeć na ciebie, siedzącego na ławie oskarżonych. Kiwam głową, bo nagle odebrało mi mowę. Wiem, że za kilka sekund zacznę hiperwentylować. Wiem to, mimo że nigdy wcześniej mi się to nie przydarzyło.

Adwokatka kontynuuje cichym głosem, nadal klucząc:

– Jest pani zaznajomiona ze sklepami, kawiarniami...

Czuję piekące krople potu na karku. Cierpnie mi skóra głowy. Kobieta przerywa. Zauważyła moje zdenerwowanie i chce dać mi do zrozumienia, że odgadłam poprawnie. Wiem, do czego zmierza, a ona wie, że ja wiem.

– Małymi bocznymi uliczkami... – milknie znowu. – Zaułkami...

I to jest właśnie ten moment. To jest moment, w którym wszystko się wali. Ja to wiem i ty, na ławie oskarżonych, też to wiesz, bo skrywasz twarz w dłoniach. Oboje wiemy, że za chwilę stracimy wszystko. Nasze małżeństwa są skończone, podobnie jak nasze kariery. Ja stracę szacunek syna i córki, a co więcej, na szali leży nasza wolność. Wszystko, na co pracowaliśmy, wszystko, co próbowaliśmy chronić... To

wszystko za chwilę legnie w gruzach.

Teraz już otwarcie hiperwentyluję, próbuję łapać powietrze szybkimi haustami. Mój adwokat – biedny Robert – patrzy na mnie zdezorientowany. Oskarżenie przedstawiło swoją strategię przed procesem i ani w trakcie mowy początkowej, ani w pytaniach zadawanych świadkom nie było niczego nieoczekiwanego. Ale mnie przesłuchuje teraz twoja adwokatka, adwokatka obrony. Nasi obrońcy mieli działać w porozumieniu. Co się tutaj dzieje? Widzę, że Robert gorączkowo się zastanawia, czego mu nie powiedziałam. Nie przeczuwa, co się zbliża, wie tylko, że nie ma o tym pojęcia. Brak przygotowania w takiej sytuacji to musi być koszmar każdego adwokata.

Zespół oskarżenia, siedzący za stołami najbliżej mnie, poniżej miejsca dla świadka, też mi się przygląda. Prawnik prokuratury Korony oraz młodszy prokurator obok niej, kobieta z Urzędu Ścigania Publicznego przy stole za nimi, a w następnym rzędzie starszy oficer śledczy z policji stołecznej, policjant prowadzący sprawę i policjant od zabezpieczania dowodów. Dalej przy drzwiach ojciec ofiary, na wózku inwalidzkim, oraz przydzielona do opieki nad nim funkcjonariuszka. Jestem zaznajomiona z obsadą tego dramatu równie dobrze jak z własną rodziną. Teraz wszyscy skupiają się na mnie. Wszyscy, mój ukochany, poza tobą. Ty już na mnie nie patrzysz.

– Zna pani, prawda... – ciągnie adwokatka tym swoim satynowym głosem – mały zaułek zwany Apple Tree Yard.

Zamykam oczy, bardzo powoli, jakbym zaciągała żaluzje nad całym swoim dotychczasowym życiem. Na sali zapada absolutna cisza, którą przerywa dopiero szuranie czyichś stóp. Adwokatka robi efektowną pauzę. Wie, że moje oczy pozostaną przymknięte jeszcze przez chwilę, że będę próbowała ogarnąć to wszystko, spróbować uspokoić oddech, kupić sobie jeszcze kilka sekund. Ale czas wymknął nam się niczym woda przeciekająca przez palce i nie zostało już nic, ani chwili. To koniec.

Część pierwsza

---

**X oraz Y**

# 1

Gdybym miała zacząć od początku, tak naprawdę musiałabym zacząć dwukrotnie. Wszystko zaczęło się tamtego zimnego marcowego dnia w kaplicy Świętej Marii w pałacu Westminster, pod wizerunkami świętych torturowanych na wszelkie możliwe sposoby. Wszystko zaczęło się tamtej nocy, gdy wstałam z łóżka o czwartej nad ranem. Nie cierpię na bezsenność. Nigdy nie zdarzało mi się, żebym wierciła się w łóżku noc po nocy, nie mogąc zasnąć. Nigdy nie spędzałam tygodni pogrążona w posępnym wyczerpaniu, z poszarzałą twarzą, zachowując przy tym wyjątkową ostrożność. Ale raz na jakiś czas budzę się nagle z niewiadomych przyczyn – i tak właśnie stało się tamtej nocy. Moje powieki uniosły się, a umysł natychmiast odzyskał przytomność. Mój Boże, pomyślałam, stało się... Zaczęłam analizować to, co się wydarzyło, i z każdą chwilą wydawało mi się to jeszcze bardziej niedorzeczne. Przekręciłam się z wysiłkiem pod kołdrą i zamknęłam oczy, ale natychmiast otworzyłam je z powrotem. Wiedziałam, że sen nie powróci co najmniej przez godzinę. Samoświadomość to jedna z głównych zalet starzenia się. To nasza nagroda pocieszenia.

O takiej godzinie człowiek nie może liczyć na przenikliwość czy jasność umysłu. Jest tylko niekończąca się kotłowanina myśli, z których każda wydaje się bardziej bezładna i zawiła od poprzedniej. Więc wstałam. Mąż spał twardo, słyszałam jego ciężki, chrapliwy oddech. „W trakcie nocy mężczyźni potrafią osiągnąć stan wegetatywny – zażartowała kiedyś Susannah. – To dobrze znana przypadłość”.

Wyślizgnęłam się z łóżka, a ponieważ chłód panujący w pokoju zmroził mi skórę, zdjęłam polarowy szlafrok z haczyka na drzwiach i – pamiętając, że kaptcie zostawiłam w łazience – zamknęłam je za sobą delikatnie, bo nie chciałam obudzić męża. Mężczyzny, którego kocham.

I chociaż o takiej godzinie człowiek nie może liczyć na przenikliwość i jasność umysłu, pozostaje mu jeszcze komputer. Mój stoi na poddaszu, w pokoju ze skośnym sufitem z jednej strony i szklanymi drzwiami prowadzącymi na mały, wychodzący na ogród balkonik z ozdobną balustradą z drugiej. Mamy z mężem oddzielne gabinety. Jesteśmy jedną z tych par. Na ścianie mojego wisi plakat przedstawiający podwójną spiralę. Są tu również marokański dywan i gliniana miseczka na spinacze, którą nasz syn zrobił dla mnie, gdy miał sześć lat. W kącie leży sterta magazynów „Science”, dorównująca wysokością mojemu biurku. Trzymam ją w rogu pokoju, żeby się nie zawaliła. W gabinecie mojego męża stoi biurko ze szklanym blatem. Są tu białe półki wpuszczone w ścianę i jedna czarno-biała fotografia przedstawiająca trolejbus z San Francisco, mniej więcej z 1936 roku, oprawiona w bukową ramę

i powieszona nad komputerem. Jego zawód nie ma nic wspólnego z trolejbusami – specjalizuje się w anomaliach genetycznych u myszy. Ale chciałby mieć zdjęcie myszy na ścianie mniej więcej tak bardzo jak pluszową mysz w swoim głębokim fotelu. Jego komputer to ascetyczny prostokąt pozbawiony kabli. Długopisy i materiały biurowe przechowuje w małym szarym bloku szuflad pod biurkiem. Materiały źródłowe ustawił w kolejności alfabetycznej.

Jest coś ekscytującego we włączaniu komputera w środku nocy. Cichy szum, niebieskie światełko jarzące się w ciemnościach, wrażenie, że robi się coś, czego inni teraz nie robią, i czego samemu też nie powinno się teraz robić.

Po włączeniu komputera podeszłam do grzejnika olejowego stojącego pod ścianą – zazwyczaj tylko ja przebywam w domu w trakcie normalnych godzin pracy, więc mam tutaj własny grzejnik. Kliknęłam przełącznik i urządzenie zatrzeszczało, gdy olej w środku zaczął się nagrzewać. Wróciłam do biurka, usiadłam w czarnym skórzanym fotelu i otworzyłam nowy dokument.

Drogi X,

jest trzecia nad ranem, mój mąż śpi na dole, a ja siedzę w pokoju na poddaszu i piszę ten list do Ciebie – mężczyzny, którego spotkałam tylko raz i niemal z pewnością nigdy już nie spotkam. Zdaję sobie sprawę, że to odrobinę dziwne pisać list, który nigdy nie zostanie przeczytany, ale jedyną osobą, z którą kiedykolwiek będę mogła o Tobie porozmawiać, jesteś Ty sam.

X. Fakt, że jest to genetyczne odwrócenie, sprawia mi przyjemność – chromosom X, jak zapewne wiesz, dotyczy kobiet. To chromosom Y sprawia, że z wiekiem wyrastają Ci włosy z uszu i możesz cierpieć na ślepotę barw jak wielu mężczyzn. W tym też jest coś satysfakcjonującego, zwłaszcza gdy pomyślę o tym, gdzie byliśmy wczoraj... Dzisiejszej nocy, teraz, synergia jest wszędzie. Wszystko sprawia mi przyjemność.

Specjalizuję się w sekwencjonowaniu białek. To nawyk, którego trudno się pozbyć. Rozprzestrzenia się na resztę życia i pod tym względem nauka jest bliska religii. Gdy zaczęłam swój staż podoktorski, wszędzie widziałam chromosomy: w strużkach deszczu spływającego po szybie, w rozpraszających się smugach kondensacyjnych pozostawianych przez samolot.

X ma tak wiele zastosowań, Mój Drogi X – od potrójnego XXX, oznaczającego filmy dla dorosłych, do najniewinniejszych pocałunków czy znaku, jakim podpisuje się dziecko na kartce urodzinowej. Gdy mój syn miał sześć lat, pokrywał dla mnie iksami całe kartki. Robiły się mniejsze i mniejsze, w miarę jak zbliżały się do krawędzi. Starał się zmieścić ich jak najwięcej, jakby chciał pokazać, że na kartce nie da się odzwierciedlić wielości iksów istniejących na świecie.

Nie znasz mojego imienia, a ja nie zamierzam Ci go zdradzić, ale zaczyna się na literę Y – to kolejny powód, dla którego lubię nazywać Ciebie mianem X. Trudno mi się

oprzeć myśli, że odkrycie Twojego imienia byłoby dla mnie rozczarowaniem. Może Graham? Kevin? Jim? X jest lepsze. W ten sposób możemy robić cokolwiek.

W tym momencie uznałam, że muszę pójść do toalety, więc przerwałam pisanie i wróciłam do komputera po dwóch minutach.

Musiałam przerwać pisanie. Wydawało mi się, że słyszałam jakieś dźwięki na dole. Mój mąż często wstaje nocą do toalety – któryż mężczyzna po pięćdziesiątce tego nie robi? Ale ostrożność była niepotrzebna. Nawet gdyby się obudził i zobaczył, że mnie nie ma, gdyby odkrył, że siedzę tutaj na górze przy komputerze, nie byłoby to dla niego zaskoczeniem. Zawsze miewałam problemy ze snem. To dzięki temu udało mi się tyle osiągnąć. Niektóre z najlepszych artykułów napisałam o trzeciej nad ranem.

On jest życzliwym człowiekiem, mój mąż, dużym, łysiejącym. Nasze dzieci mają po dwadzieścia kilka lat. Córka mieszka w Leeds i też jest naukowcem, chociaż nie w mojej dziedzinie. Jej specjalnością jest hematologia. Syn mieszka obecnie w Manchesterze. Ze względu na scenę muzyczną, jak mówi. Pisze piosenki. Myślę, że jest całkiem utalentowany – oczywiście, jestem jego matką – ale chyba jeszcze nie znalazł swojego powołania. Może trudno mu pogodzić się z tym, że jego siostra robi karierę akademicką – jest przecież młodsza od niego, chociaż niewiele. Zdołałam ją począć, gdy miał zaledwie sześć miesięcy.

Ale podejrzewam, że nie interesuje Cię moje życie rodzinne, podobnie jak mnie nie interesuje Twoje. Oczywiście widziałam grubą złotą obrączkę na Twoim palcu, a Ty spostrzegłeś, że ją zauważyłam. Spojrzenie, jakie w tym momencie wymieniliśmy, oznaczało zgodę na niepisane zasady dotyczące tego, co mieliśmy zamiar zrobić. Wyobrażam sobie Ciebie w wygodnym podmiejskim domu, podobnym do mojego. Twoja żona jest zapewne jedną z tych smukłych, atrakcyjnych kobiet, które nie wyglądają na swój wiek, schludna i kompetentna, pewnie blondynka. Na oko macie troje dzieci, dwóch chłopców i dziewczynkę, Twoje oczko w głowie? To wszystko spekulacje, ale jak już wspomniałam, jestem naukowcem. Spekulowanie to moja praca. Jeśli chodzi o dane empiryczne na Twój temat, wiem jedno: uprawiając seks z Tobą, czułam się tak, jakbym była pożerana przez wilka.

Chociaż grzejnik działał na najniższej mocy, pokój nagrzał się szybko i zaczęłam odczuwać senność. Pisałam niemal godzinę, siedząc w wyściełanym skórzanym fotelu, i zmęczyły mnie prostowanie pleców oraz mój sarkastyczny ton. Przejrzałam list, tu i tam doszlifowując sformułowania, i zauważyłam, że w dwóch miejscach okazałam się mniej niż szczerą. Pierwszy fałsz był zaledwie małą nieprawdą, jednym z tych drobnych aktów automitologizacji, gdy umniejszasz lub wyolbrzymiasz jakiś szczegół w ramach

skrót, chcąc opowiedzieć komuś o sobie – w takiej sytuacji celem jest raczej więźność niż oszustwo. Chodziło o ten fragment, w którym twierdziłam, że najlepsze artykuły piszę o trzeciej nad ranem. Wcale tak nie jest. To prawda, że czasami wstaję i pracuję w nocy, ale nigdy nie tworzę wtedy nic dobrego. Moje najlepsze teksty powstają około dziesiątej rano, tuż po śniadaniu składającym się z tosta z gorzką marmoladą i bardzo dużej czarnej kawy. Drugie miejsce, w którym porzuciłam prawdomówność, wiązało się z większym kłamstwem. To był ten fragment, w którym mówiłam o synu.

Zamknęłam list, tytułując plik *VATquery3*. Potem ukryłam go w folderze o nazwie *LettAcc*. Przez chwilę przyglądałam się sobie samej podczas wykonywania tej sztuczki – jak wtedy, gdy w kaplicy ponownie nakładałam szminkę. Osunęłam się w fotelu i zamknęłam oczy. Chociaż na zewnątrz wciąż było ciemno, słyszałam ciche ćwierkanie – optymistyczną uverturę ptaków przeciągających się i trzepoczących skrzydłami o świcie. To był jeden z powodów, dla których przeprowadziliśmy się na przedmieścia – ten świergoczący mały chór. Chociaż po kilku tygodniach stał się równie irytujący, jak niegdyś był przyjemny.

Jednorazowa akcja, to wszystko. Nic się nie stało. Epizod. W nauce akceptujemy aberracje. Dopiero gdy zaczynają się powtarzać, zatrzymujemy się i próbujemy odszukać wzorzec. Ale cała nauka polega na niepewności, na akceptowaniu anomalii. Anomalie są tym, co nas stworzyło. „Wyjątek potwierdza regułę” to aksjomat. Gdyby nie było reguły, wyjątek nie mógłby istnieć. Właśnie to próbowałam wyjaśnić komisji kilkanaście godzin wcześniej.

\*\*\*

Śnieg wisiał w powietrzu – to pamiętam z tamtego dnia. Czuć było ten gęsty i szczególny chłód. Obietnica śniegu, myślałam sobie, idąc w kierunku pałacu Westminster. To była przyjemna myśl, bo miałam na nogach nowe botki z krótką cholewką, z lakierowanej skóry, ale na niskim obcasie; tego rodzaju, jakie kobieta w średnim wieku wkłada, żeby poczuć się młodziej. Co jeszcze? Co przyciągnęło twój wzrok? Szara dzianinowa sukienka w bladym odcieniu, miękka i z kołnierzem? Na wierzch włożyłam dopasowany wełniany żakiet, czarny z dużymi srebrnymi guzikami. Włosy miałam świeżo umyte – może to pomogło. Niedawno je wycieniowałam i rozjaśniłam pasemkami w odcieniu prażonych migdałów. Chyba byłam z siebie zadowolona, w zwyczajny sposób.

Jeśli mój opis samej siebie brzmi odrobinę próżnie, to dlatego że jestem, to znaczy byłam, zadowolona z siebie, dopóki cię nie spotkałam i nie wydarzyło się to wszystko. Kilka tygodni wcześniej podrywał mnie chłopak młodszy ode mnie o połowę – o tym później – i to znacznie zwiększyło moją pewność siebie. Odmówiłam mu, ale fantazje, które snułam na jego temat przez jakiś czas, wciąż sprawiały mi radość.

Już po raz trzeci miałam występować przed komisją rządową i dokładnie znałam całą procedurę – właściwie to poprzednią prezentację przeprowadziłam zaledwie wczoraj. Przepchnęłam się przez obrotowe drzwi Portcullis House i rzuciłam torbę na taśmę urządzenia rentgenowskiego. Skinęłam głową ochroniarzowi, uśmiechając się, i oznajmiłam, że specjalnie włożyłam tę samą masywną srebrną

bransoletkę co wczoraj, żeby znowu załapać się na darmowy masaż. Odwróciłam się, żeby zrobiono mi zdjęcie do dziennej przepustki. Tak jak poprzedniego dnia bramka zapiszczała, gdy przechodziłam, więc uniosłam ręce, żeby duża strażniczka mogła mnie zrewidować. Ponieważ jestem kobietą patologicznie wręcz praworządną, zawsze czuję ekscytację na myśl, że muszę zostać przeszukana – czy tutaj, czy na lotnisku. Przeżywam rozczarowanie, jeśli nie uruchomię alarmu. Strażniczka szorstko przesunęła dłońmi wzdłuż moich ramion, potem odwróciła dłonie i złożyła je jak do modlitwy, żeby przejechać ich krawędziami między moimi piersiami. Strażnicy płci męskiej stali i przyglądali się nam, co sprawiło, że rewizja wydała mi się bardziej dwuznaczna, niż gdyby sami ją przeprowadzali.

– Ładne botki – powiedziała strażniczka, ściskając je lekko obiema dłońmi. – Założę się, że okażą się przydatne.

Wstała, odwróciła się i wręczyła mi przepustkę na smyczy. Powiesiłam ją na szyi, po czym nachyliłam się, by przycisnąć do czytnika, dzięki któremu otworzyły się przede mną drugie szklane drzwi.

Miałam stanąć przed komisją dopiero za pół godziny – przybyłam wystarczająco wcześnie, żeby kupić duże cappuccino i zasiąść przy małym okrągłym stoliku pod drzewami figowymi w atrium. Wysypałam warstewkę brązowego cukru na wierzch kawy, a potem polizałam palec wskazujący i zaczęłam wyjadać resztę kryształków z papierowej saszetki, jednocześnie przeglądając notatki, które sporządziłam poprzedniego dnia. Przy stolikach wokół mnie siedzieli parlamentarzyści wraz z gośćmi, urzędnicy, pracownicy gastronomii mający akurat przerwę, dziennikarze, pracownicy naukowcy, pracownicy sekretariatów i obsługi technicznej... Tak toczyło się zwykłe, codzienne życie rządu, rutyna, szczegóły, klej, który spaja to wszystko. Wezwano mnie tutaj, żebym pomogła komisji wypowiedzieć się na temat zalecanych ograniczeń w technologii klonowania. Większość ludzi wciąż uważa, że właśnie tym zajmują się genetycy, jakby przeprowadzali wyłącznie eksperymenty hodowlane, by ustalić, ile identycznych owiec, myszy albo roślin możemy stworzyć. Nieskończenie wielkie plony pszenicy, kwadratowe pomidory, świnie, które nigdy nie zachorują ani nie sprawiają, że my się pochorujemy – od lat te same mało subtelne debaty. Moja pierwsza prezentacja odbyła się trzy lata temu, ale gdy teraz ponownie mnie wezwano, wiedziałam, że będę przywoływać dokładnie te same argumenty.

Chcę przez to wszystko powiedzieć, że tamtego dnia byłam w dobrym humorze, ale poza tym był on zupełnie zwyczajny. A jednak nie był, prawda? Siedziałam tam, popijając kawę i zakładając włosy za ucho, ze wzrokiem utkwionym w notatkach, i przez cały czas nie byłam świadoma tego, że mnie obserwujesz.

\*\*\*

Później opisałeś ten moment z własnego punktu widzenia, ze wszystkimi szczegółami. W którymś momencie podniosłam wzrok i rozejrzałam się, jakby ktoś wymówił moje imię, po czym wróciłam do notatek. Zastanawiałaś się, dlaczego to robiłam. Kilka minut później podrapałam się w prawą nogę. Potem potarłam spód nosa grzbietem palców, aż w końcu wzięłam z blatu papierową serwetkę leżącą obok kubka z kawą i wydmuchałam nos. Wszystko to obserwowałaś, siedząc przy stoliku stojącym



zaledwie dwa metry dalej, pewny tego, że nie rozpoznałabym cię, nawet gdybym spojrzała w twoją stronę, bo przecież cię nie znałam.

O dziesiątej czterdzieści osiem zamknęłam teczkę, ale nie zawracałam sobie głowy chowaniem jej z powrotem do torby, więc wiedziałeś, że mam spotkanie gdzieś w sali obrad lub pokoju konferencyjnym w pobliżu. Zwinęłam papierową serwetkę i włożyłam ją wraz z łyżeczką do kubka po kawie. Pomyślałeś, że jestem schludną osobą. Wstałam i wygładziłam sukienkę, z tyłu i z przodu, szybkimi ruchami dłoni. Przeczesałam palcami włosy. Przewiesiłam torbę przez ramię i podniosłam teczkę. Odchodząc od stolika, zerknęłam przez ramię, aby się upewnić, że niczego nie zostawiłam. Później powiesz mi, że to po tym odgadłeś, iż mam dzieci. Dzieci zawsze coś zostawiają i kiedy już wyrobisz sobie nawyk sprawdzania, trudno się go pozbyć, nawet gdy twoje pociechy dorosną i opuszczą rodzinne gniazdo. Nie odgadłeś jednak, w jakim wieku są moje dzieci, w tym przypadku źle trafiłeś. Założyłeś, że urodziłam je późno, po tym jak robiłam karierę, a nie jeszcze zanim się ona rozpoczęła.

Odeszłam od kawiarnianego stolika śmiałym, sprężystym – według ciebie – krokiem, wyglądałam na kobietę, która dokądś zmierza. Miałeś okazję obserwować mnie, gdy przechodziłam przez sam środek szerokiego, przestronnego i widnego atrium i wspinałam się po otwartych schodach do pokoju obrad komisji. Szłam prosto przed siebie, nie rozglądałam się wokół. Najwyraźniej nie miałam pojęcia, że mogę być obserwowana, i uznałeś to za pociągającą cechę. Powiedziałeś, że dzięki temu sprawiałam wrażenie jednocześnie pewnej siebie i odrobinę naiwnej.

Czy podejrzewałam cokolwiek tamtego dnia, gdy popijałam kawę? Później chciałeś się tego dowiedzieć, podpuszczałeś mnie, żebym przyznała, że wyczułam twoją obecność. Chciałeś, żebym była jej świadoma. Ale nie, nie w kawiarni, powiedziałam, wtedy nie miałam bladego pojęcia. Rozmyślałam o tym, jak wytłumaczyć komisji złożonej z laików, dlaczego tak wiele z naszych genów jest wyciszonych w przeciwieństwie do tych kodujących białka. Zastanawiałam się, jak najlepiej wyjaśnić, że tak niewiele wiemy.

Nie miałam bladego pojęcia? Niczego nie podejrzewałam, w ogóle? Odrobinę cię to zraniło albo udawałeś, że tak jest. Jak mogłam nie wyczuć twojej obecności? Nie, nie tam, upierałam się, ale może, chyba – nie byłam tego pewna – wyczułam coś w pokoju obrad.

Moja prezentacja poszła zgodnie z planem. Kończyłam odpowiadać na pytanie dotyczące postępów w rozwoju technik klonowania – członkowie komisji publicznych są zobowiązani do składania sprawozdań z ich działania, muszą więc zadawać pytania reprezentujące troski i niepokoje społeczeństwa. W czasie krótkiej przerwy przewodnicząca komisji poprosiła o sprawdzenie dokumentów, aby się upewnić, że porządek pytań jest właściwy. Jeden z posłów po jej prawej stronie – stojąca przed nim plastikowa tabliczka oznajmiała, że nazywa się Christopher Jakiśtam – gestykulował sfrustrowany. Ja czekałam cierpliwie. Nalałam sobie trochę więcej wody do szklanki ze stojącego przede mną dzbanka i upiłam łyk. Gdy to robiłam, ogarnęło mnie osobliwe wrażenie. Poczułam lekkie napięcie w barkach i szyi. Jakby za moimi plecami ktoś stanął. Nagle powietrze stało się gęste. Zobaczyłam, że przewodnicząca zerka nad moim ramieniem gdzieś na rzędy krzeseł za mną. Powróciła do swoich

papierów, po chwili znowu podniosła wzrok i powiedziała:

– Najmocniej przepraszam, pani profesor, zaraz będę gotowa.

Pochyliła się do sekretarza siedzącego po jej lewej.

Nigdy nie byłam nauczycielem akademickim na brytyjskim uniwersytecie. Posługiwałam się tytułem profesora tylko raz, gdy przez rok nauczałam w Stanach Zjednoczonych, podczas gdy mój mąż był na wymianie naukowej w Bostonie z ramienia USCR Research Exchange Plan. Powinna tytułować mnie mianem „doktora”.

Odwróciłam się. Za mną w dwóch rzędach siedzieli asystenci parlamentarni z notesami i podkładkami do pisania z klipsem – pomocnicy, którzy byli tu po to, aby się uczyć. Kątem oka dostrzegłam, że drzwi wejściowe umieszczone w rogu sali zamykają się cicho, bezszelestnie. Ktoś właśnie opuścił pomieszczenie.

– Dziękuję wszystkim za cierpliwość – powiedziała przewodnicząca, a ja odwróciłam się z powrotem w stronę członków komisji. – Christopherze, przepraszam cię, byłeś wpisany na listę z numerem szóstym, ale mam opatrzoną ręcznymi notatkami wczesną wersję i błędnie odczytałam własne pismo.

Christopher Jakiś tam prychnął, pochylił się do przodu i zaczął zadawać pytanie głosem wystarczająco podniesionym, by zdradzał jego ignorancję w dziedzinie podstaw genetyki.

\*\*\*

Jakieś dwadzieścia minut później komisja zarządziła przerwę na lunch. Chociaż omówiliśmy już większość tematów, w których się specjalizuję, poproszono mnie, abym wróciła na salę po wznowieniu posiedzenia. To była asekuracja z ich strony. Nie chcieli ryzykować, że będą musieli wezwać mnie ponownie w ciągu tygodnia i pokryć moje wydatki za kolejny dzień.

Sekretarze i asystenci zaczęli opuszczać pomieszczenie, podczas gdy ja stałam i zbierałam swoje papiery. Kilku parlamentarzystów ruszyło do wyjścia dla członków komisji, a pozostali naradzali się między sobą cichymi głosami. Jedyna reporterka na sali wciąż robiła notatki.

W korytarzu aż roiło się od ludzi – najwyraźniej wszystkie komisje postanowiły się rozejść wcześniej na lunch – więc przystanęłam, zastanawiając się, czy wrócić do kawiarni w atrium, czy może w ogóle opuścić budynek. Pomyślałam, że świeże powietrze dobrze by mi zrobiło. Jadanie w tej samej kawiarni, co parlamentarzyści i ich goście, już dawno straciło dla mnie walor nowości. Podczas gdy tak stałam, wahając się, korytarz opustoszał i na jednej z ławek naprzeciwko zobaczyłam mężczyznę. Siedział i rozmawiał cicho przez komórkę, ale patrzył na mnie. Gdy zorientował się, że go zauważyłam, powiedział coś krótko do telefonu, po czym zakończył rozmowę i wsunął go do kieszeni. Wstał, nie spuszczając ze mnie wzroku. Gdybyśmy spotkali się wcześniej, jego spojrzenie mogłoby mówić: „Ach, to ty”. Ale nie znaliśmy się, więc mówiło coś zupełnie innego. Wciąż jednak sprawiał wrażenie, jakby mnie rozpoznawał. Odwzajemniłam to spojrzenie i właśnie w tamtej chwili wszystko zostało przesądzone, chociaż nie rozumiałam tego przez bardzo długi czas.

Obdarzyłam go półuśmiechem i odwróciłam się, żeby ruszyć korytarzem, ale mężczyzna podążył za

mną, mówiąc:

– Bardzo jasno się tam wysławiałaś. Doskonale sobie radzisz z objaśnianiem skomplikowanych zagadnień. Wielu naukowców tego nie potrafi.

– Wykładałam – odpowiadałam – i w ciągu ostatnich lat odbyłam wiele prezentacji w instytucjach finansujących badania. Nie można ryzykować, by słuchacze poczuli się przy tobie głupio.

– Nie, przypuszczam, że to nie byłby dobry pomysł.

Jeszcze tego nie wiem, ale mężczyzna, z którym rozmawiam, to ty.

Szliśmy ramię w ramię, jakbyśmy byli przyjaciółmi albo współpracownikami, a rozmowa między nami toczyła się tak gładko, tak naturalnie – jej przypadkowy świadek uznałby, że znamy się od lat. Jednocześnie trochę brakowało mi tchu i miałam wrażenie, jakbym zrzuciła warstwę skóry, jakby coś, może po prostu wiek albo zwyczajowa rezerwa, zniknęło. Dobry Boże, pomyślałam, to nie przytrafiło mi się od lat.

– Denerwujesz się podczas prezentacji? – Rozmawiałeś ze mną całkiem normalnie, a ja szłam, pozwalając ci się prowadzić.

Zeszliśmy po schodach na parter i chociaż żadne z nas nie wskazywało drogi, a w każdym razie tak mi się wtedy wydawało, przeszliśmy przez atrium i dotarliśmy do szczytu ruchomych schodów prowadzących do tunelu, który łączy Portcullis House z głównym budynkiem pałacu Westminster. Schody były wąskie, zbyt wąskie, żebyśmy mogli stać obok siebie, a ty wskazałeś dłonią, żebym weszła na nie pierwsza. Miałam okazję ci się przyjrzeć, zobaczyć te twoje duże brązowe oczy, okulary w metalowych oprawkach w stylu retro, a może po prostu staromodne, nie potrafiłam zdecydować. Patrzyłam na twoje szorstkie brązowe włosy, nieco falujące, trochę szpakowate. Zgadywałam, że jesteś kilka lat młodszy ode mnie, ale niewiele. Byłeś o głowę wyższy, ale na ruchomych schodach zdecydowanie nade mną górowałeś. Uśmiechnąłeś się do mnie, jakbyś zdawał sobie sprawę z absurdalności tej myśli. Gdy dotarliśmy na dół, zrównałeś się ze mną krokiem. Nie byłeś uderzająco przystojny, ale coś w sposobie twojego poruszania się – jakaś elegancja i pewność siebie – zwróciło moją uwagę. Miałeś na sobie ciemny garnitur, który wyglądał na drogi, chociaż nie miałam wprawy w ocenianiu takich rzeczy. Tak, to w twoim sposobie bycia było coś atrakcyjnego, jakiś męski wdzięk. Twoje ruchy były swobodne, jakbyś dobrze czuł się w swojej skórze. Wiedziałam, że dałbyś sobie radę na korcie tenisowym. I że raczej nie jesteś parlamentarzystą.

– A więc denerwujesz się?

Dopiero gdy powtórzyłeś pytanie, zdałam sobie sprawę, że całą drogę w dół pokonaliśmy w milczeniu.

– Nie – powiedziałam. – Nie przy tych ludziach. Wiem znacznie więcej niż oni.

– Tak, niewątpliwie. – Uznanie dla moich kompetencji wyraziłeś lekkim skinieniem głowy.

W milczeniu ruszyliśmy tunelem strzeżonym przez kamienne figury lwa i jednoroźca, po czym dotarliśmy do kolumnady. To było przedziwne doznanie. Szliśmy, mijając innych ludzi, odnosząc się do siebie dość poufale, mimo to wciąż się sobie nie przedstawiliśmy. Żadnych nazwisk, żadnej

normalności – to dzięki temu wiedziałeś, że się zgodzę... Teraz to rozumiem. Pomijaliśmy etapy, jakby normalne zasady nas nie dotyczyły. Choć oczywiście z tego wszystkiego zdałam sobie sprawę dopiero później.

Gdy dotarliśmy do części kolumnady wychodzącej na New Palace Yard, zadrżałam i skrzyżowałam ramiona na piersi. Wydało mi się naturalne, że skręcimy w lewo i przejdziemy przez północne wrota prowadzące do Great Hall. W porze lunchu kłębił się tutaj tłum – wycieczki szkolne, studenci, turyści. Po lewej zobaczyłam kolejkę zwiedzających oddzieloną sznurem; czekali na wejście do pałacowych galerii: grupa starszych kobiet, dwóch mężczyzn w plastikowych płaszczach przeciwdeszczowych, dwoje młodych wtulonych w siebie ludzi, którzy trzymali dłonie w tylnych kieszeniach džinsów tego drugiego.

Zatrzymaliśmy się na drugim krańcu holu. Spojrzałam za siebie, na wrota prowadzące na zewnątrz, na białe powietrze oprawione we framugi jak obrazek. Ile razy w życiu człowiek może poczuć natychmiastowy pociąg do kogoś, kogo widzi po raz pierwszy? Gdy spojrzenia spotykają się i nagle ogarnia nas przemożna świadomość, że to jest osoba, z którą zetknęło nas przeznaczenie? Trzy, może cztery razy? Wielu ludziom przytrafia się to, gdy jadą w górę ruchomymi schodami metra lub domu towarowego, podczas gdy ta druga osoba zjeżdża. A niektórzy nigdy tego nie doświadczą.

Odwróciłam się do ciebie, a ty znowu na mnie popatrzyłeś. To wszystko. Milczałeś przez chwilę, po czym zapytałeś lekkim tonem:

– Widziałaś już kaplicę Świętej Marii?

Nieznacznie pokręciłam głową.

– A chciałaś ją zobaczyć?

Stałam wtedy na skraju urwiska. Teraz to wiem.

– Pewnie – powiedziałam, naśladując twój swobodny ton.

To się nazywa odzwierciedlanie. Ludzie robią to cały czas.

– Chodź ze mną – szepnąłeś, lekko pochylając głowę w moją stronę.

Gdy się odwracałeś, położyłeś dłoń na moim łokciu, żeby wskazać mi kierunek. Był to najdelikatniejszy z dotyków, ledwie wyczuwalny przez materiał zakietu, ale nawet gdy już zabrałeś rękę, czułam ślad twoich palców w tamtym miejscu. Razem weszliśmy po szerokich kamiennych stopniach, u których szczytu, pod ogromnym pamiątkowym witrażem stała strażniczka, tęga kobieta w okularach, z kręconymi włosami. Trzymałam się na uboczu, podczas gdy do niej podszedłeś. Przystanąłeś, żeby z nią porozmawiać. Nie słyszałam, co mówisz, ale było jasne, że żartujecie, że znasz ją dość dobrze. Gdy do mnie wróciłeś, pokazałeś mi klucz z czarnym plastikowym breloczkiem w kształcie prostokąta.

– Przypomnij mi, żebyś zwrócił go Marcie, albo narobię sobie kłopotów – powiedziałaś.

Skręciliśmy. Podążyłam za tobą w dół, po mniejszych kamiennych schodkach, aż do ciężkich drewnianych drzwi. Otworzyłeś je kluczem. Weszliśmy do środka. Wrota zamknęły się za nami z hukiem. Stanęliśmy u szczytu kolejnych kamiennych schodów, tym razem dość wąskich, które prowadziły w dół krętą klatką schodową. Ty poszedłeś przodem. Na samym dole czekały na nas kolejne ciężkie drzwi.

Kaplica Świętej Marii jest mała i bogato zdobiona, jej łuki przypominają zwisające nisko gałęzie drzew, sufit pokrywają złote ornamenty. Główną część nawy od wejścia oddziela balustrada z żelaza kutego w misterne wzory, jest tu również ozdobne baptysterium z chrzcielnicą – parlamentarzyści mogą tutaj ochrzcić dzieci albo zawrzeć małżeństwo, mówisz mi. Nie jesteś pewien co do pogrzebów. Ściany i podłogę pokrywają płytki, kolumny są z marmuru. To bogato zdobione miejsce sprawia wrażenie sekretnego, może dlatego że znajduje się w podziemiach kościoła, w ukrytym miejscu kultu.

Idę nawą, ale panująca tu pustka pozbawia kaplicę atmosfery świętości. Nie ma tu kościelnych ław, tylko rzędy sztaplowanych krzeseł. Świątynia wygląda na nieużywaną. Moje kroki odbijają się echem od ścian. Cały sens kościoła polega na tym, że każdy może przekroczyć jego próg w dowolnej chwili – ale ta kaplica jest dostępna wyłącznie dla parlamentarzystów.

Idziesz za mną powoli, zachowując odstęp. Podeszwy twoich butów stąpają cicho po posadzce w odróżnieniu od moich botków. Chociaż jestem odwrócona do ciebie plecami, dalej opowiadasz mi o kaplicy. Przez wiele stuleci jej ściany były pokryte tynkiem, który odpadł dopiero w pożarze z 1834 roku, odsłaniając bogactwo dekoracji, zwłaszcza rzeźbione zworniki ukazujące sceny męczeństwa. Zachęcasz mnie, abym spojrzała do góry. Zauważam wizerunki torturowanych świętych... Święty Szczepan, święta Małgorzata, mówisz. Wskazujesz na pogańskie gargulce. Barbarzyństwo, myślę, średniowieczne barbarzyństwo. Pamiętam wakacje, które spędziliśmy z mężem na północy Hiszpanii, gdzie każde małe miasteczko zdawało się pamiętać o inkwizycji i szczyliło własnymi, często aż zbyt dosadnymi muzeami tortur. Marmur, kamienne elementy elewacji, misterne płytki, łacińskie inskrypcje, cały ten rytuał Wysokiego Kościoła... Nie, nie odczuwam żadnego pragnienia kontemplacji, wyłącznie umiarkowaną ciekawość. Co my tu robimy? – zastanawiam się, odwracając się powoli na jednym obcasie...

Zdaję sobie sprawę, że robię to, bo zapadła cisza. Ucichły twoje kroki na posadzce. Nie słyszę nawet twojego oddechu. Ale nie rozpląnąłeś się w powietrzu. Nie zniknąłeś ani nie ukryłeś się za filarem baptysterium. Stoisz nieruchomo i patrzysz na mnie. Odwzajemniam twoje spojrzenie i chociaż żadne z nas nic nie mówi, wiem, że to jest ten moment, w którym wkraczam na równię pochyłą.

Dźwięk twoich kroków odbija się echem, gdy do mnie podchodzisz. Unosisz lekko dłoń, a ja w zupełnie naturalny sposób unoszę swoją. Ściskasz ją, władczym gestem, który mnie pochłania. Prowadzisz mnie z powrotem nawą, na tyły kaplicy.

– Jest tutaj coś, co chcę ci pokazać – mówisz.

Wchodzimy za przepierzenie, za którym znajdują się następne ciężkie drewniane drzwi, tym razem wąskie i bardzo wysokie.

– Wejdz pierwsza, jest tam trochę ciasno – zachęcasz mnie.

Z pewnym trudem otwieram drzwi; są bardzo ciężkie. Prowadzą do malutkiego pomieszczenia z wysokim sufitem. Tuż przede mną znajduje się jasnoniebieska metalowa szafka, przypominająca szafę

na dokumenty, ale z mnóstwem elektrycznych przycisków i światełek. Obok niej o ścianę opierają się brudny mop i metalowa niska drabinka. Po lewej widać plątaninę grubych kabli zasilających, pokrytych gumową izolacją, które znikają gdzieś w górze pod sufitem.

– Kiedyś to był schowek na miotły – tłumaczysz, wchodząc za mną do środka.

Pomieszczenie jest tak małe, że musisz do mnie przylgnąć, żebyśmy mogli zamknąć za sobą drzwi.

– Proszę – mówisz.

Na wewnętrznej stronie drzwi widnieje mała czarno-biała fotografia kobiety, a pod nią – mosiężna tabliczka. Emily Wilding Davison. Spoglądam na tabliczkę, zwrócona plecami do ciebie. Stoisz tuż za mną, tak blisko, że wyczuwam cię, mimo że mnie nie dotykasz – chociaż wiem, że mógłbyś to zrobić w każdej chwili. Podnosisz rękę nad moim ramieniem i wskazujesz na tabliczkę. Czuję twój oddech na włosach, gdy mówisz:

– Ukryła się tutaj w noc spisu powszechnego w tysiąc dziewięćset jedenastym roku...

– Tak, znam tę historię – wtrącam szybko, nie odwracając się, chociaż nie pamiętam szczegółów.

To historia sufrażystek. Należy do mnie, nie do ciebie. Emily Wilding Davison rzuciła się pod kopyta królewskiego konia w trakcie wyścigów konnych w Epsom. Zginęła, żeby kobiety takie jak ja mogły brać tyle rzeczy za pewnik: prawo do głosowania, do pracy, do oczekiwania, że mąż wyjmie naczynia ze zmywarki. Nie musimy oddawać naszym mężom wszystkiego, co posiadamy, gdy za nich wychodzimy. Nie musimy nawet za nich wychodzić, jeśli nie mamy na to ochoty. Możemy spać, z kim zechcemy – oczywiście zgodnie z naszym prywatnym poczuciem moralności – zupełnie jak mężczyźni. Już nikt nie ukamieniuje nas na wiejskim placu ani nie umieści metalowych narzędzi tortur w naszych ustach, ani nie utopi nas w stawie, bo mężczyzna, którego zaloty odrzuciłyśmy, oskarżył nas o bycie czarownicą. Jesteśmy bezpieczne. Teraz, w tym kraju, z pewnością jesteśmy bezpieczne.

Gdy odwracam się ku tobie, wsuwasz palce w moje włosy, podczas gdy ja lekko kładę dłonie na twoich ramionach. Delikatnie odchylasz moją głowę do tyłu, zmuszając mnie, bym zamknęła oczy.

Zaczynamy się całować – twoje usta są miękkie, pełne, dokładnie takie, jakie być powinny – i uświadamiam sobie, że wiedziałam, iż to się stanie, od momentu gdy zobaczyłam cię w korytarzu przed pokojem obrad komisji. To była tylko kwestia czasu. Robisz krok do przodu i napierasz na mnie, przyciskając moje ciało do drzwi. Wyciskasz ze mnie dech i po raz pierwszy, od kiedy skończyłam dwadzieścia lat, odczuwam ten dziki, oszłamiający zawrót głowy wywołany przez pocałunek, który jest czuły, a jednocześnie nieubłagany, tak że ledwie można oddychać. Nie mogę uwierzyć w to, że całuję się z kimś zupełnie nieznanym, i wiem, że właśnie to nieprawdopodobieństwo odpowiada za połowę ekscytacji. To nie ja przerwę pocałunek. Zamierzam kontynuować, dopóki ty nie przestaniesz, bo ta chwila całkowicie mnie pochłania.

Milczenie, zamknięte oczy, wszystkie zmysły wyostrzone i skupione na splataniu się naszych języków. Cała jestem ustami.

Potem, po dłuższej chwili robisz coś, co wyda mi się ujmujące, gdy później o tym pomyślę. Powstrzymujesz się. Przestajesz mnie całować, odchylasz głowę, a gdy unoszę powieki, patrzysz mi

w oczy. Wciąż trzymasz jedną dłoń w moich włosach, podczas gdy drugą kładziesz na mojej talii. Uśmiechasz się. Nie mówimy ani słowa, ale wiem, co robisz. Sprawdzasz, czy możesz. Odwzajemniam twój uśmiech.

Wciąż nie wiem, kto był odpowiedzialny za to, co wydarzyło się potem. Czy to ty, czy ja, czy my oboje jednocześnie? Moje dłonie zsuwają się do sprzączki twojego grubego skórzanego paska – a może ty je tam spychasz? Próbuję go rozpiąć, ale drżą mi palce. Skóra jest sztywna i nieustępliwa, ani drgnie, aż w końcu musisz mi pomóc. Do kolejnego niezdarnego momentu dochodzi, gdy ciągniesz mnie za dekolt sukienki. Wciąż mam na sobie żakiet, a tobie się wydawało, że pod spodem jest bluzka. Przerwywasz, zdejmujesz okulary i chowasz je do kieszeni marynarki. Podczas gdy to robisz, ja pochylam się, rozpinam jeden botek i go ściągam. Potem, niezgrabnie, bo wciąż stoję w drugim bucie, ściągam rajstopy i majtki z jednej nogi. Gdy we mnie wchodzisz, zetknięcie twojej skóry z moją wydaje się elektryzujące, przypomina elektryczność statyczną świeżo upranych ubrań. Twoja naga skóra pozostaje w kontakcie z moją tylko w tym jednym miejscu, wewnątrz mnie.

Nawet teraz wspomnienie tamtego momentu sprawia, że zamieram w połowie czynności, jakkolwiek akurat wykonuję, i spoglądam w dal, wciąż zdumiona tym, jak łatwo do tego doszło, jak naturalne mi się to wydawało, jak coś obłożonego tyłoma zakazami i konwenansami mogło się wydarzyć zaledwie dzięki usunięciu fizycznych przeszkód z naszych ciał. W jednej chwili się całujemy, co samo w sobie wydaje się niezwykle, a w kolejnej uprawiamy seks.

Nie dochodzę. Jestem zbyt oszołomiona. Odczuwam jednak przyjemność, chociaż może to nie jest właściwe słowo. Czuję to samo zapierające dech w piersi podekscytowanie, jakie musi towarzyszyć jeździe kolejką górską, gdy można czerpać przyjemność ze strachu, bo niebezpieczeństwo jest iluzoryczne; niezależnie od tego, jak bardzo się boisz, nic ci się nie stanie. Idę z tobą. Podążam za tobą. Jestem przerażona jak diabli, ale czuję się zupełnie bezpieczna. Jeszcze nigdy tak nie było.

Po wszystkim jeszcze przez chwilę stoimy nieruchomo. Wciąż przyciskasz swoje ciało do mojego. Uświadamiam sobie, że oboje nasłuchujemy. Zastanawiam się, ile istnieje jeszcze kluczy do kaplicy. Nasłuchujemy kroków na wyłożonej płytkami podłodze, ale w krypcie panuje cisza. Jednocześnie wypuszczamy powietrze z płuc, coś pomiędzy kasznięciem a prychnięciem rozbawienia. To sprawia, że wysuwasz się ze mnie. Cofasz się, dociskając plecy do ściany, sięgasz do kieszeni po okulary, po czym wręczasz mi bawełnianą chusteczkę. Uśmiechasz się do mnie, a ja odwzajemniam ten uśmiech z wdzięcznością, wsuwając chusteczkę między nogi, podczas gdy ty zapinasz spodnie.

Musisz opuścić małe pomieszczenie pierwszy. Podnoszę swój botek z podłogi i wychodzę za tobą, z chusteczką wetkniętą między nogi, w nieładzie, utykając, podczas gdy majtki i rajstopy plączą mi się wokół kostki. Przynosisz mi jedno z krzeseł i sadzasz mnie na nim jak sanitariusz zajmujący się ofiarą wypadku drogowego. Robisz krok do tyłu, przyglądając mi się z rozbawieniem, podczas gdy ja rzucam but na podłogę, żeby mieć obie ręce wolne, i unoszę się lekko, naciągając majtki. Z rajstopami mam mały problem, bo nogawka wywinęła się na lewą stronę. Czuję się idiotycznie i przypominam sobie, że w przypadku wszystkich pierwszych kontaktów seksualnych akt rozbierania się jest gorący

i podniecający, ale ubieranie się – już zazwyczaj żenujące. Minęło tyle lat, od kiedy kochałam się z kimś po raz pierwszy, że zupełnie o tym zapomniałam.

Gdy z powrotem opadam na siedzenie, klękasz u moich stóp, na jednym kolanie, i podnosisz botek z podłogi – przez głowę przemyka mi wstydliva myśl, że rajstopy, które włożyłam tego dnia, nie są nowe – a potem wsuwasz mi go na nogę i zapinasz. Podnosisz na mnie wzrok z uśmiechem, wciąż ściskając moją łydkę obiema dłońmi, i wołasz:

– Pasuje!

Odwzajemniam uśmiech i kładę jedną dłoń na twoim policzku. Uwielbiam to, że przejmujesz teraz dowodzenie, bo ja potrafię tylko drżeć. Zauważyłeś to i sądząc po uśmiechu, jesteś z tego zadowolony. Kładziesz dłoń na mojej potylicy i przyciągasz mnie do siebie na długi pocałunek. Po chwili zaczyna mnie boleć szyja, ale podoba mi się to, bo całujesz tak, jakby wciąż ci zależało, choć oboje wiemy, że to już niepotrzebne. W końcu odrywasz się ode mnie i mówisz:

– Lepiej oddajmy ten klucz Marcie.

Szukam wzrokiem swojej torby i zdaję sobie sprawę, że musiała zostać w schowku. Nawet nie pamiętam, kiedy spadła mi z ramienia.

– Moja torba – mówię, wskazując w tamtym kierunku.

Przynosisz mi ją, a potem stajesz nade mną, patrząc, jak w niej grzebię.

– Poczekaj chwileczkę – proszę.

Szukam kosmetyczki. Nie mam w niej puderniczki, ale pod pokrywką bardzo taniego cienia do powiek, którego nigdy nie używam, jest małe lusterko. Przytrzymuję je przed sobą, badając twarz centymetr po centymetrze, jakbym próbowała zrozumieć, kim jestem. Znajduję szminkę i nakładam tylko odrobinę, lekko pocierając wargę o wargę. Gdybym wyłoniła się z krypty z idealnie poprawionym makijażem, byłoby to trochę zbyt oczywiste, myślę sobie i zdumiewa mnie to spostrzeżenie. Ktoś mógłby pomyśleć, że robię to cały czas.

Gdy wstaję, nogi wciąż mi się trzęsą. Ty cały czas obserwujesz mnie z tym kpiarskim wyrazem twarzy, jakby bawiło cię, że tak bardzo wytrąciłeś mnie z równowagi, że tyle wysiłku kosztują mnie przygotowania do powrotu do normalnego świata.

– Masz czas na szybką kawę? – pytasz, zerkając na zegarek, ale twój ton sugeruje, że robisz to wyłącznie z grzeczności.

Zachowuję przytomność umysłu – czego później sobie pogratuluję – na tyle, żeby powiedzieć:

– Właściwie to mam kilka spraw do załatwienia na mieście, a potem muszę tu wrócić na popołudniową sesję.

Udajesz, że jesteś rozczarowany, ale potem w twojej kieszeni brzęczy komórka. Wyjmujesz ją, odwracasz się do mnie plecami i zerkasz na ekran, naciskając kilka klawiszy. Gdy znów na mnie patrzysz, mam pewność, że dla ciebie ta przygoda już dobiegła końca. Wiadomość, którą właśnie otrzymałeś, sprawiła, że zacząłeś myśleć o tym, co masz jeszcze dziś do zrobienia.

– Momencik! – wołam, gdy ruszamy w stronę drzwi teraz już głośnym, zdecydowanym krokiem.



Idziesz przede mną i zauważam, że pogniół ci się tył marynarki. Wygładzam go dwoma wprawnymi ruchami dłoni. Zerkasz przez ramię, gdy to robię, i obdarzasz mnie półuśmiechem.

– Dzięki – mówisz z roztargnieniem.

Przytrzymujesz mi drzwi, gdy wychodzimy, ale gdy już jesteśmy na zewnątrz, cofam się, pozwalając, żebyś pierwszy wszedł po schodach na górę. Musisz iść przodem, żebym mogła naśladować twoją nonszalancję, obserwować, jak zwracasz klucz strażniczce, a potem pożegnać się z tobą, obrócić na pięcie i odejść. Gdy wspinamy się po schodach, widzę, że marynarkę wciąż masz wymiętą, i myślę o tym, że następnym razem, gdy zobaczę jakiegoś mężczyznę w takiej samej, przypomnę sobie dzisiejszy dzień i zacznę się zastanawiać, co takiego właśnie robił. Natomiast twój kosztowny szary garnitur zobaczę po raz kolejny dopiero w sali rozpraw numer osiem Centralnego Trybunału Karnego.

## 2

Następnego ranka siedzę przy kuchennym stole i czytam darmową lokalną gazetę, dostarczaną pod nasze drzwi raz w tygodniu, gdy mój mąż wchodzi do środka ociężałym krokiem. On też nie lubi poranków i oboje unikamy wtedy rozmów. Właśnie takie podobieństwa spajają długoletnie związki. W ostatecznym rozrachunku nie liczy się to, czy jesteście bratnimi duszami i dorównujecie sobie intelektualnie, lecz czy oboje czujecie się szczęśliwi, gdy przy śniadaniu wymienicie nie więcej niż kilka mruknięć.

On już jest ubrany. Zaczyna dziś wcześniej i jestem za to wdzięczna, bo wciąż przebywam myślami w kaplicy i po nieprzespanej nocy mam ochotę zostać sama, żeby się trochę zastanowić, przekonać samą siebie, że wciąż jestem normalną osobą. Mój mąż podchodzi do czajnika i robi sobie kubek herbaty, mamrocząc:

– Chcesz dolewkę?

Kręcę głową. Zabiera swoją herbatę na górę. Deski podłogowe na piętrze skrzypią, więc wiem, że przechadza się po swoim gabinecie, leżącym bezpośrednio nad kuchnią. Potem słyszę, jak używa elektrycznej szczoteczki do zębów w łazience przylegającej do gabinetu. Mam pewność, że gdy później pójde na piętro, znajdę tę herbatę na jego biurku albo na zlewie przy mydelniczce, wystygłą i nietkniętą. Dziesięć minut później mój mąż wraca do kuchni. Podchodzi i pochyla się nade mną, na co ja unoszę twarz, a on z roztargnieniem całuje mnie na do widzenia suchymi ustami. Idzie do przedpokoju, po czym znowu wchodzi do kuchni, pytając:

– Czy ja ci dawałem kluczyki od samochodu?

Patrzę na niego i mówię:

– W brązowym płaszczu.

– Ach – odpowiada, przypominając sobie, w co był ubrany, gdy wrócił do domu poprzedniego wieczoru.

Mój mąż nie jest aż tak roztargniony, jakby się mogło wydawać. Wbrew powszechnym przekonaniom naukowcy rzadko są rozkojarzonymi indywiduami o dzikim wzroku i sterczących włosach. Wraca do kuchni wolnym krokiem i pyta o kluczyki nie dlatego, że nie zdołałby ich zlokalizować sam, lecz po to, aby mi przypomnieć, że po tylu latach małżeństwa wciąż mnie kocha. A ja mówię mu, gdzie są, aby zapewnić go, że wciąż odwzajemniam to uczucie.

Jedną z najmiłszych rzeczy w samozatrudnieniu jest cisza, jaka zapada w domu po tym, gdy wybrzmi echo zatraskiwanych drzwi frontowych.

Wzdycham niepotrzebnie i wyjmuję telefon z kieszeni szlafroka – ubranie się potraktuję wyłącznie jako opcję tego ranka. Wpisuję w Google „klinika zdrowia seksualnego prywatna”. Nie zamierzam się udać do mojej lokalnej przychodni, gdziekolwiek ona się znajduje, i siedzieć w poczekalni przez dwie godziny wraz z tuzinem szlochających nastolatków. Umawiam się na wizytę. W myślach przeglądam listę wszystkich badań, które powinnam zrobić, począwszy od kandydozy, przez syfilis i rzeżączkę, a na HIV skończywszy – chociaż test na obecność wirusa HIV powie mi tylko, czy wcześniej byłam nosicielką. Żeby mieć pewność, iż nie zaraziłam się wczoraj, musiałabym powtórzyć badanie za dwanaście tygodni. Wiem, że tego nie zrobię. Za dwanaście tygodni cała ta sprawa zostanie już zapomniana. Możliwe, że nawet ta jedna wizyta nie jest mi potrzebna. Chcę się przebadać wyłącznie po to, żeby móc sobie pogratulować racjonalnego postępowania. Przynajmniej nie muszę się martwić ciążą. Trzy lata temu weszłam w okres menopauzy. Żadnych uderzeń gorąca, żadnych dramatów, po prostu miesiączki stawały się coraz bardziej skąpe, aż w końcu ustały. Zdrowiem seksualnym mojego męża też nie muszę się przejmować. Nie kochaliśmy się niemal od trzech lat. Umówiłam się na wizytę za dziesięć dni, żeby się przekonać, czy do tego czasu pojawią się jakiegokolwiek symptomy. Bardzo prawdopodobne, że ostatecznie ją odwołam.

Wylewam resztki herbaty do zlewu i wstawiam kubek do zmywarki. Wyjmuję z szafki filiżankę oraz małą kawiarkę i idę do lodówki po kawę. Podczas gdy kawiarka perkocze, opieram się o kuchenny blat i wysyłam mężowi esemes z przypomnieniem, żeby sprawdził winietę podatkową na swoim samochodzie, jako że i tak zamierzam dziś kupić nową dla siebie. Od kiedy nasze dzieci opuściły rodzinne gniazdo, troszczymy się nawzajem o swoje auta. Przynajmniej nie uciekliśmy się do kupna kotów.

Dopiero po trzech dniach zaczynam się czuć wykorzystana. Nieźle, myślę sobie. Całkiem nieźle. Odrobina melancholii dopada mnie tylko dlatego, że w piątek muszę się wybrać do dzielnicy Westminster, nie do pałacu, ale na umówione śniadanie z Markiem, współpracownikiem z Instytutu Beauforta. Normalnie spędzam w biurze tylko poniedziałki i wtorki. Pełnię funkcję honorowego członka rady naukowej, co zdaniem władz instytutu – aż dziw o tym myśleć – podnosi status placówki. Poprosiłam Marca, żeby spotkał się ze mną poza terenem instytutu. Jeśli pójdę do biura, nie opuszczę go do końca dnia.

Powrót w okolice pałacu Westminster przypomina mi, że nie zostałam tutaj ponownie zaproszona – przez ciebie oczywiście. Nie pragnąłeś tego spotkania, nie zabiegałeś o nie. Nawet o to nie spytałeś.

Marc jest menedżerem do spraw zasobów ludzkich, co oznacza, że jego poczucie humoru zostało usunięte chirurgicznie. Chce ze mną omówić możliwość pracy na zastępstwo, za koleżankę, która bierze urlop macierzyński. Zrezygnowałam z etatu w Instytucie Beauforta, bo nie mogłam już znieść codziennych dojazdów. Myśl o tym, że musiałabym znowu to robić przez sześć miesięcy, sprawia, że mam ochotę zacząć walić głową o krawędź restauracyjnego stolika, podczas gdy Marc przedstawia mi zasady

i warunki.

Gdy spotkanie dobiega końca, myślę sobie, że powinnam wrócić prosto do domu i uporać się ze stertą faktur piętrzących się na brzegu mojego biurka. Zamiast tego dochodzę do wniosku, że skoro jest piątek i świeci słabe późnozimowe słońce, równie dobrze mogę przejść się do pałacu Westminster. Gdy tam docieram, okrążam Parliament Square i przechodzę spacerowym krokiem przez most, po czym zatrzymuję się i opieram o kamienną balustradę, obserwując turystów unoszących iPady, żeby zrobić zdjęcie Big Benowi. Mężczyzna na drugim krańcu mostu gra na dudach. Mewy skrzeczą w akompaniamencie. Gdy w końcu nudzi mi się obserwowanie turystów, odwracam się do nich plecami i spoglądam na rzekę. Myślę o tym, jak klęczałeś u moich stóp, wkładając mi but. Przypominam sobie, jak położyłam ci dłoń na policzku, a czułość tego gestu wywołała twój uśmiech. Chcę, żeby to wydarzyło się znowu, chociaż wciąż nie jestem pewna, co takiego się stało. Uświadamiam sobie, że moje racjonalne zachowanie, umawianie wizyty w klinice, dojrzałość w obliczu całej tej sytuacji to tylko pozory. Nie mogę przestać o tobie myśleć, nie mogę przestać myśleć o tym, jak napierałeś na mnie swoim ciałem, jak powoli wyciskałeś ze mnie dech, gdy całowaliśmy się oparci o tamte drzwi. Przez cały tydzień kręciło mi się od tego w głowie.

Głupia, strofuję siebie. Już nigdy więcej go nie zobaczysz, przyzwyczaj się do tej myśli. Przetraw ją. Gdybyś dała mu kosza w tej kaplicy, zażądałby twojego imienia i numeru telefonu i uganiałby się za tobą przez cały tydzień niczym pocisk sterowany za pomocą termolokacji. Ale nie zrobiłaś tego, prawda? Uległaś mu. Od tamtej pory pewnie nawet o tobie nie pomyślał.

Oczywiście tylko zgaduję. Nie wiem nic o seksie bez zobowiązań. Seks zawsze oznaczał dla mnie początek czegoś. Zwierzęta nie uprawiają przypadkowego seksu, bo kierują się wyłącznie biologicznym imperatywem – chociaż możliwe, że właśnie to czyni wszelkie ich kontakty przypadkowymi, gdyby spojrzeć na to z antropomorficznego punktu widzenia. Ludzkie pragnienie przypadkowego seksu to interesujący eksperyment, zderzenie między natychmiastową gratyfikacją a postępowaniem w interesie przedłużenia gatunku. „Za dużo myślisz – lubił mawiać mój pierwszy chłopak – na tym polega twój problem”. Był seksistowskim draniem. I pewnie wciąż nim jest.

Obserwuję szare wody Tamizy przesuwane pod mostem Westminsterskim, płynące bezgłośnie i bez końca, aż do morza. Zwierzęta nie rozważają powodów, dla których chcą się parzyć, podobnie jak woda nie myśli o tym, że pragnie płynąć z nurtem. Grupa mijających mnie turystów pokrzykuje radośnie po hiszpańsku. Kretynka, odzywa się cichy, rozbawiony głos w mojej głowie. Zostałaś wykorzystana. Czego się spodziewałaś? Bukietu kwiatów? Przynajmniej zdobyłaś nowe doświadczenie.

Zachowuję się tak dorośle, tak dobrze sobie z tym wszystkim radzę, tak racjonalnie, że pozostawiam rzekę turystom, przechodzę przez Bridge Street i zbliżam się do wejścia do Portcullis House, mimo że nie mam tu dziś do załatwienia żadnej sprawy. Przechodzę przez pierwsze obrotowe szklane drzwi i przystaję z wahaniem, dopóki nie zauważę znajomej strażniczki – dużej kobiety, która obszukiwała mnie we wtorek. Mam na sobie te same botki. Uśmiecha się do mnie, a ja kręcę głową.

– Nie mam dziś spotkania. Zastanawiałam się tylko, czy we wtorek nikt nie znalazł szalika.

Kobieta opiera się o urządzenie rentgenowskie. Nie ma kolejki, więc jest wyraźnie znudzona i z radością wdaje się w rozmowę:

– A jak wyglądał?

Myślę o moim nowym wełnianym szaliku, tym, który leży schludnie złożony na górnej półce w naszej garderobie.

– Jest szary z białym wzorem – mówiąc to, zerkam przez szklane przepierzenie w stronę kawiarni w atrium, w stronę łukowatych schodów prowadzących do pokojów obrad, jakby istniała jakakolwiek szansa, że akurat w tym momencie będziesz tamtędy przechodził.

Kobieta drapie się w ucho i marszczy nos.

– Nawet gdyby zostawiła go pani tutaj i tak powędrowałby do biura, ale nie przypominam go sobie. Może pani wysłać mail z zapytaniem. Sporządziłabym notatkę, ale i tak przechodziłaby przez wewnętrzny system z dziesięć dni.

– W porządku, dziękuję.

Wychodzę z powrotem na dwór. Blask słońca kłóci się z lodowatym wiatrem wiejącym od rzeki, ale przez kilka minut stoję na stopniach i rozglądam się, jakbym na kogoś czekała. Boże, jesteś żalosna, myślę sobie.

Jest piątek. Żaden wolny strzelec nie pracuje w piątki, chociaż lubimy udawać, że owszem. Postanawiam się przejść do Piccadilly. Może zajdę do księgarni albo do Królewskiej Akademii Sztuki. A może po prostu wrócę na przedmieścia, tam gdzie moje miejsce.

Skrećam z Bridge Street na Parliament Square i przechodzę pod frontową ścianą pałacu Westminster, gdzie turyści pozują po kolei u boku poważnego uzbrojonego policjanta przy wejściu dla parlamentarzystów, a protestujący przeciwko wojnie stoją przed swoimi namiotami po drugiej stronie ulicy. Kilka kroków stąd znajduje się wyjście, którym opuściłam budynek we wtorek, wciąż na drżących nogach, żeby pokręcić się przez kilka minut po okolicy, wdychając zimne powietrze, zanim wrócę przez Portcullis House na popołudniową sesję. Na nowo przeżywam to wszystko. Mijam brzydki blok, w którym mieści się Centrum Konferencyjne Królowej Elżbiety i zbliżam się do Storey's Gate. Postanawiam przekroczyć Birdcage Walk i pójść skrajem parku Świętego Jakuba. Jest to park, który wydaje mi się inny za każdym razem, gdy przez niego przechodzę. Tym razem zauważam łabędzie, chatkę rodem z bajki o Jasiu i Małgosi oraz fontannę wypełnioną wodą – Boże, jakież to oczywiste. Próbuję stłumić melancholię, ostatecznie nie zasługuję na to. Staram się cieszyć udawaniem turystki we własnym mieście. Myślę o tym, jak rzadko chadzam na spacer – normalnie moje życie to kakofonia ostatecznych terminów. Przekraczam The Mall, wspinam się po schodach przylegających do Carlton House Terrace i skręcam w lewo w Pall Mall, żeby skrócić sobie drogę przez plac Świętego Jakuba. Mogłabym tu trochę posiedzieć, ale jest zimno, zresztą leży on za blisko mojego biura. Zmierzam w górę Duke of York Street, szukając kawiarni. Jestem już dość blisko Piccadilly, z dala od okolic pałacu. Mogę się zatrzymać na kawę bez poczucia, że cię śledzę, że kręcę się w pobliżu miejsc, w których mógłbyś być. Usiądę gdzieś i będę udawać, że sprawdzam pocztę na telefonie, jednocześnie obserwując innych ludzi

i oceniając, jak celowe są ich działania w porównaniu z moimi. Będę to robić dopóty, dopóki nie zdołam już dłużej się oszukiwać, a wtedy wrócę do domu.

W połowie ulicy, po lewej, widzę włoską kawiarenkę z kelnerami i okrągłym stolikiem w wykuszowym oknie, idealną do moich celów. Gdy otwieram drzwi, rozlega się brzęk staromodnego dzwonka. Wewnątrz jest ciepło. Nie gra muzyka. Ktoś nawet zostawił dla mnie na stole zwiniętą gazetę.

Siadam i zastanawiam się, co bym zrobiła, gdybym zobaczyła, że przechodzisz ulicą. Nie mogłabym wybiec z kawiarni i cię zawołać. Nie znam twojego imienia.

Dlaczego ja? Właśnie to naprawdę chciałabym wiedzieć. Dlaczego ja?

Gdy tak siedzę pogrążona w wewnętrznym, przyjemnie bezcelowym dialogu – muszę zaznaczyć, że nie jest on przygnębiający, wciąż podchodzę do całej sprawy bardzo racjonalnie – widzę, jak idąca chodnikiem kobieta zatrzymuje się i wdaje w kłótnię z kierowcą zielonej furgonetki zaparkowanej przy krawężniku. Mówi coś ostro, a mężczyzna tylko wygodniej rozpiera się na siedzeniu, pali i patrzy prosto przed siebie. Jego duże ciężkie ramię zwisa z okna. Z ruchu jego warg można wywnioskować, że zajadle przeklina kobietę.

On musi ciągle to robić, myślę, i oczywiście chodzi mi o ciebie, nie o kierowcę. Przypominam sobie twoją spokojną pewność siebie, powolne, skradające się ruchy, brak jakiegokolwiek niepokoju czy pośpiechu. Wiedziałaś dokładnie, co zamierzasz. Zastanawiam się teraz, jak często to robisz. Zastanawiam się, czy to dla ciebie jakaś gra. Może próbujesz zaliczyć jedną tygodniowo? Myślę o tych wszystkich gabinetach parlamentarzystów, o niekończących się korytarzach, szatniach, toaletach i pakamerach. Być może – i to jedno sprawia, że się wzdragam, chociaż próbuję się zachowywać jak dorosła kobieta – należysz do jakiegoś internetowego klubu, którego członkowie chcą wygrać ranking na najbardziej absurdalny lub mało prawdopodobny numer. Środek dnia w sercu najstarszej demokracji na świecie... Za to musi być chyba sporo punktów. Sęk w tym, i jest to tylko oznaka próżności – albo optymizmu – z mojej strony, że wykazujesz się pewnym poziomem dobrego gustu. Nie sądzę, byś uprawiał dogging na parkingach supermarketów w Essex. Powolny wdzięk, uprzejmość, z jaką postanowiłaś podniecić kobietę, której nigdy wcześniej nie spotkałaś. W tym, co robiłaś, nie było niczego szorstkiego ani wstrętnego. Patrzyłaś mi w oczy, po fakcie mnie pocałowałaś, przykląkłaś u moich stóp, pomagając włożyć but... Prowadzisz niewątpliwie bogate życie seksualne i lubisz ryzykowny seks z obcymi kobietami w nietypowych miejscach – ale jesteś też bardzo dobrze wychowany. Nie sugeruję jednak, że z moralnego punktu widzenia istnieje jakakolwiek różnica między tym, co zrobiliśmy my, a tym, co robią osoby uprawiające dogging na parkingach supermarketów w Essex. To jedno i to samo. Kamienne elementy elewacji, mozaiki i marmur – po prostu mieliśmy bardziej luksusowe tło dla naszych poczynań niż skarłowaciały żywopłot i rząd kontenerów do segregacji odpadów, i tyle.

Rozmyślając o tym wszystkim, stwierdzam, że kłótniwa kobieta gdzieś zniknęła, a kierowca zielonej furgonetki, wciąż rzucając przekleństwami, odjeżdża. Gdy auto się oddała, widzę, że po drugiej stronie ulicy, na chodniku stoi mężczyzna w granatowym garniturze w prążki i patrzy na mnie, siedzącą w oknie kawiarni. Tym mężczyzną jesteś ty.

Sześć miesięcy później, już po wypadku samochodowym i naszym rozstaniu, które po nim nastąpiło, opowiedziałeś mi o tym dniu, gdy zesłaliśmy się na krótko i leżeliśmy w łóżku w pustym mieszkaniu w Vauxhall. Opowiedziałeś mi, że zobaczyłeś mnie na obrazie z kamer monitorujących wejście do Portcullis House, wyszedłeś z budynku, podczas gdy ja stałam na zewnątrz, i postanowiłeś pójść za mną. Zauważyłeś, gdy tylko zesłam ze schodów, że zamierzam włóczyć się bez celu. Byłeś zaledwie kilka metrów za mną, gdy przecinałam Parliament Square. W którymś momencie, gdy spacerowałam przez park Świętego Jakuba, odwróciłam się i rozejrzałam. Pomyślałeś, że może cię zauważyłam, więc zostałeś trochę z tyłu. Ale gdy tylko stało się jasne, że nie jestem świadoma twojej obecności, znowu się do mnie zbliżyłeś i zaryzykowałeś, idąc tuż za mną po Duke of York Street. Nie odwróciłam się ponownie. Obserwowałeś, jak wchodzę do kawiarni i siadam przy stoliku. Postanowiłeś trochę poczekać i przekonać się, czy nie jestem z kimś umówiona. Stałeś po drugiej stronie ulicy, w drzwiach sklepu, i chociaż wyglądałam przez okno – a właściwie spoglądałam w dal – przez większość czasu, gdy tam siedziałam, nie zauważyłam cię. „Ludzie widzą to, co spodziewają się zobaczyć”, powiedziałeś. Wyjaśniłeś, że obserwowałeś mnie z przyjemnością, że podniecało cię, iż na mnie patrzysz, podczas gdy ja nie wiem, że tam jesteś. A ja powiedziałam ci, że nie zauważyłam cię głównie dlatego, że byłam pogrążona w myślach o tobie. To sprawiło ci ogromną satysfakcję. Tyle udało ci się odgadnąć. Po sposobie, w jaki wyglądałam przez okno, po zamyślonym ułożeniu moich warg zdołałeś stwierdzić, że myślę o tym, co zrobiliśmy w kaplicy. Twoja arogancja mnie zirytowała. Odwróciłam się na plecy, odsuwając od ciebie, i próbowałam wykręcić kota ogonem, twierdząc, że tamtego dnia w kawiarni nie myślałam o tobie wcale, że zastanawiałam się nad wprowadzeniem, które musiałam napisać do nowego podręcznika akademickiego – zbioru esejów szeroko traktujących temat biologii molekularnej. Wiedziałeś, że kłamię. Przeturlałeś się na mnie, jedną ręką unieruchomiłeś mi dłonie nad głową, a palcami drugiej zacząłeś dźgać mnie w bok, aż w końcu przyznałam, że myślałam o tobie, o tobie, o tobie... Gdy w końcu dałam za wygraną, piszcząc i błagając o litość, leżeliśmy przytuleni przez długą chwilę, aż wreszcie uniosłam palec, powiodłam nim po krzywiźnie twojego ramienia i zapytałam:

– Ale skąd wiedziałeś, że będę w pałacu Westminster tamtego dnia?

– Po prostu miałem przecucie, to wszystko – powiedziałeś, lekko wzruszając ramionami. – Czuję, że warto się tam pojawić. A może... – dodałeś, gdy popatrzyłam na ciebie, i podparłeś głowę na ręce zgiętej w łokciu, wpatrując się we mnie z wystudiowaną swobodą – a może obserwowałem transmisję z kamer bezpieczeństwa przy wejściu każdego ranka od wtorku, mając nadzieję, że cię zobaczę...

Dalej patrzyłam na ciebie i twoja twarz nagle stężała.

– A może poprosiłem kilku znajomych, żeby mnie zaalarmowali, gdy pojawisz się przy stanowisku kontroli bezpieczeństwa.

Patrzyłeś mi w oczy twardo, nieustępliwie, dopóki nie zauważyłeś, że przez moją twarz przemyla cień prawdziwego zwątpienia, a wtedy uśmiechnąłeś się i powiedziałeś:

– Tylko żartuję! To był zbieg okoliczności...

Leżeliśmy półnaczy. Od spotkania, które omawialiśmy, minęło sześć miesięcy i cały świat wydarzeń. Teraz widzę cię, jak stoisz po drugiej stronie ulicy, i nagle czuję, że uśmiecham się szczerze. Mój uśmiech jest odzwierciedleniem twojego, mimo że między nami wte i wewte przejeżdżają samochody. Uśmiech opuszcza twoją twarz tylko na moment, gdy rozglądasz się, przechodząc przez jezdnię. A potem jesteś tam ze mną, w kawiarni, zrelaksowany w swoim granatowym prążkowanym garniturze (przemyka mi przez myśl, że nie wygląda równie elegancko jak ten szary). Właściwie to wypełniasz sobą tę kawiarenkę. Sam twój uśmiech mógłby to zrobić; zęby i oczy, właśnie to dziś w tobie zauważam.

– Proszę, proszę – mówisz, odsuwając krzesło i siadając naprzeciwko mnie przy małym okrągłym stoliku. – A więc jednak zamierzasz postawić mi tę kawę.

Odwracam się, żeby wezwać kelnerkę. To w trakcie tego spotkania zapytam po raz pierwszy z wielu:



# 3

Drogi X,

zapytałeś mnie, czy kiedykolwiek wcześniej zdradziłam męża. Biorąc pod uwagę, co miałeś na myśli, szczerą odpowiedź brzmiałaby „nie”. Gdy powiedziałam „nie do końca”, wcale nie uchylałam się od odpowiedzi. Chociaż przelotny incydent, który mam na myśli, nie doprowadził do seksu, dla mnie miał znaczenie. Zyskał na znaczeniu w związku z Tobą.

Tym razem nie piszę w środku nocy. Jest środek dnia, poniedziałek, ściślej mówiąc. To poniedziałek po naszej piątkowej kawie, ale pierwsza okazja, jaką mam, żeby zanotować swoje myśli. Spotkaliśmy się tylko dwukrotnie, jednak najwyraźniej mamy romans. Pracuję dziś z domu, w tym tygodniu będę w biurze we wtorek i w środę. Mam tysiąc rzeczy do zrobienia, ale zamiast tego piszę kolejny list do ciebie. Właśnie rozmawialiśmy przez telefon ponad pół godziny i gdy tylko zakończyliśmy rozmowę – zapytałeś mnie, co mam na sobie – poszłam na górę, otworzyłam folder *VATquery3* i zaczęłam kolejny list. Ale listy są długie, człowiek pisze wolniej, niż mówi, a mówi wolniej, niż myśli, więc niemal natychmiast zarzuciłam pisanie. Rozparłam się w fotelu. Przez okno gabinetu widzę grube chmury przemykające po bladym niebie z nieprawdopodobną szybkością, jak na filmie poklatkowym. Na parapecie ląduje szpak. Zauważa mnie i zamiera na moment z przekreśloną głową. Przygląda mi się jednym okrągłym okiem, jakby ze sceptycyzmem, po czym znowu zrywa się do lotu. Czuję, że wszystkie te listy do ciebie pozostaną nieukończone, ale muszę dać upust swoim emocjom, więc siedzę i rozmyślam nad tym wszystkim i wiem, że później będę zdezorientowana, będę się zastanawiać, czy tylko o tym pomyślałam, czy ci to powiedziałam, czy może zapisałam. Wszystko miesza mi się w głowie.

\*\*\*

Zanim cię poznałam, nigdy nie zapomniałam o rozsądku. Wychodziłam z założenia, że kto sieje wiatr, zbiera burzę. Wiatr prędzej czy później zawieje ci w oczy – wie o tym każdy, kto kiedykolwiek próbował rozsypać prochy rodzica ze szczytu urwiska. Zatem nie, nie miałam z nikim romansu, zanim cię poznałam, ale mniej więcej trzy miesiące wcześniej doszło do pewnego incydentu. Dlaczego muszę opowiedzieć ci tę historię? Chcę, żebyś wiedział, że gdy powiedziałam „nie do końca”, wcale nie migałam się od wyznania prawdy, chociaż tak to odebrałeś. Musisz o tym wiedzieć, bo martwi mnie to, że tak łatwo mnie

zdobyłeś. Mogłabym powiedzieć: „tak łatwo udało ci się mnie uwieść”, ale uwodzenie sugeruje proces, perswazję trwającą jakiś czas. Ty od razu przeszedłeś do rzeczy, a ja na to przystałam – nie trzeba było żadnego przekonywania. Ale musisz wiedzieć, że gdybyś spróbował tego rok wcześniej albo rok później albo po prostu gdybym była w innym nastroju, nie udałoby ci się. I nie chodzi mi o to, że powiedziałabym „nie”. Pewnie raczej nawet nie zdałabym sobie sprawy, że zadajesz mi jakieś pytanie. Wypatrzyłeś mnie dokładnie w tym momencie, gdy dojrzałam do czegoś takiego.

I oczywiście musisz poznać przynajmniej ogólnie inną historię, by zrozumieć, jak pani Bonnard udało się sprawić, że tak źle wypadłam w sądzie. Czy to tamtego dnia wszystko się zaczęło? Nie wiem. Zastanawiam się teraz nad tym nieustannie: czy to, co później mi się przytrafiło, już wtedy było nieuniknione? Czy można znaleźć się w punkcie, z którego nie ma już odwrotu, jeśli jesteś racjonalną istotą, mającą wolną wolę i zdolność do działania?

Mam pięćdziesiąt dwa lata. Cieszę się prestiżem zawodowym i poważaniem – w każdym razie wtedy, gdy rajstopy nie płaczą mi się wokół kostek w kaplicy w podziemiach pałacu Westminster. Osiągnęłam taki etap w karierze, gdy moja opinia jest ceniona i dobrze opłacana. Tak właśnie było tego deszczowego grudniowego poniedziałku, trzy miesiące przed naszym spotkaniem. Biegłam śliskim chodnikiem przy ulicy, wzdłuż której ciągnęły się duże kwadratowe budynki. Byłam nieco spóźniona na trzygodzinne seminarium. Już drugi rok pełniłam funkcję zewnętrznego egzaminatora na dwóch kursach studiów uniwersyteckich i pod koniec semestru zimowego musiałam wysłuchać grupy przyszłych naukowców, prezentujących urywki z pisanych właśnie rozpraw magisterskich. Tego ranka miałam po raz pierwszy spotkać się z ową grupą, a do tego w zupełnie nowej siedzibie wydziału. Przynajmniej znałam już dwoje wykładowców, którzy opiekowali się mną w zeszłym roku, George’a Craddocka i Sandrę Doyle. Czekali na mnie w foyer nowego budynku. Spóźniłam się, a spóźniłabym się jeszcze bardziej, gdybym po drodze zatrzymała się, żeby wziąć kawę na wynos, bo pamiętałam jak przez mgłę, że rok wcześniej przy podobnej okazji nie zaproponowano mi kawy. To zresztą zawsze kłopotliwa sytuacja, gdy człowiek zostaje zaproszony na poranne spotkanie: czy powita cię rozczarowane spojrzenie osoby czekającej z kawą i ciasteczkami, gdy przybędziesz na miejsce ze styropianowym kubkiem w dłoni po niepotrzebnym wydatku prawie trzech funtów? Bo pojawienie się na spotkaniu z własną kawą może być odebrane jako krytyka gościnności gospodarza. Tym razem jednak nie zatrzymałam się na kawę i gdy tylko zaczęłam wbiegać po schodach wydziału, mokra i podenerwowana, wiedziałam, że popełniłam błąd. Przed sobą zobaczyłam automat z napojami. To nigdy nie jest dobry znak, gdy taka maszyna stoi w foyer. George i Sandra siedzieli na ławce tuż przy drzwiach, rozmawiając cicho.

– Spokojnie – oznajmiła Sandra, gdy wstali na mój widok. – Ta banda to imprezowicze, wszyscy się spóźnią.

– Cześć, przepraszam, miło was oboje znowu widzieć...

Wymieniliśmy uściski dłoni.

– Chcesz zaryzykować? – zapytał George przepraszająco, wskazując na automat.

Zrobiłam minę, która miała oznaczać „nie”, ale on odebrał ją jako zgodę i zaczął szukać drobnych

w kieszeni spodni.

– Ja się tym zajmę – przerwała mu Sandra i ruszyła do automatu, już trzymając pieniądze w dłoni.

Nie zapytała mnie, jaką kawę piję.

Podczas gdy ona kupowała mi napój, George skręcił w lewo i nacisnął guzik windy. Plastikowy kubeczek był tak cienki, że aż trudno było uwierzyć, że nie topi się od gorącego płynu. Wzięłam łyk i się skrzywiłam.

– Przykro mi z powodu tej kawy! – oświadczył George, jakby właśnie opowiedział świetny kawał. –

Założę się, że wolisz latte, co?

– Jest w porządku – mruknęłam, zerkając na kubeczek. – Lubię udawać wyrafinowaną, ale w rzeczywistości jestem łatwa.

Sandra i George uśmiechnęli się w sposób, w jaki uśmiechają się ludzie, gdy ktoś zajmujący wyższe stanowisko od nich żartuje na swój temat.

– Tania i łatwa, to cała ja.

Drzwi do windy otworzyły się i weszliśmy do środka. Kabina była mała i wyłożona lustrami od połowy aż po sufit. Nie wydawała się odpowiednia do wożenia stad studentów, ale może po prostu byli oni przyzwyczajeni do schodów. Zaczęłam się pocić w moim kostiumie, wciąż omotana w płaszcz przeciwdeszczowy. Nie mogłam też podnieść do ust tej nieszczęsnej kawy, bo Sandra i George stali ściśnięci na tyle blisko, bym zauważyła, że George skaleczył się przy goleniu tego ranka, tuż pod granicą wprawnie przystrzyżonej brody. Za osiemnaście miesięcy odkryję, że ma grupę krwi 0Rh+.

Chciałam ich zapytać o studentów, ale powinnam zachować obiektywizm, dopóki nie usłyszę wszystkich streszczeń. W każdym razie Sandra myliła się co do tego, że wszyscy się spóźnią. Gdy weszliśmy do sali wykładowej, dwadzieścia pięć wyczekujących par oczu zwróciło się w naszym kierunku i obserwowało nas, gdy zmierzaliśmy w stronę stołów przygotowanych dla nas pod jedną ze ścian – trzy krzesła, trzy butelki z wodą. George zajął krzesło po lewej i wskazał na mnie, żebym usiadła obok niego pośrodku, co automatycznie potwierdzało mój status. Sandra przerwała napięcie, unosząc rękę do studentów i mówiąc:

– Wielkie nieba, chociaż raz wszyscy przyszlście na czas. Chyba tylko dlatego że mamy dziś wśród nas gwiazdę rocka.

Szmer rozbawienia przebiegł po sali, a ja posłałam Sandrze uśmiech. Stałam jeszcze przez chwilę, żeby wszyscy mogli dobrze mi się przyjrzeć. Postawiłam kawę na blacie, obok butelki z wodą, i zdjęłam płaszcz przeciwdeszczowy – wszystko to robiłam powoli. George zerwał się, by odebrać ode mnie płaszcz. Spojrzałam na studentów.

Było tu mniej kobiet niż na drugim seminarium magisterskim, gdzie egzaminowałam. Na tamtym, o genetycznym podłożu chorób u ludzi, większość studentów stanowiły kobiety. Być może dlatego, że chodziło o ratowanie gatunku ludzkiego. Na bioinformatyce proporcje płci były odwrócone. Na samym przodzie siedzieli młodzi mężczyźni mający zreferować swoje postępy w pracy tego ranka. Dwaj przeglądali papiery, pozostali trzej – od razu wiedziałam, że się przyjaźnią – patrzyli na mnie. Tuż za

nimi gromadka kolegów siedziała rozwalona na krzesłach i zrelaksowana. To nie byłich poranek. Nie wyciągnęli krótkich zapalek. Byli tutaj, żeby obserwować kumpli i gromadzić materiał do głośnej sesji wyśmiewania się, do której dojdzie na korytarzu już po wszystkim. Siedem studentek siedziało razem z tyłu sali.

Młody mężczyzna zajmujący miejsce najbliżej naszego stołu nie miał przed sobą żadnych materiałów. Jedną rękę oparł swobodnie na krawędzi blatu i z szeroko rozstawionymi nogami odchyłał się na krześle, w tak oczywisty sposób eksponując krocze, że miałam ochotę się zaśmiać. Spojrzałam mu przelotnie w oczy, żeby zademonstrować, że mnie nie onieśmiela, a on odwzajemnił moje spojrzenie. Miał gęste ciemne włosy, silne nadgarstki, duże i mięsiste dłonie. Przerobiłam taki lub podobny scenariusz już kilka razy, ale tego ranka, gdy usiadłam, wygładzając spódnicę, i wyjęłam teczkę z torby, zdałam sobie sprawę, że jestem szczególnie świadoma ich spojrzeń. Ci młodzi, kipiący testosteronem mężczyźni byli jak szczeniaczki. Nie potrafili się powstrzymać. Gdy otworzyłam notes i zapisałam miejsce, godzinę oraz datę na górze strony, najbardziej rozbawiła mnie myśl, że gdyby ktokolwiek, nie mówiąc już o mnie, zasugerował im, że reagują na mnie na poziomie seksualnym, byłiby przerażeni – ostatecznie mogłabym być ich matką. Mimo wszystko nie potrafili zrezygnować z potrzeby pokazania, że mogą stanąć na wysokości zadania. Byłam nieznaną im kobietą w sytuacji, w której mogliby zostać obnażeni. Reagowali na mnie na elementarnym poziomie, nawet jeśli wszystko, czego chcieli, to móc się później przechwalać: „Ta egzaminatorka myślała, że wydyma mnie tym swoim niezmywalnym pisakiem. Cóż, to ja wydymałem ją”. To była zwykła prowokacja z ich strony – nic więcej tak naprawdę, ot, zachowanie szympansów. Bawiło mnie to. Ostatecznie byłam bezpieczna i to ja miałam władzę.

Duży chłopak gapił się na mnie przez cały ranek tak otwarcie, że zaczęłam się zastanawiać, czy Sandra lub George nie wezmą go przypadkiem na stronę po spotkaniu, żeby udzielić mu reprimendy. Od czasu do czasu pochylał się i szeptał coś do kolegi siedzącego obok, mniejszego chłopaka o piaskowych włosach i bystrych szarych oczach. „Słuchaj, mały – miałam ochotę powiedzieć – jestem zdecydowanie za stara, żeby takie zachowanie mnie obrażało”. Masz pojęcie, jak bardzo człowiek się do tego przyzwyczaja? Ci chłopcy myśleli, że stracę pewność siebie na widok ich masywnych, twardych ciał, ale gdy przyjdzie co do czego, to ja będę czytać ich prace i oceniać ich na podstawie tego, czy wykazują się zrozumieniem analizy sekwencyjnej. „Chłopcy, chłopcy – cisnęło mi się na usta – technika jest ważniejsza niż wytrzymałość”.

Rozpoczęły się prezentacje. Zaczął bardzo niski chłopak, który pokasływał przez całą drogę do pulpitu. Wziął kilka nerwowych łyków z butelki z wodą i z niepokojem przesunął palcami po touchpadzie laptopa. W końcu tytuł jego prezentacji w PowerPointcie wyświetlił się na tablicy za nim: *Nowa metoda izolowania kosmidów i plazmidów z użyciem enzymów restrykcyjnych*.

Po trzeciej prezentacji nastąpiła przerwa. Większość studentów pozostała na swoich miejscach. Dwie dziewczyny wyszły i wróciły z dietetycznymi colami. Ja przeprosiłam i udałam się do toalety, żeby nie musieć gadać o niczym z Sandrą i George’em – mieliśmy mieć ku temu jeszcze wiele okazji w tym tygodniu. W chłodnej szarej toalecie po umyciu rąk zbliżyłam twarz do upstrzonego lustra i przesunęłam

opuszką palca wskazującego pod każdym okiem, ścierając ledwie zauważalne smugi kredki do oczu, która rozmazała mi się odrobinę podczas spaceru w deszczu. Nałożyłam na usta nową warstwę szminki. To było żalosne i śmiałam się sama z siebie, ale nie mogłam się powstrzymać przed tymi małymi aktami próżności. Jak oczywiste i niedorzeczne jest ludzkie zachowanie, pomyślałam sobie. Nawet moje. Zwłaszcza moje.

Gdy wróciłam do sali i zbliżyłam się do stołu komisji, George uśmiechnął się i poklepał moje krzesło, zachęcając, żebym przy nim usiadła. Sandra rzuciła:

– I tak dzień za dniem...

– ...aż padniem – wymamrotał George.

Skończyliśmy tuż przed trzynastą. George i Sandra zamierzali zabrać mnie na lunch w piątek, więc wiedziałam, że tego dnia mogę uciec, nikogo nie urażając. Tak się złożyło, że tamten tydzień był dla mnie dość pracowity. Zbliżał się termin składania deklaracji VAT, a to był mój pierwszy rok, gdy musiałam przygotować sprawozdanie roczne. Wypełnianie bezsensownego formularza sprawiało, że miałam ochotę odgryźć podłokietnik krzesła. No i musiałam odebrać rzeczy z pralni w drodze do domu.

Pożegnałam się z Sandrą i George'em w foyer i wyszłam na zewnątrz. Gdy schodziłam po stopniach, zauważyłam, że chłopak o piaskowych włosach czeka na mnie oparty o balustradę po prawej stronie schodów z ramionami skrzyżowanymi na piersi i rowerowym kaskiem zwisającym z jednego palca. Zwolniłam kroku, a on spojrzał na mnie tymi swoimi szarymi oczami. Nie udawał, że spotkanie jest przypadkowe, dał mi to do zrozumienia półuśmiechem, odrywając się od barierki bez pomocy rąk, wykorzystując tylko balans ciała. Na głowie miał zatknięte okulary przeciwsłoneczne, chociaż był grudzień i blade zimowe słońce dopiero się przedzierało przez chmury. Zastanawiałam się, czy będzie o nich pamiętał, zanim włoży kask.

Skinęłam głową, odkłaniając mu się, i odeszłam ulicą. Podążył za mną, robiąc kilka zamaszystych kroków, żeby się ze mną zrównać.

– A więc co pani sądzi o prezentacjach?

Obdarzyłam go spojrzeniem, które miało być surowe, ale podejrzewam, że było raczej ironiczne.

– Chyba nie spodziewasz się, że ci to powiem, prawda?

– Myślę, że wszystkim poszło całkiem nieźle – kontynuował chłopak – chociaż odniosłem wrażenie, że Sundeep tak naprawdę nie powiedział właściwie, w jaki sposób nowoczesne techniki wpłynęły na sekwencjonowanie DNA. Nie chodzi tylko o szybkość, prawda?

Zachowałam dyplomatyczne milczenie.

– Oczywiście wygooglowaliśmy panią – oznajmił nagle od niechcienia. – Sandra i George narobili tyle hałasu w związku z tym, że to pani będzie naszą zewnętrzną egzaminatorką, serio, że można by pomyśleć, że to sama królowa przyjedzie do nas z wizytą. Więc sprawdziliśmy panią i muszę przyznać, że pani CV jest naprawdę imponujące.

– Dziękuję – powiedziałam, a mój głos musiał ociekać sarkazmem, ale nawet jeśli to zauważył, nie dał po sobie poznać.

– Generalnie ma pani pracę, o której marzę – ciągnął. – Właściwie to zastanawiałem się, czy mógłbym panią kiedyś podpytać o Instytut Beauforta. – Właśnie mijaliśmy grupę jego przyjaciół, więc uniósł rękę na powitanie, a dwie dziewczyny idące przodem zachichotały. Gdy jego znajomi już się oddalili, dodał cicho, niemal szepcząc: – Byłbym n i e z m i e r n i e wdzięczny...

Dotarliśmy do głównej drogi. Natychmiast otoczył nas ryk taksówek i autobusów. Odwróciłam się do niego stanowczo i powiedziałam, wskazując na ulicę:

– Ja idę w tamtą stronę.

Wyraźnie go odprawiłam. Świat nauki, jak wiele innych, opiera się na patronacie. Wszystko zależy od tego, czy twój profesor w odpowiednim czasie napisze ci nieskazitelne referencje dla odpowiedniej organizacji finansującej prace naukowe, a szef zespołu przydzieli ci własny kąt na badania dokładnie w momencie, gdy tego potrzebujesz. I chociaż patronat bywa moralnie podejrzany, zgodnie z tradycją wciąż trzeba na niego zasłużyć.

Chłopak wytrzymał mój wzrok.

– Byłbym naprawdę wdzięczny – powtórzył – i obiecuję, że nie będę zadawał więcej pytań na temat naszych prac, z moją włącznie. Przekona się pani, że potrafię być bardzo... – urwał, ale sposób, w jaki to powiedział, nie pozostawiał wątpliwości co do jego intencji. Dalej wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi, szarymi, wygłodniałymi oczami. – Jestem bardzo dyskretny – dokończył.

Ach, ta arogancja młodości, pomyślałam. Załóżmy przez chwilę, że byłabym gotowa na romans – nie, raczej na szybki numerek – z chłopakiem o połowę młodszym ode mnie. Co kazało mu wierzyć, że wybrałabym jego? Z łatwością mogłabym mieć tego mięsistego, ciemnowłosego, gdybym chciała; znacznie lepiej pasował na żigolaka niż ten jego bezczelny przyjaciel tutaj. Już miałam ochotę mu to powiedzieć, ale w jego bezpośrednim spojrzeniu była taka niewinność, że poczułam raczej wzruszenie niż urazę. Ale nie pochlebiało mi to. Jestem zbyt dużą realistką, żeby mogło mi to pochlebiać.

– Mam wizytówkę – powiedział nagle, jakby dopiero teraz sobie o tym przypomniał.

W jego dłoni zmaterializował się prosty biały kartonik, na którym widniały imię i nazwisko Jamie Jakiśtam oraz adres mailowy i numer telefonu komórkowego. Na wszelki wypadek, gdybym nie zrozumiała, o co mu chodzi, wlepił we mnie intensywne spojrzenie, gdy przyjmowałam ją od niego. Tylko tyle potrzebują ludzie, zaledwie spojrzenia. Pawie rozkładają ogony, orangutany pohukują, a *Homo sapiens* wyewoluował do takiego stopnia, że potrafi przedłużać gatunek dzięki jednemu powłóczystemu spojrzeniu.

Przelotnie popatrzyłam mu w oczy w nadziei, że moje spojrzenie wyda mu się puste, po czym zerknęłam na wizytówkę, zanim wsunęłam ją do kieszeni. Posłał mi uśmiech. Nie, to był półuśmiech. Pełen uśmiech połączony z tym spojrzeniem mógłby się wydać odrażający, więc zdecydował się na ostrożną połowę. Odwróciłam się, ale gdy odchodziłam, nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zerknąć przez ramię. Stał tam, całkiem bezwstydnie, na rogu ulicy, dalej gapiąc się na mnie z tym półuśmiechem na twarzy, a ja w swojej próżności posłałam mu podobny.

Wiem, co sobie myślisz. To wszystko? Coś takiego nazywam niemal romanssem? Dla ciebie to nie

brzmi poważnie, prawda? Ty możesz odbyć pełen stosunek w pałacu Westminster, ale czy potraktowałbyś to jako romans? Jedno powłóczęste spojrzenie chłopca na ulicy... Czy to wszystko?

Cóż, nie do końca. Nie zadzwoniłam do Jamiego, ale chcę, żebyś wiedział, że myślałam bardzo poważnie o zrobieniu tego, planowałam to, wyobrażałam sobie, nawet się do tego przygotowywałam. To dla niego brałam prysznic tamtego wieczoru. Dla niego ubrałam się następnego ranka. Nie jestem pewna, co gorzej o mnie świadczy: powody, dla których rozważałam zadzwonienie do niego, czy te, dla których tego nie zrobiłam. Powody za: to byłaby interesująca i odpowiednia zemsta na moim mężu (więcej o tym innym razem), a przy tym nieskomplikowane rżnięcie albo seria rżnięć – Jamie dość szybko straciłby zainteresowanie, tego byłam pewna. Ostatecznie nie pociągałam go ja – po prostu jeszcze nie zaliczył starszej kobiety. I dowiedziałabym się czegoś, co ciągle mnie ciekawiło. Gdy byłam młoda, ważnym elementem przeżycia erotycznego była dla mnie kontemplacja własnego ciała. Uwielbiałam długie kąpiele, opalanie się, gładką skórę. Nie byłam piękną, ale zachowywałam się narcystycznie w tym sensie, w jakim uczy się tego wszystkie młode kobiety w czasopiśmie czy telewizji. Po urodzeniu dzieci przybrałam na wadze i postarzałam się, ale uprawiałam seks tylko z moim mężem, więc wciąż widziałam swoje ciało przez pryzmat jego oczu, w sposób, w jaki on je pamiętał, a nie takie, jakie naprawdę było. Gdybym przespała się z tym chłopakiem, zostałabym odarta z tej iluzji. Zobaczyłabym siebie jego oczami – jeśli w ogóle pozwoliłabym mu patrzeć. Prawdopodobnie chciałabym to zrobić w ciemnościach albo jeszcze lepiej w pełni ubrana. A może i tak, i tak. Właśnie to mnie interesowało: czy kontemplowanie jego ciała, które bez wątpienia było piękne, wystarczyłoby, żebym się podnieciła, czy wciąż musiałam sama czuć się pięknie, aby osiągnąć jakikolwiek stopień zatracenia? Czy mogłam odwrócić to równanie? Czy mogłam stać się podglądaczką?

Myślałam o tym wszystkim, jadąc metrem, i muszę ci powiedzieć, że gdy pociąg zatrzymał się wreszcie na mojej stacji, w głowie zdążyłam popełnić cudzołóstwo wiele razy i już zastanawiałam się, co włożyć następnego dnia, żeby odrobinę bardziej pobudzić fantazje Jamiego na temat starszej kobiety. Nic z tego dobrze o mnie nie świadczy, ale podejrzewam, że powody, dla których ostatecznie do niego nie zadzwoniłam, dla których zachowałam jego wizytówkę na biurku, chociaż nigdy jej nie użyłam, świadczą o mnie jeszcze gorzej. Tchórzostwo, oczywiście, zwykły strach, że źle odczytałam jego sygnały, że jestem tylko starszą kobietą, której zbyt pochlebia uwaga takiego chętnego szczeniaczka – to był pierwszy powód. Inna sprawa, że to mogłoby położyć kres mojej karierze zewnętrznej egzaminatorki. Może nawet zasłużyłabym na akapit w tabloidzie, pomyślałam: nadużycie zaufania. Ale ostatecznie powstrzymała mnie myśl, że to ja musiałabym wykonać pierwszy krok. Miałam zamiary na niego, ale on na mnie nie. Jeszcze nigdy w życiu tego nie zrobiłam. Po prostu nie potrafiłam się do tego zmusić.

Następnego dnia wróciłam do tego samego budynku, by wysłuchać kolejnych prezentacji. Referat Jamiego był raczej solidny niż błyskotliwy. Duży chłopak dalej się na mnie gapił, a kumple tłoczyli się wokół niego, imponowała im jego brawura. Pod koniec tygodnia byłam już zmęczona ich gierkami i chciałam, żeby po prostu dali mi wykonywać moją pracę. Męczyło mnie nawet niezmiennie przyjazne spojrzenie Jamiego. Podczas lunchu z George'em i Sandrą w piątek omówiliśmy listę studentów

w porządku alfabetycznym i doszliśmy do identycznych wniosków. Dwie osoby, które wyraźnie się wyróżniały, to Pradesh oraz Emmanuella. Oboje wybrali oryginalne tematy, ale nie spodziewali się, że zdobędą punkty tylko za to – unikając tym samym częstego błędu magistrantów. Byli skrupulatni i metodyczni, prezentowali swoje tezy spokojnie i dobrze. Stawką były prestiżowe praktyki pod koniec roku i byliśmy pewni, że któreś z nich się na nie dostanie – jeśli nie zdecydują się szybciej na studia doktoranckie, co często się zdarza w przypadku najbardziej utalentowanych magistrów. Zastanawiałam się, czy to właśnie nie był powód aroganckiego zachowania reszty. Może w głębi serca pozostali wiedzieli już, że nie są materiałem na gwiazdę, że mimo całej ich ambicji i inteligencji jest im przeznaczona praca nauczyciela lub technika w szkole przygotowującej do egzaminów albo w najlepszym razie na pośledniej uczelni. Szczerze wątpiłam, by prestiżowa instytucja badawcza, jak Instytut Beauforta, wzięła pod uwagę chłopaka takiego jak Jamie. Być może chciał mnie dymać, bo wiedział, że ja – przez samo to, kim jestem – już zdążyłam wydymać jego.

\*\*\*

Gdy pisałam ten drugi list do ciebie, nie miałam pojęcia, że tamten ranek na uniwersytecie zostanie powiązany z tobą w sądzie. Że zostanie między wami poprowadzona cienka linia, równie cienka i wątką jak nić łącząca pajęczą sieć ze słupkiem bramy. Nici snute przez pająki są zrobione z białka, białkowego pajęczego jedwabiu, ściśle rzecz biorąc. Za ich lepkość odpowiadają kropelki pokrywające każde pasmo, a najbardziej interesujące jest w nich to, że reagują na siłę, jaką przykładają do nich dowolny obiekt, który próbuje wyzwolić się z pajęczyny. Jeśli zatem kropla dotknie powierzchni nieożywionej, zaledwie do niej przylgnie. Ale gdy tej samej kropelki dotknie coś, co próbuje uciec, nabierze ona konsystencji kleju, zacznie się rozciągać, aby utrzymać uciekający obiekt. Między tamtym dniem a tobą nie było żadnego związku, ale wszystko zostanie połączone tak, żeby ten związek wykazać. Podobnie jak niemal wszystko inne, co kiedykolwiek zrobiłam. Wszystko zostanie wplecione w narrację mającą na celu schwywanie nas niczym muchy w pajęczynę.



## 4

Następnym razem uprawiamy seks, jak może pamiętasz, a może już zapomniałeś, w toalecie dla niepełnosprawnych na końcu korytarza na tyłach stołówki pracowniczej Izby Gmin. Najpierw pijemy herbatę i zjadamy ciasto w stołówce, która znajduje się na parterze, a z okna widać rzekę, ale śmierdzi tam jak we wszystkich stołówkach pracowniczych rozgotowanymi zielonymi warzywami. Jest późne popołudnie i światło dnia już przygasa. Niebo zszarzało. Wody Tamizy prześlizgują się korytem oleiście. Na drugim krańcu stołówki grupa pracowników w białych koszulach i granatowych fartuszkach siedzi wokół stołu, robiąc sobie przerwę po lunchowych godzinach szczytu. My zajęliśmy miejsce blisko okna, a ty skrupulatnie dzielisz kawałek ciasta marchewkowego na pół za pomocą plastikowego widelca. Gdy zostawiam połowę mojej połowy, pałaszujesz ją bez słowa. Pod stołem jedno z twoich kolan odnalazło moje, skromnie zaciśnięte, i wepchnęło się między nie. Jeśli chodzi o grę wstępną, jest to prosta, ale skuteczna sztuczka.

Po półgodzinie wstajemy od stolika i idziemy na tyły stołówki, mijając zasłonięty parawanami obszar przeznaczony wyłącznie dla parlamentarzystów, a potem przechodzimy przez drewniane drzwi, na których złotymi literami wytłoczono napis: „Przejścia nie ma”. Skręcamy w prawo i ruszamy korytarzem wyłożonym dywanem. Mijamy pomieszczenie z otwartymi drzwiami, a ty zatrzymujesz się, żeby zajrzeć do środka. Mogłyby się tu mieścić gabinet albo biuro, ale chwilowo jest to składzik. Na półkach pokrywających całą jedną ścianę stoją pudła z dokumentami. Na stole tuż przy drzwiach widzę rząd lamp biurkowych, mosiężnych z zielonymi abażurami. Wychodzisz z powrotem na korytarz. Z jakiegoś powodu ten pokój ci nie odpowiada. Toaleta dla niepełnosprawnych znajduje się tuż za rogiem, na początku korytarza zakończonego ślepym zaułkiem, i jak na toaletę jest dość luksusowa, z dywanem i drewnianą boazerią. Odkrywam, że liczne uchwyty zamontowane na różnych wysokościach są bardzo przydatne. W trakcie... w samym środku milczącej chwili, w której skupiamy się na pochłanianiu siebie nawzajem, ujmujesz dłonią mój podbródek i delikatnie obracasz moją głowę w kierunku dużego lustra.

– Popatrz – mówisz.

Początkowo próbuję odwrócić wzrok, ale ty mocniej przytrzymujesz moją twarz i powtarzasz:

– Patrz.

A ja patrzę i widzę nas, na wpół rozebranych, w nieładzie, wyuzdanych. Widzę silne mięśnie twojego uda i moją miękką i białą nogę zadartą do góry. Szeroko otwieram oczy, w których wciąż czai się ślad niedowierzania, a ty przyciskasz twarz do mojej, ciągle trzymając mnie za podbródek, i szepczesz mi do

ucha:

– Czy to nie jest piękne? Ty jesteś piękna...

\*\*\*

Następnego dnia zapominam zabrać telefon, gdy wychodzę na lunch z Susannah w dzielnicy Harrow-on-the-Hill, a gdy wracam do domu, znajduję sześć nieodebranych połączeń i cztery esemesy od ciebie, zaczynające się od: „Dzień dobry...”, a kończące na: „A więc mamy ciche dni? Będziesz łaskawa wyjaśnić, czymże sobie na to zasłużyłem?”. Gdy do ciebie oddzwaniam, roześmiana i oczarowana, żeby się wytłumaczyć, chcesz wiedzieć, kim jest Susannah (moją najlepszą przyjaciółką), gdzie poszliśmy na lunch (do nowej malezyjskiej knajpki), czy Susannah jest atrakcyjna (zdecydowanie tak) i czy byłaby zainteresowana trójkątem? (Dziwnym trafem nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać).

Wymiana esemesów ciągnie się przez cały dzień. Czy kiedykolwiek brałam udział w trójkącie? (Nie). A gdybym miała uprawiać seks z trzecią osobą, czy chciałabym, żeby to był mężczyzna, czy kobieta? (Nie mam pojęcia). Jakie jest najdziwniejsze miejsce, w którym to zrobiłam? (Jakże stateczne było moje życie, nim cię poznałam).

\*\*\*

Następnego dnia wysyłam ci esemes, czekając na peronie lokalnej stacji metra. Jestem w drodze na spotkanie w fundacji do spraw zwalczania raka, podczas którego mają paść propozycje zmiany w ustawodawstwie dotyczącym finansowania badań. Jestem upojona naszymi rozmowami z poprzedniego dnia, upojona tym, co robimy. Mój esemes brzmi radośnie: „Hej. Jestem dziś w mieście, Charing Cross. Lunch?”. Nie odpowiadasz, ale po jakimś czasie mój pociąg zjeżdża pod ziemię. Zamiast przesiąść się na Northern Line, wysiadam na Leicester Square. Mam jeszcze mnóstwo czasu, żeby dojść piechotą do siedziby fundacji na Strandzie. Jestem przeświadczona, że gdy tylko wyjadę na powierzchnię, na ekranie wyświetli się odpowiedź od ciebie. Nic. Wyłączam i włączam telefon. Wciąż nic. Udamę przed sobą, że nie uważam tego za irytujące. Jesteś zajęтым mężczyzną. W porządku. Ja też jestem zabiegana. Właściwie nadal nie wiem, co takiego robisz, co cię aż tak zajmuje. Ale co z tego? Ty też nie wiesz nic o mojej pracy. Ale to mnie dręczy. Dlaczego tak bardzo unikasz mówienia o swoim zajęciu? Urzędnik służby cywilnej? Nie przypominasz żadnego urzędnika, jakiego kiedykolwiek poznałam, a poznałam ich niemało.

Gdy docieram na prezentację, kładę telefon na stole przed sobą i zerkam na niego od czasu do czasu. Nic. Propozycje ma przedstawić młoda kobieta z Ministerstwa Zdrowia, która czeka już na nas, podczas gdy powoli zapełniamy salę. Kiedy dochodzi do wniosku, że może zacząć, odkasłuje, patrzy na zebranych, po czym stuka długopisem o szklankę z wodą stojącą na mównicy przed nią.

– Świetnie – mówi pogodnie.

Staje przy tablicy i krok po kroku objaśnia nam nadchodzące zmiany w polityce finansowania badań medycznych, związane z nową ustawą, która przechodzi właśnie przez parlament. Na koniec będziemy mieli szansę zadać jej kilka pytań, a niektóre z nich będą miały wrogi wydzźwięk, ponieważ naukowcy są

równie oporni na zmiany jak wszyscy inni ludzie. Na spotkanie przybyło około trzydziestu pięciu osób, reprezentujących różne instytucje czy uczelnie, ale nowe przepisy mogą dotknąć wszystkich. Znam mniej więcej połowę obecnych na sali, lecz tego konkretnego ranka postanowiłam usiąść sama. Nie mam nastroju na gadkę szmatkę.

Podczas przerwy na kawę wysyłam ci kolejną wiadomość. „Hej, panie pracowity, daj mi znać tak czy inaczej. Muszę jeszcze później coś załatwić”. Tak naprawdę nie mam żadnych planów i nie jestem dziś szczególnie zajęta, ale ty o tym nie wiesz. Zastanawiam się, czy nie zrobiłam źle, sugerując lunch. Może powinnam napisać: „Masz ochotę na szybkie dymanko?” ... To na pewno zasłużyłoby na odpowiedź.

Po przerwie na kawę zaczyna się sesja pytań i odpowiedzi, ale jestem tak poirytowana twoim milczeniem, że nie mogę się skupić. Mojemu roztargnieniu towarzyszy pewien stopień niepewności, który sprawia, że przyglądam się tej kompetentnej młodej kobiecie przede mną i w ramach eksperymentu próbuję sobie wyobrazić, jak ty byś ją widział. Wcześniej uznałabym po prostu, że jest atrakcyjna, i nie poświęciłabym jej ani jednej myśli więcej. Gdy ma się dorosłą córkę tak śliczną jak moja, nie można odczuwać urazy wobec młodych ładnych kobiet. Ostatecznie wiem, przez co przechodzą. Wiem, jak niepewnie się czują ze swoim pięknem, jakie są w gruncie rzeczy bezbronne. Żywią wobec nich opiekuńcze uczucia, chociaż byłyby przerażone myślą, że potrzebują opieki. Ale tego ranka patrzę na tę młodą kobietę twoimi oczami – oczami mężczyzny owładniętego niepohamowanym popędem seksualnym. (Powiedz mi, mój drogi, czy trudno jest być takim mężczyzną? Ostatecznie świat jest pełen pięknych młodych kobiet i gdziekolwiek się odwrócisz, jesteś bombardowany ich obrazami. Czy życie nie jest dla ciebie nieustanną udręką?) Ma na sobie uniform młodej, dobrze zapowiadającej się urzędniczki służby cywilnej – to znaczy nowoczesnej urzędniczki: czarne spodnie, dopasowany żakiet, pastelowa koszula z dekoltem odsłaniającym nieco kuszące krągłości. To strój kobiety, która w tej chwili ma wszystko i nie widzi powodu, by kiedykolwiek miała to stracić. Jej włosy w miodowobrazowym kolorze są wycieniowane, dobrze ostrzyżone. Pukle huśtają się, gdy porusza głową. Sprawia wrażenie, jakby nie miała kompleksów, jakby była pewna, że jej inteligencja i pracowitość wystarczą, aby uporać się z rutynowym zadaniem, jakim jest przedstawienie faktów sali pełnej naukowców – z których kilkoro jest co najmniej dwukrotnie starszych od niej – pewna, że dorównuje nam intelektem. Wygląda na kogoś, kto nigdy się nie mizdrzy, gdy mówi o swoich osiągnięciach, jak wciąż to robią kobiety z mojego pokolenia – ku naszej hańbie. Jest młoda i ma przekonanie, że nie musi nic nikomu udowadniać. Gdy kończy przemowę i prosi o pytania, jedna część mnie jej kibicuje, a druga ma ochotę się rozpłakać.

Patrzę na nią i wyobrażam sobie, że jestem tobą. Wyobrażam sobie, że ignoruję wysiłek, który włożyła w swoją prezentację, a w każdym razie jestem w stanie dostrzec go wyłącznie przez mgłę seksualnego pożądania. (Czy tak to jest być mężczyzną? Jestem naprawdę ciekawa). Wyobrażam sobie, jak bardzo jej pragniesz – znacznie bardziej, niż pragnąłeś mnie. Dociera do mnie, że nigdy nie zaprosiłbyś takiej pięknej młodej kobiety jak ona do toalety dla niepełnosprawnych ani nie zaprowadziłbyś jej za rękę do schowka na miotły w kaplicy w krypcie. Bo co by sobie o tobie pomyślała? Ten wniosek przepelnia mnie niepokojem, ale właśnie wtedy mężczyzna siedzący nieopodal podnosi dłoń i mówi:

– Nie jestem pewien, czy zgadzam się z tym ostatnim punktem. Myślę, że powinniśmy przegłosować, kto miałby podejmować taką decyzję.

Młoda kobieta unosi brwi, zachęcając nas do oceny propozycji. Wszyscy patrzą po sobie. Marszczę czoło, jakbym się zastanawiała, jaką decyzję podjąć. Z wysiłkiem odsuwam myśli o tobie na dalszy plan.

Powoli wracam piechotą do stacji metra Leicester Square z telefonem w dłoni. Sprawdzam go po raz ostatni, zanim zjadę ruchomymi schodami na peron. Mogłabym wysłać ci jeszcze jedną wiadomość albo zadzwonić, ale zamiast tego postanawiam wrócić do domu, żeby cię ukarać. Napiszesz do mnie, gdy będę pod ziemią, naprawdę będziesz chciał zjeść ze mną lunch, ale nie uzyskasz odpowiedzi. Zadzwonisz tylko po to, by od razu włączyła się poczta głosowa. Będziesz przeklinał, że straciłeś okazję. Może będziesz się zastanawiał, co robię i z kim jestem.

Wagon, do którego wsiadam, jest mniej zatłoczony niż zwykle i udaje mi się znaleźć miejsce siedzące, na które opadam z westchnieniem. Naprzeciwko mnie siedzą trzy nastolatki żujące gumę: potargane kucyki, duże koła w uszach, zęby wyszczerzone w uśmiechach, pokrzykiwania i przepychanki. Obserwuję je, pyskate i piękne, i myślę o córce i jej przyjaciółkach, gdy były w tym wieku, pełne zgiełku, światła i lojalności wobec siebie nawzajem. Myślę o młodej urzędniczce i o tym, że owszem, świat po brzegi jest wypełniony takimi młodymi kobietami, które zapewne doprowadzają takich mężczyzn jak ty do obłędu tylko tym, że nigdy nie będą mogli ich zdobyć.

Przypominam sobie o tym, jak nazwałeś mnie piękną, tam, w toalecie dla niepełnosprawnych, gdy kazałeś mi spojrzeć w lustro na nas, na nasze na wpół nagie ciała, potargane ubrania, na to, jak seksownie i jednocześnie absurdalnie wyglądamy. Przypomniałam sobie, jak zawstydzona chciałam odwrócić głowę, ale ty ją przytrzymałeś i wyszeptales: „Czy to nie jest piękne? Ty jesteś piękna”... Jadąc teraz metrem, myślę o tym z cieniem rozpacz. Próbuję zachować spokój i pozytywne nastawienie, próbuję pamiętać o moich zaletach: wciąż mam gęste włosy, nie mam bruzd na szyi... Ale piękna? Mam pięćdziesiąt dwa lata. Głupia, myślę sobie, dla niego masz dwie główne zalety – jesteś dostępna i chętna.

Ciężkim krokiem wracam ze stacji do domu. Wciąż żadnego telefonu ani choćby jednej wiadomości od ciebie. Dzięki Bogu dom jest pusty. Unikam patrzenia w lustro, gdy odwieszam płaszcz i rzucam buty w ką. Głupia. Twój brzuch jest miękki i pełny, twoje piersi się skurczyły, masz figurę żelka w kształcie dziecka. Czy naprawdę myślisz, że jakkolwiek mężczyzna w pełni władz umysłowych, w jakimkolwiek wieku by cię wybrał? Nie bądź idiotką. On widzi coś w twoich oczach, ale nie jest to piękno. To przyzwolenie.

Idę do kuchni i zaczynam wyjadać rzeczy z szafek oraz z lodówki – wafel ryżowy, odrobina przeterminowanego hummusu, kilka winogron i jogurt. Jem na stojąco, opierając się o granitowy blat. Kładę telefon na stole, żeby nie zerkać na niego cztery razy na minutę. W końcu podchodzę do szafki, którą nazywamy spiżarką, i znajduję w niej starą puszkę piwa, ciepłą, z zakurczonym wieczkiem. Przelewam piwo do szklanki i wrzucam do niego kostki lodu, co sprawia, że zawartość zaczyna się pienić niczym mikstura podczas eksperymentu w laboratorium. Mimo wszystko jest to lepszy pomysł niż otwarcie butelki wina tak wczesnym popołudniem. Zabieram swoje ciepłe, pieniące się piwo

i pobrząkując lodem w szklance, idę do salonu, gdzie padam na sofę, wciąż ubrana w biznesowy kostium. Skaczę po kanałach, zmieniając jeden bzdurny program telewizyjny na drugi – jest to coś, czego normalnie nigdy nie robię.

W końcu idę na górę i otwieram kolejny list do ciebie, ale udaje mi się napisać tylko jedną linijkę:

Drogi X,  
nie sądzę, bym mogła to dłużej ciągnąć.

\*\*\*

Gdy dzwonisz nazajutrz, traktuję cię chłodno. Nie tłumaczysz, dlaczego nie odezwałeś się poprzedniego dnia, a ja postanowiłam, że nie zapytam. Z beztroskiego sposobu, w jaki ze mną rozmawiasz, mogę wywnioskować, że wczoraj to było wczoraj, byłeś zajęty i nie widzisz powodu, dla którego miałbyś mi to wyjaśniać albo przeproszać. A co z dniem dzisiejszym? Chcesz wiedzieć, gdzie jestem. Przyznaję, że później będę w mieście, a ty mówisz, że świetnie, że możemy się spotkać na kawie około trzeciej w tej cukierni na rogu Piccadilly, tuż za domem towarowym Fortnum's. Jeśli będę grzeczna, mówisz, pozwolisz, żebym kupiła ci ciastko.

Spóźniasz się. Wchodzisz do środka roztargniony, najwyraźniej wciąż myśląc o czymś innym. Wzdychasz i siadasz, uśmiechając się do mnie, po czym prosisz: „Poczekaj chwileczkę”. Wyciągasz trzy telefony i sprawdzasz każdy po kolei, zanim schowasz je z powrotem jeden po drugim. Nigdy nie znałam nikogo, kto miałaby tyle urządzeń elektronicznych. Czym tak naprawdę się zajmujesz? Nagle podnosisz na mnie wzrok. To taki twój nawyk, który uważam jednocześnie za ekscytujący i niepokojący. Dokładnie w chwili, gdy sprawiasz wrażenie na tyle roztargnionego, że wydaje mi się, iż mogę cię swobodnie obserwować, ty przerywasz, cokolwiek robisz, i przyłapujesz mnie na gorącym uczynku. Odwzajemniasz moje spojrzenie i odwracasz interakcję między nami. To już nie ja obserwuję ciebie, tylko ty mnie, jak na ciebie patrzę, a to jest zupełnie inna sprawa.

– Właśnie sobie pomyślałam – mówię, zanim zdążysz zapytać – że nigdy nie znałam nikogo, kto miałby tyle telefonów komórkowych co ty. Po co ci one wszystkie? Czym ty właściwie się zajmujesz?

Obdarzasz mnie byстрыm spojrzeniem:

– Wiesz co? To aż dziwne, że zapytałaś o to właśnie w tej chwili.

– Dlaczego?

– Bo – mówisz – mam coś dla ciebie.

Unosisz palec w geście mówiącym „daj mi chwilkę”, pochylasz się i podnosisz swoją aktówkę. Otwierasz zatraski bliźniaczym ruchem kciuków i chociaż obiecałam sobie, że zachowam dystans, czuję podniecenie na myśl o tym, co ostatnio robiły te kciuki. Unosisz wieko, ale tak, żebym nie mogła zajrzeć do środka. Wyjmujesz coś, zamykasz aktówkę i odstawiasz ją z powrotem na podłogę. Kładziesz ten przedmiot na stole przed nami – mały tani telefon komórkowy. Patrzę na niego, a ty popychasz go ku mnie.

– Kupiłem tej samej marki, jaką już masz, więc nie potrzebujesz drugiej ładowarki.

Gapię się na komórkę.

– To dla ciebie – wyjaśniasz. – Prezent. Zdaję sobie sprawę, że nie są to perłowe kolczyki ani składanka romantycznych hitów z lat osiemdziesiątych. Ale jest cały twój.

Biorę aparat do ręki.

– Po co mi on? – pytam głupio.

– Wierzę, że tradycyjnie używa się go do wykonywania rozmów telefonicznych i wysyłania esemesów, ale przypuszczam, że mogłabyś nim zonglować, gdybyś chciała, albo wsunąć go pod nogę chwiejącego się stołu...

– Dobra, dobra, mądrało... – Z przyjemnością zauważam, że jesteśmy na etapie żartowania sobie z siebie nawzajem.

– Ale tak na serio... – mówisz, patrząc na mnie. – Będzie u ciebie bezpieczna?

Unoszę brwi, patrząc na niego.

– Trochę wolno dziś chwytasz, prawda? – zauważasz. – Słuchaj, to telefon na kartę. Działa jak każdy inny, z tym że ten służy wyłącznie do jednego celu.

Podnoszę go i obracam w dłoni, jakby nagle miał się zamienić w mały rewolwer.

– Służy do dzwonienia do mnie – kontynuujesz, pochylając się ku mnie. Ściszasz głos i rozglądasz się na boki. Nie mam wątpliwości, że rozmowa stała się poważna. – Na liście kontaktów znajdziesz mój numer. Nowy numer. Sobie kupiłem dokładnie taki sam telefon. Od tej pory będziesz do mnie dzwonić wyłącznie pod ten numer, w porządku?

Patrzę na ciebie.

– W porządku – mówię cicho.

– Już go wstępnie doładowałem, ale prędzej czy później będziesz musiała sama to zrobić. A kiedy tak się stanie, wybierz się do sklepu w mieście, nie rób tego nigdzie w pobliżu domu albo pracy. I nigdy nie doładowuj go w tym samym miejscu dwukrotnie.

Mam ochotę zażartować, żeby wrócić do fazy przekomarzania się, ale po twojej minie wnioskuję, że byłoby to nie na miejscu. Chcesz, abym zrozumiała, że mówisz poważnie.

Prokurator nigdy nie odkrył tych telefonów. Zabrałeś mi mój w samochodzie tamtego dnia, gdy to się wydarzyło, i pozbyłeś się obu. Nigdy nie dowiedziałam się, co z nimi zrobiłeś. Może wrzuciłeś je gdzieś do studzienki odpływowej, a może do kosza na śmieci. Może je zakopałeś, a może nawet teraz leżą gdzieś przytulone do siebie pod ziemią w ogrodzie albo w parku. Ja bym tak zrobiła, gdyby pozbycie się ich zależało ode mnie.

– Jaki jest twój adres mailowy? – pytam.

Może to dziwne, skoro właśnie dałeś mi telefon na kartę, ale myślę o listach, które do ciebie piszę. Myślę o tym, jak wiele ludzkich kontaktów jest w dzisiejszych czasach podtrzymywanych za pomocą poczty elektronicznej i jakie to dziwne, że my tego nie robimy. Kręcisz głową.

– Maile zostawiają ślad – mówisz.

– A kogo miałyby obchodzić, że do siebie piszemy? – pytam sceptycznie z lekką drwiną.

Podoba mi się ta cała tajemniczość, ale czy przypadkiem nie świadczy o tym, że mamy o sobie odrobinę za wysokie mniemanie? Łechcemy w ten sposób nasze ego, napędzamy adrenalinę, ale chyba trudno uznać, by było to konieczne, prawda?

Prostujesz się odrobinę na krześle, rozglądasz się i znowu pochylasz ku mnie. Poważnie mierzysz mnie wzrokiem, po czym pytasz:

– Czy twój mąż jest podejrzliwy?

Przed oczami staje mi obraz mego męża, takiego jak zastałam go w minioną niedzielę wieczorem, około dziewiątej, z głową pochyloną nad biurkiem. Na skraju blatu stała sałatka, którą przyniosłam mu dwie godziny wcześniej. Po cichu weszłam do gabinetu, żeby zabrać talerz. Machnięciem ręki dał mi znać, że już mogę to zrobić, i uniósł kciuk, jakby chciał mi powiedzieć, że była dobra, dzięki. Nawet nie zauważył, że właściwie jej nie tknął. Podejrzliwy? Mój mąż? Gdy pracował nad nowym artykułem, mogłabym zaprosić całą drużynę rugby na grupowy seks w przedpokoju, a on by niczego nie zauważył.

– Nie, nie jest – mówię.

– A co, jeśli znajdzie ten telefon w twojej torebce? Jaką historyjkę mu opowiesz?

Wrywa mi się prychnięcie.

– Nigdy nie grzebałby mi w torebce! Nigdy w życiu!

– Jaką historyjkę byś mu opowiedziała? – nalegasz.

– Posłuchaj... – mówię, uśmiechając się. – My nie stanowimy po prostu tego rodzaju małżeństwa. Dzięki Bogu. Nie grzebiemy nawzajem w swoich torbach. Nie przeglądamy swoich wyciągów z kart kredytowych. Nigdy tego nie robiliśmy. Nawet gdy... cóż, w żadnych okolicznościach. Ja bym po prostu nie zrobiła czegoś takiego i on też nie. To jest... to jest... – szukam właściwego słowa. – Cóż, takie zachowanie byłoby niegodne. Gdyby znalazł ten telefon, rozmowa potoczyłaby się mniej więcej tak: „Dlaczego, do cholery, grzebałeś mi w torebce?”.

– Posłuchaj – mówisz, wzdychając odrobinę niecierpliwie. – Nie pytam o to, jak wielkie jest prawdopodobieństwo, że ten telefon zostanie odkryty. Pytam o to, jaką historyjkę opowiesz w mało prawdopodobnej sytuacji jego odkrycia. Ta historyjka musi gładko przejść ci przez usta, bez zająknięcia. Jeśli zaczniesz wymyślać ją na miejscu i zamilkiesz na chwilę, nawet na moment, a w twoim głosie zabrzmi niepewność, mąż od razu rozpozna, że kłamiesz.

– Nie znasz mojego męża.

Patrzysz na mnie w sposób, w jaki zmęczony nauczyciel matematyki mógłby popatrzeć na bystrego, ale upartego ucznia, który umyślnie odmawia zrozumienia rachunku różniczkowego.

– Dobra, dobra – unoszę dłonie. – Powiem, że koleżanka z pracy zostawiła go u mnie na biurku w trakcie spotkania i że od wieków noszę go w torebce i muszę pamiętać, żeby w końcu jej zwrócić.

– To brzmi dobrze – zgadzasz się – bo wyjaśnia, dlaczego masz telefon od dłuższego czasu. „Od miesięcy” brzmiałoby nawet lepiej. Wetknij go do przegródki zapinanej na suwak. Powiesz, że miałaś spotkanie kilka miesięcy temu. Twoja koleżanka myślała, że zgubiła telefon, i od razu zablokowała kartę, więc nie spieszyło ci się, żeby go oddać. Musi leżeć w twojej torebce od miesięcy. Zapomniałaś o nim.

Dzięki temu, jeśli będzie sprawdzał torebkę regularnie i znajdzie telefon więcej niż raz, będziesz kryta.

Nie potrafię stłumić uśmiechu, myśląc o tym, jak idiotycznie brzmi to wszystko. Sama myśl, że mój mąż chociaż raz miałby zajrzeć do mojej torebki, nie mówiąc już o grzebaniu w niej wielokrotnie, wydaje mi się niedorzeczna. Ale rozprasza mnie nieskończenie przyjemna myśl o... miesiącach. Powiedziałeś „od miesięcy”. Najwyraźniej uważasz, że to może się tyle ciągnąć.

W tym momencie, stosownie do sytuacji, dzwoni mój telefon. Mój normalny telefon. Czekał na ciebie, sprawdzałam pocztę, więc leży na stoliku między nami. Zerkam na ekran. Na tle zdjęcia przedstawiającego moje dzieci stojące obok siebie na uroczystości wręczania dyplomów córki wyświetla się fraza „numer zastrzeżony”. Ignoruję połączenie i biorę łyk kawy, a ty patrzysz na mnie i pytasz, uśmiechając się z napięciem:

– Dlaczego nie odbierzesz?

Wzruszam ramionami.

– To numer zastrzeżony. Albo dzwonią z pracy, albo to jakiś telemarketer.

Telefon cichnie. Zerkam na niego. „Nieodebrane połączenie z numeru zastrzeżonego”. Po sekundzie czy dwóch ekran ciemnieje.

Znowu odchylasz się na krzesło, przyglądając mi się.

– Nie chcesz wiedzieć, kto to był?

Śmieję się cicho.

– Nie. Teraz rozmawiam z tobą. Jeśli to coś ważnego, dzwoniący nagra się na pocztę.

Podnosisz mój telefon i sprawdzasz.

– Na razie nie ma żadnej wiadomości.

– Cóż, może pojawi się za chwilę. A jeśli nie, to znaczy, że to nie było nic ważnego. Cały czas zdarzają mi się takie telefony, a tobie nie?

– Co?

– Nieodebrane połączenia z zastrzeżonych numerów...

To prawda. W ciągu ostatnich kilku miesięcy z jakiegoś powodu zdarzały się znacznie częściej. Jeśli odbieram, nikt się nie odzywa, słychać tylko głuchą ciszę. Mój numer musiał trafić na jakąś trefną listę, jak to się czasami zdarza z adresami mailowymi.

Lekko ściągasz brwi.

– Jak często ci się to zdarza?

Znowu wzruszam ramionami.

– Kilka razy w tygodniu. Czasami później okazuje się, że to jednak była wiadomość z pracy, ale pojawia się dopiero następnego dnia, co jest naprawdę irytujące. A czasami po prostu nikt się nie odzywa. Zdarzało się, że dostawałam pięć czy sześć takich telefonów z rzędu, a potem przez dwa tygodnie miałam spokój. A co? To chyba nic niezwykłego?

Słuchasz uważnie mojej relacji, uważniej, niżbym chciała, bo nie jest to coś, czym się przejmowałam. Jak wszyscy dostaję niechciane esemesy od firm ubezpieczeniowych, oferujących mi odszkodowanie za



wypadki, w których nigdy nie uczestniczyłam, odbieram telefony od ludzi chcących mnie namówić na nowy telefon tuż po tym, jak dostałam taki w abonamencie, dostaję maile od generałów armii amerykańskiej, którzy chcą zdeponować setki tysięcy dolarów na moim koncie, albo klinik medycznych oferujących mi przedłużenie penisa. Przez moje drzwi wlewają się katalogi modowe, dostajemy dziennie trzy ulotki z pizzerii. Ile pizzerii może być w zachodnim Londynie? Wszyscy jesteśmy prześladowani, każdego dnia, prześladowani przez niechcianą pocztę – tradycyjną i elektroniczną – i mało konkretne żądania. Sporadyczne nieodebrane połączenia z zastrzeżonego numeru nie wydają się powodem do wszczynania alarmu.

Siedzisz i słuchasz mnie z moim zdaniem przesadną powagą.

– Kiedy dostałaś pierwszy taki telefon? – pytasz.

– Chodzi ci o pierwszy głuchy telefon, kiedy ktoś nie zostawił wiadomości? – Wzruszam ramionami. –

Chyba po świętach Bożego Narodzenia, po Nowym Roku... Słuchaj, to nie jest...

– A zatem to nie byłam ja – mówisz z uśmiechem, ale bez rozbawienia. – To musi być jakiś twój wcześniejszy kochanek.

Och, rozumiem... Nagle doznaję olśnienia i obdarzam cię ciepłym uśmiechem. Lekko potrząsam głową i chociaż nie odwzajemniasz mojego uśmiechu, jestem w tym momencie szczęśliwa, bo to oznacza dwa do zera dla mnie tego popołudnia. Odczuwam tę samą nieoczekiwaną przyjemność jak wtedy, gdy wspomniałeś o miesiącach. Jesteś zazdrosny... Ponieważ sam byłbyś zdolny do wydzwaniania do mnie z zastrzeżonych numerów, zakładasz, że te telefony to od kogoś takiego. Uwielbiam mężczyzn, myślę sobie. Nie jestem zwolenniczką determinizmu biologicznego, ale mężczyźni... Kocham ich. Patrzysz na mnie, lekko marszcząc brwi, a brak pewności siebie, który odczuwałam poprzedniego dnia, wyparowuje w obliczu twojej wyraźnej irytacji. Czy będę musiała uprawiać takie gierki, żeby utrzymać twoje zainteresowanie? To nie w moim stylu. Choć prawdę mówiąc, to wszystko nie jest w moim stylu.

Znowu sięgam po telefon, który mi dałeś, i obracam go w dłoni. Jest znacznie mniejszy niż mój. Bez trudu zmieści się w kieszonce mojej torebki.

# 5

To trwa przez sześć tygodni, ty i ja w odurzającej mgle podniecenia. Spotykamy się na seks. Spotykamy się na kawę. Nigdy nie spotykamy się na lunch, bo jesteś na to zbyt zajęty. Nigdy też nie spotykamy się na kolację, bo nie możemy się widywać wieczorami. Nie mam pojęcia, co lubisz jeść. Może w ogóle nic nie jadasz. Nie wiem, jakie filmy oglądasz, jakie książki czytasz ani czy kiedykolwiek grałeś na jakimś instrumencie. Uprawiamy seks, pijemy kawę, rozmawiamy. Nie mówimy za wiele o naszym życiu rodzinnym; nigdy nie nazywamy mojego męża czy twojej żony po imieniu. Od czasu do czasu wymieniamy uwagi o związkach w ogóle albo byłych kochankach, ale mamy przede wszystkim jeden temat: nas, nas samych, to, co robimy, co myślimy i czujemy wobec siebie nawzajem.

Pomiędzy spotkaniami szaleję z pożądania i piszę do ciebie list za listem. Jestem wdzięczna, że zakazałeś mi kontaktu mailowego, bo po kilku godzinach od napisania tych listów robi mi się niedobrze z zażenowania na myśl o tym, co ujawniam na swój temat, jak próbuję brzmieć chłodno i analitycznie, podczas gdy świadczą one o tym, że czuję się wręcz przeciwnie.

Nie zawsze umiem panować nad tym, co pojawia mi się w głowie.

\*\*\*

Któregoś dnia umawiamy się na spotkanie przed Portcullis House, budynkiem, który traktuję teraz z pewną sympatią. Jest już po piątej – z jakiegoś powodu musisz pracować do późna – ale i tak każesz mi czekać na siebie pół godziny, a gdy się pojawiaasz, jak zwykle nawet nie przepaszasz. Widzę, że cokolwiek było przyczyną twojego spóźnienia, wciąż o tym rozmyślasz. W porządku, stwierdzam. Cóż, też nie będę próbowała podtrzymywać rozmowy. Może ja też mam mnóstwo spraw na głowie.

Schodzimy schodami i skręcamy w prawo, w kierunku stacji metra Westminster. Jest tam mały barek kawowy, w którym byliśmy już wcześniej, z dwoma stołkami w oknie. Zmierzcha się, jest chłodno jak na tę porę roku – grupki drżących turystów, ubranych zbyt optymistycznie, tłoczą się na chodniku, blokując przejście. Kluczemy między nimi. Srebrny sześcian wejścia do metra połyka i wypluwa garnitury. Niemal do niego dotarliśmy, gdy bierzesz mnie za ramię i zawracasz gwałtownie.

– Przejdźmy się nad rzeką – proponujesz.

To pierwsza rzecz, jaką dziś do mnie powiedziałaś.

Skręcamy za róg i znowu mijamy wejście do Portcullis House. Po drugiej stronie rzeki oświetlone na niebiesko London Eye obraca się powoli na tle szaropurpurowego nieba. Niespiesznie idziemy

nabrzeżem, wciąż w milczeniu, mijając rzędy pustych autokarów turystycznych zaparkowanych na poboczu. Dalej tłumy zwiedzających przerzedzają się i już łatwiej iść chodnikiem. Mijamy tylne wejście przysadzistego budynku z czerwonej cegły, będącego główną siedzibą oddziałów policji terytorialnej. Tutejsze latarnie zawsze wywołują mój uśmiech – są staroświeckie, jakby rodem z kryminalnych seriali. W tamtych czasach, czasach czerni i bieli, gdy trzeba było manipulować pokrętełami, żeby wyostrzyć obraz na ekranie obudowanego w mahoń telewizora, zbrodnia nigdy nie popłacała. Dziś telewizory są cienkie jak opłatek, jaskrawo kolorowe i niewybaczalnie wyraziste – można dostrzec pory na twarzy prezenterki wiadomości pod pomarańczowym makijażem. Ostatnio zauważyłam, że życie też stało się bardziej wieloznaczne. Przestępstwo jak najbardziej popłaca. Cóż, w każdym razie teraz, w tej sekundzie, gdy idę u boku mężczyzny, z którym nie powinnam być, mam wrażenie, jakby popłacało.

Mijamy powoli tylne wejście do hotelu Savoy, opuszczamy ziemię turystów i wkraczamy na tereny budynków rządowych. Po kilku minutach – wciąż się do siebie nie odzywamy – docieramy do Victoria Embankment Gardens, wąskiego parku odchodzącego od drogi i rzeki, z wijącą się przezeń jedną ścieżką, wzdłuż której stoją ławki. W gęstniejącym mroku mamy park tylko dla siebie. Na drodze, wciąż widocznej między gałęziami żywopłotu, zdecydowanie zbyt nagimi mimo początków wiosny, widać czarne taksówki, ciężarówki i samochody przejeżdżające z hukiem we mgle śródmiejskich zanieczyszczeń, a jeszcze dalej rzekę, której wody pędzą, próbując dotrzymać kroku ruchowi ulicznemu. Mijamy prostokątny staw po naszej prawej ze znakiem „Niebezpieczeństwo: głęboka woda”. Trochę już na to za późno, myślę sobie.

Kilka metrów dalej stoi rzeźba płaczącej kobiety. Mijałam ją już wcześniej, rzuca się w oczy. Na zwykłym kamiennym cokole stoi popiersie z brązu przedstawiające Arthura Sullivana, 1842–1900. Takie pomniki widzi się w parkach w całym Londynie – pomniki zapomnianych filantropów, kompozytorów, pisarzy, generałów, podróżników i pedagogów, ludzi epoki wiktoriańskiej, którzy nas stworzyli. Ale ten pomnik jest inny, bo o jego cokół opiera się dodatkowo naturalnej wielkości postać młodej kobiety, również odlanej w brązie. Kobieta stoi plecami od przechodniów i szłocha z jednym ramieniem uniesionym nad głową, a drugim zgiętym w taki sposób, by skrywało jej twarz. Jej idealne giętkie ciało zastygło w pozie absolutnej rozpacz.

Zatrzymuję się i ty również. Wciąż bez słowa patrzymy na rzeźbę z brązu, na krągłości jej jędrnych, wysoko osadzonych piersi, obnażonych oczywiście w klasycznym stylu. Patrzymy na szaty zebrane wokół bioder, na włosy upięte na karku. Jej rozpacz to rozpacz młodości, tak sędzę. Jest odbiciem każdej studentki pierwszego roku, która obudziła się w niedzielny poranek i przypomniała sobie, jak zeszłej nocy na tamtym przyjęciu młody mężczyzna, w którym była zakochana, wyszedł, otaczając ramieniem kogoś innego. Jest kobietą, która myśli, że rozpacz to kraj, do którego się wkracza, pustynia, na której umrze z pragnienia. Pamiętam, jak wszechogarniające były zawody miłosne w tamtym wieku. Czy to w ogóle możliwe, żeby teraz ktoś złamał mi serce? – zastanawiam się. Mam pięćdziesiąt dwa lata. W moim wieku każdy wie, że wszystko przemija. Jeśli jednak przelotna natura uczuć oznacza, że prawdziwy zawód miłosny nie jest możliwy, to czy możliwe jest szczęście?

Stoimy i patrzymy. Wciąż panuje między nami milczenie. Robisz kilka kroków, okrążasz cokół i spoglądasz na inskrypcję widniejącą na boku. Podchodzę, staję obok ciebie i też na nią patrzę, podczas gdy ty odczytujesz słowa na głos:

IS LIFE A BOON?

IF SO, IT MUST BEFAL

THAT DEATH WHENE'ER HE CALL

MUST CALL TOO SOON

Część napisu przecina długi zaciek zielonej pleśni, biegnący od szczytu cokołu niemal do jego połowy.

– A więc to śmiercią jest zasmucona – mrużę. – Zawsze myślałam, że miłością.

– Według tego wiersza to tak naprawdę sytuacja bez wyjścia – zauważasz. – Albo życie jest dobrodziejstwem, a w tym przypadku każdy z nas powinien szlochać, bo przyjdzie śmierć i wszystko zniszczy, i to wkrótce. Albo... cóż, albo życie wcale nie jest dobrodziejstwem, tylko ponurą męczarnią.

– Która wersja jest ci bliższa? – Staram się, by mój głos nie brzmiał zbyt poważnie.

Patrzysz na mnie i widzę, że nie dałeś się zwieść mojemu żartobliwemu tonowi. Wyciągasz dłoń i dotykasz ciężkiego pukla włosów przy moim policzku. Skręcasz go między palcami.

– Ja? – mówisz, patrząc na mnie. – Ja? Ja uważam, że życie jest dobrodziejstwem.

Zbliżamy się do siebie. Bierzesz moją twarz w dłonie. Dociskasz ciepłe, szorstkie ręce do moich zimnych miękkich policzków. Unoszę ku tobie twarz i zamykam oczy.

Bez słowa zostawiamy szlochającą dziewczynę za sobą i po chwili docieramy do skraju parku. Stacja metra Temple jest jasno oświetlona, przy stoiskach z kawą i straganach z kwiatami nie ma za dużego ruchu – godziny szczytu już minęły, jest niemal ciemno. Tuż za stacją skręcamy w lewo, w wąską ulicę zwaną Temple Place, która jeszcze bardziej oddala nas od rzeki. Dalej Temple Place przechodzi w Milford Lane, a ta kończy się malutkim dziedzińcem z ceglany przejściem, przez które widać rząd kamiennych stopni.

– Czy można tędy dojść do Strandu? – pytam.

Jeszcze nigdy tutaj nie byłam.

– Tak – mówisz. – Wychodzi się tuż pod budynkiem Naczelnego Sądu Cywilnego.

Ale ty nie myślisz teraz o sprawiedliwości ani o jaskrawych światłach Strandu. Zwracasz się ku mnie, jedną rękę zanurzasz w moich włosach, drugą kładziesz mi na ramieniu. Przyciągasz moje usta ku swoim. Jednocześnie napierasz na mnie i zmuszasz, abym cofnęła się kilka kroków, chwiejnie, aż poczuję za plecami ścianę, tuż po prawej od ceglany przejścia. Wyrывa mi się stłumiony okrzyk. Przerывasz i rozglądasz się w skupieniu. Oceniasz ryzyko. Po twojej prawej – a mojej lewej – stoi budynek, ale żadne okna nie wychodzą na zaułek. Po drugiej stronie – podążam za twoim wzrokiem w górę – znajduje się kamera przemysłowa, lecz skierowana w inną stronę, z dala od nas. Całujesz mnie przelotnie, ale mocno, po czym odrobinę cofasz głowę, żeby móc dalej się rozglądać, i wsuwasz dłoń pod połę mojego płaszcza, siłą rozwierając mi uda.

– Och... – wrywa mi się jęk, tym razem głębszy i donośniejszy niż wcześniejszy okrzyk.

W tym momencie rozlega się szuranie butów na kamieniu. Ktoś nadchodzi pospiesznym krokiem. Odskakujemy od siebie, poły mojego płaszcza opadają i pryham z rozbawieniem, podczas gdy młody mężczyzna w garniturze zbiega po kamiennych schodkach i wypada na dziedziniec. Przechodzi obok, nawet na nas nie spoglądając, i zmierza w stronę metra. Dziedziniec jest nieoświetlony, a ty stoisz teraz tyłem do mnie, więc dopiero gdy odwracasz się z uśmiechem na twarzy, widzę, że w palcach trzymasz papierosa.

– Nie wiedziałam, że palisz – mówię lekko chropawym głosem, wciąż przestraszona tym, że niemal zostaliśmy przyłapani.

– Nie palę – mówisz, z powrotem chowając papierosa. – Trzymam jednego w lewej kieszeni, na wszelki wypadek. Wyjaśnia wiele rzeczy: dlaczego jesteś na zewnątrz, dlaczego się wałęsasz. Jeśli musisz, zawsze możesz do kogoś podejść i poprosić o ogień. Gazety też się do tego nadają. Nikt nigdy nie zwraca uwagi na człowieka czytającego „Evening Standard” na ulicy i nie zastanawia się, dlaczego tam stoi. To po prostu ktoś, kto czyta gazetę.

Znowu słychać kroki na kamiennym bruku. Tym razem obcasy. Dwie młode kobiety w eleganckich spódnicach i żakietach schodzą po stopniach, rozmawiając ze sobą. Jedna z nich obdarza mnie lekceważącym spojrzeniem, jakby pomyślała sobie coś o mnie, gdyby w ogóle zwracała sobie mną głowę.

Bierzesz mnie za ramię.

– Chodź – mówisz. – Zamierzałem w tobie dojść, ale wciąż kręci się tu za dużo ludzi.

\*\*\*

Gdy docieramy z powrotem do stacji metra, mówisz:

– No dobrze...

A ja uświadamiam sobie, że zamierzasz mnie tutaj zostawić, pozwolić, żebym wróciła do domu, podczas gdy ty gdzieś się udasz. Jestem zdezorientowana. Nagle wygląda na to, że bardzo ci się spieszy. Ale przecież gdyby nikt nie przechodził przez tamten dziedziniec, nie myślałbyś teraz o tym, żeby odejść. Byłbyś skupiony na mnie.

– Tak, pewnie. Poradzę sobie. To do zobaczenia. Porozmawiamy jutro – mówię i odwracam się szybko.

Jestem zdeterminowana, żeby być tą, która odejdzie pierwsza.

Robię jednak nie więcej niż jeden krok, gdy łapiesz mnie za ramię.

– Hej... – mówisz.

Zatrzymujemy się i stajemy przodem do siebie. Wlepiam wzrok w twoje buty. Co to za głupia gra toczy się między nami? Oboje jesteśmy w średnim wieku. To śmieszne. My jesteśmy śmieszni.

– Byłeś tam wcześniej, prawda? – mamrocę i dopiero gdy wypowiadam te słowa, dociera do mnie, że właśnie to mi dokucza.

Myślałam, że po prostu przechadzamy się nabrzeżem, ale ty wiedziałeś dokładnie, dokąd idziemy. Miałaś plan. Może nawet spóźniłaś się celowo, bo zakładałaś, że im będzie ciemniej, tym większa szansa na skorzystanie z tamtego zaułka.

Wzdychasz, a twoje westchnienie sprawia, że czuję się infantylnie.

– Posłuchaj... – zaczynasz, a ja czekam. Tym razem nie zamierzam ci pomagać, udając, że traktuję to wszystko równie swobodnie jak ty. Nie mam zamiaru ci odpuścić. – Przecież wiesz, znasz mnie już... – próbujesz tłumaczyć.

Unosisz rękę i przeczesujesz palcami włosy z odrobiną błagalnym wyrazem twarzy. Ludzie pędzą wte i wewte spóźnieni do domu. Mijają nas w pośpiechu, nawet nie spoglądając.

– Czy to właśnie lubisz? – pytam, celowo zachowując lekki ton.

Nie chcę, żebyś spanikował i skłamał.

– Tak – przyznajesz. – To zawsze... mnie podniecało. Parkingi, toalety, otwarta przestrzeń... sam nie wiem. – Bezradnie unosisz rękę.

W mojej głowie kłębi się milion pytań. Pierwsze z nich brzmi: Czy twoja żona o tym wie? Czy robisz to również z nią albo czy kiedyś z nią to robiłeś?, a następne: A więc ile romansów miałaś przede mną?

Wzruszasz ramionami, jak chłopiec. Patrzysz na mnie i się krzywisz.

– Po prostu podnieca mnie... sam nie wiem... nieprzyzwoitość tego wszystkiego, czynnik ryzyka. To chyba swego rodzaju uzależnienie od adrenaliny. Mnóstwo ludzi robi coś takiego. Albo podobnego. Każdy chce czasami poczuć ryzyko, czyż nie? Gdy patrzę na ludzi, z którymi pracuję, dochodzę do wniosku, że to wyłącznie kwestia rodzaju ryzyka, jakie wybierzesz. Jeden z moich znajomych w weekendy uprawia paralotniarstwo. Łamie obojczyk za każdym razem, gdy ląduje. Ma czworo dzieci. Ja przynajmniej nie skaczę z urwiska.

Nie, myślę z odrobiną goryczy. Ty tylko prosisz innych, żeby to robili.

Stoimy przed stacją metra Temple. Jest ciemno i zimniej niż powinno być o tej porze roku. Uświadamiam sobie, że mnie nie podnieca możliwość bycia przyłapaną – właściwie to wręcz przeciwnie. Mnie podniecają myśli o pokojach hotelowych, o świeżo wyprasowanych białych prześcieradłach, miękkich dekoracyjnych tkaninach, przyćmionym świetle i lustrach, w które możemy spoglądać tylko my, o anonimowości i prywatności, o przebywaniu gdzieś, gdzie nikt nie będzie mógł nas znaleźć. Ale mówię tylko:

– Cóż, tę rozmowę będziemy musieli odbyć innym razem.

– Odbądźmy ją teraz – nalegasz, a ja uśmiecham się w duchu, bo jestem pewna, że nic nie utrzymałoby cię przy mnie bardziej niż myśl, że mogę zatajać jakieś informacje.

Przypominam sobie, co kiedyś powiedziała mi Susannah: „Jest pewien rodzaj mężczyzn, których urok polega właśnie na ich przewidywalności”. Powtórzyłabym ci tę uwagę, ale podejrzewam, że uznałbyś ją za obraźliwą.

– No dalej – pochylasz się ku mnie.

Ledwo dostrzegalnie kręcę głową, ale z uśmiechem. Unosisz palec i delikatnie, ale zdecydowanie

dźgasz mnie nim w czoło.

– A więc co się tam dzieje? W tej właśnie chwili? Co się tam dzieje?

Rozglądam się.

– Jesteśmy dość blisko – mówię.

Mam na myśli okolice twojej pracy i to, że może nas minąć ktoś, kto cię zna. Ale tak naprawdę wykręcam się od odpowiedzi. Ostatecznie nie przejmowałam się tym, gdy całowaliśmy się w Victoria Embankment Gardens, a wtedy byliśmy przecież jeszcze bliżej.

Krzyżujesz ramiona na piersi i patrzysz na mnie spode łba, odgrywając rolę śledczego.

– Zatem lepiej powiedz mi, o czym myślisz, inaczej możemy tu spędzić trochę czasu.

– Co to oznacza? – pytam, ale nawet ja widzę, że unikam tematu. – Ryzykowny seks. O co w tym chodzi?

Trzeba przyznać, że traktujesz to pytanie poważnie. Wzruszasz ramionami.

– O nic. Po prostu to lubię, tak jak niektórzy lubią robić to rano, a inni lubią się przebierać. A jeszcze innym sprawia przyjemność seks pod prysznicem.

Grupa kobiet w wysokich szpilkach pojawia się skądś i przepycha tak blisko nas, że musisz wziąć mnie za łokieć i delikatnie odciągnąć na bok, ale wciąż nikt na nas nie patrzy. Jesteśmy po prostu mężczyzną i kobietą, którzy rozmawiają, zanim się rozejdą.

Znalazłam się w kropce. Tak naprawdę chciałabym wiedzieć, czy zabrałeś już kogoś do tego zaułka. Zgaduję, że odpowiedź brzmi „tak” i że ostatnim razem ci się poszczęściło, bo pora była późniejsza. Ale nie mogę o to zapytać, bo zdradziłabym brak pewności siebie, chociaż za chwilę i tak go odkryjesz. Nagle czuję, że nie zniosłabym związanego z tym upokorzenia, i jest tylko jeden sposób na to, by odwrócić twoją uwagę, więc pytam:

– Chcesz wiedzieć, o czym ja fantazjuję?

– Oczywiście.

– O porwaniu przez kosmitów.

Patrzysz na mnie, jakbyś chciał zawołać: „Co takiego?!”. Uśmiecham się i kiwam głową.

– Serio. Fantazjuję, że zostałam porwana przez kosmitów i leżę na okrągłym białym łóżku, oczywiście zupełnie naga. Nad łóżkiem, wokół niego, jest taki balkon, a na balkonie stoją kosmici i wszyscy patrzą na mnie, na moją nagość. Mali mężczyźni ze spiczastymi głowami.

– Zmyślasz.

Śmieję się.

– No tak, przecież to fantazja.

– Nie, chodzi mi o to, że teraz to wymyśliłaś. Nabijasz się ze mnie.

Kręcę głową.

– Nie, przysięgam, serio, myślę o tym dość często, w trakcie.

– Spiczaste głowy?

– Wiem, dość oczywiste, co nie?

Unosisz dłoń i drapiesz się w tył głowy.

– Wydawało mi się, że seksualna fantazja jednej z czołowych badaczek w naszym kraju będzie odrobinę bardziej wyrafinowana.

– Tak wyrafinowana, jak robienie tego w miejskich zaułkach w trakcie godzin szczytu?

– Jeden do zera – mówisz po chwili milczenia.

Uśmiechamy się do siebie, napięcie prysło. Przekonałam cię, że dorównuję ci w tego rodzaju przekomarzankach. Zdołałam uniknąć upokorzenia.

Duma to straszliwe uczucie. To ona sprawia, że odwracam się w tym momencie, chociaż jedyne, czego tak naprawdę pragnę, to dalej spacerować z tobą wzdłuż rzeki, trzymając się za ręce, a potem przejść na South Bank i usiąść w barze w Royal Festival Hall, by posłuchać trochę jazzu, jeśli ktoś akurat będzie grał, a potem zjeść kolację w jakiejś restauracji, podczas gdy nasze kolana będą się ocierać o siebie pod stołem. To duma sprawia, że opuszczam cię, nawet nie pytając, czy taki scenariusz jest możliwy. Pragnę tego tak bardzo, że nie mogę znieść myśli, iż zostałam odrzucona. Mój mąż spędza dziś wieczór na koncercie. Mogłabym długo być z tobą. Może ty też byś mógł. Może zaprowadziłeś mnie do metra, bo założyłeś, że muszę wrócić do domu. Stracimy jedną z rzadkich okazji na spędzenie razem całego wieczoru, bo żadne z nas nie poruszy tego tematu, żadne z nas nie będzie chciało być dyspozycyjne.

– Lepiej już pójdę – mówię, odwracając się.

Nawet nie próbujesz mnie obdarzyć jednym z tych niewinnych publicznych objęć. Unosisz dłoń w geście pożegnania i pozwalasz mi odejść. Zatrzymuję się przed wejściem na perony, żeby doładować kartę miejską, w nadziei że może jednak za mną pójdziesz, ale oczywiście tego nie robisz. Powstrzymuję się, żeby nie pobiec za tobą ulicą, chociaż i tak nie wiedziałabym, w którą stronę poszedłeś. Wróciłeś do domu czy do biura? A może na wieczorne spotkanie z przyjaciółmi czy z inną kobietą, teraz, gdy zapadły zupełne ciemności, a zaułki opustoszały. Nie mam pojęcia i nie mam prawa pytać.

Gdy przechodzę przez bramkę, telefon, który mi dałeś, wibruje w mojej kieszeni. Wyjmuję go i odczytuję esemes od ciebie: „Gdy dotrzesz do domu, wyślij mi zdjęcie tego, co robisz, gdy myślisz o mężczyznach ze spiczastymi głowami. Proszę!”. Wbrew sobie uśmiecham się, bo wiem, że muszę brać to wszystko takim, jakie jest, i próbować traktować życie jak dobrodziejstwo – czasami zagmatwane i frustrujące, ale dobrodziejstwo.

\*\*\*

Tej nocy budzę się jakąś godzinę po tym, jak poszliśmy z mężem spać. Leży odwrócony plecami do mnie, pochrapując cicho. Widzę zarys jego ciała w zielonym blasku rzucanym przez zegar, który wyświetla godzinę na suficie. Oboje lubimy spać przy odrobinie światła, to pozostałość po wszystkich tych latach, gdy zostawialiśmy włączone światło w przedpokoju i otwarte drzwi od sypialni na wypadek, gdyby któreś z dzieci obudziło się w nocy. Kołdra zsunęła się, odsłaniając jego piegowate plecy. Przerzedzające się włosy z tyłu głowy wzbudzają we mnie czułość. Uśmiecham się do siebie, myśląc o tym, jak trudno go czasami dobudzić, zwłaszcza w pierwszej godzinie snu. Mój mąż traci przytomność



równie łatwo i pewnie jak nurek głębinowy wpadający do morza.

A ja pieprzę się ze szpiegiem.

To by wszystko wyjaśniało: to, z jaką łatwością poruszasz się po pałacu Westminster, to, że jesteś zazwyczaj panem swego czasu, ale zawsze możesz zostać wezwany w pilnych sprawach, twoje okresy milczenia. To wyjaśnia, dlaczego jesteś uzależniony od adrenaliny, dlaczego – gdy mnie pragniesz – jesteś w stanie zdręzczać mnie telefonami i esemesami i chcesz mnie dokładnie w tej chwili, ale kiedy indziej wydajesz się niemal obojętny. To wyjaśnia twoją wyjątkową tajemniczość, która zawsze wydawała mi się przesadna w przypadku zwykłego cudzołóstwa – cała ta historia z telefonami na kartę, zakaz kontaktu mailowego, pełne dramatyizmu zasady, na jakich się spotykamy. Może właśnie w taki sposób przeżywa romans człowiek, który jest zaangażowany w kwestie bezpieczeństwa narodowego.

Teraz już rozumiem, dlaczego chcesz wiedzieć tak wiele o mnie, ale zdradzasz tak mało o sobie, dlaczego tak często wydajesz się przeświadczony, do granic arogancji, że możesz mnie przekonać do zrobienia wszystkiego. To dlatego tyle wiesz o kamerach przemysłowych i sztuce kamuflażu.

Tym rozważaniom towarzyszy dreszczyk emocji. To podniecenie czy strach? A może jakaś dziwna kombinacja obu tych uczuć? Jeśli jesteś szpiegiem, to co się stanie, gdy zaczniesz podejrzewać, że mam przed tobą jakieś tajemnice? Czy możesz wysledzić telefon, który mi dałeś? Czy zakazałeś kontaktów mailowych między nami, żeby mnie chronić, bo nasz związek mógłby mnie narazić na niebezpieczeństwo? Co się stanie, jeśli... – i ta myśl wydaje mi się nowa, świeża, dopiero co wykluta – ...co się stanie, jeśli ja zechcę to zakończyć?

Mój mąż mamrocze coś przez sen, odwraca się twarzą do mnie, znowu coś mamrocze i przekręca się z powrotem na drugi bok. Myślę o powadze, jaka malowała się na twojej twarzy, gdy dawałeś mi telefon. Czy zupełnie się co do ciebie pomyliłam? Mam na myśli to, co robimy, oraz to, kim jesteś. Czy istnieje jakakolwiek szansa, że mógłbyś być mściwy albo niebezpieczny, że coś może zagrażać mojemu mężowi, a może nawet moim dzieciom? Ta myśl sprawia, że serce zaczyna mi walić. Robię kilka głębokich oddechów i mówię sobie: Nie bądź głupia... nikomu nic nie grozi... Jest środek nocy. Nocą ludzie mają skłonności do wyolbrzymiania wszystkiego. To dobrze znany fakt. Pomyśl racjonalnie, nakazuję sobie. To tylko seks. Skończy się w chwili, gdy ten mężczyzna straci zainteresowanie tobą, a gdy już przerobicie cały repertuar jego ulubionych miejscówek, niemal z pewnością tak się stanie. To potrwa najwyżej trzy miesiące. Twoja duma zostanie zraniona, poczujesz niewielki miłosny zawód i pomyślisz, że na to zasłużyłaś. Posnujesz się trochę bez celu, aż w końcu otrząsniesz się z tego i wszystko wróci do normy. Tylko tyle się wydarzy.

Zastanawiam się, czy powinnam czuć większe, czy mniejsze wyrzuty sumienia, bo pracujesz dla sił bezpieczeństwa. Ale potem uświadamiam sobie, że nie mam problemu z poczuciem winy. Prawda jest taka – chociaż nie jestem z tego dumna – że wręcz czuję, iż to mi się należy. Że ty mi się należysz. Przez dwadzieścia osiem lat robiłam wszystko, o co mnie proszono, pracowałam ciężko i wspierałam rodzinę, kochałam męża, wychowywałam dzieci, wniosłam swój wkład do społeczeństwa. Segreguję też śmieci. Czy za to wszystko nie należy mi się coś od życia? Szukam usprawiedliwień jak mężczyzna, myślę sobie.

Dokładnie coś takiego powiedziałyby sobie mężczyzna nazajutrz po uwiedzeniu sekretarki. Nikt się nigdy nie dowie, nikt przez to nie ucierpi.

Ale ja nie uwiodłam sekretarki. Wybrałam bardzo ostrożnie, chociaż w tamtym momencie nie wiedziałam, że w ogóle wybieram. Robię to z mężczyzną, który chce i potrafi zadbać o to, abyśmy nigdy nie zostali odkryci. Nie uganiałam się za młodą wrażliwą kobietą, nad którą miałabym jakąś władzę. Nie wykorzystyłam swojej pozycji i nie pozwoliłam sobie na zaangażowanie w związek z kimś, kto mnie uwielbia albo się we mnie zakochał. I nie miałam cholernego dwuletniego romansu, wymagającego oszukiwania małżonka na wszelkie sposoby. Ja zawarłam umowę. Pieprzę się ze szpiegiem, który lubi ryzyko i pogoń za nowością. Może to brzmi dziwnie, ale w rzeczywistości ten układ nie mógłby być bezpieczniejszy.

Na zewnątrz, w ogrodzie, rozlega się krótki ostry krzyk jednego z miejskich lisów, które mieszkają w okolicy, a potem zapada cisza.

## 6

Trudno mi mówić o tym, co wydarzyło się potem, mój ukochany. I wiem, że to nie jest dla ciebie zaskoczeniem. W tym momencie przerywam moją opowieść, zarówno w myślach, jak i w sercu – czuję paraliż i drżenie, ogarnia mnie napięcie właściwe komuś, kto panicznie boi się pajaków i staje z wahaniem na progu pomieszczenia, w którym mógłby na nie natrafić. Są miejsca, do których ja też wolałabym nie wchodzić – czy też, ściślej mówiąc, jedno takie miejsce. Próbuję jednak być szczerą, jakkolwiek jest to bolesne. Przekonuję samą siebie, że jeśli zdołam stawić temu czoło, jeśli dam radę opowiedzieć o tym tak, jakby to był tylko zwykły wypadek samochodowy, wszystko będzie w porządku. Tak, właśnie tak, opowiem o tym w taki sposób, jakby to był wypadek samochodowy. Opowiem, jak jechałam środkowym pasem autostrady, zerkając w lusterko po prawej stronie, bo jakiś przerażający srebrny samochód pędził pasem wyprzedzania i pomyślałam, że to może być niebezpieczne. Gdy mnie wyprzedzał, bałam się, że zjedzie na mnie. I dokładnie w momencie, gdy skupiałam całą uwagę na przerażającym srebrnym samochodzie i zastanawiałam się, jak bardzo może być niebezpieczny, z lewej, z pasa, którym jeździ się najwolniej, niewinnie wyglądający rodzinny sedan uderzył prosto we mnie.

Wypadki samochodowe zdarzają się cały czas, wszyscy to wiedzą. Są tak powszechne, że bierzemy je za coś normalnego. Ale niezależnie od tego, jak często do nich dochodzi, nikt nie wierzy, że taki wypadek kiedykolwiek przytrafi się jemu. Jeśli przez lata jeździłeś bezpiecznie, żywisz iluzoryczne przekonanie, że wypadki to cudze tragedie, że może nawet niektórym przytrafiają się częściej niż innym – tym, którzy okazali się nieostrożni czy niekompetentni albo wręcz głupi. Ale tobie się to nie przytrafi. Po prostu nie umiesz sobie wyobrazić, że mógłbyś stać się ofiarą takiego zdarzenia.

Wzbijam się w powietrze, wirując bezradnie w bryle metalu, w której jestem uwięziona, i nawet nie mam czasu, żeby pogodzić się z myślą, że gdy mój koziołkujący samochód uderzy w ziemię, i on, i ja, i wszystko stanie w płomieniach.

\*\*\*

Gdy tylko wszedłeś do kawiarni tamtego wieczoru – wieczoru, kiedy to się wydarzyło – zrozumiałam, że jesteś w niebezpiecznym nastroju.

Mimo przyćmionych świateł rozpoznałam twoją minę, jeszcze zanim ty mnie dostrzegłeś. Myślę o tym, że twoje nastroje są zawsze rozbrajająco oczywiste. Jak zwykle jesteś spóźniony. Rozglądasz się wokół, stając pośrodku kawiarni, i patrzysz na mnie niewidzącym wzrokiem. Jesteś zirytowany na kogoś innego,

ale nie potrafisz nic na to poradzić, że wściekłość odbija się w twoim spojrzeniu. To zdarzyło się już wcześniej i wiem, że nasza rozmowa będzie zabarwiona agresją z twojej strony i defensywnym przekomarzaniem się z mojej. Postanowiłam, że będę sobie radzić w takich sytuacjach. Czasami rzucasz jakąś nieprzyjemną uwagę pod adresem swojej żony, krótką i niespodziewaną. Tylko w takich chwilach bywasz wobec niej nielojalny. „Lepiej już pójdę, inaczej z n o w u będę miał kłopoty”, zdarza ci się powiedzieć. W takich momentach czuję się rozdarta. Nie powinnam zachęcać cię do podobnej nielojalności, zresztą gdy myślę o godzinach, w jakich pracujesz, dochodzę do wniosku, że zasługujesz na każdy gram tych kłopotów. Powiedziałaś o swojej żonie bardzo mało, ale jestem przekonana, że to rozsądna kobieta. W takich chwilach, chociaż szaleję za tobą i nigdy jej nie spotkałam, do pewnego stopnia się z nią solidaryzuję. A jednocześnie jakaś mała, podła część mnie jest zadowolona, ma ochotę powiedzieć: „Zwierz mi się, bądź nielojalny, ja nie zdradzę twojego zaufania i to zacieśni więzi między nami”. Ale to byłaby krótkowzroczna strategia; czuję to instynktownie, chociaż zabawa w cudzołóstwo jest dla mnie zupełną nowością. Niezależnie od tego, jaką przewagę mogłabym w ten sposób zdobyć, prędzej czy później obróciłoby się to przeciwko mnie. Jest trochę za późno na moralizowanie, ale czuję, że powinnam przynajmniej starać się nie pogłębiać mojego statusu jako... Jako kogo? Tej łatwej i taniej? Jak to działa w twojej głowie, mój drogi? Czy naprawdę jesteś takim tradycjonalistą? Czy dzielisz kobiety na takie, które nadają się na żonę, i na kochanki? A jeśli tak, to czy nie jesteś odrobinę zdezorientowany? Pod tyłoma względami jestem tradycyjną, typową żoną. Gdybyśmy się spotkali i pobrali w młodości, siedziałabym teraz w naszym domu, a gdybyś ty wrócił dwie godziny później, niż zapowiadałeś, bez wątpienia ze mną też miałbyś kłopoty.

Umówiliśmy się w kawiarni za kościołem Świętego Jakuba, w jednej z tych kafejek, które lubią udawać salon. Opadasz na fotel naprzeciwko, wyciągasz jeden ze swoich telefonów z kieszeni dużego wełnianego płaszcza i sprawdzasz go, po czym chowasz z powrotem. Patrzysz na mnie i uśmiechasz się, ale widzę, że myśłami jesteś gdzie indziej. A zatem tym razem chodzi o sprawy zawodowe, a nie o żonę. Opuściłeś biuro, żeby się ze mną spotkać, ale zostawiłeś jakąś ważną nierozwiązaną kwestię.

Mnie czeka dziś impreza wydziałowa na uniwersytecie. Kierownik katedry nauk ścisłych przechodzi na emeryturę i urządza spotkanie dla wszystkich pracowników dydaktycznych, garstki wybranych zewnętrznych egzaminatorów takich jak ja oraz rozmaitych naukowców z prywatnych instytucji i fundacji. Jego żona handluje francuskimi winami i prowadzi catering, więc wszyscy wiele sobie obiecują po tym przyjęciu. Nie byłam na takiej imprezie już od jakiegoś czasu i cieszę się na nią. Zaproponowałam ci to spotkanie, bo jeszcze nie widziałeś mnie wystrojonej, zawsze tylko w oficjalnych ubraniach. Miałam nadzieję, że cię olśnię, ale chociaż ostrzegłam przez esemes, że będę w imprezowym stroju, jeszcze tego nie zauważyłeś.

– Zamówić ci kawę? – pytam głosem, który miał być uprzejmy i wyrozumiały, ale brzmi dość protekcjonalnie.

Najwyraźniej tego nie zauważasz, a jeśli tak, to jesteś zbyt roztargniony, by się tym przejmować.

– Białą americano – odpowiadasz, nie dziękując.

Znowu wyciągasz jeden z telefonów i natychmiast zaczynasz sprawdzać pocztę. Nie wiem, co robić w takich chwilach. Irytacja byłaby chyba jak najbardziej naturalna, ale chociaż chciałabym odgrywać w twoim życiu wiele ról, nadąsana kochanka nie jest jedną z nich. Wstaję więc i idę do baru. Po złożeniu zamówienia zerkam na ciebie – wystukujesz coś na telefonie. Płacę za kawę i znowu zerkam przez ramię, wciąż czekając przy barze. Chowasz aparat do wewnętrznej kieszeni, a potem nagle podnosisz wzrok na mnie i oto na twoich ustach pojawia się ten skrzący się uśmiech. Już wiem, że załatwiłeś to coś, co cię dręczyło, i przez kilka następnych minut, czy ile tam czasu mamy, będziesz mój.

Odwracam się z powrotem do baru, zabieram gotową kawę i wracam na miejsce, lawirując między załoczonymi stolikami. Nie patrzę na ciebie, ale wiem, że ty patrzysz na mnie. W końcu mnie dostrzegłeś.

Znajduję drogę między fotelami, przeciskając się bokiem i poruszając przy tym biodrami. Wiem, że sukienka, którą mam na sobie, podkreśla moje atuty. Dobrej jakości czarny materiał, zebrany we właściwych miejscach, maskuje krągłości i sprawia, że wyglądam zmysłowo. Właśnie to teraz widzisz. Skłonienie cię do tego, żebyś mnie zauważył, bywa trudne. Gdy wszedłeś do kawiarni, miałam na sobie dokładnie tę samą sukienkę, ale ty myślałeś gdzie indziej. Teraz nagle twoja uwaga skupiła się na mnie całkowicie, a im bardziej się we mnie wpatrujesz, tym bardziej ja kołyszę biodrami, a im bardziej ja kołyszę biodrami, tym intensywniejsze staje się twoje spojrzenie, i w chwili, gdy docieram do naszego stolika, już jestem mokra, tylko pod wpływem twojego wzroku. Usta masz lekko rozchylone, gdy stawiam przed tobą kawę.

– Wiesz, to naprawdę całkiem skromny strój... – mówisz, skinieniem głowy wskazując na moją sukienkę.

Wciąż żadnego dziękuję.

– Tak myślisz? – Uśmiecham się.

– Cóż, wedle esemesa to miała być imprezowa sukienka. Jest dłuższa, niż się spodziewałem, ma długie rękawy, ale ten fragment... – Zawieszasz wzrok na dekolcie odsłaniającym rowek między piersiami.

Z jakiegoś powodu ta część mojego ciała jakoś się nie zestarzała. Jeszcze nie pojawiły się na niej brązowe plamy ani bruzdy, chociaż jestem pewna, że to tylko kwestia czasu.

Podnoszę filiżankę z kawą do ust i upijam łyk, patrząc na ciebie nad krawędzią. Obserwujesz mnie uważnie. Odstawiam filiżankę i czekam, aż się odezwiesz. Pochylasz się do przodu w swoim fotelu.

– Idź do damskiej toalety i zdejmij majtki.

Patrzę na ciebie. Popędzasz mnie skinieniem głowy: no dalej.

Wstaję znowu z fotela, odczuwając tę samą mieszaninę niedowierzania, irytacji i uległości, co podczas kupowania ci kawy. Kim ja jestem? Kim ja niby jestem twoim zdaniem?

W toalecie robię siusiu, a potem posłusznie wykonuję twoje polecenie.

Kim ja jestem? Przeglądam się w lustrze, myjąc ręce. Majtki leżą zwinięte w kulkę w torebce.

Gdy wracam z łazienki, patrzysz na mnie i nie przestajesz mnie obserwować, gdy przechodzę między stolikami. Lustrujesz mnie wzrokiem od stóp do głów i unosisz brwi. Siadam i otwieram torebkę. Zerkasz do środka, a potem, nawet nie rozglądając się, żeby sprawdzić, czy ktoś na nas patrzy, sięgasz po

zwinięte w kulkę majteczki i zaciskasz je w pięści. Unosisz rękę, zerkasz na nie, po czym chowasz do kieszeni płaszcz.

– Stringi. Łatwy dostęp, he? Skromna sukienka, ale stringi pod spodem. Nieźle.

Udaję oburzenie, chociaż wiedziałam, że to właśnie zrobisz.

– Oddawaj je – syczę, rozglądając się wokół.

Inne stoliki stoją w bliskim sąsiedztwie, ale my siedzimy nieco niżej, bo w głębokich fotelach, a szmer konwersacji jest wystarczająco głośny, żeby nikt nie mógł nas podsłuchać.

– Nie – mówisz, patrząc mi w oczy.

– Oddawaj – powtarzam, ale w moim głosie pobrzmiewa rozbawienie.

– Masz pończochy samonośne, prawda?

– Jest ciepły wieczór... – śmieję się, ale z zakłopotaniem, bo prawda jest taka, że włożyłam je dla ciebie, spodziewając się dokładnie takiego scenariusza.

– Idź na przyjęcie bez majtek. Tylko ty i ja będziemy o tym wiedzieć. Ale wszyscy mężczyźni będą krążyć wokół ciebie jak psy. Wyczują to, chociaż nie będą właściwie wiedzieli, co ich do ciebie przyciąga.

– Przecież ciebie nawet tam nie będzie.

– Ale i tak będę wiedział.

– Oddaj je.

– Dobrze, za chwilę. Przez jakiś czas potrzymam je jako zakładnika... W porządku?

Sięgasz do kieszeni po telefon i przez chwilę myślę, że znowu zaczniesz sprawdzać pocztę, ale tylko klikasz kilka razy, po czym wyciągasz go w moją stronę.

– To robiłem dziś w czasie lunchu, myśląc o tobie.

Mój skarbie, nie przyznałam ci się wtedy do tego, bo nie chciałam odbierać ci pewności siebie, ale nagrania wideo nigdy mnie nie podniecały. Mówią, że mężczyźni podniecają obrazy, a kobiety – słowa. Nie wiem, czy to prawda. Niektóre obrazy mi się podobają. Podobało mi się to zdjęcie, które sobie zrobiłeś, gdy byłeś rozgniewany staniem w korku. Nie wiem, dlaczego właśnie to, ale tak było. Połączenie twojej seksownej, rozgniewanej miny z tym, że chciałeś się ze mną podzielić swoją irytacją. To zdumiewające, co może nas podniecać. A tamtego wieczoru w kawiarni nie podnieciło mnie twoje nagranie, lecz twoja prostolinijność, przekonanie, że to, co podziało na ciebie, podziało również na mnie i tylko tyle nam potrzeba. Twoja prostolinijność i głębokie podniecenie, twoja apodyktyczność połączona z pragnieniem. Czasami zachowywałeś się jak dziecko. Chciałeś czegoś i musiałeś to dostać natychmiast. Czy pożałowałam cię tak bardzo tamtego dnia, bo sprawiało mi przyjemność własne wyuzdanie, czy cieszyło mnie to, że folguję twoim pragnieniom? Zaprawdę wielu rzeczy nauka jeszcze nie wie.

Jakieś pół godziny później mówię do ciebie:

– Muszę już iść. Powinnam tam być w trakcie toastów.

– Będziesz się dobrze bawić? – pytasz, nagle nadąsany.

– No pewnie – odpowiadam.

Jestem w dobrym nastroju i to widać – upojona twoim pożądaniem, chociaż nie wypłam jeszcze ani odrobiny alkoholu. Wciąż nie wykombinowałam, jak odzyskać majtki.

– Chodź – mówisz i wstajesz ze swojego fotela. – Przejdźmy się.

Opuszczamy kawiarnię i odruchowo skręcam w stronę Piccadilly, ale ty ruszasz w przeciwnym kierunku, na południe, i zaczynasz iść Duke of York Street. Doganiam cię i patrzę na ciebie, ale znowu wydajesz się roztargniony. Zatrzymujesz się w połowie ulicy, całkiem blisko kawiarni, w której wypiliśmy naszą pierwszą kawę, i zastanawiam się, czy zamierzasz o tym wspomnieć. Po chwili ruszasz dalej, nawet nie patrząc, czy idę za tobą. Doganiam cię, trochę brakuje mi tchu. Rozglądasz się, po czym przystajesz na krawężniku, lekko pochylony do przodu, jakbyś zamierzał przejść przez jezdnię. Zza zakrętu wypada taksówka. Wyciągasz rękę, żeby zagrozić mi drogę. Gdy taksówka nas mija, wychodzisz na ulicę, a ja idę za tobą. Po drugiej stronie wchodzisz w małą uliczkę, która kończy się ślepym zaułkiem. Chociaż jest to ruchliwa okolica, a wczesnym wieczorem w pubie na rogu kłębi się tłum, tutaj jest całkowicie pusto – żadnych przechodniów i żadnych samochodów, bo obowiązuje tu zakaz parkowania. Nie ma też żadnych wejść do domów – budynki po obu stronach stoją tyłem do nas, a ich ślepe dwuskrzydłowe drzwi są przeznaczone wyłącznie dla dostawców.

Wiem, czego chcesz. To stało się oczywiste, gdy tylko skręciliśmy w ten zaułek. Widzę otwór drzwiowy w połowie drogi po lewej. Popychasz mnie do niego. Opieram się plecami o drzwi, a ty przyciskasz się do mnie, więc jesteśmy ukryci przed wzrokiem kogokolwiek, kto szedłby główną drogą. Widać nas tylko od strony budynku za tobą. Oceniasz go przez chwilę i decydujesz, że nie stanowi zagrożenia, po czym odwracasz się do mnie, przyciskasz usta do moich ust, i unosisz skraj mojej sukienki, a twoja dłoń jest mocna i ciepła i... Cóż, jak mam to ująć? Zawsze wiedziałeś, co robisz.

A potem jesteś już we mnie, a ja nie mogę uwierzyć, że robimy to na Piccadilly, w godzinach szczytu, podczas gdy zaledwie kilka metrów dalej ulicą spieszą setki ludzi.

Już po wszystkim znowu na moment dociskasz usta do moich ust, po czym zwracasz mi majtki. Potem robisz krok do tyłu, rozglądając się na boki, a ja naciągam majtki przez botki i pończochy. Nikt nie przechodził ulicą w tym czasie, ale to była tylko kwestia minut.

Zanim opuścimy wnękę, spoglądasz na mnie, uśmiechasz się, a potem unosisz palec wskazujący i przesuwasz nim po moim nosie.

– W porządku? – pytasz łagodnie.

Kiwam głową.

Idziemy razem uliczką w stronę jasnych światła i tłumów wracających z pracy, a ja odrobinę się chwieję w botkach na wysokim obcasie. Gdy docieramy do wylotu zaułka, zerkam w górę i widzę jego nazwę na tabliczce: Apple Tree Yard.

Część druga

---

**A, T, G i C**



# 7

Siedząc na ławie oskarżonych w sądzie karnym, można się poczuć niczym członek rodziny królewskiej – albo prezydenckiej. W otoczeniu strażników i kuloodpornego szkła zwykły śmiertelnik prawdopodobnie najlepiej może sobie wyobrazić, jak wygląda życie pod nieustanną ochroną. Ludzie nie traktują cię tutaj źle, są nawet wobec ciebie uprzejmi – w zinfantylizowany sposób. Znajdujesz się w centrum zainteresowania. Wszystko toczy się wokół ciebie.

Chociaż ława oskarżonych znajduje się na tyłach sali, pomieszczenie jest niskie i szerokie, więc masz widok na wszystko. Jedyną osobą, która cieszy się równie dobrym widokiem, to sędzia, zasiadający dokładnie naprzeciwko ciebie. Ty i sędzia stanowicie bieguny procesu sądowego. Ty jesteś eskortowany do i z sądu, on podobnie. Dla ciebie przygotowuje się posiłki – dla niego też. Oboje macie władzę, żeby przerwać postępowanie, wyrazić sprzeciw, zakwestionować zeznania świadków – chociaż ty musisz to robić za pośrednictwem swojego adwokata. Jest między wami tylko jedna różnica. On jest północą, a ty jesteś południem – stanowicie swoją odwrotność. Nie ma jednak wątpliwości, kto siedzi na niebiesiech. On może cię posłać do więzienia na całe życie. Ty zaś musisz próbować o tym nie myśleć, bo jeśli zaczniesz, to oszalejesz.

Najłatwiej o tym nie myśleć, skupiając się na swoich prawach. Twoje prawa mają tutaj znaczenie, a do obowiązków sędziego należy ich poszanowanie. Robert, mój obrońca, powiedział mi, że jedyną rzecz, jakiej obawia się sędzia Sądu Koronnego, to udana apelacja. Nie lubią nawet tych nieudanych. Bo to jedyny moment, gdy ich osąd bywa kwestionowany. Już choćby tylko z tego powodu każdy sędzia, niezależnie od tego, jak wielki ma autorytet, musi zachować czujność. Twoje prawa i potrzeby nie mogą zostać pogwałcone ani zignorowane w jakikolwiek sposób. To daje ci poczucie władzy – być może kruchej i iluzorycznej, ale zawsze władzy. I dlatego w trakcie procesu ty i sędzia jesteście nie tyle przeciwnikami, ile partnerami tkwiącymi w swego rodzaju zaaranżowanym małżeństwie. Ty spędzasz mnóstwo czasu, gapiąc się na niego i zastanawiając, z kim, do cholery, masz do czynienia. On poświęca go tyle samo na odwzajemnianie twojego spojrzenia i bez wątpienia zastanawianie się nad tym samym.

\*\*\*

W trakcie pierwszych dni procesu oczywiście uważnie śledziłam dowody, każdą uwagę prokuratora, zachowanie każdego świadka. Zauważałam wyraźną różnicę między fachowcami – technikami kryminalistycznymi, policjantami, świadkiem incognito – a amatorami, naocznymi świadkami, takimi jak

młody mężczyzna ze sklepu spożywczego, który widział, jak wsiadasz do mojego samochodu, właścicielka budynku czy taksówkarz. Fachowcy często składali zeznania na stojąco, zwracając się do sędziego z szacunkiem, odczytując przysięgę głośno i wyraźnie. Amatorzy kłaniali się z wdzięcznością, gdy sędzia się do nich zwracał: „Za plecami zobaczy pan/pani rozkładane siedzenie, proszę się nie krępować i go użyć...” – po czym siadali skwapliwie nie tyle dlatego, że mieli ochotę usiąść, ile że chcieli robić wszystko, co zdaniem sędziego mogłoby być dobrym pomysłem. Wyglądali na przestraszonych, ale dzielnych, zdeterminowanych, żeby spełnić swój obowiązek.

Początkowo obserwowałam każdego zeznającego, jakbym mogła odczytać w jego twarzy swój ostateczny los, jakby każde stwierdzenie, nieważne jak nieistotne czy banalne, mogło się okazać dla mnie punktem zwrotnym. Jeśli ktokolwiek powiedział coś, z czym się nie zgadzałam, notowałam to i poruszałam temat z Robertem pod koniec dnia. Później zdałam sobie sprawę, że zeznania żadnego z tych świadków nie zadecydują o tym, jak potoczy się nasz proces. Była tylko jedna osoba, która miała taką władzę – a tą osobą byłam ja. Ale ja nie musiałam się ustosunkowywać do zarzutów zawartych w akcie oskarżenia – oskarżyciel nie miał prawa mnie do tego zobligować. Żadnego oskarżonego nie można zmusić, żeby świadczył na własną niekorzyść.

Chociaż zamierzałam się koncentrować na słowach oskarżyciela przedstawiającego zarzuty, by być zorientowaną w sytuacji, przedłużające się prawnicze spory, przy których nie mogła być obecna ława przysięgłych, sprawiały, że czasami odwracałam na chwilę uwagę od tych debat, a moje spojrzenie kierowało się w stronę galerii dla publiczności. W niektórych momentach procesu musiała być pusta – opróżniono ją, gdy ja sama składałam część zeznań i gdy zeznawał świadek incognito, oczywiście. Czasami ochroniarz ociągał się z wpuszczaniem ludzi rano albo po przerwie na lunch i drzwi otwierały się dopiero w trakcie sesji. Susannah powiedziała mi później, że spędziła wiele czasu na betonowej klatce schodowej. Pierwszego dnia, jak wiele innych osób, została zaskoczona przepisem, wedle którego nie wolno wnosić na galerię telefonów komórkowych, a jednocześnie nie ma żadnej szafki ani pakamery, w której można by je zostawiać. Ochroniarz powiedział jej, że jeśli pójdzie do kawiarni po drugiej stronie ulicy, właściciel zaopiekuje się jej aparatem, pod warunkiem że zapłaci mu funta.

Susannah była na galerii niemal codziennie – zużyła połowę przysługującego jej w tym roku urlopu, żeby mnie wspierać. Ona też miała notes. Ława przysięgłych musiała ją zauważyć. Prawdopodobnie założyli, że jest moją siostrą albo kuzynką, a mnie to nie przeszkadzało, jako że to najbliższa mi osoba. Moja matka zmarła wiele lat temu, a ojca ledwie widywałam, od kiedy przeprowadził się do Szkocji ze swoją nową żoną; spotykamy się tylko raz na kilka lat. Gdy przebywałam na wolności za kaucją, rozmawialiśmy przez telefon całe trzy razy. Mój brat mieszka w Nowej Zelandii. Więc w trakcie rozprawy towarzyszyła mi tylko ona, siedząca pośród studentów, emerytów i przypadkowych gapiów, których roli nie potrafiłam zidentyfikować.

Z tego, co wiem, nikt nie wspierał ciebie, najdroższy – z wyjątkiem twojej żony tego jednego dnia, gdy wywołała zamieszanie i zakazano jej późniejszego wstępu na salę. To sprawiło, że zaczęłam się zastanawiać nad twoim życiem, to znaczy jeszcze bardziej niż wcześniej. Na wiele z moich pytań

usłyszałam odpowiedzi w trakcie naszego procesu; poznałam też odpowiedzi na pytania, których świadomie nigdy ci nie zadałam. Zyskałeś imię, stałeś się konkretną osobą – to była jedna z wielu ironii tej rozprawy.

Czasami podnosiłam wzrok na Susannah i zauważałam puste miejsca obok niej. Wyobrażałam tam sobie moją rodzinę: mojego męża, syna, córkę – Guya, Adama, Carrie. Tęskniłam za nimi tak bardzo, że czułam się wydrenowana tą tęsknotą. To, że sama ich błagałam, aby trzymali się z dala od procesu, nie sprawiło, iż tęskniłam za nimi mniej. Raczej jeszcze bardziej. Tych troje nie stanowi trzewii mojej opowieści – głównego dramatu, sprawy życia lub śmierci – ale jest jej bijącym sercem. To ludzie z mojej codzienności; wdycham ich i wydycham przy każdym ruchu klatki piersiowej. Gdy ostatecznie podsumuje się godziny, to oni wygrają.

\*\*\*

Zapytałeś mnie kiedyś, w jaki sposób Guy i ja się poznaliśmy, a ja powiedziałam, wzruszając ramionami: „Na uniwersytecie”, jakby to wszystko wyjaśniało. Później miałam z tego powodu wyrzuty sumienia. Bo ostatecznie to łatwa droga: pary, które poznały się na studiach, czasami zostają razem i się pobierają, a czasami nie – można pomyśleć, że nie mają odwagi albo fantazji.

Upłynęły zaledwie dwa tygodnie pierwszego roku studiów, gdy zobaczyłam Guya w kawiarence na wydziale nauk przyrodniczych. Było nas dziesięcioro i tłoczyliśmy się wokół małego stolika, sącząc kawę rozpuszczalną z plastikowych kubków. W tamtych czasach dziewczyny stanowiły rzadkość na kierunkach ścisłych, więc tamtego dnia w grupie byłyśmy tylko trzy. Pozostałe dwie już zdążyły się zaprzyjaźnić, obie czerpały radość ze swojego statusu.

– A więc kim jesteś? – zapytała mnie przy wszystkich jedna z nich.

Spotkałyśmy się wcześniej, ale najwyraźniej mnie nie pamiętała. Chłopcy siedzieli rozwaleni na krzesłach, niektórzy bujali się na nich z rozłożonymi ramionami. Naprzeciwko mnie siedział smukły, barczysty chłopak o długich prostych włosach. Przerzucał notatki z lekko ściągniętymi brwiami. Zauważyłam go, gdy tylko usiedliśmy, i nie wiem dlaczego, ale wyczułam, że inne dziewczyny też zwróciły na niego uwagę. Częściowo rzucał się w oczy z powodu swojej postury, ale chyba przede wszystkim z powodu obojętności, z jaką nas traktował. Pozostali chłopcy trochę się przed nami popisywali, pokrzykiwali, wrzucali całe ciasteczka do ust i dłubali w nosach.

– Yvonne – powiedziałam do dziewcząt, które siedziały tuż obok tego dużego milczącego typu, po jego prawej. – Yvonne Carmichael.

– Yvonne – dziewczyna, która zadała pytanie, przechyliła głowę na bok, uniosła lewą dłoń, przerzuciła gruby pukiel lśniących ciemnych włosów na ramię, owinęła go wokół palca, a potem znowu odrzuciła do tyłu. – Mam ciotkę imieniem Yvonne.

Dwóch chłopców prostacko wyszczerzyło zęby w uśmiechu.

– Yvonne Carmichael? – Duży chłopak podniósł na mnie wzrok znad notatek.

Pokiwałam głową.

– To ty zdobyłaś Nagrodę imienia Jennifer Tyrell.

Znowu potwierdziłam.

– Co to takiego? – zapytała druga dziewczyna, pochylając się do przodu i wlepiając w niego wzrok.

Popatrzył na mnie i uniósł brwi, pozwalając, żebym to ja odpowiedziała:

– To nagroda za esej z dziedziny nauk, przyznawana uczniom przedostatniej lub ostatniej klasy.

Ustanowili ją rodzice Jennifer.

Jennifer Tyrell była wyjątkowo błyskotliwą studentką z Glasgow, która zginęła w wypadku drogowym w trakcie pierwszego roku nauki. Rodzice ufundowali ogólnokrajową nagrodę jej imienia, żeby zachęcić dziewczęta do studiowania nauk ścisłych. Była to mało znana nagroda, konkurs organizowany przez jakiś instytut oświatowy w Londynie i wiedzieli o niej wyłącznie kierownicy katedr nauk ścisłych oraz uczniowie liceów w całym kraju. Gdy ją wygrałam za esej zatytułowany *O myszach i molekułach*, poświęcono mi dwa akapity w „Surrey and Sutton Advertiser”.

– Dostają setki zgłoszeń – dodał duży chłopak. – Konkurs jest przeznaczony tylko dla dziewcząt. Yvonne Carmichael.

– To takie seksistowskie – skwitowała jedna.

Chłopcy zebrani wokół stołu entuzjastycznie kiwali głowami, ale ja nie zwracałam na nich uwagi. Patrzyłam tylko na niego i myślałam o tym, z jakim naciskiem wymówił moje imię.

Pod koniec pierwszego trymestru zajmowałam już ustaloną pozycję w naszym towarzystwie – trudno było w to uwierzyć, ale stałam się dziewczyną samca alfa, chociaż Guy nie był nim w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Owszem, był potężny, ale zupełnie nie interesował się większością dziedzin sportu. Mimo to jego nieudawana obojętność oraz zaabsorbowanie pracą działały na mnie podobnie jak na innych. Wszyscy pozostawali pod jego wpływem. W weekendy często bywałam jedyną dziewczyną w domu, który dzielili, a oni czekali na okazję, aż będę sama, zwierzali mi się z tego, która dziewczyna im się podoba, i prosili mnie o radę. Gdy Guy i ja rozstaliśmy się na dwa trymestry w trakcie drugiego roku, co najmniej trzech z nich próbowało mnie poderwać, ale wiedziałam, że ma to związek wyłącznie ze statusem Guya. Nie chcieli przelecieć mnie, chcieli przelecieć jego. To jedna z rzeczy, które tak trudno pojąć kobietom – wpływ męskiej rywalizacji na ich seksualną atrakcyjność. Nie potrafimy myśleć o sobie jako o trofeach, podobnie jak trudno jest nam myśleć o sobie jako o ofiarach.

Guy i ja pobraliśmy się latem po ukończeniu studiów, a już jesienią byłam w ciąży. Większość ludzi zakładała, że zaliczyliśmy wpadkę, a nawet że to ciąża była powodem naszego małżeństwa, ale Adam był długo planowanym dzieckiem, podobnie jak Carrie, którą urodziłam wkrótce potem. Często nad tym dyskutowaliśmy. Postanowiliśmy, że najlepiej będzie, jeśli szybko spłodzimy dwoje dzieci w trakcie pisania doktoratów, bo dzięki temu będziemy mogli połączyć pracę nad nimi z wychowywaniem dzieci, a gdy zaczniemy habilitacje, one będą już w szkole.

Guy zrobił doktorat w trzy lata. Mnie zajęło to siedem lat. Zabawne.

Pamiętam dzień, gdy do mnie zadzwonił, cały rozemocjonowany, a właściwie to podekscytowany do granic możliwości. Nie był w stanie zachować nowiny dla siebie aż do powrotu do domu. Musiał mi powiedzieć – właśnie otrzymał stanowisko głównego badacza.

Adam i Carrie mieli wtedy dziewięć i osiem lat. Odebrałam ich ze szkoły dwie godziny wcześniej, ale potem jeszcze pojechaliśmy na zakupy, więc dopiero co wróciliśmy do domu. Carrie zalewała się łzami, bo jej najlepsza przyjaciółka powiedziała, że nie jest już jej najlepszą przyjaciółką. To wyglądało jak problem egzystencjalny: „Już n i e j e s t e m...” – powtarzała z płaczem. Z kolei Adam siedział na podłodze w kuchni, zgarbiony nad rondlem, i rozbryzgiwał jajka drewnianą łyżką – powiedziałam mu, że może je rozbełtać, podczas gdy będę rozmawiać z tatą przez telefon. Mieliśmy sobie zrobić jajecznicę na toście. Właśnie to jadaliliśmy na kolację, gdy Guy musiał zostać dłużej w pracy – powtórzone śniadanie.

Spojrzałam na podłogę. Cóż, zrobimy tyle jajecznicy, ile się da, skoro Adam rozsmarował połowę zawartości rondla na linoleum. Zajmowaliśmy trzypokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze. Nad nami mieszkali nowożeńcy, którzy bez ustanku się awanturowali. Czasami, gdy nocą leżałam bezsennie, słuchając, jak chodzą ciężkim krokiem i sobie docinają, miałam wrażenie, jakby ich nieszczęście sączyło się przez sufit do naszego mieszkania, na podobieństwo wilgoci.

Carrie siedziała na krześle, zawodząc jak kot. Dawno już przestała rozpaczać, ale starała się zwrócić moją uwagę. Tymczasem Adam próbował zebrać żółtko z podłogi drewnianą łyżką i wrzucić je z powrotem do rondla. Miał usposobienie znacznie młodszego dziecka. Wiedziałam, że zaledwie kilka sekund dzieli go od rzucenia łyżką przez pół pomieszczenia, a ta przekoziółkuje w powietrzu, po czym uderzy w ścianę tuż nad głową jego siostry. Czekałam, aż się to wydarzy, przyciskając słuchawkę do ucha, gdy Guy powiedział mi, że właśnie zaproponowano mu pracę marzeń. Główny badacz – grant przeszedł tego ranka. Zyskał fundusze na zatrudnienie habilitanta i dwóch doktorów, którzy będą pracować pod jego kierownictwem. Był kapitanem własnego statku. Laboratorium należało do niego. Po cichu nabrałam powietrza w płuca i powiedziałam, że to wspaniała, niesamowita wiadomość i że właśnie na to zasługiwał.

W trakcie następnego weekendu wpadłam w szal, dorównując wrzaskliwością parze z mieszkania nad nami. Powiedziałam Guyowi, że nigdy nie zdołam dokończyć propozycji projektu, nad którą pracowałam, jeśli w niedzielę nie zabierze dzieci z domu na popołudnie. Zrobił to bez sprzeciwu. To było coś, czego nigdy nie potrafił zrozumieć: owszem, gdy o to poprosiłam, dawał mi czas na pracę, ale dopóki nie zadeklarowałam, że potrzebuję go dla siebie, mój czas traktował jak własność całej rodziny. Z kolei jego czas należał wyłącznie do niego, jeśli nie zażądałam, żeby zaangażował się w nasze życie.

Nawet ci mili nie rozumieją, jak to jest. „O co ci chodzi? – pytają ze smutkiem. – Wystarczy, że poprosisz...” Dobry nastrój Guya w tamtym czasie – to pamiętam przede wszystkim. I z jakim trudem ukrywałam własne rozgoryczenie. On zdobył wszystko, czego kiedykolwiek pragnął. Był głównym badaczem i miał dostęp do biblioteki genomowej myszy w najbardziej prestiżowym instytucie badań nad rakiem w kraju.

– Nie uwierzyłybyś, jak dobrze są wyposażeni – powiedział. – Mają każdą modyfikację, każdą

kombinację. Powinnaś zobaczyć ten indeks.

Badania nad rakiem zawsze przyczyniały się do rozwoju bioinformatyki.

– Wszystko w zasięgu myszki.

A do tego miał mnie i dwoje pięknych dzieci. I na tyle rzadko bywał w domu, że uważał, iż moje obawy związane z zachowaniem Adama wynikają wyłącznie z matczynego niepokoju. Guy był optymistą w tamtych czasach, a jego głęboki entuzjazm przenikał nasze codzienne życie. Po tym, jak nadaliśmy imiona Adamowi i Carrie, zestawili ich inicjały ze swoim, a mnie przezwali Timmy – imieniem kota, którego miał w dzieciństwie. „Nukleotydy ponownie się zjednoczyły!” – deklarował, gdy wracał do domu. Gdy zrobił to po raz pierwszy, pomyślałam, że to całkiem dowcipne.

Ale jednej rzeczy ludzie, którzy mają dzieci, sobie nie uświadamiają tak do końca, chociaż niby to wiedzą – dzieci dorastają. Przestają rzucać łyżkami po kuchni czy lamentować nad utratą najlepszej przyjaciółki. Zaczynają się przed tobą ukrywać, wymykają się z domu, gdy tylko nie patrzysz, aż w końcu na stałe opuszczają rodzinne gniazdo. I to one decydują, kiedy nadchodzi na to odpowiedni moment. Jednego dnia robisz jajecznicę, płacząc i użalając się nad sobą, i udajesz przed dziećmi, że coś ci wpadło do oka, a następnego stoisz w sypialni syna, wtulając twarz w ręcznik kąpielowy, który tak uwielbiał, gdy miał cztery latka, i szlochasz, bo twoje dzieci dorosły i opuściły dom, a ty nie możesz uwierzyć, że nie byłaś wobec nich cieplejsza, bardziej życzliwa. Że nie przewidziałaś, jak szybko nadejdzie ten moment.

\*\*\*

Guy i ja zostaliśmy sami znacznie wcześniej niż nasi rówieśnicy. Można by pomyśleć, że wykorzystamy ten czas, aby ponownie się do siebie zbliżyć, jak to robią niektóre pary na emeryturze. Ale nam było daleko do emerytury. Byliśmy u szczytu karier. Zapewne dlatego dowiedziałam się o kochance mojego męża dopiero, gdy pojawiła się pod naszym domem w środku nocy i zdewastowała mi samochód. Prawdopodobnie chciała zdemolować jego auto, ale stało w garażu. Moje natomiast było zaparkowane na podjeździe, tuż pod wykuszowym oknem salonu. Kobieta weszła na podwórze, oderwała antenę i wycieraczki i rozbiła dwa boczne okna w moim wozie. Myślę, że pomimo gniewu za bardzo się bała, żeby zniszczyć przednią szybę, a może sądziła, że narobi za dużo hałasu. Nasza sypialnia wychodzi na ogród na tyłach domu, więc rzeczywiście niczego nie słyszeliśmy, ale niektórzy sąsiedzi musieli się zaniepokoić. Byłoby miło, gdyby chociaż jeden z nich zadzwonił na policję.

Dowiedziałam się o tym rano. Byłam akurat w sypialni. Wciąż pracowałam na cały etat w Instytucie Beauforta i tamtego dnia miałam brać udział w rekrutacji osoby na stanowisko asystenta badawczego. Prasowałam właśnie koszulę, w której moim zdaniem wyglądałam profesjonalnie i zdecydowanie, gdy Guy zszedł już do kuchni, żeby zrobić nam herbaty, ale wrócił na górę z pustymi rękami i poszarzałą twarzą. Stał w progu. Podniosłam wzrok i nasze spojrzenia się spotkały, jak to się zdarza, gdy jedna osoba musi przekazać drugiej jakąś ważną informację. W pierwszej chwili pomyślałam: Adam. Mąż zobaczył niepokój w moich szeroko otwartych oczach i pokręcił głową. Nie, nie to. Potem uniósł dłonie, jakby chciał się obronić przed ciosami, chociaż stałam bez ruchu nad deską do prasowania w bieliźnie,

rajstopach i spódnicy.

– Posłuchaj... – powiedział, delikatnie poklepując powietrze między nami. – Słuchaj, po prostu zostań na górze, w porządku?

Nie potrafiłam sobie wyobrazić, o czym on mówi.

– Posłuchaj – powtórzył. – Będziesz musiała mi zaufać. Po prostu... zostań tutaj.

Odwrócił się i odszedł, bardzo cicho zamykając za sobą drzwi.

Wciąż trzymałam żelazko w dłoni. Zerknęłam na zegarek przy łóżku, jakby mogła się na nim wyświetlić jakaś odpowiedź, ale poinformował mnie tylko, że jest siódma dziesiąta. Muszę wyjść z domu za dwadzieścia minut, pomyślałam. Dalej mechanicznie prasowałam koszulę.

Właśnie odstawiałam żelazko, gdy usłyszałam na dole głosy. Podeszłam do drzwi sypialni i uchyliłam je odrobinę. Pierwszy głos, niski, uspokajający, należał do Guya, drugi – do kobiety. Ten był wysoki, zdenerwowany. Usłyszałam trzask frontowych drzwi.

Opuściłam sypialnię i po cichu wyszłam na korytarz, aż do kwadratowego okienka, z którego widać podjazd – ostatecznie wciąż pozostawałam na górze. Guy stał przy moim samochodzie, wymachując rękami, obok młodej drobnej kobiety w dżinsach i czerwonym płaszczu. Miała masę ciemnych włosów, które opadały jej na twarz, a z ruchu jej ramion mogłam wywnioskować, że płacze.

Guy ruszył w kierunku domu i zniknął mi z pola widzenia. Usłyszałam, jak drzwi frontowe otwierają się znowu i zatraskują. Guy znów był na zewnątrz. Otworzył bramę i wskazał na chodnik. Młoda kobieta potulnie opuściła naszą posesję i przystanęła za bramką, tymczasem on wsiadł do mojego samochodu i tyłem wyprowadził go na ulicę. Potem wrócił i otworzył drzwi do naszego garażu.

Wciąż było wcześnie. Chociaż zrobiło się już całkowicie jasno, trawę pokrywała ciężka rosa. Pamiętam, jak pomyślałam, że nie będę miała czasu na śniadanie, nawet na filiżankę herbaty. Młoda kobieta ciągle stała na chodniku. Nie widziałam jej twarzy. Najwyraźniej nie miała ze sobą żadnej torebki. Dłonie trzymała wciśnięte w kieszenie. Ramiona wysuwała do przodu, jakby było jej zimno. Chyba była mniej więcej w tym samym wieku co nasze dzieci.

Mój mąż wyprowadził własny samochód. Gdy już wyjechał na ulicę, otworzył drzwi od strony pasażera, a młoda kobieta zgięła się, jakby chciała wsiąść do środka, ale potem nagle chyba zmieniła zdanie, bo wyprostowała się i potrząsnęła głową. Wskazała z powrotem na nasz dom i powiedziała coś wysokim głosem, ale nie mogłam zrozumieć co. Na to Guy otworzył drzwi od strony kierowcy i wyskoczył z samochodu, nie gasząc silnika. Gwałtownie okrążył maskę wozu i ze zdumieniem zobaczyłam wściekłość na jego twarzy. Złapał kobietę za ramię i bezceremonialnie wepchnął ją na miejsce pasażera, zatrzasnął za nią drzwi, po czym szybkim krokiem wrócił za kierownicę. Ta pantomima zdumiała mnie bardziej niż cokolwiek innego. Guy nigdy nie był wybuchowy.

Młoda kobieta wciąż pochylała głowę i zgadywałam, że dalej szłocha. Guy nie odezwał się do niej ani słowem, wrzucając bieg i cofając odrobinę, po czym skręcił ostro na drogę. Odjechali, zostawiwszy mój samochód zaparkowany na poboczu, a drzwi do garażu i bramę szeroko otwarte.

Gdyby ten ciąg wydarzeń był mniej nadzwyczajny, szybciej mogłabym wyciągnąć wnioski. Ale to

wszystko wydawało się tak dziwne, że normalne procesy myślowe mnie zawiodły. Najsilniejszą emocją, jaką odczuwałam, była troska o tę młodą kobietę, która pojawiła się pod naszym domem tak wcześnie rano, ewidentnie zrozpaczona. Dopiero gdy spojrzałam na własny samochód, zauważyłam rozbite boczne okno od strony pasażera. Rozbite okno od strony kierowcy odkryłam dopiero, gdy wyszłam przed dom, żeby zbadać sprawę. Dwie rozbite szyby... Otrząsnęłam się nieco z zaskoczenia i zaczęłam formułować hipotezę.

To może się wydać dziwne komuś, kto nie jest oddany swojej pracy albo nie jest małżonkiem kogoś równie oddanego swej karierze, ale zanim wyszłam na dwór, włożyłam świeżo wyprasowaną koszulę oraz żakiet i zabrałam teczkę. Na pierwszy rzut oka na dole wszystko wyglądało normalnie, pomijając to, że moje kluczyki od samochodu nie wisały na haczyku pod lustrem w holu. Wsunęłam stopy w czarne buty, wzięłam parasolkę z wiklinowego koszyka, zamknęłam za sobą drzwi na dwa zamki, zamknęłam garaż i wsunęłam kluczyk w szparę pod drzwiami, gdzie jeden z drewnianych paneli jest uszkodzony – zawsze go tam trzymamy. Zamknęłam za sobą bramę i popatrzyłam na swój uszkodzony samochód. Guy odjechał własnym autem, ale z kluczykami do mojego w kieszeni. Zresztą i tak nie mogłam nigdzie tak pojechać, a czasu miałam tylko tyle, bym zdążyła dojść do stacji metra. Naprawdę nie mogłam sobie pozwolić na to, żeby się spóźnić tamtego dnia.

Czekając na pociąg metra, patrzyłam na komórkę, jakby samo gapienie się w wyświetlacz mogło wyprodukować wyjaśnienia od Guya. Wyobraziłam sobie swojego męża za kierownicą, rozwścieczonego i milczącego. Milczenie to jego tryb domyślny, gdy jest rozgniewany, dlatego byłam tak zaskoczona, gdy zobaczyłam, jak wpycha dziewczynę do auta. Potem pomyślałam o tej drobnej młodej kobiecie w czerwonym płaszczu, szlochającej w jego samochodzie, i gdy mój pociąg nadjechał, a ja dołączyłam do tłumu ludzi zmierzających w stronę wagonów, moja hipoteza, oparta jedynie na własnych obserwacjach, zaczęła nabierać kształtu. Skonfrontowałam ją z inną możliwą hipotezą, aż w końcu ostatecznie się skonkretyzowała. Odgadłam wszystko.

Później, wieczorem, gdy oboje wróciliśmy do domu i Guy opowiedział mi całą historię, okazało się, że moje przypuszczenia były trafne – przynajmniej w tym znalazłam pocieszenie. Przez cały dzień przeprowadzałam rozmowy kwalifikacyjne, więc chociaż wymieniliśmy kilka esemesów, tak naprawdę nie mieliśmy okazji porozmawiać. Dzisiaj myślę, że tylko dzięki temu nie wpadłam w histerię i być może właśnie to ocaliło nasze małżeństwo. Miałam czas, by zastanowić się nad strategią.

Byłam w stanie przebaczyć mężowi romans. Tyle wiedziałam. Uważałam, że mściwość czy zaborczość nie przystawały do mojej inteligencji. Ale nie wybaczyłabym mu, gdyby po wydarzeniach tamtego ranka spróbował mnie okłamać. Nie wybaczyłabym mu, gdyby próbował robić ze mnie idiotkę.

W jednym z esemesów napisał, że będzie w domu koło osiemnastej i wtedy p o r o z m a w i a m y. Ja skończyłam przesłuchania kandydatów o wpół do czwartej i powinnam była zostać, żeby omówić kandydatury ze współpracownikami, ale powiedziałam, że muszę się zająć pilną sprawą, i wyszłam. Puścili mnie bez zadawania pytań.

Zadbałam więc o to, żeby wrócić do domu pierwsza. Spodziewałam się, że mój samochód został



odholowany albo znajdę na przedniej szybie policyjną naklejkę, ale stał tak, jak zostawiłam go rano. Po wejściu do domu natychmiast przebrałam się w wygodniejsze ciuchy, a potem – chociaż może się to wydawać dziwaczne – trochę posprzątałam. Wolałam nie myśleć o logice kryjącej się za moimi działaniami. Być może jednak czułam się bardziej zagrożona tą sytuacją, niż byłam gotowa to przyznać, i właśnie dlatego chciałam, aby nasz dom błyszczał. A może było to po prostu pragnienie przywrócenia porządku. Chciałam, by podłoga z orzecha włoskiego w kuchni była zamieciona, buty pochowane, a płyta grzejna z nierdzewnej stali lśniła czystością. Cokolwiek mną kierowało, gdy usłyszałam, jak mąż przekręca klucz w drzwiach, byłam gotowa. Siedziałam przy kuchennym stole, ubrana w legginsy i długi pasiasty top. Włosy spięłam klipsem na czubku głowy, a usta musnęłam błyszczakiem – nic ostentacyjnego. Na stole czekały miseczka oliwek, otwarta butelka czerwonego wina i dwa kieliszki. Chciałabym podkreślić, że nie ugotowałam kolacji. Nie posunęłam się tak daleko.

Gdy wszedł do kuchni, wyglądał, jakby bardziej potrzebował snu niż rozmowy. Był nieogolony, rysy twarzy miał ciężkie i ściągnięte, płaszcz wisiał na nim niezapięty. Zatrzymał się w drzwiach i objął wzrokiem scenę – otwartą butelkę wina, mnie przy stole, swobodnie ubraną i starającą się ukryć wyczekiwanie. Rzucił dwa zestawy kluczyków samochodowych na pobliski blat i westchnął, ale wiedziałam, że moja strategia była właściwa.

– Zdejmij płaszcz – powiedziałam, sięgając po butelkę i nalewając nam wina.

Poszedł z powrotem do przedpokoju, a potem wrócił, usiadł i podniósł swój kieliszek. Pomyślałam, że stara się ukryć wdzięczność za ten gest.

– Chyba będzie najlepiej, jeśli wszystko mi opowiesz – zaczęłam ostrożnie.

– Nie traktuj mnie protekcyjnie – obruszył się, opuszczając kieliszek.

Pozwoliłam, żeby w moim głosie zabrzmiała odrobina stali:

– Ponieważ mój samochód stoi przed domem z dwiema wybitymi szybami, to chyba nie jest najlepszy moment, żebyś próbował uderzać w moralizatorski ton.

Patrzył na mnie przez chwilę, po czym powiedział:

– Ona jest doktorem w sąsiednim laboratorium.

Reszta opowieści była bardzo bliska tego, co odgadłam – poza długością jego romansu. Trwał dwa lata. Muszę przyznać, że to zabolowało. Dwa lata, a ja niczego nie zauważyłam. Ale już od jakiegoś czasu źle się między nimi układało. Ona stała się zaborcza, zaczęła go wypytywać o znajomości z innymi koleżankami z pracy. Pewnie że tak, pomyślałam, gdy o tym wspomniał. Partnerzy osoby niewiernej bywają najbardziej podejrzliwi i najmniej pewni siebie ze wszystkich, bo wiedzą, że ich kochankowie są zdolni do oszustw. Dlaczego miałyby wierzyć jego zapewnieniom? Nocami zaczęła regularnie wydzwaniać na jego komórkę i zostawiać na niej wiadomości, niekiedy dwadzieścia czy trzydzieści z rzędu. Czasami coś mówiła, czasami puszczała głośną muzykę. Dzwoniła z klubu i w tle było słyhać krzyki i śmiechy. Opowiadał mi o tym z pewnym zdziwieniem, ale dla mnie było oczywiste, że próbowała wzbudzić w nim zazdrość. Aż w końcu zeszłej nocy zostawiła mu wiadomość o trzeciej nad ranem: „Idę do ciebie. Nie zniosę tego dłużej. Idę do ciebie teraz”. Część trasy z mieszkania w Stroud

Green, które wynajmowała wraz z kilkoma osobami, pokonała autobusem, potem przeszła piechotą kilka kilometrów przez pas peryferii, żeby do nas dotrzeć.

– To musiało jej zająć wiele godzin... – zauważyłam.

Odebrał wiadomość rano, gdy szedł do frontowych drzwi po mleko – owszem, to niewiarygodne, ale w naszej dzielnicy mleczarze wciąż dostarczają mleko do domów. Otworzył drzwi i zobaczył ją na naszym ganku zwiniętą w kłębek, kupkę nieszczęścia o mokrych oczach. Przeszła całą tę drogę i zniszczyła mi samochód, ale za bardzo się bała, żeby zadzwonić.

Właśnie wtedy wrócił na górę i powiedział mi, żebym została tam, gdzie jestem. Gdy szedł do niej, ona już stała w przedpokoju. Zaczęli się kłócić. Zabrał ją na zewnątrz, wyprowadził samochód z garażu i zawiózł do domu w całkowitym milczeniu. Gdy dotarli pod jej mieszkanie, zalewała się łzami, bo powiedział jej – lodowatym tonem, wyobrażam sobie – że jeśli jeszcze kiedykolwiek wykręci mu taki numer, nie odezwie się do niej do końca życia. W pewnym momencie, już jakiś czas po tym, jak otworzyliśmy drugą butelkę wina, popatrzył na mnie i powiedział:

– Czy jest jakiś sens, żebym mówił, jak mi przykro?

– Wiem, że jest ci przykro – oznajmiłam i była to prawda.

Tamtego wieczoru zbliżyliśmy się do siebie, przeżyliśmy jakiś rodzaj euforii na myśl, że poradziliśmy sobie z dramatem jego wyznania. Ale to, co nastąpiło potem, w następnych tygodniach i miesiącach, było dalekie od euforii. Wiedziałam, że Guy zakończy ten romans, ale wiedziałam też, że chwilę to potrwa. Był zbyt miłym człowiekiem, żeby zachować się brutalnie wobec zrozpaczonej młodej kobiety, której na nim zależało i której on pozwolił, aby się w nim zakochała, mimo jej wrażliwości i młodości. Poza tym przyjaźnił się z jej przełożonym, a ona mogłaby wnieść sprawę przeciwko niemu, gdyby zechciała. Ale ona była w nim zakochana. Nie pragnęła jego głowy na talerzu, pragnęła jego serca. I jestem pewna, że je miała, na początku, lecz jego uczucia do niej osłabły, gdy stała się zaborcza i zdesperowana, gdy zaczęła się zachowywać jak dziecko. Po jakimś czasie przestał odczuwać namiętność; zastąpiło ją silne i uciążliwe poczucie odpowiedzialności. Chociaż powiedział mi, że to koniec, a ja mu uwierzyłam, wiedziałam, że będzie musiało dojść do tego bolesnego, paskudnego etapu, gdy ciągle się z kimś jest, mimo że okropnie się nawzajem traktujecie, tylko po to, żeby obie strony mogły poczuć ulgę, kiedy to wreszcie się skończy. I wiedziałam, że ten czas będzie trudny dla nas wszystkich, ale zwłaszcza dla mnie, bo nie mogłam zrobić nic innego, jak tylko stać z boku, uruchamiać swoje pokłady szlachetności i wyrozumiałości i czekać, aż on zda sobie sprawę z tego, jaka szlachetna i wyrozumiała jestem. Nie wtrącać się – to jedyne, co mogłam zrobić.

Ale zrobiłam w tamtym czasie jedną rzecz, której nie powinnam. Powiedziałam Carrie, naszej córce. Nie planowałam tego, ale zadzwoniła akurat w momencie, gdy byłam na dnie. Guya nie było w domu, został do późna na wydziale, żeby oceniać prace. Tak powiedział, ale wiedziałam, że jest na spotkaniu z nią. Minęły już trzy miesiące od tamtego incydentu, a ja wciąż czekałam, aż to się wypali. Carrie zadzwoniła, żeby potwierdzić, że przyjedzie do domu na weekend. Powiedziałam:

– Będzie tak miło... – I głos mi się załamał, a ona zapytała:

– Mamo, co się dzieje? – Po chwili ciszy, podczas gdy z trudem przełykałam ślinę, dodała: – Jest tam tata?

– Nie... – zaprzeczyłam, po czym dodałam słabo: – Wyszedł.

– Znowu się kłóciliście?

– Znowu? – zapytałam z uśmiechem w głosie, chociaż po policzkach spływały mi łzy.

Moja Carrie, taka młoda, taka mądra. Żyła z innym młodym naukowcem imieniem Sathnam i tak jakby byli zaręczeni. Uwielbialiśmy go i chcieliśmy, żeby się pobrali, ale oni stwierdzili, że nie mogą tego zrobić, dopóki nie umrze jego pobożna babcia. Guy i ja po prostu chcieliśmy, żeby już to załatwili, żeby dali nam wnuki. Myśleliśmy, że wtedy Carrie do nas wróci.

– Taak... – powiedziała powoli. – Gdy Sath i ja przyjechaliśmy na święto bankowe, sprzeczałyście się od piątkowego wieczoru aż do poniedziałku po południu.

– Naprawdę? To dlatego od dłuższego czasu nie przyjeżdżacie?

– Nie, po prostu byliśmy zajęci. Ale martwiłam się.

– Nie powiedziałaś nic Adamowi, prawda?

– Mamo, nie jestem głupia.

Między Guyem, Carrie a mną panuje milczące porozumienie. Adama należy chronić za wszelką cenę.

Byłam zaskoczona, że nasza córka uważa, iż ostatnio nie układało nam się za dobrze. Ja tego nie zauważyłam. Przyszło mi do głowy, że może w tym tkwił problem. Że w jakiś sposób, niepostrzeżenie Guy i ja staliśmy się dla siebie niezbyt mili. Tak rzadko widywaliśmy wtedy nasze dorosłe dzieci... Adam mieszkał w Manchesterze, Carrie – w Leeds. „Mają po dwadzieścia kilka lat”, mówiliśmy sobie, pocieszając się wspomnieniami, jak niewiele uwagi każde z nas poświęcało swoim rodzicom, gdy byliśmy w ich wieku. „Prędzej czy później do nas wrócą”, mawialiśmy, gdy sami założą rodziny i docenią wartość dziadków albo gdy przeprowadzą się z powrotem na południe, albo gdy my przejdziemy na emeryturę... Ale tęskniliśmy za nimi oboje. Musieliśmy się powstrzymywać, żeby nie dzwonić do nich za często, nie pytać ich przy każdej rozmowie, kiedy do nas przyjadą.

Powiedziałam więc Carrie, że ojciec widuje się z kimś innym. Później Guy był na mnie wściekły, i słusznie, ale nagle wyszło na to, że krzywda, jaką mu wyrządziłam, angażując w to wszystko naszą córkę, niemal zrównoważyła krzywdę, jaką on wyrządził mnie, wdając się w romans. Pogadaliśmy z Carrie wspólnie podczas jej następnej wizyty w domu. Przyjechała bez Sathnama. Siedzieliśmy przy kuchennym stole, trzymaliśmy ją za ręce i wyjaśnialiśmy, że to przepracowaliśmy, że chcemy, aby wiedziała, że wszystko jest w porządku, że nie musi nas chronić, nie mówiąc nam, co naprawdę myśli, albo unikając rozmowy o problemach, jakie sama mogłaby mieć. W końcu zapytaliśmy ją jak zawsze, czy ostatnio miała kontakt z Adamem.

– Tylko na Facebooku – powiedziała. A potem nieoczekiwanie dodała: – Pamiętajcie, co on robił, gdy się kłóciliście, gdy byliśmy mali?

– Wszystkie pary się kłócą – odparował Guy. – Jesteśmy tylko ludźmi.

Położyłam wolną rękę na jego ramieniu, żeby go uciszyć. Carrie przeniosła wzrok z niego na mnie.

– Chował się za sofą, kuczał, przytykał dłonie do uszu i krzyczał...

– Wiem – powiedziałam. – Pamiętam.

– Robił to w takim wieku, że to już nie było normalne. To znaczy nie był już wtedy małym dzieckiem.

Miał jakieś dziesięć czy dwanaście lat, prawda?

Guy i ja popatrzyliśmy po sobie. Wszyscy zamilkliśmy.

– Był nawet starszy – przyznałam w końcu. – Znacznie starszy.

\*\*\*

Dojście do tego, że z Adamem jest coś nie tak, zabrało nam karygodnie dużo czasu. Nastolatki! Cała literatura na ich temat mówi ci tylko jedno: cokolwiek robią, daj im święty spokój, daj im trochę luzu, to normalne. Zresztą to zaczęło się powoli – niezdolność do wstania z łóżka o poranku, odmowa odrabiania prac domowych, zrywanie się z lekcji... Któregoś razu ogolił sobie głowę w dziwne ukośne wzory, a potem zamknął się w łazience, krzyczał do lustra i kopał w drzwi. Innym razem wrócił ze spaceru, rzucił we mnie słuchawkami i powiedział, że ludzie słyszeli, jakiej muzyki słucha, gdy go mijali, i uśmiechali się do niego, bo uważali, że jest głupia. Nie było jednego momentu, w którym wyraźnie przyznalibyśmy sami przed sobą, jak bardzo jesteśmy zmartwieni. To wszystko rozwijało się stopniowo, a z każdym nowym incydentem przekonywaliśmy siebie, że to było do przewidzenia – i oczywiście było. Gdy zaczął spędzać całe dni w łóżku, nie chcąc opuścić pokoju ani rozsunąć zasłon, pierwsze, co przyszło nam do głowy, to narkotyki. On bierze narkotyki. Pamiętam dzień, w którym Guy i ja przeszukaliśmy jego sypialnię. Był letni wieczór i chociaż to było z jego strony niezwykle, Adam zdobył się na wysiłek, żeby wyjść i spotkać się z przyjaciółmi. Weszliśmy do środka niemal na palcach, zerkając na siebie. Pokój wyglądał jak sypialnia każdego nastolatka: T-shirty walające się na podłodze, czyste wymieszane z brudnymi, dwie szuflady wysunięte z komody, wypełnione płataniną skarpetek i bokserek, które wyglądały, jakby zostały zwinięte w kulkę, zanim je tam wrzucił, i z których unosił się zapach znajomy każdemu rodzicowi, ściana nad jego łóżkiem obklejona zdjęciami przyjaciół oraz młodych kobiet, które wycinał z magazynów dla panów; kilka zwisało smętnie w miejscach, gdzie odczepiła się masa klejąca. Jego stara gitara, ta z zerwaną struną, leżała na boku pod ścianą. Pomyślałam, że jest za blisko grzejnika, i przesunęłam ją, ale zaraz przypomniałam sobie, że przecież przeszukujemy jego pokój po kryjomu, więc odłożyłam ją na miejsce. Nową gitarę zabrał ze sobą. Oczywiście wiedzieliśmy, że pali papierosy, które sam sobie skręca, a on zabrał ze sobą również puszkę z tytoniem i paczuszkę z bibułkami. Na drzwiach sypialni wisiał jego szlafrok. Pozwoliliśmy mu wymalować na tych drzwiach graffiti uwodzicielsko woniejącą farbą w spreju, gratulując sobie pomysłu, bo uznaliśmy, że jeśli pozwolimy mu zrobić coś takiego w domu, będzie mniej prawdopodobne, iż zrobi to, zwisając z mostu, podczas gdy kumpel, półprzytomny od ketaminy, będzie trzymał go za kostki – nie byliśmy jedynymi rodzicami z jego szkoły, których dziecko wróciło do domu z dżinsami usmarowanymi kredowoszarymi śladami farby antywspinaczkowej. Zdjęliśmy szlafrok z haczyka i pogrzebaliśmy w kieszeniach. Znaleźliśmy kolejne opakowanie bibulek i resztki tytoniu razem ze skrawkami chusteczki higienicznej. To

wszystko. Wywróciłam jedną z kieszeni na lewą stronę. Jej wnętrze było pokryte drobnym białym nalotem pozostawionym przez chusteczkę, która rozpuściła się w trakcie prania. Pochyliłam się, uniosłam materiał do nosa i powąchałam. Nic. Wepchnęłam kieszeń z powrotem, odwróciłam się do Guya i wzruszyłam ramionami z uśmiechem.

Gdy myślę teraz o tamtym wieczorze, przypominam sobie, jaką ulgę poczuliśmy, gdy nasze poszukiwania okazały się bezowocne, jak sprzeczałyśmy się trochę, wciąż stłumionymi głosami, czy jego wymięte džinsy leżały na podłodze, czy na łóżku, bo po ich przeszukaniu nie pamiętaliśmy dokładnie, skąd je wzięliśmy, a chcieliśmy zostawić wszystko tak, jak było. Uznaliśmy, chichocząc, że najlepiej byłoby po prostu posprzątać mu pokój, a potem okazać oburzenie, gdy wróci, i powiedzieć: „Po prostu nie mogliśmy już tego znieść!”. Zeszliśmy do kuchni, otworzyliśmy butelkę wina i skwapliwie ją wypiliśmy, dyskutując o tym, jakie to wspaniałe, że nasz syn ostatecznie chyba jednak nie jest ćpunem. Co za ironia. Gdybyśmy wiedzieli, co nadejdzie w zamian, bylibyśmy zachwyceni odkryciem kilku ciemnych okruchów marihuany w pudełku od zapalek tkwiącym w kieszeni tych wytartych, ulubionych džinsów albo niebieskiego szlafroka, wiszącego na drzwiach pokrytych graffiti.

\*\*\*

Siedzę zatem na ławie oskarżonych w sali rozpraw numer osiem sądu karnego, wpatruję się w puste siedzenia na galerii dla publiczności i jestem jednocześnie wdzięczna i przygnębiona tym, że ich tam nie ma. Namówiłam Carrie i Guya, żeby zabrali Adama do Maroka na dwa tygodnie, na wypadek gdyby jacyś reporterzy próbowali ich wysledzić. Przekonałam ich, że to środek ochronny dla Adama, a nie dla nich wszystkich. Guy nie zostanie tam przez całe dwa tygodnie, tyle wiem. A, T, C i G; podwójna helisa. Nikt nigdy nie nazywał mnie Timmym poza Guyem, a i on nie robił tego od dawna.

Siedzę tu codziennie, na tej ławie oskarżonych, każdego ranka, podobnie jak ty, jeszcze zanim drzwi na galerię dla publiczności się otworzą. Jesteśmy tu, zanim na sali pojawi się ława przysięgłych, zanim przybędzie sędzia. Musimy być na miejscu, żeby sesja mogła się rozpocząć, nic nie może się wydarzyć pod naszą nieobecność, więc przyprowadzają nas, a my patrzymy, jak przychodzą adwokaci, jak przerzucają papiery, wzdychają, podchodzą nawzajem do swoich stanowisk, opierają się łokciami o sterty dokumentów przeciwnika i mówią rzeczy w stylu: „Ostatecznie zrobiłem rezerwację w Val d’Isère”. Siedzimy i patrzymy, jak przychodzą sekretarze sądowi, żeby sprawdzić, czy wszyscy są na swoich miejscach, zanim pójdą powiadomić sędziego, że jesteśmy gotowi i czekamy. Możemy gapić się na pustą publiczną galerię i zastanawiać się, kto dzisiaj przyjdzie, bo każdy może, jeśli tylko zostawi w domu telefon komórkowy.

Dlaczego nikt nie przyszedł dla ciebie, mój ukochany? Nigdy nie miałam okazji zapytać. Dlaczego nie przyszedł żaden brat, żadna siostra czy chociaż jakiś lojalny przyjaciel? Czy kazałeś im trzymać się z daleka, tak jak ja mojej rodzinie? Jest tak wiele pytań, których nigdy nie będę miała okazji ci zadać.

Jakiś rok po tym, jak romans Guya wyszedł na jaw, pewnego wieczoru pokłóciliśmy się w kuchni. Myślałam wtedy, że jesteśmy bezpieczni, że etap wzajemnych oskarżeń mamy już za sobą. Stanęliśmy nad

przepaścią, wzięliśmy się za ręce i zrobiliśmy krok do tyłu. Zwarliśmy szeregi, zbudowaliśmy barykady i most zwodzony, napełniliśmy fosę wodą. I może tak było. Może do tamtej kłótni doszło właśnie dlatego, bo znowu wreszcie poczuliśmy się bezpieczni i mogliśmy sobie pozwolić na odrobinę złośliwości, na kilka niezdecydowanych wypadów na teren wroga.

Nawet nie pamiętam, co wywołało tę kłótnię, jakaś drobnostka, ale cokolwiek to było, zaatakowałam go w samym środku skądinąd niewinnej debaty, gdy sprzątnęliśmy po posiłku. Nagle zorientowałam się, że dłonie mam zaciśnięte w pięści, dociskam knykcie do kuchennego blatu i mówię łamiącym się głosem:

– Nawet nie powiedziałaś mi, jak miała na imię!

Guy zamarł w pół kroku z tarką do sera w dłoni i popatrzył na mnie ze zdziwieniem, a po chwili na jego twarzy odmalowała się rezygnacja. Zawrócił i usiadł przy stole z westchnieniem.

– Posłuchaj... – zaczął, odkładając tarkę na blat.

Gdy się ponownie odezwałam, mój słaby, drżący głos przypominał niemal szept:

– Nawet nie powiedziałaś mi, jak miała na imię... – powtórzyłam.

– Rosa – odrzekł, a piękno tego słowa utkwilo w moim sercu niczym odłamek szkła.

Potem zapadło między nami długie milczenie. On dalej siedział, a ja nieprzytomnie krzątałam się po kuchni. Chociaż nie rozmawialiśmy, w myślach oboje dalej toczyliśmy kłótnię, co stało się jasne, gdy tylko otworzyliśmy usta.

– Posłuchaj, Yvonne...

– Tak, tak! Posłuchaj!

– Ja nie...

– Co takiego?

Znowu zamilkliśmy. Zacisnął usta. Ewidentnie doszedł do wniosku, że skoro zamierzam zachowywać się nedorzecznie, to on też. Popchnął tarkę jednym palcem i przewróciła się z brzękiem.

– Cóż, możesz to ciągnąć bez końca albo możesz mi wybaczyć i żyć dalej.

– Och, daj spokój. Cholernie łatwo się z tego wywinąłeś, nie sądzisz?

– Święta Yvonne – westchnął, przewracając oczami.

– A ty byś mi wybaczył? – prychnęłam szyderczo.

– Tak – powiedział z oburzeniem. – Tak, oczywiście, że bym ci wybaczył.

– Wcale nie! – naburmuszyłam się.

Odwróciłam się do niego plecami i otworzyłam zmywarkę, którą załadowałam i uruchomiłam zaledwie kilka minut wcześniej. Nieprzygotowana na to, wypuściła parę i trysnęła gorącą wodą. Zatrzasnęłam drzwiczki i znowu spojrzałam na męża.

– Gdybym to ja zrobiła, nigdy nie dałbyś mi spokoju. Wypominałbyś mi to latami.

– To nieprawda – zaoponował głosem nagle spokojnym i pojednawczym.

Miał rację, to nie była prawda. To było po prostu pierwsze oskarżenie, jakie przyszło mi do głowy.

– Wybaczyłbym ci. Porozmawialibyśmy o tym. Ja kocham ciebie, ty kochasz mnie, postawilibyśmy dobro Adama i Carrie na pierwszym miejscu, tak jak zawsze to robimy, jak robimy to teraz. Mnie by to...

– ...nie obeszło? – wymamrotałam.

To było bliższe temu, co naprawdę czułam. Guy próbował się wycofać z awantury, ale ja jeszcze nie byłam na to gotowa, nie do końca. Zostało mi jeszcze trochę energii.

– Nie, nie to miałem na myśli. Oczywiście, że by mnie to obeszło. Po prostu byłbym w stanie to znieść, żeby ocalić nasz związek. Nie jestem zazdrosny w ten sposób, wiesz o tym. Nigdy nie byłem.

To była prawda, i to godna podziwu, ale wcale nie poczułam się dzięki temu lepiej. Przestałam się krzątać po kuchni i oparłam się o blat, krzyżując ręce na piersi i patrząc na niego spod zmrużonych powiek.

– A więc, innymi słowy, nie obesłoby cię to. – Nienawidziłam siebie, gdy kłóciłam się w ten sposób.

– Fizyczna niewierność nie obesłaby mnie na tyle, żebym pozwolił zniszczyć to, co nas łączy, nie.

– A co, gdybym się zakochała? Co, gdybym zakochała się w kimś innym, tak jak ty to zrobiłeś?

– Przepraszam. Wiesz, że mi przykro. Wiesz, jak bardzo mi przykro...

Po raz pierwszy w trakcie tej dyskusji mój głos stał się odrobinę łagodniejszy. Podeszłam do stołu, siadłam naprzeciwko niego i ujęłam jego dłoń.

– Nie proszę o kolejne przeprosiny... Ciekawi mnie, na serio, czy uważasz, że byś mi wybaczył? Gdybym zakochała się w kimś innym? Naprawdę? – Kierowały mną całkowicie intelektualne motywy.

Nie zaszkodzi mu, pomyślałam, jeśli rozważy tę możliwość.

Podniósł na mnie wzrok.

– Nie planuję tego zrobić. – Zaśmiałam się cicho. – Po prostu mnie to ciekawi.

To zawsze był dobry sposób na wzbudzenie zainteresowania mojego męża – odwołać się do analitycznej strony jego natury.

Potraktował to pytanie poważnie, zastanowił się nad nim przez chwilę.

– Mogłabyś uprawiać seks z kimś innym – powiedział – i nie podobałoby mi się to, wcale a wcale. Zdecydowanie wolałbym, żebyś tego nie robiła, ustalmy to sobie. Ale poradziłbym sobie z tym, po prostu o tym nie myśląc. Gdybym to sobie wyobraził, nienawidziłbym tego, ale zdołałbym się zmusić, żeby sobie tego nie wyobrażać, aby ochronić to, co mamy, co cenimy, o czym oboje wiemy, że jest czymś wartym zachowania.

– Ale co z miłością?

Umilkł znowu, rozważając tę kwestię. Starał się być szczery, a ja zawsze to w nim kochałam i wciąż kocham. Że nie próbuje traktować mnie jak głupiej, że nie mówi mi tego, co jego zdaniem chciałabym usłyszeć.

– Tak, wybaczyłbym ci, gdybyś zakochała się w kimś innym – powiedział w końcu. – To byłoby dla mnie bardzo bolesne, oczywiście, bo jestem przyzwyczajony do myśli, że kochasz mnie i tylko mnie. Ale wiem... – zawahał się tylko przez chwilę – ...wiem teraz, że to możliwe kochać dwie osoby jednocześnie. Nawet w samym środku tego, co robiłem, nigdy nie przestałem cię kochać, ani przez sekundę. Właściwie pod pewnymi względami byłem w tobie bardziej zakochany niż kiedykolwiek, bo miałem świadomość, że ryzykuję to, co nas łączy. Wiem, że to brzmi jak wymówka, ale to prawda.

Po tej jego długiej przemowie siedzieliśmy przez jakiś czas w milczeniu. Jak w przypadku wielu mężczyzn wyrażanie emocji nie należało do mocnych stron mego męża, mimo jego zdolności analitycznych, więc byłam pod wrażeniem długości jego wypowiedzi i prostej prawdy, jaką w niej zawarł. Wzruszyło mnie, że zdołał być szczery wobec samego siebie i wobec mnie. Już nie chciałam zdobywać punktów jego kosztem ani wywoływać w nim poczucia winy. A potem, akurat gdy zaczynałam do niego żywić cieplejsze uczucia, powiedział coś, co przypomniało mi, że ostatecznie jest tylko mężczyzną i to takim, który ma wady, podobnie jak ja byłam kobietą, która nie jest od nich wolna.

– Tak naprawdę jest tylko jedna rzecz, którą trudno by mi było wybaczyć.

Popatrzyłam na niego, ale on spoglądał na nasze splecione dłonie, delikatnie gładził kciukiem moje palce.

– Co takiego? – zapytałam.

– Publiczne upokorzenie.

Popatrzył na mnie wtedy, a jego wzrok był lodowaty.



Opuszczamy Apple Tree Yard i wychodzimy na Duke of York Street. Wsunąłeś się ze mnie, zanim zdążyłeś dojsć – to często się zdarza, ale tym razem nie czuję się tym zraniona, jestem raczej zadowolona z siebie – zaczynam łapać, jak to się robi. Zupełnie jakbym w wieku pięćdziesięciu dwóch lat odkryła u siebie niespodziewany talent do gry na flecie pikolo czy stepowania, do czegoś, co zawsze było we mnie utajone. Zostaję trochę w tyle, sięgam pod połę płaszcza i obciążam sukienkę. Potem przyspieszam kroku, zapinam płaszcz aż pod szyję, przeczesuję dłonią włosy – małe gesty, dzięki którym znowu mogę się pokazać publicznie.

Rozstajemy się przy stacji metra Piccadilly Circus. Obejmujesz mnie szorstko, otaczasz moje plecy ramieniem i krótko, mocno przyciągasz do siebie. Twoje przedramię ściska mnie i puszcza, gdy tylko moje ciało dotknie twojego. Przyzwyczaiałam się już do tego. To tego rodzaju uścisk, jakim mógłbyś mnie bezpiecznie pożegnać, gdyby akurat mijali nas twoi teściowie. Odwracam się i odchodzę z powrotem Piccadilly, przekraczam ulicę na przejściu dla pieszych i wchodzę w Air Street. Dotarcie na przyjęcie wydziałowe zajmie mi dwadzieścia minut, ale będę musiała iść szybciej, niżbym chciała na tych obcasach. Zaczął padać kwietniowy deszcz, drobny i przenikliwy, ale nie przeszkadza mi to. W tej chwili nic mi nie przeszkadza.

Buty nie są najwygodniejsze. To botki na szpilkach, a nie te na niższym obcasie z lakierowanej skóry, które miałam na sobie, gdy się poznaliśmy. To są botki imprezowe, dla zadania szyku. Idę w górę Regent Street, patrząc na mijających mnie pędem ludzi. Ilu z nich tak naprawdę się spieszy? – zastanawiam się. Ilu jest w drodze do domu? Ilu ucieka przed czymś albo do czegoś innego? Tak dobrze znam te dojazdy w godzinach szczytu, reaguję odruchowo. Gorączkowe tempo jest zaraźliwe – to chyba niemożliwe, by o tej porze dnia powoli spacerować ulicą, by uniknąć popychania i poszturchiwania w zatłoczonych autobusach lub wagonach metra. Zastanawiam się, ilu z mijających mnie ludzi jest szczęśliwych. Ja jestem szczęśliwa. Wiodę podwójne życie. I jestem w tym dobra. Może to ja powinnam być szpiegiem.

Przechodzę przez Oxford Street i idę bocznymi uliczkami zygzakami na północny wschód, gdy wydarza się coś niezwykłego. Z naprzeciwka nadchodzi kobieta, drobna Japonka, nawet niższa ode mnie, ma na sobie drogą jedwabną zieloną suknię i krótką skórzaną kurtkę. Odbiera telefon, całkiem radośnie zaczynając rozmowę. Na ramieniu ma zawieszonych kilka dużych toreb z zakupami. Po paru zdaniach, gdy wciąż znajduje się kilka metrów ode mnie, nagle zatrzymuje się w miejscu jak wmurowana. Jej twarz zamienia się w maskę. Torby spadają z ramienia. Kolana uginają się pod nią i pada na chodnik, wydając

okrzyk, ale wciąż przyciskając telefon do ucha. Zatrzymuję się na moment. Kobieta szlocha i krzyczy do telefonu po japońsku. Najwyraźniej właśnie otrzymała jakąś straszną wiadomość. W jednej chwili idzie sobie z zakupami, w drugiej odbiera telefon i pada na kolana, w deszczu, płacząc i krzycząc.

Staję przed nią z wahaniem. Po chwili pytam:

– Przepraszam, mogę pani jakoś pomóc?

Podnosi na mnie załzawiony wzrok. Na jej twarzy malują się jednocześnie zakłopotanie i lekceważenie, jakby nie potrafiła zrozumieć, dlaczego przed nią stoję ani co takiego mówię, zdumiona i wściekła. Potem znowu zaczyna krzyczeć i płakać do telefonu.

Pozostawanie tam dłużej byłoby już przejawem chorobliwej ciekawości, więc mijam ją i dalej idę ulicą. Gdy zerkam za siebie, ona wciąż klęczy i płacze.

\*\*\*

Gdy docieram do grupy budynków określanych mianem kompleksu Dawsona – uniwersyteckiego zagłębia administracyjnego, gdzie mieści się również kilka aul wykładowych – impreza trwa już w najlepsze. Kierownik katedry nauk ścisłych dał nam jasno do zrozumienia w mailu z zaproszeniem, że chociaż uczelnia udostępnia miejsce na spotkanie, to on pokrywa koszty jedzenia i wina. Obsługę powierzono grupie studentów i gdy wkraczam do foyer, stukając obcasami, wita mnie cały szereg kursantów ze studiów licencjackich z podkładkami do pisania, odhaczających nazwiska przybywających gości. To nie jest typowe dla uniwersyteckich przyjęć, na których normalnie nie ma tak wyrafinowanych rzeczy jak lista gości – zazwyczaj są tylko plastikowe kubeczki i białe wino w temperaturze pokojowej. Ale ta impreza jest inna. To trochę przedstawienie. Kierownik katedry nauk ścisłych poświęcił uniwersytetowi trzy dekady, a teraz odchodzi do sektora prywatnego. Wysoki mężczyzna w dużych okularach. Stoi w foyer obok studentów i wita gości z pozbawionym radości uśmiechem na twarzy.

– Yvonne... – mówi, gdy wchodzę, i zbliża się, żeby ucałować mnie w oba policzki.

Po krótkiej wymianie uprzejmości z gospodarzem ruszam korytarzem prowadzącym do największej sali, będącej sercem kompleksu. Po lewej dostrzegam rząd nowych metalowych stojaków na okrycia wierzchnie. Są już niemal całkowicie zapełnione, zostało tylko kilka wieszaków, stłoczonych na krańcach, z numerkami przyczepionymi taśmą klejącą. Stoję na skraju grupki, czekając, żeby powiesić płaszcz, gdy podchodzi do mnie wysoka studentka w czarnej koszuli i czarnych dżinsach z tacą w dłoni.

– Doktor Carmichael... – milknie, oferując mi wino.

Nie poznaję jej, a nie przypięłam jeszcze identyfikatora, musi więc być jedną z osób, które kiedyś egzaminowałam. Uśmiecham się, biorę kieliszek i mówię:

– Och, dziękuję, jak się masz?

– Świetnie, od jesieni będę w Vicenzi Centre.

Teraz pamiętam, zdolna Amerykanka, pisała rozprawę doktorską na temat wpływu dwóch wariantów genu SERT na rozwój obszarów mózgu odpowiedzialnych za emocje negatywne.

– To wspaniale, powodzenia.

– Dziękuję. Już nie mogę się doczekać.

Za jej plecami widzę nadchodzących korytarzem dwóch łysych mężczyzn, wysokiego i niskiego.

– Czy to profesor Rochester? – pytam, w zasadzie niepotrzebnie, patrząc na niskiego, bo jestem pewna, że to on.

Biorę łyk wina. Alkohol uderza mnie w pusty żołądek. Eli Rochester jest dyrektorem instytutu w Glasgow. W mojej dziedzinie badań ten człowiek jest Bogiem. Zerkam na nią.

– Rochester jest tutaj?

Studentka pochyła się ku mnie, unosząc idealnie wyregulowaną brew. Wciąż nie pamiętam jej imienia, ale przypominam sobie teraz, że bardzo ją lubiłam, jej sarkastyczne podejście do świata.

– Wszyscy tutaj są, doktor Carmichael – mruczy i się oddala.

Podchodzę do stojaka i zaczynam rozpinać płaszcz wolną ręką, a gdy to robię, mężczyzna stojący przede mną odwraca się i mówi poufale:

– Hej, może lepiej ci to potrzykam.

Przez chwilę nie jestem pewna, co ma na myśli, aż w końcu zauważam, że patrzy na mój kieliszek.

– Dzięki – mówię.

– Yvonne – wita mnie z nutą napomnienia w głosie, gdy bierze ode mnie kieliszek i czeka, aż zdejmę płaszcz i znajdę wolny wieszak. – Redagowałem twój esej.

Ach tak, pracuje w wydawnictwie naukowym. Właściwie to często się kontaktowaliśmy, ale głównie drogą elektroniczną.

– Harry! – wołam – Jak się masz?

– Dobrze, dobrze...

Gdy idziemy razem korytarzem, uświadamiam sobie, że tego wieczoru coś we mnie płonie. To dziwne, jak taki rodzaj narcyzmu przyciąga ludzi. Zastanawiam się, czy odpowiada za to kieliszek wina w mojej dłoni, czy liczba osób, które powitały mnie entuzjastycznie, zanim jeszcze przekroczyłam próg sali, czy może obecność tak wielu znamienitych naukowców w mojej dziedzinie – co oczywiście tym lepiej świadczy o mnie, że postanowiłam wziąć udział w tej imprezie. Owszem, wszystkie te rzeczy mają znaczenie. Ale to również twoja zasługa. Właśnie zrobiłam coś, o czym większość osób zgromadzonych na tym przyjęciu nawet by nie śniła, o czym ja sama nawet bym nie śniła, nim poznałam ciebie. Zrobiłam to i nie zostałam przyłapana, udało mi się. Później wrócę do pięknego domu, który dzielę z mężem, teraz zaś bawię się z ludźmi sukcesu i, wiesz co, jestem jedną z nich. To jest moje życie. Mam wrażenie, jakbym zaledwie pięć minut temu była jedną z tych studentek roznoszących wino, marzącą o tym, żeby zamienić kilka słów z jakimś profesorem. A teraz znalazłam się tutaj, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, i to ludzie podchodzą do mnie, a ja potrzebuję chwili czy dwóch, żeby przypomnieć sobie ich nazwiska.

Gdy docieramy do końca korytarza, dopijam pierwszy kieliszek wina i odłączam się od Harry'ego. Przekraczam próg głównej sali, w której kłębi się tłum. Jest jeszcze wcześnie, ale przyjęcie już się rozkręciło. Ludzie piją wino, śmiech i gwar unoszą się pod wysokim sufitem. Jak na firmowej imprezie

z okazji świąt. Wszyscy są pijani lub właśnie się upijają, wszyscy nawiązują nowe znajomości. Naukowcy może nieczęsto idą w tango, ale gdy już to robią, to na całego.

Zauważam grupkę znajomych, badaczy z dawnego instytutu Guya, ale przez jakiś czas trzymam się na uboczu, lustrując pomieszczenie. Będą pytać, dlaczego go tutaj nie ma – ma wykład w Newcastle – a potem zapytają, jak mi idzie moja praca. Nie chcę za szybko utknąć z nimi.

Powoli krążę po sali, odstawiając pusty kieliszek i biorąc następny, i nagle natykam się na znamienitego profesora Rochestera, otoczonego akolitami i najwyraźniej pogrążonego w głębokiej rozmowie z jednym z nich. Oddalam się, unosząc kieliszek, by nikt nie potrącił go łokciem.

– Yvonne!

To Frances, technik, z którą pracowałam w Instytucie Beauforta. Bardzo ją lubię. Ma sześćdziesiąt kilka lat i widziała już wszystko.

Obejmujemy się krótko. Pochyliła się, żeby głośno wysyczeć mi do ucha:

– Jak sądzisz, ile go to kosztowało?

– Tysiące...! – wołam.

Przy obecnych nastrojach nie śmiałyby użyć ani grosza z uniwersyteckich funduszy.

– Chodź – mówi. – Okrążmy pomieszczenie. Zobaczymy, czy uda nam się znaleźć jakieś zagubione tartinki...

Podczas gdy polujemy na jedzenie, wypijam jeszcze dwa kieliszki wina. Z pewnością powinny tu być hordy studentów z przekąskami. Żadnych jednak nie zauważam, chociaż od czasu do czasu, ku naszej frustracji, widzimy ludzi trzymających coś w palcach i unoszących to do ust. Nie jadłam nic od kanapki w porze lunchu i jestem już trochę zamroczona, ale, do licha, wszyscy inni na sali najwyraźniej również. To tego rodzaju przyjęcie. Jeśli będzie trzeba, wybulę czterdzieści funciaków na taksówkę do domu, skoro cała impreza jest darmowa.

– Słyszałaś, że później mają się zacząć tańce...?! – Frances przekrzykuje wrzawę, gdy mijamy gromadkę bakteriologów ze Szwecji.

Wiem, że to bakteriologowie, bo zajadle dyskutują na temat eksperymentów Meselsona i Stahla. Przeprowadzono je w 1958 roku, a oni wciąż się o nie kłócą. Myślę, że z jednym z nich mogłam toczyć krótkotrwały listowny spór na łamach magazynu „Nature” kilka lat temu.

– Chyba żartujesz... – mruczę, ale Frances mnie nie słyszy, bo moje słowa toną w pisku nagłośnienia dobiegającym z boku sali.

Krzywimy się i odwracamy w tamtą stronę. Potem ktoś na podium stuka w mikrofon. Boże, przemowy, myślę sobie, porzucając kieliszek i rozglądając się za nowym, zanim zaczną. Kierownik katedry nauk ścisłych rzadko poprzestaje na jednym słowie, jeśli może użyć dwudziestu ośmiu.

\*\*\*

Koło dwudziestej drugiej wieczór zaczyna tonąć w alkoholowej mgłę. Patrzą na zegarek i myślę, że powinnam zadzwonić do Guya, uprzedzić go, że będę w domu później, niż zapowiadałam, ale po chwili

przypominam sobie, że przecież Guy jest w Newcastle. Na zaproszeniu było napisane, że impreza potrwa do północy. Nie wyobrażałam sobie, że zostanę tak długo. Teraz jednak wygląda na to, że dotrwam do samego końca. Alkohol oszołomił mnie, jest mi niedobrze i czuję się trochę zagubiona – zbyt pijana, żeby dalej pić, a jednocześnie zbyt pijana, aby przestać. Już dawno się tak nie upiłam. Od lat nie byłam w takim stanie. Zgubiłam gdzieś po drodze Frances, zbratałam się za to z grupką badaczy i nawet udało mi się przywitać z Elim Rochesterem, który ku mojemu zdumieniu pamiętał mnie z sympozjum na temat zaawansowanej bioinformatyki, w którym uczestniczyliśmy w Chicago sześć lat temu. Nagle dociera do mnie, że nie jestem przyzwyczajona do noszenia tak wysokich szpilek i że naprawdę powinnam wyjść na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Natychmiast.

Wyglądam przez wysokie wąskie okna na dziedziniec położony na tyłach głównej sali, gdzie aż roi się od palaczy. Gdy tak stoję, obserwując ich i rozważając, czy się do nich nie przyłączyć, ktoś dotyka mojego łokcia. Odwracam się i widzę George'a Craddocka. Uśmiecha się do mnie.

– Och, cześć – mówię radośnie, z ulgą witając znajomą twarz. – Czy Sandra też jest tutaj?

Nie wiem, dlaczego założyłam, że wszędzie bywają razem, tylko dlatego że razem pracują.

– Wyszła jakiś czas temu – wyjaśnia George. Unosi swój kieliszek, wskazując na dziedziniec. – Widziałem cię wcześniej, ale nie mogłem się do ciebie przedrzeć. Wybierasz się na zewnątrz?

Czuję, że naprawdę, naprawdę muszę usiąść.

– Dobry pomysł... – mówię i idę przodem.

Wychodzimy z sali i siadamy na niskim ceglany murku. George ma na sobie koszulę z długim rękawem we wzorek z drobnymi kwiatków. To designerska koszula. Pasuje mu. W dłoni trzyma paczkę papierosów. Wyjmuje jednego i podaje mi, a ja głupio, po pijaku wkładam go do ust, a potem pochylam się ku zapalniczce, którą mi podsuwa. Zapalniczka bucha płomieniem niczym miotacz ognia, więc zaciągam się głęboko i natychmiast prostuję, żeby nie osmalił mi brwi. Dostaję ataku kaszlu.

– Wiedziałem, że po kryjomu podpalasz! – woła George.

– Ja nie palę, naprawdę! – kręcę głową ze śmiechem.

– Palisz, palisz – upiera się. – Po prostu należysz do osób, które uważają, że to nie palenie wywołuje raka, lecz chodzenie do kiosku i kupowanie papierosów.

Stwierdzam, że po kilku drinkach George jest zdecydowanie bardziej dowcipny niż normalnie.

– Boże, czyż te przemowy nie były koszmarne... – zauważa.

Wdajemy się w dyskusję na temat władz uniwersyteckich oraz tych, którzy je dotują, począwszy od dziekana, a skończywszy na obecnym ministrze edukacji. George zawsze wydawał mi się nieco konserwatywny, więc z zaskoczeniem odkrywam, że podziela mój pogląd na obecne problemy dotyczące finansowania szkolnictwa wyższego. Ale chociaż wielu wykładowców takich jak on narzeka na pieniądze, trzeba przyznać, że nauki ścisłe są dobrze dotowane w porównaniu z kierunkami humanistycznymi. Myślę o tym, o ile łatwiej potoczyła się kariera mojej córki niż syna. Rozmawiamy o tym, że kierownik katedry nauk ścisłych prawdopodobnie żywi dość romantyczne złudzenia co do sektora prywatnego. Owszem, w grę wchodzi znacznie większe pieniądze, ale też środowisko jest

bardziej konkurencyjne. Tacy mocodawcy oczekują rezultatów.

Długo siedzimy na zewnątrz. Chociaż jestem bez płaszcza, nie czuję zimna. W którymś momencie dołącza do nas grupka ludzi. Rozmawiamy jeszcze przez jakiś czas, potem oni też się rozchodzą. Kelnerzy nie wnoszą wina na zewnątrz, ale George kilkakrotnie wraca do środka po kolejne kieliszki. Na sali przygaszono światła, zaczęła huczeć muzyka. Niestety nie jest na tyle ciemno, bym mogła uniknąć widoku rozszalałych szwedzkich bakteriologów. George właśnie poszedł po następnego drinka dla mnie, gdy podchodzi Frances i mówi:

- Muszę już iść, złotko. Jestem kompletnie nawalona.
- Ja też – przyznaję. – Też będę się zaraz zbierać.
- Do zobaczenia w przyszłym tygodniu – mówi ona. – Tylko nie wyląduj na parkiecie, dobrze?
- Nie ma szans.

George wraca. Chce mi podać kieliszek, ale wstaję, chwiejąc się odrobinę, i mówię:

- Wiesz co? Naprawdę nie powinnam już więcej pić.
- Chyba masz rację – odpowiada. – Idziemy? Pójdę z tobą do metra.
- Tak, zdecydowanie.

Otwieram torebkę i zdaję sobie sprawę, że mam zerowe szanse na znalezienie numerka, który oderwałam od metalowego wieszaka. To, co działo się później, pamiętam jak przez mgłę. Pamiętam, że byłam w korytarzu. Pamiętam, jak próbowałam zdjąć płaszcz z wieszaka. Pamiętam, jak George trzymał mi torebkę, podczas gdy wkładałam okrycie, ale nawet nie próbowałam go zapinać. Pamiętam stukot moich obcasów, gdy przecinaliśmy hol, i pamiętam słowa Georga: „Muszę tylko zabrać teczkę z gabinetu”. Pamiętam, jak oparłam się plecami o ścianę windy i zamknęłam oczy. Jak szliśmy ciemnym korytarzem. Kompleks Dawsona zbudowano w latach sześćdziesiątych. Ponad wysokimi aulami na parterze znajdował się labirynt źle oświetlonych biur. W którymś momencie szoruję barkiem po ścianie z pustaków. George łapie mnie za ramię.

- Chodź tutaj! – woła przyjaźnie, z odrobiną rozbawienia. – Chyba musisz chwilę posiedzieć.

Wchodzimy do gabinetu George’a, a on zatrzaskuje za nami drzwi jedną nogą, po czym podchodzi do biurka. Pod przeciwległą ścianą stoi mała dwuosobowa sofa, więc opadam na nią, nie zważając na to, że gniotę przy tym płaszcz. Do diaska, myślę sobie, nie spałam się tak od lat. Powinnam była coś zjeść w kawiarni, gdzie się z tobą spotkałam. Uśmiecham się pod nosem na wspomnienie twojej osoby i tego, co zrobiliśmy wcześniej. Myślę o tych wszystkich znamienitych badaczach na dole, o mojej pracy, o moich stopniach naukowych. Gdyby oni tylko wiedzieli...

George włącza lampkę stojącą na biurku i wkłada jakieś papiery do wysłużonej brązowej teczki. Potem klika przełącznik czajnika elektrycznego stojącego w rogu biurka. Odwraca się i wiem, że na mnie patrzy, ale pozwalam, żeby głowa opadła mi do tyłu. Gdy znowu ją podnoszę, George podchodzi do włącznika przy drzwiach i gasi lampy sufitowe. Lampka na biurku ciągle się świeci. Woda w czajniku bulgocze.

- Czemu się uśmiechasz? – pyta.

Coś w jego tonie sprawia, że czuję się odrobinę nieswojo, ale nim zdążę zarejestrować tę myśl, on już kłęka na podłodze przed sofą i dociska usta do moich ust. O, cholera, myślę sobie. O, rany... Kładę dłonie na jego piersi i odpycham go bardzo delikatnie. Współczuję mu, że tak się wygłupił.

– Słuchaj, przepraszam... ale nie – mówię, śmiejąc się bez przekonania. Jakież to głupie z mojej strony, że pozwoliłam, aby coś sobie pomyślał. Boże, ale ze mnie idiotka. – Naprawdę mi przykro... Moje życie i tak już jest wystarczająco skomplikowane.

Cofa się nieco, przysiadając na piętach. Ja też już siedzę wyprostowana, więc jego twarz znajduje się dość blisko mojej. George przekrzywia głowę na bok.

– Jak się ma Guy? – pyta nagle.

Zna imię mojego męża... Cóż, oczywiście, w końcu łączy nas obszar badań. Chociaż z tego, co wiem, nigdy się nie spotkali.

– W porządku... – mówię.

– A wie, że rzniesz się z kimś innym?

Patrzę na jego przyszyżoną brodę, na okulary w cienkich oprawkach – podobne do tych, jakie ty nosisz – na przyjazny uśmiech. Jestem zbyt zakłopotana i zdecydowanie zbyt pijana, żeby wykić to pytanie i zaprzeczyć w wiarygodny sposób.

Jego uśmiech staje się jeszcze szerszy.

– Inaczej nie opisywałabyś swojego życia jako skomplikowanego.

Kręcę głową, wciąż zdumiona obrotem spraw. Nic nie mówię, tylko kręcę głową.

– Zawsze uważałem, że jesteś zachłanna – mówi, wciąż się uśmiechając, choć jego głos jest niski i mroczny.

Potem zadaje mi cios.

Ból eksploduje w mojej głowie. Mam wrażenie, jakby uderzenie pochodziło z wewnątrz. Szok sprawia, że na ułamek sekundy tracę przytomność i poczucie rzeczywistości. Krzyczę z bólu i niedowierzania, zsuwając się bokiem na ziemię. Dzwoni mi w lewym uchu. Zanim zdążę dobrać się do siebie, już leżę na podłodze z głową dociśniętą do poduszek sofy, a on mnie pieprzy.

Jego ciężar przyspila mnie do podłogi. George stęka z wysiłku. Czuję ból w kostce i zdaję sobie sprawę, że jest dociśnięta do kwadratowej metalowej nogi biurka stojącego naprzeciwko sofy. Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje.

George Craddock patrzy na mnie przez cały czas, gdy mnie pieprzy. Wciąż ma na nosie okulary.

– Jeśli podniesiesz głowę z tej sofy, uderzę cię znowu – ostrzega.

Wbija się we mnie mocno, więc głowa unosi mi się odruchowo. Nie próbuję wstać ani stawiać oporu. Ale on uderza mnie znowu na odlew w twarz. Głowa odskakuje do tyłu. Rozumiem przekaz. Napinam mięśnie szyi, żeby utrzymać głowę nieruchomo. Zamykam oczy i zasłaniam twarz dłońmi.

Mam wrażenie, że to trwa wieczność, chociaż w rzeczywistości to może być kwestia wyłącznie kilku minut. Po jakimś czasie, nie przerywając, pyta:

– Dlaczego zasłoniłaś twarz dłońmi?

Nie odpowiadam. Wciąż napinam wszystkie mięśnie, by leżeć nieruchomo mimo tego, co mi robi. Chcę ochronić twarz.

– Zdejmij ręce z twarzy – mówi.

Kiedy tego nie robię, powtarza głosem, w którym pobrzmiwa groźba:

– Powiedziałem: zdejmij ręce z twarzy...

Ale ja wciąż się nie ruszam. Jestem jak żółw, który wycofał się do swojej skorupy, albo jeź zwinięty w kulkę. Siłą odrywa mi dłonie od twarzy i przytrzymuje je z boku, obejmując oba moje nadgarstki jedną dłonią. Drugą znowu uderza mnie w twarz.

Wreszcie zaczynam go błagać.

– Proszę... – mówię.

Gdy nie przestaje, próbuję użyć jego imienia:

– George, proszę... proszę... – powtarzam.

– O co prosisz? – pyta.

Otwieram oczy i patrzę mu w twarz. Spogląda na mnie z góry z uśmiechem.

– O co prosisz?

Gdy nie odpowiadam, twarz mu pochmurnieje. Cofa dłoń, unosząc ją wysoko do następnego ciosu. Kulę się na tyle, na ile to możliwe.

– Proszę, nie bij mnie – skomlę.

To właściwa odpowiedź. George znowu się do mnie uśmiecha i opuszcza rękę. Zaczyna głośniejsz dyszeć, opuszcza głowę, dociskając twarz do krawędzi sofy, tuż obok mojej twarzy. Biały owal światła gapi się na mnie z wysokości biurka. Widzę obrotowy fotel i leżącą na nim wysłużoną skórzaną teczkę, wciąż otwartą. Normalne przedmioty typowe dla każdego gabinetu.

– Kurwa, k u r w a... – dyszy George w poduszkę i wbija się we mnie z desperacką werwą. Po chwili nieruchomieje. Do klapy marynarki wciąż ma przypięty identyfikator z przyjęcia. Metalowy klips boleśnie wbija mi się w pierś. – Kurwa... – sapie w końcu i wyslizguje się ze mnie, mały i zwiotczały.

Wzdragam się, gdy czuję muśnięcie jego penisa na udach. Schodzi ze mnie, a ja unoszę się odrobinę na łokciach. Klęczy przez chwilę między moimi udami ze spodniami spuszczoneymi do kolan i z rozchełstaną koszulą. Twarz lśni mu od potu. Bawi się sobą, uśmiechając się do mnie.

– Chyba wypilem za dużo wina... przepraszam... – tłumaczy się poufale.

– Uderzyłeś mnie... – mówię z niedowierzaniem.

Wstaje, wciąż szczerząc zęby w uśmiechu, zrzuca teczkę z obrotowego fotela i siada na nim.

– Myślałem, że ci się to spodoba – wyjaśnia, zadowolony z siebie, a potem dodaje: – Mnie się podobało, jak błagałaś.

Podciągam się na sofę i siedzę tak przez chwilę czy dwie. Trzęsę się cała, szcękając zębami. Wciąż na mnie patrzy.

– Lepiej jeszcze nie schodzić. Wciąż kręci się tam za dużo osób.

Znowu zaczyna się dotykać, trzymając go między kciukiem a palcem wskazującym.



– Ci chłopcy... – urywa.

Głaskanie działa.

Dobry Boże, myślę, to jeszcze nie koniec.

George wstaje z fotela i podchodzi do mnie.

– Otwórz usta.

\*\*\*

Usypia dopiero po pierwszej w nocy, na krótko, z ramieniem przerzuconym przez moją szyję. Leżę nieruchomo przez długi czas, ale gdy tylko spróbuję drgnąć, on natychmiast się budzi. Zachowuję ostrożność i się uśmiecham.

– Lepiej już pójdę... – rzucam swobodnie.

Zakładam, że jego sen oznacza, iż adrenalina opadła i będzie zmęczony.

Założenie okazuje się słuszne.

– Tak, chyba tak – mówi sennie. – Będziesz miała problem, żeby to wytłumaczyć w domu, prawda? – Jego ton jest już otwarcie złośliwy, ale mniej groźny niż tamten uśmiech.

Wszystko będzie dobrze, powtarzam sobie w myślach raz za razem. Jeśli tylko zachowasz teraz ostrożność, on cię więcej nie uderzy.

Wstaje i poprawia ubranie, potem schyla się i zbiera z ziemi papiery. Kładzie teczkę na biurku i zaczyna porządkować dokumenty. Jestem przekonana, że to koniec, ale nie mogę być tego całkowicie pewna, więc zachowuję się bardzo spokojnie, niemal swobodnie, gdy mówię:

– Cóż, w takim razie do zobaczenia.

Wstaję, wyglądam sukienkę, poprawiam płaszcz i fryzurę. Kolana trzęsą mi się ze strachu.

– Zejdę z tobą – powstrzymuje mnie.

Czekam już w korytarzu, gdy zamyka za sobą drzwi gabinetu. Wszystko wydaje mi się teraz takie nierealne. Chcę być już w domu, a najlepszy sposób na to, aby się tam znaleźć, to zachowywać się normalnie. Stoimy więc obok siebie, czekając na windę. W środku opieram się plecami o ścianę i zamykam oczy. Gdy je otwieram, widzę, że patrzy na mnie z uśmiechem. Po chwili drzwi windy otwierają się i szybkim krokiem wkraczamy do opustoszałego holu. Kilku maruderów gawędzi w korytarzu, ale dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do wielkiej sali zostały otwarte na oścież, a pomieszczenie jest jasno oświetlone i puste. Kręcą się po nim tylko studenci z czarnymi plastikowymi workami na śmieci. Modlę się, żebyśmy nie napotkali nikogo, kogo znam. Gdy idziemy przez hol, George Craddock chwyta mnie za łokieć.

– Przegapiliśmy już ostatnie metro – mówi. – Weźmiemy taksówkę.

Na zewnątrz znowu pada deszcz, drobny i lodowaty. Stoję na chodniku, chwiejąc się w szoku. Po kilku minutach zatrzymuje się przy nas czarna taksówka z zapalonym żółtym światłem. George Craddock mówi coś do kierowcy i słyszę, jak ten odpowiada: „Jadę tylko na południe”, po czym odjeżdża. George odwraca się do mnie:

– Nie miał prawa odmówić, wiesz. Moglibyśmy złożyć na niego skargę. Miał zapalone światło.

Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki podjeżdża kolejna taksówka, a George otwiera tylne drzwi i gestem nakazuje mi wsiąść do środka. Robię to posłusznie. On chwilę rozmawia z kierowcą, po czym siada obok mnie. Wciskam się w kąt, jak najdalej od niego, odwracając twarz. Nie rozmawiamy, gdy taksówka pędzi przez nocny Londyn. Brak mi słów. Ulice są puste. Deszcz przestał padać. Jest czysta czarna noc. Budynki majaczą i znikają za oknami. Uliczne lampy zalewają mnie światłem. Po chwili zamykam oczy. Dopiero gdy jedziemy przez Wembley, dociera do mnie, że nie mogę pozwolić, by odkrył, gdzie mieszkam. Otwieram oczy i zwracam się do niego, lekko krzywiąc wargi:

– Podejrzewam, że mąż będzie na mnie czekał...

– To nic – ucina. – I tak wysiadam pierwszy.

Jedziemy w milczeniu jeszcze kilka minut.

– Całe szczęście, że mieszkamy po drodze – zagaduje. A po chwili dodaje: – Nie mieszkam tak daleko od ciebie. W linii prostej.

Jest mi niedobrze.

– Nie wiedziałaś o tym, prawda? – pyta.

Potem pochyła się i stuka w szklaną szybę działową. Kierowca ją odsuwa.

– Może mnie pan wysadzić na tym skrzyżowaniu – mówi.

Taksówka zatrzymuje się na błyskających na bursztynowo światłach. Chudy, samotny pies przebiega truchtem jezdnię przed nami, pochylając łeb. George odpina pas bezpieczeństwa i unosi się nieco, by wyciągnąć portfel z tylnej kieszeni spodni. Grzebie w nim, podczas gdy silnik chodzi na jałowym biegu, po czym rzuca na siedzenie obok mnie dziesięciofuntowy banknot i kilka funtowych monet.

– Proszę – mówi. – To nie będzie połowa, ale jedziesz dalej niż ja.

Potem znika.

Taksówka rusza. Bardzo powoli wypuszczam powietrze z płuc i znowu zamykam oczy. Wciąż trzymam je zamknięte, gdy zatrzymujemy się przed moim domem. W którymś momencie kierowca musiał zapytać mnie o adres, ale nie przypominam sobie tego. W mojej pamięci roi się od luk. Jestem w stanie radzić sobie wyłącznie z wymaganiami chwili obecnej, a te są takie, abym zapłaciła za kurs, weszła do domu, zamknęła za sobą drzwi, poszła na górę i schowała się pod kołdrą. Zgarniam pieniądze George'a Craddocka z siedzenia, wysiadam z taksówki i zatraskuję drzwiczki. Kierowca opuszcza szybę. Podaję mu pieniądze George'a, po czym mówię:

– Momencik... – i zaczynam grzebać w torebce w poszukiwaniu portmonetki.

Kierowca cały czas mnie obserwuje. Ręce mi się trzęsą.

– Chcesz rachunek, złotko? – pyta po chwili, przeciągając samogłoski.

– Tak, proszę. – Zachowuj się normalnie, a wszystko będzie dobrze.

Płacę swoją część rachunku, a on wydaje mi resztę i paragon. Patrzy na mnie w zamyśleniu, a potem mówi:

– W porządku, złotko... Zatem dobrej nocy.

– Dziękuję, wzajemnie – odpowiadam i się odwracam.

Mój dom jest pogrążony w ciemnościach. Wchodzę do środka i chociaż wiem, że Guya nie ma, przystaję w przedpokoju, nasłuchując. Nie zapalam światła, ale przez szklane panele nad frontowymi drzwiami sączy się blask ulicznych latarni, oświetlając znajome przedmioty – stojak na parasolki, stolik ze szklaną misą, którą kupiliśmy na Sycylii. Wiem, że jeśli dłużej tu postoję, ugną się pode mną kolana, więc wchodzę głębiej do mieszkania. Po chwili przypominam sobie, że nie założyłam łańcucha na drzwi. Cofam się i to robię. Potem wchodzę do salonu, zapalam światło, sprawdzam, czy okna są pozamykane, i zaciągam zasłony. Przechodzę przez cały dom, od pomieszczenia do pomieszczenia, sprawdzając okna w każdym z nich. Idź do łóżka, myślę sobie. Po prostu schowaj się pod kołdrę. Połóż się.

Idę do łazienki, wyrzucam szczoteczki z kubka, napełniam go wodą i wypijam. Powtarzam to trzykrotnie. Nie przeglądam się w lustrze nad umywalką.

W sypialni zrzucam ubrania i zostawiam je na podłodze przy łóżku. Dzięki Bogu, że Guy jest w Newcastle. Kładę się, ale po chwili wstaję, biorę krzesło sprzed toaletki stojącej w rogu pokoju i opieram je o drzwi sypialni, mimo że oparcie i tak nie sięga klamki i nie może jej zablokować. Wracam do łóżka, gaszę nocną lampkę i naciągam kołdrę na ramiona, bo trzęsę się od stóp do głów. Moja ostatnia myśl, nim stoczę się w otchłań snu, brzmi: „Jak mogłam być taka głupia?”.

Po pięciu godzinach budzę się gwałtownie i natychmiast przypominam sobie, co mi się przytrafiło. Wpadam pod prysznic. Odkręcam wodę do oporu. Czuję, jak gorące igiełki kłują moją skórę. Szoruję się bez wytchnienia prawie do krwi. Wreszcie gdy jestem już czysta, długo stoję pod strumieniem gorącej wody, pozwalając, żeby spływała mi po plecach, podczas gdy opieram czoło o gładkie białe kafelki. Jeśli nie powiem nikomu o tym, co się stało, myślę trzeźwo i ze spokojem, uda mi się o tym zapomnieć.

Telefon sprawdzam dopiero po zejściu do kuchni, gdy zaparzam kawę, owinięta w szlafrok frotté. Moja torebka leży na stole. Nie pamiętam, żebym ją tu zostawiła, ale przecież w ogóle niewiele pamiętam z tego, co robiłam po powrocie do domu.

Odczytuję esemes od Guya. Dotarł do mnie o dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt osiem: „Wykład poszedł dobrze. Mam nadzieję, że impreza się udała. Napisz do mnie, jak wrócisz do domu. OK? Będę jutro koło 18.00”. Zegar w kuchni wskazuje siódmą dwadzieścia. Odpisuję mu: „Przepraszam, dopiero teraz zobaczyłam twoją wiadomość. Na imprezie były tłumy, trochę nudno. Cieszę się, że wykład poszedł dobrze. Do zobaczenia później”. Potem siedzę przez chwilę z aparatem w dłoni. Wyobrażam sobie, że dzwonię do męża. Prawdopodobnie wciąż śpi w pokoju hotelowym w Newcastle. Mój telefon by go obudził. Wyobrażam sobie, jak odbiera komórkę, lekko marszcząc brwi i zastanawiając się, w jakiej sprawie mogę dzwonić tak wcześnie. Wyobrażam sobie, że mu mówię, a on wzywa policję. Wyobrażam sobie, jak przychodzą do tego domu, dwóch policjantów w mundurach, z krótkofalówkami przy piersi trzeszczącymi zaciekle. Wyobrażam sobie, jak zabierają mnie gdzieś. Jak leżę w pokoju na tyłach komisariatu na plecach, naga od pasa w dół, z nogami zgiętymi w kolanach, może ze stopami w strzemionach. Wyobrażam sobie zimne metalowe narzędzia i mężczyznę, a może kobietę, kogoś, kto się nie uśmiecha, bo jego jedynym zadaniem jest wytropienie dowodów. I wiesz, co ta osoba by tam

znalazła, mój ukochany, mój najdroższy X? Co znalazłaby pośród śladów pozostawionych przez mojego napastnika? Znalazłaby DNA, wijące się i robiące uniki, ale niezdolne się ukryć przed okiem zawodowca. Znalazłaby ciebie. Apple Tree Yard. Właśnie to by znalazła.

Chowam telefon z powrotem do torebki.

Siedzę w kuchni jeszcze przez dwie godziny, owinięta w puszysty szlafrok, z nogami opartymi o sąsiednie krzesło – z jedną zgiętą, a drugą wyprostowaną, jakby była złamana. Piję kawę i gapię się w ścianę, zdruzgotana i obolała. Nie jestem w stanie się ruszyć. Od czasu do czasu muszę odrobinę zmienić pozycję, bo mięśnie mi sztywnieją, i krzywię się przy tym.

O wpół do dziesiątej dzwoni mój telefon. Wyjmuję go z torebki i widzę, że to Guy. Pozwalam mu nagrać się na pocztę. Zostawia wesołą wiadomość, powtarzając informacje z esemesa, którego wysłał mi zeszłej nocy. Wykład poszedł naprawdę dobrze. Ma nadzieję, że impreza była udana. Już nie może się doczekać, aż mu o niej opowiem. Myśli, że po powrocie będzie musiał pójść prosto do biura i trochę popracować. Czy nie będę miała nic przeciwko? Zresztą zapomniał, że i tak miał się spotkać z Paulem na drinka o ósmej. Odczekuję dwadzieścia minut, po czym piszę do niego: „Przepraszam, byłam pod prysznicem. Nie ma sprawy. Chyba złapałam jakiegoś wirusa, więc dziś zostanę w domu, nie przejmuję się wieczorem, pewnie pójdę wcześniej spać”.

Po wysłaniu tej wiadomości przypominam sobie, że sama jestem umówiona z Susannah dziś po południu. Ona z pewnością też zapyta mnie o przyjęcie. Zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Nie mogę się z nią widzieć i nie powiedzieć jej o tym, co się stało. Zatem nie mogę się z nią zobaczyć. Jej też wysyłam esemes. Potem przez kilka minut siedzę z telefonem w dłoni, wpatrując się w niego, jakbym się spodziewała, że jeśli będę się na niego gapić wystarczająco długo, zamieni się w inny przedmiot – może w perłę albo w mysz, która zeskoczy mi z dłoni. Skoro już to przemilczałaś, dalej musisz milczeć. To takie proste, myślę sobie. Tak łatwo twoje życie może się zamienić w kłamstwo.

W końcu wracam na górę, powoli jak inwalidka pokonując schody po jednym stopniu i krzywiąc się przy tym. Mocno ściskam poręcz, aż bieleją mi palce. Zauważam żyły na grzbiecie dłoni. Zabrałam ze sobą torebkę i teraz rzucam ją na łóżko. Obok na podłodze leży sterta wymiętych ubrań, które miałam na sobie poprzedniego wieczoru. Moja najlepsza sukienka, pończochy samonośne, stringi – łatwy dostęp – i biustonosz do kompletu. Idę do szafy, wyciągam plastikową torbę, wpycham do niej to wszystko i ciasno zawiązuję troczki, a potem chowam torbę w głębi szafy. Kilka tygodni później ukryję ją w innej torbie, a potem wyrzucę do kosza podczas zakupów w Harrow. Moja ulubiona sukienka, najlepsza bielizna, której prawie nigdy nie nosiłam, mój imprezowy *image* znikną w śmieciach na dobre.

Kładę się na łóżku, na kołdrze, i zwijam w kłębek. Leżę tak bardzo długo, obserwując nieruchomy, pogrążony w ciszy pokój – lampę na stoliku przy łóżku z powłoką kurzu pokrywającą brzeg klosza, nowy

dywan, ciężką komodę, w której Guy trzyma swoją bieliznę i T-shirty – jest odrobinę za duża i ledwie mieści się między oknami, gdzie ją trzymamy. Te przedmioty to tkanina mojego życia. Biorę je za pewnik. Trzęsę się, jakbym miała grypę. To nie będzie trwało wiecznie, powtarzam sobie, kilka dni, to wszystko. Nie mam na myśli dreszczy. Chcę zasnąć, ale nie mogę.

\*\*\*

Gdzieś koło południa podnoszę się, podtykam sobie kilka poduszek pod plecy i opieram się o zagłówek. Żołądek mam pusty i jest mi niedobrze, ale wiem, że i tak nic w sobie nie wmuszę. Przyciągam torebkę i tym razem sprawdzam oba aparaty. Ten na kartę trzymam w kieszonce zapinanej na suwak. Na zwykłym telefonie mam cztery wiadomości z pracy. Na tym na kartę nieodebrane połączenie od ciebie, ale nie zostawiłeś wiadomości. Znajduję też esemes.

KAC? DOBRZE SIĘ BAWIŁAŚ? TĘSKNISZ ZA MNA?

Jestem tak obolała i złakniona twojej bliskości, że łzy stają mi w oczach na widok tych słów. Sama świadomość, że o mnie myślisz, że zastanawiasz się, jak się udała impreza, że może jesteś trochę zazdrosny, bo jeszcze do ciebie nie zadzwoniłam, by ci o niej opowiedzieć – to wszystko sprawia, że chce mi się płakać. Odpisuję.

KAC. TO BYŁ ZŁY WIECZÓR. BARDZO ZA TOBĄ TĘSKNIĘ.

Po wysłaniu wiadomości siedzę przez chwilę z telefonem w dłoni, próbując go zmusić, żeby zadzwonił. Jeśli podejrzewasz, że coś się wydarzyło, zadzwonisz natychmiast, będziesz naciskał, aż się przyznam. Modłę się, słabo, dziecinnie, żebyś to zrobił. „Co masz na myśli, mówiąc »zły wieczór«?” – zapytasz. Ale ty nie dzwonisz. Potraktowałeś słowo „zły” zaledwie jako przeciwieństwo „dobrego”: „zły” w sensie „nudny”, „męczący”, „za bardzo pijacki”... Jestem rozczarowana. Spodziewałam się po tobie czegoś więcej. Ostatecznie jesteś mistrzem interpretacji, a ja zazwyczaj nie skarzę ci się, że coś jest nie tak. Wciąż jesteśmy sobą upojeni. Każdej naszej rozmowie normalnie towarzyszy euforia. Ale może, chociaż zajmujesz się swoimi sprawami, dokucza ci wrażenie, że jednak nie wszystko ze mną w porządku? Próbuję sobie wyobrazić, gdzie możesz być, z kim jesteś, co robisz. Wyobrażam sobie, że siedzisz na jakimś strategicznym spotkaniu, omawiasz rozlokowanie agentów (oto, jak niewiele wiem na twój temat) przy kwadratowym stole zastawionym kubkami z kawą rozpuszczalną i z talerzem na wpuł zjedzonych herbatników. Ale nie. Dochodzę do wniosku, że jednak nie odgadłeś, że coś jest nie tak. Znam cię już wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że gdybyś wyczuł, iż coś ukrywam, natychmiast byś do mnie zadzwonił. Mój esemes był wystarczająco ogólnikowy, aby cię zwieść, i jestem nad wyraz rozczarowana powodzeniem własnej strategii.

Chowam oba telefony z powrotem do torebki, kładę się i znowu zwijam w kłębek na boku. To zaczyna się jak seria małych detonacji głębinowych szarpiących moim żołądkiem. Po chwili suchego szlochu łzy zaczynają płynąć i nie chcą się zatrzymać.

\*\*\*

Udaje mi się trochę zdrzemnąć. Schodzę na dół i snuję się od pomieszczenia do pomieszczenia. Sprawdzam, czy drzwi frontowe wciąż są zamknięte na łańcuch. „Nie mieszkam tak daleko od ciebie. W linii prostej”. Nie mogę się zmusić do jedzenia, ale wypijam filiżankę herbaty.

\*\*\*

Dzwonisz późnym popołudniem. Wpatruję się w aparat leżący w mojej dłoni i serce mi się kraje, bo pragnę cię tak bardzo, że chyba umrę, dosłownie położę się i umrę, jeśli z tobą nie porozmawiam. Ale wiem, że gdy tylko odbiorę ten telefon i odbędziemy normalną flirciarską rozmowę, zrodzi się między nami przepaść. Taka, jaka dzieli mnie i Guya albo ciebie i twoją żonę. Jestem jednak słaba, więc zamiast zrobić to, co powinnam – czyli zignorować cię, a potem wysłać pogodny esemes – odbieram.

Jest środek dnia. Będziesz zajęty w pracy. Jeśli zdołam odpowiadać beztrosko i udawać, że też jestem zajęta, nawet się nie zorientujesz. Wtedy będę miała cały weekend na to, żeby dojść do siebie, nabrać sił. Czy pamiętasz tę rozmowę, mój ukochany? W mojej pamięci wypaliła się niczym ślad po lutownicy.

– Hej, kacusiu – witasz się wesoło. – Jak się czujesz?

– Dobrze. – Tylko tyle jestem w stanie z siebie wydusić.

Jedno słowo pozbawione intonacji.

Milczysz przez moment, a potem pytasz cicho i poważnie:

– Co się stało?

\*\*\*

Gdy kończę swoją opowieść, nie odzywasz się przez chwilę, a potem pytasz:

– Czy masz jakieś ślady na twarzy?

– Nie – mówię. – Używał otwartej dłoni.

– A gdzie indziej?

– Mam trochę siniaków na udach... I obrażenia wewnątrz, tak sędzę... i chyba rozdarty odbyt.

Odpowiadasz z marszu:

– Siniaki na udach to dobrze. Rozdarcie odbytu jest bardzo powszechne w przypadku seksu analnego za obopólną zgodą. Czy masz jakieś ślady po więzach, jakieś ślady na nadgarstkach?

Zastanawiam się, skąd ci się biorą wszystkie te pytania.

– Nie – mówię. – Nie związał mnie. Nie musiał. Zamiast tego mnie uderzył. Nie stawiałam oporu, ja nie... – załamuję się.

– Yvonne... – mówisz wtedy, a w twoim głosie pobrzmiwa łagodność, jakiej wcześniej nie słyszałam. – Yvonne... świetnie sobie radzisz... Bardzo dobrze sobie poradziłaś. A teraz słuchaj. Czy chcesz, żebym przysłał kogoś do ciebie, żeby spisał twoje zeznania? Mogliby u ciebie być w ciągu godziny.

– Kto?

– Policjanci. Będzie ich dwoje. Albo mężczyzna i kobieta, albo dwie kobiety. Mają teraz specjalne jednostki. Jest inaczej niż kiedyś.

– Nie – mówię.

Milkniesz na moment.

– Jesteś pewna?

Po raz pierwszy, od kiedy to się wydarzyło, potrafię trzeźwo myśleć.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że nie mogę pójść z tym do sądu.

Zapada między nami długie milczenie. Dociera do nas prawda tego stwierdzenia, konsekwencje dla nas obojga. Ta cisza trwa tak długo, że przypomina ciepłą kąpiel. Panuje między nami taka bliskość...

– O, Boże... – mówisz w końcu po prostu.

– Już dobrze – zapewniam go, dzielnie pociągając nosem. – Nic mi nie jest.

– Nie – protestujesz. – Nic nie jest dobrze, a z tobą nie wszystko jest w porządku.

– Ale będzie.

– Gdzie jest twój mąż?

– Właśnie wraca z Newcastle. Będzie dziś w domu późno. Ma spotkanie ze starym przyjacielem. Powiedziałam mu, że coś mnie łąpie. Pewnie położę się spać w pokoju gościnnym. Robimy tak, gdy jedno z nas jest chore.

– Będiesz w stanie normalnie się przy nim zachowywać jutro rano?

– Tak. Po prostu będę udawać, że jestem chora.

Właściwie to na ten weekend zaplanowaliśmy więcej spotkań towarzyskich niż zazwyczaj: teatr z przyjaciółmi w sobotę, niedzielny lunch z siostrą Guya, która mieszka w Pinner. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak przez to wszystko przebrnę, ale to przynajmniej odciągnie moją uwagę od tego, co się wydarzyło. A może będę wystarczająco chora, żeby po prostu zostać w łóżku.

– Wiesz, że gdybym mógł do ciebie teraz przyjechać, zrobiłbym to – mówisz.

– Tak, wiem. – Z twojego tonu wnioskuję, że szykujesz się do zakończenia rozmowy. Próbuję opóźnić ten moment: – A co ty robisz w ten weekend?

Łamię w ten sposób jedną z naszych niepisanych zasad. Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy o tym, co robimy, gdy jesteśmy w domu z naszymi małżonkami, jakby takie wyznaczenie granicy, taka lojalność wobec nich w jakiś sposób umniejszała naszą winę. Jakby takie odseparowanie usprawiedliwiało to, co robimy.

– Dziś wieczorem kilka osób przychodzi do nas na kolację – po raz pierwszy słyszę, jak używasz liczby mnogiej „do nas” w sensie „do mnie i mojej żony”. – W sobotę rano dzieciaki mają kółko teatralne, może potem zabierzemy je do kina.

To wystarczy. Zapada między nami kolejne milczenie, aż w końcu zmuszam się do cichego prychnięcia, żeby dać ci znać, iż dostrzegam ironię tej sytuacji.

– Nie na to się pisałeś, prawda?



Chodzi mi o to, że nagle sprawy między nami stały się poważne, a nigdy nie mieliśmy tego w planach. Nie potrafię sobie wyobrazić, żebym w tej chwili miała uprawiać z tobą seks. Nie potrafię sobie wyobrazić, bym kiedykolwiek jeszcze miała uprawiać seks. Czy już do ciebie dotarło, co to wszystko oznacza dla nas?

– Pisałem się na ciebie.

W poniedziałek umawiamy się na spacer w pobliżu King's Cross. Spotykamy się tam, bo masz coś do załatwienia w okolicy, ale nie mówisz dokładnie co ani gdzie. Wyjaśniasz tylko, że masz zaledwie pół godziny. Czekam przy stoisku z gazetami przed główną stacją i zauważam cię pierwsza. Widzę, jak wyłaniasz się z tłumu opuszczającego halę. Nastolatek przede mną odstawia jakiś dziwny wirujący taniec, wymachując powoli ramionami, jakby naśladował samolot. Nasze spojrzenia spotykają się między tymi machnięciami. Nie spuszcza z siebie wzroku. Podchodzisz, delikatnie chwytasz mnie za ramię i przyciągasz do siebie, a potem całujesz w czubek głowy.

Odwracamy się i oddalamy od stacji, nawet nie uzgadniając, w którą stronę pójdziemy. Przekraczamy ruchliwe skrzyżowanie i zaczynamy iść powoli w górę Caledonian Road. Przez kilka minut panuje między nami milczenie. Chciałabym, żebyśmy mogli trzymać się za ręce, i dokładnie w momencie, gdy o tym marzę, ty sięgasz po moje przedramię i owijasz je wokół swojego, przyciągając mnie do siebie. Idziemy tak przez jakieś sto metrów. Oddalamy się od zgiełku stacji, ale niewątpliwie wciąż znajdujemy się na terenie King's Cross z jego kawiarniami, barami, sex shopami. Mijamy centrum kultury bangladeskiej. Po drugiej stronie ulicy znajduje się duży hostel. Przed wejściem stoi grupka młodych ludzi z papierosami, przez okna widać piętrowe łóżka, zmięte kołdry dociśnięte do szkła wyglądają jak chmury, które znalazły się po złej stronie szyby. Kilka metrów dalej brązowoskóry młody mężczyzna w szarej bluzie z kapturem siedzi na stopniu szeregowca pomalowanego łuszczącą się różową farbą. Pali i trzyma na kolanach dziecko z gęstą czarną czupryną i złotym kolczykiem. Gdy przechodzimy, dziecko obdarza mnie pięknym bezzębnym uśmiechem, a ja go odwzajemniam. Młody ojciec widzi, jak jego dziecko się uśmiecha, a potem patrzy na mnie, promieniejąc dumą.

Przechadzamy się niczym para w dramacie kostiumowym, jak Jane Eyre i pan Rochester albo Elizabeth Bennet i pan Darcy. Czy oni przypadkiem się często nie sprzeczali? My nigdy nie mieliśmy sprzeczki. Nie było ku temu okazji. Czuję perwersyjny smutek, że nigdy się nie pokłóciliśmy. Zapewne dochodzi do tego w każdym romansie, który trwa przez jakiś czas. Musi przyjść ten moment, w którym człowiek pozwala sobie na odczuwanie irytacji w związku z drugą osobą, tak samo jak w małżeństwie – moment, w którym romans przestaje być cudzołóstwem, a staje się bigamią. To etap, którego nigdy nie osiągniemy.

Skrećamy w lewo i idziemy wzdłuż Wharfdale Road, a potem, wciąż bez żadnej rozmowy na temat tego, dokąd zmierzamy, wkraczamy na York Way, aż docieramy do kanału. Zatrzymujemy się i spoglądamy w dół. Woda jest czarna, ale powstające pod wpływem wiatru zmarszczki na jej

powierzchni wieńczą akcenty jaskrawego błękitu. Chuda samotna kaczka dziobie z nadzieją pośród trzciny rosnących na brzegu. Trzy barki stoją przycumowane jedna za drugą tuż przy linii zarośli. Na dachu jednej z nich stoi przyśrubowany fotel, zwrócony w kierunku słabego słońca. Wskazujesz na pustą ławkę przy ścieżce holowniczej i schodzimy po stopniach, powoli, wciąż ramię w ramię. Podczas gdy siedzimy, moja dłoń wysuwa się spod twojego ramienia, a ty nie sięgasz po nią z powrotem, chociaż nasze biodra stykają się przez materiał płaszczy.

– O której godzinie masz spotkanie? – pytam niepotrzebnie, ale milczenie wydaje mi się jeszcze bardziej pozbawione sensu w sytuacji, gdy jest tak wiele rzeczy, na których powiedzenie nie będziemy mieć czasu.

– Wkrótce – odpowiadasz.

Ścieżką przejeżdża rowerzysta. Pobrzękuje dzwonkiem, znikając w ciemnościach pod mostem.

Rozmawiamy chwilę o tym, jak spędziliśmy weekend, i o naszych planach na najbliższy tydzień. Unikamy mówienia o tym, co się wydarzyło. Myślałam, że może o tym porozmawiamy, właściwie to chciałam tego, bo jesteś jedyną osobą, z którą mogę to omówić, ale boję się też, do czego mogłaby doprowadzić taka dyskusja, więc nie poruszam tematu. Pół godziny to nic, a ponieważ to nie pora na głębokie dywagacje, najwyraźniej lepiej rozmawiać o niczym. Trzydzieści minut. Musieliśmy zużyć z połowę tego czasu na sam spacer tutaj. Tego popołudnia boję się czasu. Ciężarówka z hukiem przejeżdża po York Way. Wzdrygam się, słysząc jej nagły ryk. Boję się wszystkiego.

Dobrze cię widzieć, ale później, z powodów, których nie zdołam sprecyzować, dojdę do wniosku, że to spotkanie nie było udane. Wydajesz się roztargniony – może po prostu przez to, jak mało mamy czasu. Kiedy się nad czymś głęboko zastanawiasz, twoje spojrzenie staje się skupione, ale puste – niemal widzę trybiki obracające się w twoim mózgu. To intrygująca cecha, która czasami wywołuje uśmiech na mojej twarzy. Przypominam sobie, jak moje dzieci, gdy miały trzy czy cztery latka, często mówiły do siebie, nad czymś rozmyślając. Oczywiście nie twierdzę, że tak łatwo cię przejrzeć – wręcz przeciwnie, ta pustka w twoich oczach czyni z ciebie kogoś zupełnie nieprzeniknionego. Chodzi mi po prostu o to, że chociaż nie potrafię stwierdzić, co się dzieje w twojej głowie, wiem, że coś się w niej dzieje. Twoje spojrzenie jest dość surowe. Nie jest ani czułe, ani wymowne. Nie myślisz o mnie.

Pochylasz się i opierasz łokcie na kolanach, spoglądając w zamyśleniu przed siebie, a potem odwracasz się i patrzysz na mnie przez jakiś czas, aż w końcu pytasz:

– Powiedziałaś o nas komukolwiek?

– Nie! – W moim głosie słychać oburzenie.

Czy to nad tym się zastanawiałaś?

Dalej się we mnie wpatrujesz.

– Nikomu? Jesteś pewna? Nie zwierzyłaś się swojej przyjaciółce Susannah, późnym wieczorem, przy butelce wina?

– Nie powiedziałam absolutnie nikomu.

Zwierzałam się wyłącznie swojemu komputerowi. Wszystko jest w nim ukryte, pogrzebane, i nie

używa go nikt poza mną. Dociera do mnie, że właśnie dlatego zaczęłam to wszystko spisywać. Żeby nie wygadać się przed Susannah. To, co się wydarzyło między tobą a mną, było tak wyjątkowe, tak dla mnie nietypowe, że chyba bym eksplodowała, gdybym tego z siebie nie wyrzuciła.

Nie podoba mi się to przesłuchanie.

– A ty? – pytam, aby odwrócić uwagę od siebie.

Zerkasz na mnie.

– Nie, nie powiedziałem.

– Komu byś powiedział, gdybyś mógł?

Nuta wesołości w moim głosie jest zabarwiona desperacją. Wiem, że nie ma szans, abyś miał powiernika. Pytam o to, bo dotarło do mnie, że nie mam pojęcia, kim są twoi przyjaciele ani czy w ogóle jakichś masz. Czy komuś takiemu jak ty wolno mieć przyjaciół, czy masz wyłącznie współpracowników? Jeśli kategoryzujesz swoje życie, to oznacza, że i ja zawsze będę uwięziona w jednej przypisanej mi szufladce w twojej głowie. Nigdy nie będę naprawdę obecna w twoim życiu. Ale moje pytanie było tak idiotyczne, że nawet nie odpowiadasz. To twoja irytująca cecha – ignorowanie mojego zaciekawienia tobą, gdy uważasz je za mało znaczące lub głupie.

Trybiki wciąż się obracają.

– Musimy coś uzgodnić – mówisz, biorąc moją dłoń w swoje i kładąc ją na kolanach. Ściskasz ją lekko, podczas gdy oboje patrzymy przed siebie. Na przeciwległym brzegu stoi lśniący biurowiec. Kilka białych plastikowych torebek pędzonych wiatrem sunie po powierzchni kanału. – Muszę wiedzieć, że jeśli kiedykolwiek cię o mnie zapytają, opowiesz następującą historię: poznaliśmy się w Izbie Gmin. Rozmawialiśmy kilka razy. Zaprzyjaźniliśmy się. Prosiłem cię o radę, bo mój siostrzeniec przygotowuje się do egzaminów końcowych w liceum i jest zainteresowany karierą w dziedzinie nauk ścisłych. Jesteśmy znajomymi, przyjaciółmi, jeśli chcesz tak to nazwać, ale nikim więcej. Jeśli kiedykolwiek będziesz szczegółowo przesłuchiwana, trzymaj się prawdy co do czasu i miejsca naszych spotkań, tego, co zamawialiśmy, i tak dalej, ale nie wspominaj o seksie. Spotykaliśmy się na tyle rzadko, żeby to wyglądało niewinnie, jeśli przemilczy się to, co naprawdę robiliśmy. Czy możesz to dla mnie zrobić?

– Oczywiście – mówię cicho i smutno.

Chcę, żebyś skupił się na mnie, na tym, co mi się przytrafiło, ale ty, co chyba naturalne, myślisz z wyprzedzeniem o tym, co mogłoby się stać, gdybym zmieniła zdanie i zgłosiła napad na policji. Myślisz o tym, że mógłbyś zostać zdemaskowany, gdyby ktoś zaczął grzebać w moim życiu. Myślisz o swoim małżeństwie i o swojej karierze. Nie winię cię za to – fakt, że jesteś dyskretny i chcesz chronić swoje życie rodzinne, to jedna z rzeczy, które w tobie kochałam, bo ja chcę tego samego i byłabym przerażona, gdybyś ty uważał inaczej. Ale jestem też tobą rozczarowana. Chciałabym, żebyś postawił mnie na pierwszym miejscu, tu i teraz, żebyś powiedział, że odnajdziesz George'a Craddocka i niezależnie od konsekwencji spierzesz go na kwaśne jabłko.

Mam jego twarz przed oczami. Widzę ją cały czas. Widzę studentów krzątających się po wielkiej sali z plastikowymi workami na śmieci. Dlaczego ten obraz wraca do mnie we wspomnieniach raz za razem?

Nie rozumiem, dlaczego właśnie on utkwił mi w głowie. Dociera do mnie, jak bardzo pragnę, żeby ktoś wyrządził George'owi Craddockowi fizyczną krzywdę. To nowa myśl. Nigdy wcześniej nie życzyłam nikomu czegoś takiego. Ale teraz pragnę tylko, by on poczuł ból i strach. Chcę, żeby ktoś zrobił mu to, co on zrobił mnie – zaprzyjaźnił się z nim, może w pubie, spędził wieczór na picciu i pogawędkach, a potem na parkingu pobił go i zerznął w dupę. I żeby on musiał potem udawać, że wszystko jest w porządku i że mu się to podobało. Nie fantazjuję o tym, że Craddock zostaje aresztowany, upokorzony w sądzie czy że opróżnia nocnik w więzieniu. Nie fantazjuję (i jak się okaże, nigdy nie będę fantazjować) o należytej procedurze prawnej toczącej się w jego sprawie. Fantazjuję o tym, że kuli się na czworakach na parkingu ze spodniami płaczącymi się wokół kostek, szlocha ze strachu i bólu, po omacku szukając na szorstkim asfalcie połamanych okularów.

\*\*\*

„Uważaj, czego sobie życzysz”, ostrzegała mnie ciotka Gerry ponuro. Podchodziła do życia pesymistycznie, ale musiała wychować mnie i mojego brata, chociaż się tego nie spodziewała, więc może miała do tego prawo. „Uważaj”. Ty naprawdę myślałeś z wyprzedzeniem, ale wybiegałeś w przyszłość znacznie dalej, niż mogłam sobie wyobrazić. Powinnam była bardziej cię doceniać.

Oczywiście odchodzisz pierwszy, oddalasz się na swoje spotkanie, a ja jeszcze przez chwilę siedzę na ławce. Bezsensowna duma powstrzymuje mnie przed patrzeniem, jak pokonujesz schodki prowadzące na górę, ale w końcu łamię się i podnoszę wzrok akurat w momencie, gdy wkraczasz na chodnik już z telefonem przy uchu. Sprawdzam zegarek i mówię sobie, że posiedzę tu jeszcze piętnaście minut, nie dłużej. Nie wiem, co zrobię potem. Może rzucę się w czarne wody kanału z samotną kaczką, zielonymi algami unoszącymi się na powierzchni i plastikowymi torebkami wzdymanymi przez wiatr.

Nigdy nie powiedziałam o tobie Susannah, wiesz. Guy i ja poznaliśmy ją w czasach studenckich. Najpierw była jego przyjaciółką, potem moją. Została świadkową na naszym ślubie – kategorycznie odmówiłam nazywania jej drużną. Miała na sobie atłasowy kostium z rozkloszowanymi spodniami i dopasowanym żakietem, który podkreślał jej wzrost i smukłość. Wszystko, czego jej zazdrościłam, rzucało się w oczy tamtego dnia – kości policzkowe, krótkie ciemne włosy, jasnobrązowa skóra. Wyśmiała mnie, gdy powiedziałam jej, że chciałabym być tak elegancka jak ona. „Kiedy ma się tyle wzrostu co ja, naprawdę łatwo jest zdobyć niezасłużoną reputację osoby eleganckiej. Wystarczy tylko stanąć nieruchomo”. Kiedyś, gdy się razem upiłyśmy, wyznała, że zawsze chciała być „niska i urocza” jak ja. Urocza...?

Przez wiele lat po naszym ślubie pomimo jej piękna – a może właśnie z jego powodu – Susannah pozostawała singielką. Często wpadała do nas w piątkowe wieczory. Zmuszałam wtedy Guya, żeby to on położył dzieci spać, podczas gdy my siedziałyśmy, zajadałyśmy precelki i popijałyśmy je winem, czekając, aż ugotuje się kolacja, a ona często wzdychała i opowiadała o różnych mężczyznach. Guy i ja uwielbialiśmy te historie, ale mieliśmy z tego powodu wyrzuty sumienia, bo żyliśmy pośrednio jej romansami, jakby stanowiły naszą prywatną operę mydlaną. Z biegiem lat poznaliśmy wielu jej

partnerów. Każdy związek trwał rok czy dwa lata. Pamiętam jednego wysokiego kolesia, który nazywał ją żonką i szczypał w policzek, a ona, ku mojemu przerażeniu, mizdrzyła się kokieteryjnie w odpowiedzi. I jednego starszego faceta żydowskiego pochodzenia, który grał na pianinie i szalał na jej punkcie. To ona rzuciła jego – z niezrozumiałych powodów moim zdaniem – w momencie, gdy ja już zaczęłam się zastanawiać nad kreacją na ich ślub. Potem był ten ponury Holender, który prawie się nie odzywał – zapewniała mnie, że jest najlepszym kochankiem na świecie, naprawdę atletycznym. W końcu, gdy mieliśmy po dwadzieścia osiem lat, spotkała na konferencji innego lekarza. Nazywał się Nicholas Colman, był dwa lata młodszy od niej, ale czarujący i dojrzały, dobrze sobie radził z naszymi dziećmi, gdy nas odwiedzał.

Od początku wszystko wydawało się takie oczywiste. Myślałam nawet o tym, że gdyby się pospieszyli i szybko spłodzili dzieci, moglibyśmy razem wyjeżdżać na wakacje. Susannah i Nicholas Colman rzeczywiście się pobrali i natychmiast urodził im się synek, mój chrześniak Freddie. Niemal kuzyn mojej dwójki. Potem, gdy Freddie miał trzy latka, tuż po tym, jak Susannah zrobiła specjalizację, Nicholas Colman złamał jej lewą kość policzkową. Nawet teraz, gdy przy pewnym oświetleniu obraca głowę, można zauważyć niewielką asymetrię jej rysów. Gdy się uśmiecha, po jej twarzy przesuwa się ledwie dostrzegalny cień. Trzeba znać tę twarz naprawdę dobrze, żeby to wyłapać. Potrzebowała jeszcze trzech lat po tym incydencie, by porzucić Nicholasa Colmana. „Uczą nas, że możemy ich zmienić – powiedziała mi kiedyś. – Zaczynają nam to wmawiać, gdy tylko nauczymy się czytać. Możemy zmienić bestię w księcia, jeśli tylko będziemy ją wystarczająco kochać. Zresztą instynktownie czujesz, jak bardzo będzie ci źle, gdy odejdziesz, więc wciąż odkładasz to na później. Myślisz, że póki z nim jesteś, póty masz jakąkolwiek kontrolę nad sytuacją, za to gdy już odejdziesz, znajdziesz się w prawdziwym niebezpieczeństwie”. Ostatecznie to Guy i ja zadzwoniliśmy na policję po tym, jak Nicholas Colman pojawił się pod naszym domem i przez półtorej godziny walił w drzwi, podczas gdy troje dzieci chowało się na górze. Guya nie było w domu, kiedy to się zaczęło. Susannah i ja kuliliśmy się ze strachu w kuchni, powtarzając rzeczy w stylu: „On wkrótce przestanie”. Ale przestał dopiero, gdy mój mąż wrócił z pracy. Guy opowiedział nam później, że wysiadł z samochodu, a Nicholas Colman odwrócił się, uśmiechnął do niego i wyciągnął rękę na przywitanie, mówiąc: „W porządku, stary?”. Przez kilka lat po tamtych wydarzeniach Susannah i jej syn spędzali wakacje z nami. Nicholas Colman zniknął z horyzontu po rozprawie sądowej. Dostał zakaz zbliżania się do rodziny, dzięki Bogu. Freddie wyrósł na wspaniałego człowieka. Studiował prawo w Bristolu, a teraz jeszcze dodatkowo szkoli się w zakresie księgowości, ma to jakiś związek z finansami przedsiębiorstwa. Chociaż zakończy ten proces wydłużonej edukacji z ogromnymi długami, już wiadomo, że po kilku latach zbije prawdziwą fortunę. Czasami muszę siłą tłumić żal, że mój syn zupełnie go nie przypomina. Nigdy się nikomu do tego nie przyznałam.

Susannah zawsze miała słabość do Guya. Flirtują ze sobą beczelnie. To dla nas stały temat żartów. Ona uważa, że jestem szczęściarą, że go mam. Ja oczywiście też tak uważam, ale irytuje mnie, jak łatwo mężczyzna może dobrze wypaść w oczach tych, którzy obserwują go spoza związku. „Nie bije cię, nie jest alkoholikiem, świetnie radzi sobie z dziećmi” – to wszystko słyszą kobiety, nawet od innych kobiet,

gdy mówi im się, jak wielkie mają szczęście. Guy zdobywa punkty tylko za to, że mnie nie bije. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek ktoś powiedział jemu: „Spójrzmy prawdzie w oczy, twoja żona cię nie bije, nie jest alkoholiczką i naprawdę dobrze radzi sobie z tymi dziećmi. Powinieneś być wdzięczny”.

Zatem nie, nie zwierzyłam się Susannah. Ale wcale nie dlatego, że chciałam chronić ciebie czy siebie, czy nawet Guya. Nie zrobiłam tego, bo chciałam chronić ją.

Podnoszę się z ławki i wolnym krokiem ruszam w kierunku stacji King's Cross. Muszę iść powoli, bo wciąż odczuwam ból – proces gojenia napina skórę. Idę na główny dworzec, bo wiem, że gdzieś tam znajdę drogerię Boots, a to chyba dobry pomysł, żebym kupiła sobie butelkę wody, coś do jedzenia i trochę wazeliny.

\*\*\*

Dziesięć dni. Tyle potrzebuję, by minęły początkowy szok i etap zaprzeczania. Dziesięć dni do dwóch tygodni. W tym czasie niemal nic nie jem, prawie nie śpię. Często biorę prysznic. Jego twarz tuż przy mojej, studenci snujący się po sali niczym duchy – te dwa obrazy pozostają mi w głowie. Guy jest zajęty pracą, i całe szczęście. Susannah wysłała mi ze dwa maile z pytaniem, kiedy się spotkamy, a ja ją zbywam. W pracy działam na autopilocie. Na szczęście mam na tyle wysoką pozycję, że mogę sprawiać wrażenie zajętej i nie muszę się nikomu tłumaczyć. Wystarczy, że będę traktowała innych nieco szorstko, a zostawią mnie w spokoju. W te dni, gdy muszę się pojawić w Instytucie Beauforta, proszę moją asystentkę – tę, którą dzielę z dwojgiem współpracowników – żeby nie łączyła do mnie rozmów, podczas gdy pracuję. Nie kwestionuje tego. Natychmiast otacza mnie opieką. Słyszę, jak wyjaśnia komuś przez telefon: „Doktor Carmichael musi pewne sprawy traktować priorytetowo, sam pan rozumie...”. To tego rodzaju asystentka, która lubi zbywać dzwoniących. Gdyby była mężczyzną i ważyła ze dwadzieścia kilogramów więcej, świetnie by się sprawdziła na bramce w klubie.

Siedzę za biurkiem w instytucie, gdy odbieram tę wiadomość. Minęło dziesięć dni od napaści. Później myślę sobie, że miałam szczęście, że byłam akurat w pracy. Chociaż mam tu własny gabinet, górna połowa ścian jest przeszklona i wszyscy wokół mogą mnie zobaczyć, więc muszę się pilnować. Akurat przeglądam pocztę, gdy mail wpada do skrzynki. Widzę małą żółtą kopertę tuż obok nazwiska: George Craddock. Temat brzmi: „Wykład w przyszłym miesiącu”. Zamieram bez ruchu, gwałtownie oddychając.

Yvonne,

piszę tylko, żeby potwierdzić datę naszego wykładu w Swansea w przyszłym miesiącu. Wykład odbędzie się w czwartek, dwudziestego ósmego. Proponuję, żebyśmy spotkali się na stacji Paddington i pojechali tam razem. Jeśli spotkamy się o 14:00, to powinno dać nam wystarczająco dużo czasu. Wkrótce potwierdzę godzinę odjazdu pociągu. Honorarium wynosi 300 funtów plus wydatki. Wprawdzie dałoby się dotrzeć tam i wrócić w ciągu jednego dnia, ale może powinniśmy zrobić rezerwację w hotelu.

O wykładzie w Swansea, na którym by mnie przedstawił, a potem poprowadził dyskusję na temat

procedur egzaminacyjnych, rozmawialiśmy ostatnim razem, gdy się widzieliśmy, ale nie umawialiśmy się konkretnie, a ja niczego nie potwierdziłam. Po prostu zapytał wtedy, czy byłabym tym zainteresowana.

Serce wali mi jak oszalałe, ręce mi się trzęsą. Czuję, jak cierpnie mi skóra na głowie. Gdybym była w domu, zerwałabym się od komputera i uciekła. Zbiegłabym do kuchni albo w ogóle wyszła na dwór, a może zamknęłabym się w łazience i usiadła na klapie ubikacji, jak to robiłam w szkole w trakcie długiej przerwy, żeby uniknąć przepychanek na dziedzińcu. Ale jestem w pracy, gdzie traktuje się mnie z szacunkiem i uważa za osobę kompetentną. Wiem, że muszę działać szybko, ale jednoznacznie. Muszę dać mu do zrozumienia, że chociaż nie wysłałam policjantów z kajdankami pod jego drzwi, nie zamierzam udawać, że nic się nie wydarzyło. Inaczej nigdy się go nie pozbędę. Klikam ikonkę „Odpowiedz” i bardzo szybko wystukuję na klawiaturze:

Nie pojedę do Swansea. Proszę, nie kontaktuj się ze mną więcej.

Zanim nacisnę „Wyślij”, długo patrzę na te dwa zdania. Nie powinnam używać słowa „proszę”. Powinnam mu to oznajmić, a nie go o to błagać. „Proszę” to słowo, które powtarzałam wielokrotnie w trakcie napaści i niewiele dobrego mi to przyniosło. Ale jeśli je pomnę, to zabrzmiałoby jak tryb rozkazujący, a to może go rozzłościć. Nagle dociera do mnie z wielką siłą, i jest to trzeźwa, prosta myśl, że bardzo się go boję, instynktownie się go boję – w sposób, w jaki bałam się psów, gdy byłam dzieckiem i wolałam nadłożyć drogi ze szkoły, zamiast przechodzić koło domu sąsiada, który jednego miał. On wie o tobie. Ma na mnie haka. Nie jesteśmy bezpieczni.

Strach walczy z moim wykształceniem, z moimi osiągnięciami, z moimi zasadami. Strach wygrywa. „Proszę” pozostaje. Naciskam „Wyślij”, a potem blokuję jego adres mailowy. Dzwonię do ciebie natychmiast. Odbierasz telefon, a ja mówię szybko przytłumionym głosem:

– To ja, dostałam mail.

Przez chwilę milczysz, a potem mówisz:

– Będę musiał do ciebie oddzwonić. Gdzie jesteś?

– W biurze.

– W porządku, zaraz oddzwonię.

\*\*\*

Okazuje się, że „zaraz” oznacza dwie godziny. Już usunęłam ten mail, ale przytaczam ci słowa Craddocka i moją odpowiedź.

– Dobrze – mówisz.

– Gdzie jesteś? – pytam.

Naprawdę przydałby mi się drink po pracy, kieliszek bardzo wytrawnego wina. Nie wypłam ani łyka alkoholu od tamtego przyjęcia. Sama myśl o tym przyprawiała mnie o mdłości, ale nagle mam ochotę się napić, z tobą. Może nawet byłabym w stanie flirtować. Czuję, że to ważne, abym wkrótce zaczęła. Muszę spróbować wrócić do tego, co było między nami.



Milczysz o ułamek sekundy za długo, nim odpowiesz:

– W Leytonstone.

Nie wierzę ci. Myślę, że powiedziałaś, że jesteś na peryferiach miasta, bym nie prosiła cię o spotkanie po pracy.

– Naprawdę dobrze sobie poradziłaś – zapewniasz. – Jeśli znowu się z tobą skontaktuje, daj mi znać.

– W porządku – mówię, zrezygnowana.

– Zadzwoń do ciebie później – obiecujesz i się rozłączasz.

\*\*\*

Nie dajesz znaku życia przez dwa dni. Gdy wreszcie się ze mną kontaktujesz, robisz to przez esemes. „Przyszły jeszcze jakieś maile?” Odczekuję godzinę, nim odpiszę. Najpierw piszę tylko „Nie”, ale po chwili dodaję „Nie, nic nowego”. Odpisujesz natychmiast: „Dobrze”. To nie wystarczy, myślę sobie. To za mało.

\*\*\*

Następnego dnia zauważam nieodebrane połączenie od ciebie. Ignoruję je. Jestem na jednodniowej konferencji zatytułowanej *Szlaki metaboliczne a komercyjny imperatyw*. Konferencje naukowe nie słyną z chwytliwych tytułów, choć program wykładów Instytutu Beauforta osiągnął krótki rozgłos dzięki mnie, gdy seria wykładów *Kobiety w nauce* – po tym, jak nie udało nam się przyciągnąć wystarczająco wielu chętnych – została za moją namową przemianowana na *Seks w nauce* i studenci zaczęli walić do nas drzwiami i oknami. Pierwsze, co robię po przybyciu na konferencję, to lustruję wzrokiem aulę w poszukiwaniu George’a Craddocka, chociaż medycyna komercyjna nie znajduje się w kręgu jego zainteresowań i szanse, że tu będzie, są niewielkie. Obserwuję pomieszczenie tak gruntownie, jak ktoś, kto boi się bomb czy pożaru, mógłby szukać wyjść ewakuacyjnych. Dopiero gdy się upewnię, że go tu nie ma, siadam w jednej z ławek i pochylam głowę nad tekturową teczką z materiałami, którą otrzymałam przy wejściu.

W zatłoczonym korytarzu czeka na nas lunch pod postacią stołu szwedzkiego. Na owalnych talerzach z folii aluminiowej leżą kanapki, małe trójkąty na przemian białego i ciemnego chleba z różnym nadzieniem. Wszystkie roztaczają zapach majonezu. Są też udka kurczaka pokryte jakąś bardzo lepką pastą o rdzawoczerwonym kolorze. Mężczyzna, z którym rozmawiam, kierownik wydziału z Hull, wpakował sobie na papierowy talerz sześć udek. Zauważa, że na nie patrzę.

– Unikam węglowodanów... – mówi przepaszająco, wskazując brodą na talerz.

– Hej, Yvonne...

Odwracam się i widzę, że u mojego boku pojawiła się Frances. Spogląda na mężczyznę z udkami.

– Pracujemy razem – mówi w ramach wyjaśnienia. – W Instytucie Beauforta. Frances Reason.

– Och – mamrocze on z pełną buzią, unosząc nadgryzione udko w geście pożegnania, po czym odwraca się i odchodzi.

– Próbowałam się z tobą skontaktować, ale Rupa działa w trybie rottweilera. – Frances ma na myśli moją asystentkę. – Jak się skończyło przyjęcie? Czy to nie było straszne? To było po prostu tak straszne, że uznałam, iż nie mam wyboru, jak tylko zalać się w pestkę. Następnego dnia czułam się okropnie. A ty?

W tym momencie ktoś szturcha mnie w plecy, próbując się przecisnąć do bufetu, a ja wykorzystuję tę okazję, żeby wylać na siebie sok pomarańczowy. To łatwe – trzymałam kubek niezgrabnie, bo w tej samej dłoni miałam pusty papierowy talerz.

– Cholera – mówię do Frances. – Przepraszam.

Odwracam się i odstawiam talerz oraz kubeczek na stół.

Docieram do schodów. Damska toaleta znajduje się na półpiętrze, ale widzę, że w kolejce stoją już trzy osoby. Idę dalej schodami. Wspinam się coraz wyżej i wyżej – teraz już niemal biegnę, aż brakuje mi tchu – dopóki nie dotrę do najwyższego piętra budynku, piętra piątego, które jest opuszczone. Popycham drewniane drzwi z okrągłym okienkiem, za którymi znajduje się krótki szeroki korytarz z toaletą dla niepełnosprawnych tuż obok windy. Wchodzę do toalety, zimnej, wyłożonej kafelkami, zamykam się od środka, po czym zginaam się wpół. Obejmuję się ramionami i mówię głośno do siebie:

– Nie poradzę sobie z tym sama.

\*\*\*

Gdy w końcu biorę się w garść, wykład, który miał się rozpocząć o drugiej po południu, trwa już w najlepsze. Wychodzę z toalety, drzwi zatrząskują się za mną. Nie ma tu nikogo. Na końcu korytarza jest okno na całą ścianę, ale z matowego szkła, więc nie mogę wyjrzeć na zewnątrz. Idę brązowym dywanem, dopóki do niego nie dotrę, a potem opieram czoło o szybę. Zimna twarda powierzchnia działa jak środek znieczulający.

Wyjmuję z torebki telefon na kartę i dzwonię do ciebie. Ponieważ cię potrzebuję, nie spodziewam się, że odbierzesz, ale robisz to.

– Cześć – mówię.

– Cześć. Wszystko w porządku?

– Nie – odpowiadam, ale bez dramatyzowania.

Dociera do mnie, że nie możesz mi pomóc. Ta świadomość jest jak gruby koc kładziony delikatnie na mojej głowie.

– O, Boże... – wzdychasz. – O, Boże...

# 11

Minął tydzień od incydentu z mailem i mojego załamania na jednodniowej konferencji. Po tym, co się stało, odwołałam wszystko, co mogłam, i zamknęłam się w domu. Dzwonisz akurat, gdy jestem w pobliskim minimarkecie. Właśnie tkwię przed stojakiem z gazetami i z torebką na ramieniu oraz drucianym sklepowym koszykiem w dłoni wpatruję się w tabloid. Na pierwszej stronie widnieje zdjęcie znanego piłkarza, męża i ojca, człowieka będącego wzorem do naśladowania dla młodzieży. Został aresztowany. Pięcioliterowe słowo – pojawia się wszędzie, w każdym filmie telewizyjnym, w każdym wydaniu wiadomości, w luźnych rozmowach – jest ogromne. Ostatecznie to ono sprzedaje gazety. Gdy postanawiasz do mnie zadzwonić, stoję jak wrośnięta w ziemię w alejce i właśnie dochodzę do wniosku, że nie zniosę tego dłużej. Mam zamiar zerwać gazety ze stojaka i rzucić je na ziemię. Przywalę biednemu pracownikowi, który spróbuje mnie powstrzymać.

– Cześć – rzucam do aparatu.

Teraz już rozumiem, skąd się wzięło powiedzenie „mieć serce w przełyku”. Mam wrażenie, że w przełyku utkwiły mi wszystkie organy wewnętrzne. Nie mogę oddychać.

– Posłuchaj – zaczynasz energicznym tonem. – Chcę, żebyś z kimś porozmawiała.

– Okej... – mówię powoli.

– To policjant – wyjaśniasz. – Specjalnie wyszkolony, jeden z tych, o których ci opowiadałem...

Przerywam ci:

– Przecież powiedziałam, że nie mogę. Wiesz, że nie mogę... Wiesz, dlaczego nie mogę. Po prostu nie możemy i tyle.

– Tylko się z nim spotkaj – namawiasz. – Chętnie udzieli nam nieoficjalnej porady. Wtajemniczyłem go w sytuację. Powie ci, jakie masz możliwości.

Dociskam aparat do ucha. Myślę o tym, jak męczą mnie rozmowy telefoniczne z tobą – a właściwie nie tyle same rozmowy, ile te ograniczenia. Rozmowy telefoniczne, kawiarnie – to wszystko, co nas łączy, ale to już mi nie wystarcza. Kobieta przepycha się obok mnie, uderzając jednym z kółek wózka w tył mojego obcasa, zamiast poprosić, żebym ją przepuściła. Obrzucam ją jadowitym spojrzeniem. Odwzajemnia je. Świat jest pełen agresji i przykrości. Nie chcę się jeszcze do tego przyczynić, pozwalając, by puściły mi nerwy w sklepie.

– Co by się stało, gdyby się dowiedziała? – pytam. – Twoja żona. Co by się stało, gdybyś został wezwany na świadka w sądzie i wszystko, co nas dotyczy, wyszłoby na jaw? Nie tylko seks, ale sposób,

w jaki go uprawialiśmy, gdzie i kiedy?

– Wyrzuciłaby mnie – mówisz po prostu.

– Straciłbyś wszystko.

A wtedy mówisz zwyczajnie i bez emfazy:

– Jeśli chcesz pójść do sądu, będę zeznawał i powtórzę to, co mi opowiedziałaś. To się nazywa chyba przedzawiadomienie. Niekoniecznie musisz zgłosić sprawę na policję. Możesz powiedzieć o przestępstwie każdemu i to będzie się liczyć. Ty zgłosiłaś je mnie. Zajmę miejsce dla świadka i wszystko im opowiem.

– Wszystko na nasz temat wyjdzie na jaw.

– Niekoniecznie. Ostatecznie nikt o nas nie wie.

Owszem, wie, myślę sobie. George Craddock o nas wie. Nie zna twojej tożsamości, ale wie o twoim istnieniu i możesz być pewien, że to będzie pierwsza rzecz, o jakiej wspomni, gdy go przesłuchają. Nie powiedziałam ci o tym, co mu powiedziałam. Za bardzo się wstydzę, że zdradziłam cię w taki sposób, głupio, po pijaku, i z takimi konsekwencjami. Ale jak mogę ci się do tego przyznać? To jedyna rzecz, którą przed tobą kiedykolwiek zataiłam.

– Straciłbyś wszystko – powtarzam. – Rodzinę, dom, może nawet pracę... – Kocham cię, myślę, ale to przemilczam. W zamian mówię: – Nie chodzi tylko o ciebie, chodzi też o mnie, o moją rodzinę, mój dom, moją pracę.

– Mówisz tak tylko po to, żebym nie czuł się źle z tego powodu, że to przeze mnie nie możesz pójść do sądu.

Te słowa sprawiają, że się uśmiecham i ruszam w stronę alejki z owocami i warzywami. Sięgam po sałatę lodową i wrzucam ją do koszyka, przez moment przytrzymując telefon ramieniem.

– Po prostu spotkaj się z moim kumplem na kawę – mówisz. – To nie może nam zaszkodzić.

Zaszkodzi nam to, i to bardzo, ale dopiero później.

\*\*\*

Spotykamy się w sieciowej kawiarni na West Endzie. Najpierw tylko we dwoje. Ten jeden raz to ty na mnie czekasz. Już rozsiadłeś się przy okrągłym stoliku z trzema krzesłami. Na blacie stoją dwie kawy w styropianowych kubeczkach i kawałek ciasta marchewkowego. Patrę na ciebie, a ty obdarzasz mnie łagodnym, ciepłym spojrzeniem.

– Ciasto marchewkowe – mówię.

Uśmiechasz się.

Nie dyskutujemy o spotkaniu, które ma się odbyć. Wyobrażałam sobie, że ustalimy jakieś zasady: co możemy, a czego nie możemy powiedzieć twojemu koledze. Ostatecznie to wciąż niezwykle ważne, aby nikt się o nas nie dowiedział. Ale chyba oboje czujemy, że potrzeba nam odrobiny normalności. Rozmawiamy o tym, co oglądaliśmy w telewizji minionego wieczoru. Widok twojego kumpla zaskakuje mnie, chociaż sama nie wiedziałam, czego się spodziewać. Wyciąga do mnie rękę i przedstawia się jako

Kevin. Jest niski, żyłasty, w granatowym garniturze. Młody, ale nosi wąsy i przerzedzają mu się włosy. Wygląda na człowieka, który zazwyczaj zachowuje spokój, ale jeśli sytuacja tego wymaga, potrafi się zmienić w twardego skurczybyka. Kiwacie sobie głowami na powitanie i mam wrażenie, że jesteście raczej szanującymi się nawzajem znajomymi niż przyjaciółmi. Zastanawiam się, czy być może kiedyś oddałeś mu jakąś przysługę, a teraz on ci się odwdzięcza.

– Masz ochotę na kawę? – pytam, rozglądając się za kelnerką, podczas gdy on zajmuje miejsce przy stoliku.

Kevin kręci głową.

– Dzięki, przepraszam, ale nie mam za dużo czasu.

– Dziękuję, że przyszedłeś, Kev – wtrącasz poważnie.

Pojmuję, że nie będzie żadnej gadki szmatki, żadnego zaprzyjaźniania się. To będzie jak rozmowa o interesach. Ogarnia mnie wdzięczność.

– Chcesz mi opowiedzieć o okolicznościach? – pyta Kevin, patrząc na mnie.

Doceniam, że używa eufemizmu, i wiem, że nie zdołam przebrnąć przez tę rozmowę, jeśli sama nie zacznę się nimi obszernie posługiwać. Oczywiście nie wspominam o nas, pomijam wszystko, co dotyczy naszego spotkania na Apple Tree Yard. Powiedziałaś Kevinowi, że poznałaś mnie w pałacu Westminster i przysłałam do ciebie po radę. To wszystko. Zastanawiam się, czy Kevin jednak nie odgadł, że coś nas łączy – ostatecznie jest policjantem. Ale nawet jeśli, to nie zdradził się z tym.

Eufemizmy. Jak łagodne się wydają. „Obrócił mnie”, mówię w którymś momencie, a Kevin dyskretnie spuszcza wzrok. Pozostaję spokojna, wypowiadam się składnie, nie płaczę. Przechodzi mi przez myśl, że moje opanowanie i brak łez mogłyby mi zaszkodzić, gdybym chciała złożyć oficjalne doniesienie o przestępstwie. W trakcie tej rozmowy odcinam się od siebie. Patrzę, jak składam zeznania, prezentuję informacje, jakbym była na konferencji czy sympozjum. W końcu milknę. Siedzicie w ciszy, upewniając się, że skończyłam. Nabieram powietrza w płuca, a potem patrzę na Kevina i mówię:

– Musisz być ze mną absolutnie szczery. To znaczy w kwestii tego, co się stanie, jeśli pójdę z tym na policję. Muszę znać wszystkie fakty, zanim będę w stanie podjąć decyzję. – Zaskakuję samą siebie tym stwierdzeniem, bo do tej pory byłam przekonana, że decyzja już zapadła. – Nie musisz być taktowny, po prostu mi powiedz.

Po chwili milczenia zwracasz się do Kevina, jakby chcąc złagodzić moje żądanie:

– Miała obrażenia.

Kevin przechyla głowę i ściąga brwi.

– Jakieś ślady po więzach? Siniaki na nadgarstkach? – pyta tak samo jak ty.

– Nie związał mnie – wyjaśniam. – Nie musiał. Byłam pijana. Uderzył mnie. Wszystko wydarzyło się za szybko.

– Cóż, obrażenia i tak nic nie znaczą, jeśli nie zostały udokumentowane przez lekarza – mówi Kevin. – A nawet w przypadku obrażeń mężczyzna może powiedzieć, że to było sadomaso za obopólną zgodą, i trudno jest dowieść, że kłamie.

– Ale gdyby stłukł mnie na kwaśne jabłko, to wtedy mielibyśmy szansę?

Kevin traktuje to pytanie poważnie.

– Tak. Ale fakt, że byłaś pijana, mimo wszystko zostałyby wykorzystany przeciwko tobie. Alkohol to dar niebios dla obrońców.

Nie odpowiadam, bo chcę, żeby kontynuował. Muszę to usłyszeć. Wszystko. Kevin pochyła się nad stołem.

– Pierwsza rzecz, jaką zrobi jego adwokat, to wynajmie prywatnego detektywa. Masz jakieś sekrety?

Nie spuszcza z niego wzroku. Nie patrzę na ciebie. Kontynuuje:

– Zacznie od przeszukania internetu, będzie wypytywał o ciebie przyjaciół, rodzinę i współpracowników. Jeśli nie znajdzie żadnych brudów w twoim obecnym życiu, zajmie się przeszłością, prześledzi historię twoich związków seksualnych, odszuka wszystkich byłych chłopaków. Będzie próbował znaleźć kogoś, kto powie, że lubiłaś ostry seks, że lubiłaś, jak ktoś cię bije. Odkopią wszelkie nagrania wideo, zdjęcia topless, tego typu rzeczy.

– Nie sądziłam, że wciąż można to robić.

Kevin prychnie bez rozbawienia.

– Mogą zrobić wszystko. Nawet jeśli oskarżenie wyrazi sprzeciw, wystarczy, że podadzą sędziemu wystarczająco dobre uzasadnienie. Zatem jeśli istnieją jacyś twoi eks, którzy potwierdzą, że lubiłaś na ostro...

– Nie znajdą takich. Nie lubię.

– Twój mąż... – Kevin zerka na moją obrączkę.

– Dobiorą się do mojego męża?

– Możliwe. Za nim też mogą posłać prywatnego detektywa. Powiedzmy na przykład, że twoje obrażenia zostały udokumentowane przez lekarza. Wtedy automatycznie będą próbowali udowodnić, że to sprawka twojego męża, a nie ich klienta. Że zrobił to w napadzie zazdrości i tak dalej.

Przez moment wyobrażam sobie Guya składającego zeznania w sądzie.

– Jakież choroby psychiczne w rodzinie?

Patrzę na niego w milczeniu.

– Masz jakąś historię takich chorób?

Obaj patrzycie na mnie.

– Nie.

Kevin zerka na ciebie, a potem z powrotem na mnie.

– Żadnej choroby psychicznej ani depresji?

– Członkowie rodziny, nie ja.

Zapada kolejna chwila ciszy. Czekacie, aż rozwinę temat.

– Moja matka popełniła samobójstwo, gdy miałam osiem lat. Długo cierpiała na depresję, która prawdopodobnie nasiliła się przez urodzenie dzieci. – Nie patrzę na ciebie, ale czuję, że uważnie mnie obserwujesz. – A u mojego syna, kiedy miał szesnaście lat, zdiagnozowano chorobę afektywną

dwubiegunową. Jego epizody maniakalne były dość poważne. Od tamtej pory trzykrotnie przebywał w różnych instytucjach. Teraz mieszka w hostelu w Manchesterze. Zażywa leki. Z tego, co wiem, radzi sobie całkiem dobrze. Nie utrzymujemy jednak z nim regularnego kontaktu, co nas nieco martwi...

Gdy już zacznę opowiadać o Adamie, nie mogę przestać. To dlatego unikam wspomnienia o nim w zwykłych konwersacjach. Nie potrafię się zmusić do generalizowania na jego temat. Każdy, kto się o nim dowie, musi poznać całą historię, dowiedzieć się, jak okropne było dla nas to wszystko, jak niemal zniszczyło naszą rodzinę, jak byłam gotowa zrezygnować z pracy, sprzedać dom i zamieszkać w rowie, byle tylko Adamowi się poprawiło. Ale nie mogę mówić o takich rzeczach tobie czy temu młodemu policjantowi, więc milknę.

Kevin zerka na ciebie, jakby szukał wskazówki, na jak dużą bezpośredniość może sobie pozwolić, a potem mówi łagodnie:

– Depresja maniakalna jest dziedziczna, czy nie? Twoja matka, twój syn...

– Właściwie – mówię – genetyczny związek nie został udowodniony, to zaledwie tendencja. Czynniki środowiskowe często mogą... często to jest... cóż, nikt tak naprawdę tego nie wie.

– Więc ty sama nigdy nie zachorowałaś?

Pozwalam sobie na cierpki uśmiech.

– Cóż, po ślubie przez kilka miesięcy chodziłam na terapię. Chyba jak każdy? – Przenoszę wzrok z ciebie na Kevina, ale żaden z was nie odwzajemnia uśmiechu. – Byłam młoda, dzieci były małe, doktorat nie szedł mi za dobrze... To dość typowe...

Obaj milczycie.

– Miałam krótki epizod depresji poporodowej po narodzinach córki, ale to było... to było, cóż przeszło mi po jakichś sześciu miesiącach. Nie musiałam nawet...

Kevin zaciska usta.

– Oficerowie śledczy mają obowiązek ujawnić adwokatowi obrony informacje na temat wszystkiego, co odkryją w trakcie dochodzenia, a co mogłoby pomóc jego klientowi.

Właśnie ta okoliczność zadecyduje później o naszym losie, ale w inny sposób.

– A co z informacjami na jego temat?

Kevin znowu wzrusza ramionami.

– To nie działa w drugą stronę. Obrona nie musi ujawniać wszystkiego, co wie o swoim kliencie. Jej jedynym obowiązkiem jest oczyszczenie klienta z zarzutów.

Milknę na moment.

– Mój mąż nie może się dowiedzieć – mówię. – Ani moje dzieci. One też nie mogą wiedzieć. Mój syn jest zbyt delikatny. Nie możemy pozwolić, żeby nasze życie zostało upublicznione w sądzie.

– Ach... – zaczyna Kevin.

W tym momencie kobieta z dzieckiem w wózku zatrzymuje się w pobliżu naszego stolika. Próbuje coś znaleźć w reklamówce przewieszanej przez jedną z rączek wózka.

– Proszę – mówi do malucha, po czym pochyła się i kładzie mu na kolanach niebieskiego plastikowego

królika.

Czekamy, aż odejdzie, nim podejmiemy rozmowę.

– Zaliczasz się do kategorii osób, które w naszej jednostce nazywamy ofiarami mającymi za dużo do stracenia – mówi Kevin rzeczowo, nie próbując mnie osądzać. – Młodsze ofiary często łatwiej przekonać, żeby wniosły oskarżenie. Szczerze mówiąc, nie wiedzą, co je czeka, i nie pytają. Ale starsze kobiety, te robiące karierę... One pytają. Chociaż toczy się teraz cała kłótnia o to, że nie powinniśmy ich uprzedzać. Niektórzy uważają nawet, że powinniśmy wysyłać ofiarom wezwania dla świadków, zmuszając je do pójścia do sądu, w przeciwnym razie odsetek skazanych nigdy nie wzrośnie.

Widzi niepokój na mojej twarzy.

– Ale nigdy nie zrobilibyśmy czegoś takiego. W każdym razie nie komuś takiemu jak ty. Robimy to czasami w sytuacjach przemocy w rodzinie, kiedy wiemy, że następnym razem on ją zabije.

– Poszczują mnie psami – stwierdzam, nie użalając się nad sobą. – Mnie i moją rodzinę.

Przez całą rozmowę milczałeś, ale teraz pochylasz się i mówisz cicho i poważnie:

– Masz prawo do anonimowości.

– Cóż, obcy ludzie nie przeczytają twojego nazwiska w gazecie, to prawda – wyjaśnia Kevin – ale każdy członek rodziny użyteczny dla adwokata obrony może zostać wezwany na świadka. I wszyscy twoi współpracownicy z tego przyjęcia oczywiście też.

Przechodzi mi przez myśl, że na tamtym przyjęciu byli niemal wszyscy, których podziwiam, wszyscy w jakiś sposób związani z moim zawodowym życiem, od Frances z Instytutu Beauforta po profesora Rochester, i mnóstwo osób znających również Guya. Myślę o tym, że jeśli ta sprawa trafi do sądu, mój mąż już nigdy więcej nie wspomni o tym, że byłam pierwszą osobą, która zakwalifikowała się do eksperymentu Wedekinda. To moje pokolenie przeszło od manualnego sekwencjonowania, od siedzenia na stołkach w laboratoriach przez wiele godzin bez przerwy, do umieszczania próbek bezpośrednio w kosztujących miliony dolarów komputerach rozmiarów przemysłowej pralki. To my jesteśmy pionierami w sekwencjonowaniu genów. Pracowałam z zespołem, który nazywał je w miarę, jak były odkrywane, a nazwy te przetrwają tak długo jak sama nauka. Ale jeśli pójdę z tym do sądu, ludzie zapamiętają tylko jedną rzecz na mój temat. Niezależnie od tego, jakie hipotezy wysunęłam, co odkryłam, niezależnie od tego, co jeszcze osiągnę, przez resztę zawodowego życia będę definiowana przez to, co zrobiono mnie. Będę kobietą, która oskarżyła George'a Craddocka o gwałt. Już nigdy nie stanę się nikim więcej.

– Dlaczego wciąż wolno im to robić? – W moim głosie pobrzmiwa cień rozpacz, mimo że nie powinnam sobie tak folgować.

– Problemem jest przyzwolenie. Wtedy obrona może sięgać po wszelkie środki. Na twoją korzyść działa to, że jesteś osobą o dobrej reputacji. Dziewczyny z biednych osiedli... – kręci głową – ...młode dziewczyny, które wychodzą się napić...

Jest mi niedobrze.

– Ludzie, którzy bronią w tych sprawach... – mówię cicho.



Kevin wzrusza ramionami.

– Nie brakuje takich.

Następuje długa chwila milczenia. Obserwujecie mnie uważnie, czekacie, a mnie zalewa wielka fala beznadziei. Podejmuję ostatnią próbę, żeby się w niej nie utopić, i pytam:

– Jak sądzisz, jakie mielibyśmy szanse?

Kevin znowu zaciska usta.

– W sądzie? – Zerka na ciebie, a potem znowu na mnie, jakby zastanawiając się, jak szczerzy powinien być. – Cóż, w takich sprawach trudno udowodnić winę...

„W takich sprawach”, myślę z goryczą. Jestem jedną z takich spraw.

– A ta na pewno byłaby bardzo trudna. Byłaś pijana, spędziłaś z nim wieczór, więc większość ludzi nazwałaby to gwałtem na randce.

Na dźwięk tego określenia wyraźnie się wzdrygam. Kevin milknie na moment, po czym kontynuuje:

– To, że odniosłaś obrażenia, mogłoby pomóc, gdyby zostały udokumentowane. Ale tak są bez znaczenia. A jeśli w twojej przeszłości znajdzie się jakikolwiek dowód nieuczciwości lub kłamstwa albo, co gorsza, okaże się, że już kiedyś oskarżałaś kogoś o to samo, twoje szanse są zerowe.

Znowu zapada między nami milczenie. W końcu mówię:

– Dziękuję, że byłeś ze mną szczerzy. Dziękuję, że przyszedłeś. Często cię o to proszą? To znaczy o udzielanie nieformalnych porad? – Chcę trochę rozładować atmosferę, zanim sobie pójdzie.

Kevin krzywi się w odpowiedzi.

– Częściej, niż mogłabyś przypuszczać.

Bierze swoją teczkę z podłogi i kładzie ją na kolanach. Przygotowuje się do odejścia. Zerka na ciebie, waha się przez ułamek sekundy, po czym pyta cicho:

– Chcesz, żebym zarejestrował tę rozmowę?

Patrzysz na niego i niemal niezauważalnie kręcisz głową.

Jestem tak wdzięczna Kevinowi, że mam ochotę zatrzymać go dłużej. Nagle odczuwam potrzebę, by dać mu do zrozumienia, że jestem kobietą czynu, że nie stałam się tylko ofiarą. Przyglądam mu się. Zgaduję, że ma trzydzieści kilka lat. Pewnie mieszka z dziewczyną. Wyobrażam sobie, że to może być pielęgniarka albo nauczycielka, albo ukochana z dzieciństwa. Jeszcze nie mają dzieci, ale rozmawiają o tym. Oboje lubią zamówić jedzenie w piątkowy wieczór i obejrzeć film na DVD. W weekendy urządzają grilla. Niedzielami jeżdżą do Homebase po półki i rozmawiają o tym, czy latem polecieć na Cypr. Na swój sposób bardzo się kochają.

– Jak ty to znosisz? – pytam szczerze. – To znaczy tego typu pracę.

Wyobrażam sobie, że jako policjant mógłby się zajmować czymś bardziej ekscytującym, pracować w wydziale zabójstw albo narkotykowym, albo jako tajniak. A tymczasem on spędza czas z ludźmi takimi jak ja.

Wygląda na zaskoczonego, jakby to pytanie nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy.

– Wstąpiłem w szeregi policji, żeby łapać przestępców – mówi prosto.

– Nie przygnębia cię to? – pytam.

Traktuje pytanie poważnie.

– Nie wtedy, gdy wykonuję swoją pracę. Nie wtedy, gdy jestem na miejscu albo prowadzę rozmowy.

Ale w sądzie – czasami. Odwalasz kawał roboty i myślisz, że dobrej, a potem... cóż, potem...

Wzdycham.

– Po prostu trudno mi uwierzyć, że ktoś mógłby próbować mi zaszkodzić. Czy to brzmi absurdalnie?

Przecież ja wiem, co się wydarzyło, wiem, że mówię prawdę. Jak ktokolwiek mógłby chcieć jeszcze bardziej mnie skrzywdzić po tym, co się stało? Po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, że ktoś celowo będzie chciał mnie skompromitować, potraktować mnie w taki sposób w tych okolicznościach.

Myślę, że dla niego musi to brzmieć naiwnie, jeśli nie głupio. Lecz Kevin patrzy na mnie, po czym mówi:

– W zeszłym roku zajmowałem się sprawą jednej z tych dziewcząt, o których wspominałem wcześniej, czternastolatki z osiedla domów komunalnych. Słodkie dziecko, chociaż miała trochę kłopotów w szkole. To był gwałt zbiorowy, w parku. Było ich pięciu, mężczyźni z osiedla, na którym mieszkała. Piła z nimi piwo w letni wieczór. Dali jej jakiegoś wysokoprocentowego lagera. Wątpię, żeby miała pojęcie, jak mocne jest to świństwo. Szczerze mówiąc, nie była zbyt rozgarnięta, kradła po sklepach i tak dalej. Było ich pięciu i gwałcili ją po kolei, w krzakach. Wielu ludzi przechodziło ścieżką nieopodal, ale ona była zbyt przestraszona, żeby zacząć krzyczeć. Bała się, że jeśli ktoś to zobaczy, rozniosą się plotki, że jest puszczalska. Było ich pięciu, a w sądzie to oznacza, że jest pięciu adwokatów obrony. Miała już wtedy piętnaście lat i zajmowała miejsce dla świadka przez pięć dni z rzędu, a tych pięciu adwokatów wstawalo i jeden po drugim wmawiali jej, że kłamie. Pięć dni z rzędu... – przerywa i obrzuca wzrokiem moją kosztowną zamszową kurtkę i szal. – I coś takiego robimy dzieciom.

Patrzę na ciebie bezradnie.

– Dzięki, Kev, dzięki, że poświęciłeś nam trochę czasu – mówisz cicho.

Kevin wstaje, wyciąga rękę. Ściskanie jego dłoni w tych okolicznościach wydaje się absurdalne, ale i tak to robię. Ty również.

– Powodzenia – mówi Kevin, kiwa nam głową na pożegnanie, po czym odwraca się i opuszcza kawiarnię.

Patrzę, jak odchodzi ulicą, drobny mężczyzna w schludnym granatowym garniturze. Wygląda jak agent nieruchomości albo handlowiec.

Obdarzasz mnie takim spojrzeniem, jakbyś się zastanawiał, czy się zaraz nie rozplączę. Ale ja nie płaczę. Kładę dłoń na blacie, a ty przykrywasz ją swoją dłonią, lekko ściskasz. Przez jakiś czas siedzimy tak w milczeniu. W końcu mówisz:

– Nie powiedziałaś mi, że twoja matka się zabiła.

Wzruszam ramionami.

– Zmagala się z chorobą, odkąd pamiętam. Wychowali mnie tata i moja ciotka, która mieszkała po sąsiedzku. Mama co chwilę trafiała do szpitala. Zawsze traktowałam ją jak chorą osobę.

– Ciężka sprawa... – zauważasz.

– To było dawno temu.

Rzeczywiście, to było całe wieki temu. Myślę o mojej ciotce, życzliwej i energicznej. Każdego dnia, gdy wracaliśmy z bratem ze szkoły, robiła nam frytki i fasolę w sosie pomidorowym, zanim ojciec przyszedł z pracy. Była dla mnie dobrą matką i zdążyła jeszcze zobaczyć moje dzieci. Myślę o tym, że jedynym sposobem na zwrócenie uwagi mojego ojca było pokazanie mu oceny celującej na pracy domowej. Otwierał się tylko wtedy, gdy spałam. Wchodził nocą na palcach do mojego pokoju, żeby pogłaskać mnie po włosach. Po zgaszeniu świateł jak najdłużej starałam się nie zasnąć, żeby go na tym przyłapać. Ożenił się ponownie, gdy miałam siedemnaście lat, i wyprowadził do Szkocji, gdy tylko wyjechałam na uniwersytet. Mój brat był pięć lat starszy ode mnie i już zdążył wyjechać do pracy na farmie owiec do Nowej Zelandii. Zawsze wiedziałam, że opuści dom, gdy tylko będzie mógł. W Crawley miał za mało kontaktu z naturą, a lotnisko Gatwick znajdowało się kusząco blisko. Moje dzieciństwo nie było szczególnie ciężkie, biorąc po uwagę okoliczności, więc nie pozwalałam, by definiowano mnie przez jego pryzmat. Jako dziecko czułam się kochana, troszczono się o mnie. Poślubiłam właściwego mężczyznę i sama wychowałam dwoje dzieci. Zapewniłam sobie dobre życie. Nie jestem niczyją ofiarą.

Ciężar twojej dłoni spoczywającej na mojej sprawia mi przyjemność. Obracam rękę wnętrzem do góry, żeby nasze palce mogły się spleść. Jak niewiele o sobie wiemy, myślę, właściwie nic. Tylko to, tylko teraz. Nic nie wiemy o życiu, jakie wiedliśmy, zanim się spotkaliśmy, o urodzonych i wychowanych dzieciach, o miejscach, w których pracowaliśmy, o traumach, niepowodzeniach i radościach, o dalszych krewnych, przyjaciółach i znajomych. Nie wiem nawet, czy twoi rodzice jeszcze żyją. Nasz związek jest zupełnym przeciwieństwem tego, co łączy mnie i Guya. On i ja wiemy o sobie wiele, ale nie ma między nami intymności. Ciebie i mnie łączy intensywność, która istnieje w próżni.

Pocieram kciukiem o twój kciuk. Ten gest dodaje mi otuchy. Twoje paznokcie zawsze są schludnie opiłowane i czyste – kolejna rzecz świadcząca o próżności. Są czyste jak nasze pragnienia, nieskomplikowane, ale narażone na błędną interpretację ze strony innych.

– Apple Tree Yard – mówię w końcu cicho.

Ty pochylasz się nieco nad stołem, mocniej ściskasz moją dłoń.

– Nie było tam kamer przemysłowych, jestem pewien, sprawdziłem. Jeśli o tym nie wspomnisz, obrona nigdy się nie dowie. Nikt się nie dowie. Nic nie zostało nigdzie zapisane. Nie ma obciążających dokumentów, a ja mogę się pozbyć telefonów. Nikt nam nie udowodni, że łączy nas coś więcej niż zwykła znajomość.

– Musiałabym skłamać w sądzie – mówię. – Będą sprawdzać, co dokładnie robiłam tamtego dnia. Jeśli powiem prawdę, nikt nie uwierzy w to, co mi się stało. A nawet jeśli uwierzą, pomyślą, że jestem dziwką, która dostała to, na co zasłużyła.

Naprzeciwko miejsca, w którym siedzimy, wisi duże lustro, oprawione w drewnianą ramę. Ma zapewne optycznie powiększać pomieszczenie. Odbija się w nim bok lady zastawionej ciastami i my, siedzący przy małym okrągłym stoliku. Mężczyzna i kobieta w średnim wieku, unikający swojego wzroku,

trzymający się za rękę. Lustro idealnie obramowuje ten obrazek. Miękkie oświetlenie idealnie komponuje się z cichą muzyką i szmerem rozmów innych klientów. Mimo fizycznej czułości, jaką sobie okazujemy, niewątpliwie wyglądamy ponuro. Jak para, która właśnie zgodziła się na rozwód.

Myślę o tym, że nawet gdybym mogła przejść przez to lustro i doświadczyć całego świata na opak, od drugiej strony, nie wydałby mi się dziwniejszy niż to, co dzieje się teraz.

# 12

Przez resztę tygodnia jestem w kiepskim nastroju, chociaż sama nie wiem dlaczego. Powinnam czuć się lepiej, powinno mi ulżyć. Ta sprawa nie będzie miała dalszego ciągu w sądzie, więc teraz muszę się tylko z tym uporać. Ostatecznie Kevin nie powiedział mi niczego, czego już bym nie wiedziała. Nocami często się budzę. Gapię się w sufit godzinami, nim z powrotem zasnę. Rano jestem zamroczona i z trudem się podnoszę, a i tak długo siedzę na skraju łóżka, nim uda mi się wstać. Siedzę skulona z łokciami na kolanach, z głową w dłoniach. Muszę uważać, żeby Guy mnie na tym nie przyłapał.

Guy jest zajęty pracą. Ty też jesteś zajęty. Dzwonisz od czasu do czasu, starasz się, ale w twoim głosie, w sposobie, w jaki pytasz, jak się mam, słyszę napięcie. Po prostu robisz, co trzeba, czuję to. Ja też zachowuję się inaczej. Ignoruję twoje telefony, bo nie czuję się na siłach, by udawać. Ale gdy sprawiam wrażenie, że wszystko jest w porządku, słyszę w twoim głosie ulgę. Pilnuję się, żebym to ja zawsze kończyła rozmowę, a po tym, jak się rozłączymy, zaczynam płakać. W pracy odwołuję wszystkie spotkania, jakie tylko mogę. Biorę kilka dni wolnego i pozostaję z pracownikami w kontakcie mailowym. Od czasu do czasu omawiam coś z nimi przez telefon. Ale nawet te telefony stanowią dla mnie wysiłek. Nie chcę z nikim rozmawiać.

\*\*\*

W weekend wybieramy się z Guyem na kolację do znajomych. Nie przepadamy za takimi spotkaniami. On nienawidzi pogawędek o niczym i siedzi ze zwieszoną głową, dopóki ktoś nie powie czegoś interesującego, a wtedy ożywia się jak labrador, który zaraz ma zostać wyprowadzony na spacer. Proszona kolacja to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, ale staram się zachowywać normalnie. Podczas gdy szykujemy się do wyjścia, Guy pyta mnie:

– Nie bierzesz prysznic?

Wkładam przez głowę rozciągliwą niebieską sukienkę.

– Coś mi sugerujesz? – mamrocze, podchodząc do toaletki i sięgając po drogie perfumy, które kupił mi na ostatnie urodziny.

Psik... psik... naciskam złoty przycisk i otulam zapachem nadgarstki.

– Nie, po prostu ostatnimi czasy non stop się myjesz.

\*\*\*

Docieramy do domu naszych przyjaciół w dzielnicy Harrow-on-the-Hill. Dom Harry'ego i Marcii jest ogromny – jedno z nich odziedziczyło fortunę. Na tym przyjęciu będą ludzie, których nie znam, i gdy zbliżamy się do drzwi, mam nadzieję, że nie spotkam tam żadnych adwokatów ani prawników. Po rozmowie z Kevinem zaczęłam obserwować ludzi siedzących naprzeciwko mnie w metrze, tych elegancko ubranych, którzy mogliby wykonywać zawód związany z prawem. Patrzę na nich i zastanawiam się, czy z radością spróbowaliby uzyskać werdykt uniewinniający dla George'a Craddocka.

\*\*\*

To duża kolacja, na dwanaście osób, które zebrały się wokół długiego owalnego stołu w żółtej kuchni mieszczącej się w dobudówce ze szklanym dachem. Docieramy do puddingu bez incydentów, chociaż Guy mówi mi później, że cały wieczór byłam wyjątkowo milcząca. I wtedy wybucha bomba. Najgorętszy news tego tygodnia dotyczy polityka, który został oskarżony o napaść seksualną na pokojówkę w Nowym Jorku.

– To żony najbardziej mi szkoda – stwierdza nasz przyjaciel Harry.

Jego nastoletnie dzieci co chwila wchodzą do kuchni, wydają dwulitrowe butelki napojów gazowanych z podwójnej lodówki, po czym opuszczają pomieszczenie. One też mają małą imprezę na górze. Najmłodsze, maleńkie późne dziecko, śpi gdzieś w innej części domu. Obok Harry'ego siedzi mężczyzna z siwą kocią bródką. Cienka linia zarostu zdobiąca jego podbródek przypomina strzałkę skierowaną w górę.

– Cóż, widziałem tę pokojówkę w telewizji... – mówi z lekceważeniem, jakby to rozstrzygało wszystko. Urywa, a potem, gdy zdaje sobie sprawę, że czekamy na ciąg dalszy, dodaje: – Skłamała przed sądem.

Nie znam cię, myślę, gapiąc się na niego. Jego żona, której też nie znam, obrusza się. Siedzi dokładnie naprzeciwko męża.

– Skłamała na temat swojego statusu imigrantki. Nie sądzisz, że większość ludzi na jej miejscu zrobiłaby to samo, gdyby rozpaczliwie potrzebowali pracy w Nowym Jorku?

Kozia bródka jest pijany. Sięga po butelkę wina stojącą pośrodku stołu i obraca ją do góry dnem nad swoim kieliszkiem.

– Moja żona wie, o czym mówi – przemawia do kieliszka. – Jest adwokatką imigracyjną. Jeśli zamówimy taksówkę do domu, zyska następnego klienta, nim dojedziemy na miejsce.

– Podczas gdy mój mąż... – zaczyna kobieta, z uśmiechem wodząc po nas wzrokiem, ale zanim zdąży powiedzieć coś więcej, wtrąca się nasza gospodyni, Marcia.

Nie chce, żeby wieczór się popsuł, i nie winię jej za to. Nie ma nic gorszego niż małżeństwo docinające sobie przy stole, gdy włożyło się tyle wysiłku w przygotowanie kolacji. Lubię Harry'ego i Marcie. Urządzali duże prośzone kolacje, nawet gdy ich dzieci były małe, na etapie, kiedy większość z nas ledwo miała energię, żeby ugotować jajko dla gościa. Jedzenie, które podają, zawsze jest smaczne, wino – dobre. Lubią zapoznawać ze sobą ludzi, którzy nie znają się nawzajem, są z natury gościnni

i hojni:

– To, co wydaje mi się w tej sprawie najbardziej niedorzeczne... – mówi Marcia, próbując rozładować atmosferę – to... serio, jak ktoś mógłby zmusić kogoś innego do seksu oralnego? Czy po prostu byście go nie odgryzły?

Lekko uderza w stół i rozgląda się po zgromadzonych, zachęcając nas do śmiechu. Ma blond włosy z końcówkami wywiniętymi do góry, małymi loczkami opierającymi się prawu grawitacji. Jest ubrana w prostą czarną sukienkę i nosi srebrny łańcuszek na szyi. Jej mąż ją uwielbia.

Czuję, jak się we mnie gotuje. Dlaczego w kuchni jest tak gorąco? Zaczyna się ze mną dziać coś bardzo dziwnego. Zwracam się do niej w myślach i wygłaszam przemowę na temat tego, jak głupia i pełna ignorancji była ta uwaga, że jeśli nie doświadczyło się takiego strachu, nie ma się pojęcia, jak może być paralizujący i jak bardzo przygnębiający i irytujący, a wręcz nieznośne jest to, że kobiety rozpowszechniają to ignoranckie gówno tak samo jak mężczyźni. W mojej głowie wygłaszam te argumenty szybko i elokwentnie, kończąc na... Tę ostatnią część jednak wypowiadam już na głos. Wyrywa mi się, ale nie jako rozwścieczony punkt kulminacyjny gniewnej tyrady, o nie. Słowa płyną gładko i ze spokojem:

– Cóż, przypuszczam, że ty byś odgryzła, prawda, Marcia? Masz idealny dom, idealnego męża, idealne, kurwa, dzieci. Pewnie sprawiłoby ci to przyjemność.

Zapada paskudna cisza. Wszyscy patrzą na mnie z konsternacją. Trzymam w dłoni łyżeczkę deserową. Bawię się nią. Marcia podała pudding cytrynowy, mój ulubiony. Co za żółtawy wieczór – ściany w kolorze słoneczników, moja blond gospodyni, cytrynowy pudding.

– Cóż... – mówi Marcia, wciąż się uśmiechając i rozglądając się po nas trochę bezradnie. – Cóż, ja nie...

Odchylam się na krześle, udając swobodę, i rzucam łyżkę na stół, gdzie ląduje z metalicznym brzękiem.

– Wiesz, co jest naprawdę przerażające, moim zdaniem? To, że jesteś absolutnie inteligentną kobietą, ale nigdy nie przytrafiło ci się nic naprawdę złego i mimo twojej inteligencji po prostu brak ci wyobraźni, żeby zrozumieć, jak to jest, gdy zdarzają ci się złe rzeczy. Ale najbardziej przerażające ze wszystkiego... – pochylam się ku niej nad stołem, a w moim głosie wyraźnie słychać jad; Marcia spuszcza wzrok, jej idealna skóra pokrywa się rumieńcem – jest to, że pozwalają ludziom takim jak ty zasiadać w ławie przysięgłych.

Cisza, która zapada w żółtym pomieszczeniu, jest gęsta. Wszyscy patrzymy na Marcie, dopóki nie wybawi jej jedno z nastoletnich dzieci, wołając ze schodów:

– Mamo! Ma-ammo!

\*\*\*

W samochodzie w drodze do domu długo panuje między nami milczenie, aż w końcu Guy mówi:

– Czy to było naprawdę konieczne? Musiałaś aż tak ją zaatakować?

– Och, na litość boską... – mruczę.

Mam ochotę mu przypomnieć, ile razy on obraził kogoś na przyjęciu.

– To miła kobieta... – Guy wzdycha delikatnie. – Lubimy ją, pamiętasz? Nie jest głupia, po prostu powiedziała coś głupiego.

– To tylko pogarsza sprawę.

Guy ma na tyle rozsądku, żeby się poddać.

\*\*\*

Docieramy do domu. Brama jest otwarta i Guy ostrożnie wjeżdża tyłem na podjazd; rozlega się znajomy zgrzyt żwiru. Mój mąż pozwala, by silnik jeszcze przez chwilę chodził na jałowym biegu, i w końcu go gasi. Siedzimy w milczeniu w ciemnościach. Żadne z nas się nie rusza. Guy patrzy prosto przed siebie. Proszę, proszę, nie pytaj mnie, co jest nie tak, myślę sobie.

– Yvonne... – zaczyna.

Otwieram drzwi z mojej strony, w pośpiechu gramolę się z samochodu i zatrzasnę je za sobą. Kiedy docieram do drzwi frontowych, przypominam sobie, że to on ma klucze. Muszę czekać na niego, podczas gdy powoli wysiada z auta, zamyka je pieczołowicie i sprawdza, czy wszystko jest w porządku.

\*\*\*

Dopiero po kolejnych dwóch tygodniach dociera do mnie, co muszę zrobić. W tym czasie przeżywam wiele ciężkich chwil. Nie mogę się z tobą skontaktować i zaczynam podejrzewać, że unikasz moich telefonów. Nie winię cię za to. Unikasz ich, dopóki nie będziesz miał czasu na długą rozmowę, bo nie potrafisz już rozmawiać ze mną krótko. Unikam wszystkich innych osób w moim życiu. Mam tylko ciebie. Przykro mi.

Któregoś ranka słucham audycji w radiu. Urzędnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych biorący udział w debacie na temat napaści na tle seksualnym naturalnie uważa, że wyroki powinny zostać zaostrzone w przypadku p o w a ż n y c h ataków. W takich chwilach mam problemy z odnalezieniem się we własnej kuchni.

\*\*\*

W końcu dzieje się to, co nieuniknione. Nie widziałam cię od tygodnia, rozmawialiśmy tylko raz, krótko. Jesteś wystraszony, myślę sobie, i właściwie dlaczego nie miałbyś być? Ja też jestem wystraszona. Czekam, aż Guy wyjdzie z domu pewnego popołudnia, i zabieram kieliszek wina do mojego gabinetu w nadziei, że to mi pomoże. Otwieram znajomy dokument. Czuję ciężar w sercu. Wiem, że nie mogę wysłać do ciebie listu ani maila – teraz tym bardziej. Jeśli mam to zrobić na piśmie, będę musiała się ograniczyć do śmiesznie skondensowanej formy esemesa. Ale żeby ustalić, co chcę ci przekazać w skrócie, najpierw muszę to powiedzieć samej sobie.

Drogi X,

nim zaczęłam ten list, próbowałam na nowo przeczytać wcześniejsze, te, w których



byłam taka pewna siebie. Musiałam przerwać lekturę. To było dla mnie zbyt bolesne, widzieć czarno na białym moje złudzenia, moje przekonanie, że dam sobie radę ze wszystkim, co przyniesie mi znajomość z Tobą czy z kimkolwiek innym. Nic z tego, w co wcześniej wierzyłam na swój temat, nie jest prawdą.

Od czego mam zacząć wymieniać liczne paradoksy mojej obecnej sytuacji? Największy spośród nich to ten, że gdybym opisała Twoje zachowanie przyjaciółce, mogłaby się o mnie zaniepokoić. Nieobliczalność, ryzykowny seks, zaborczość – to wszystko zaalarmowałoby każdego, kto o mnie dbał, podobnie jak ja zmartwiłabym się, gdyby moja przyjaciółka ze szczegółami opisała swoje zaangażowanie w związek z mężczyzną takim jak Ty. Ale przez cały ten czas, gdy zastanawiałam się, czy możesz stanowić dla mnie zagrożenie, czy moje zachowanie jest lekkomyślne, ktoś z pozoru tak nieszkodliwy jak on czyhał na mnie, czekał na swoją okazję.

Gdy byłam młodsza, bałam się mężczyzn takich jak Ty. Gdybym spotkała Cię wcześniej, uciekłabym przed Tobą, gdzie pieprz rośnie. Ale Ty pojawiłeś się w moim życiu w momencie, gdy uwierzyłam, że już nie muszę się bać. Każda dziewczyna czy młoda kobieta uczy się instynktownie, których mężczyzn powinna się obawiać, gdy tylko dorośnie na tyle, że sama zaczyna wychodzić z domu: mężczyzna w garniturze, który staje za blisko ciebie na przystanku autobusowym, starszy facet o wilgotnych wargach, który czeka na środku chodnika, gapiąc się na ciebie, gdy nadchodzisz, głośni, pijani młodzieńcy w pubach, wykrzykujący sprośności w porze zamykania knajpy.

Ale teraz wiem, jak bardzo te instynkty mogą zawieść. Teraz wiem, że zagrożenie może nadejść z dowolnej strony, nawet jeśli wierzysz, że jakiś mężczyzna jest nieszkodliwy, że nic się nie stanie, jeśli się przy nim upijesz i znajdziesz się z nim sam na sam w pokoju. Przecież on wcale nie wydaje się niebezpieczny, co nie? A poza tym, hej, nawet jeśli zacznie się do ciebie dobieierać, dasz sobie radę, prawda? Jesteś dojrzałą kobietą. Masz stopnie naukowe, które to potwierdzają.

Jedno porządne uderzenie w twarz, tylko tyle było trzeba...

Już nie boję się niebezpiecznych mężczyzn. Boję się tych miłych, zwykłych. Nie boję się włamywaczy czy obcych po zmroku. Boję się mężczyzn, których znam.

W tym momencie przerywam pisanie i przez długi czas wpatruję się w ekran. Czytam to, co napisałam, zamykam plik. Odczuwam wdzięczność, że nikt inny poza mną nigdy tego nie przeczyta, a potem piszę do ciebie esemes.

MÓJ KOCHANY. TO, CO NAS ŁĄCZYŁO, TO BYŁA GRA, ALE WYDARZYŁO SIĘ COŚ, CO JEST AŻ NAZBYT REALNE. WIEM, ŻE TO BYŁO DLA CIEBIE TRUDNE.

W tym miejscu przerywam, zaczynam płakać.

WIĘC CHYBA NAJLEPIEJ BĘDZIE, JEŚLI PRZEZ JAKIŚ CZAS NIE BĘDIEMY SIĘ KONTAKTOWAĆ.

Znowu przerywam. Muszę być zdecydowana.

NAPRAWDĘ TAK BĘDZIE LEPIEJ. WIĘC NIE DZWOŃ DO MNIE ANI NIE PISZ. ODEZWĘ SIĘ, GDY SYTUACJA SIĘ POPRAWI. PRZEPRASZAM.

Szlocham trochę, rozczulając się nad sobą. Słone łzy spływają mi po policzkach. Bardzo pragnę zakończyć tę wiadomość w czuły sposób, powiedzieć ci, jak bardzo cię pragnę i potrzebuję, ale zamiast tego piszę:

WYŚLĘ TĘ WIADOMOŚĆ TERAZ, NIM STRACĘ ODWAGĘ. MÓJ MAŻ JEST W DOMU, WIĘC NA RAZIE TO TYLE. Y.

Naciskam „Wyślij”, potem odkładam aparat na biurko, chowam twarz w dłoniach i płaczę, szczerze i donośnie. Guy wróci dopiero za dwie godziny. Mogę płakać tak głośno, jak mi się podoba.

Po jakimś czasie szloch ustaje. Ocieram oczy rękawem bluzki i natychmiast widzę, że rozmazałam tusz na jasnozielonym materiale. Lubiłam tę bluzkę, myślę sobie. Och, cóż. Głupia krowo. Masz za swoje. Czego się spodziewałaś? Wyobrażam sobie, że opowiadam komuś – może policjantowi albo ławie przysięgłych – całą tę historię. Zdecydowana większość osób uważałaby, że sobie na to wszystko zasłużyłam. I może miałyby rację. Myślę o młodych kobietach, którym się to przytrafia. Jak to musi je definiować. Ja mam pięćdziesiąt dwa lata. Wiele przeżyłam i osiągnęłam i przy odrobinie szczęścia przeżyję i osiągnę znacznie więcej. Czuję, jak zalewa mnie osobliwa fala znużonego spokoju, która zawsze przychodzi po długim płaczu.

Podnoszę telefon i obracam go w dłoni. Wiem, że nie odpisałeś, mimo wszystko sprawdzam folder z wiadomościami, tak na wszelki wypadek. Potem, nabierając powietrza w płuca, wyłączam aparat.

\*\*\*

Pierwszy dzień bez ciebie jest bolesny w stopniu niemal doskonałym. Wyobrażam sobie, że w ten sposób muszą się czuć osoby rzucające palenie albo intensywnie się odchudzające – to ta wczesna determinacja, gdy poczucie utraty wciąż jest tłumione przez adrenalinę wyparcia. Do tego dochodzi jeszcze subtelna kwestia zdręczania się, roztrząsania straty. W pierwszym biurze, w którym pracowałam, miałam koleżankę imieniem Siobhan podatną na infekcje ucha. Kiedy jakąś złapała, swędzenie doprowadzało ją do szału. Próbowwała czyścić wewnątrz ucha patyczkami kosmetycznymi, ale to tylko pogarszało sprawę. Czasami więc siadywała przy biurku i zwijała chusteczkę w rożek, a potem zwilżała go lekko językiem. Była drobną kobietą o bladej skórze i chłopięcych rysach. Koncentrowała się na tym zadaniu bardzo mocno, wysuwając koniuszek języka. Potem w nabożnym skupieniu, podczas gdy ja obserwowałam ją z pełną przerażenia fascynacją, wsuwała papierowy szpikulec do ucha i grzebała głęboko w środku, trafiając prosto w źródło podrażnienia. Mówiła mi, że ta czynność sprawia, iż

w głowie słyszy cichutki dźwięk *doink, doink, doink*. Na dłuższą metę nie przynosiło to ulgi, wiedziała o tym, jeszcze zanim zaczęła to robić, ale przez te kilka sekund, podczas gdy swędzenie na chwilę ustawało, odczuwała złudną euforię. W podobny sposób tamtego pierwszego dnia co godzinę włączam i sprawdzam telefon, szturchając swój ból, udowadniając sobie, że nie odpowiesz. A gdy widzę, że nie odpowiedziałeś, przesywa mnie mieszanina poczucia słuszności i strachu. Przez kilka sekund dżgam źródło mojego cierpienia. *Doink, doink*.

Tamten pierwszy dzień okazuje się łatwy. Nawet drugiego dnia wciąż jeszcze odczuwam perwersyjną satysfakcję z zadawania sobie bólu. Powtarzam sobie, że twoje milczenie tylko potwierdza moją decyzję. Może naprawdę chciałeś to zakończyć, ale nie byłeś w stanie ze względu na okoliczności. Bardzo możliwe, że odczuwasz ulgę.

W czwartek rano wracam do biurka w moim domowym gabinecie jakiś czas po wizycie w ubikacji i widzę, że na zwykłym telefonie mam trzy nieodebrane połączenia z nieznanego numeru. Podnoszę aparat i patrzę na ekran. To mogłeś być ty albo jakiś telemarketer. Włączam telefon na kartę, żeby zobaczyć, czy zostawiłeś tam jakąś wiadomość, ale nie. Wyłączam oba aparaty.

\*\*\*

Jeszcze przez kilka dni żyję złudzeniem, że postąpiłam właściwie, a właściwe postępowanie oznacza, że powinnam się czuć coraz lepiej. Jestem dla siebie dobra. Często biorę kąpiele. Jestem miła dla Guya. Spaceruję po parku. Powtarzam sobie, że najgorsze już za mną. Najwyższa pora, żeby o tym wszystkim zapomnieć.

\*\*\*

Znowu jeżdżę do Instytutu Beauforta, wracam do normalnego trybu pracy. Jest jeszcze jedna sprawa, którą muszę zamknąć. Wysyłam mail do Sandry.

Cześć, Sandro,

pomyślałam, że powinnam dać Ci znać, że nie będę mogła się podjąć roli zewnętrznego egzaminatora w przyszłym roku akademickim – pomyślałam, że im wcześniej się o tym dowiesz, tym lepiej. Wygląda na to, że będę musiała tu zastąpić na pełen etat koleżankę, która idzie na urlop macierzyński, więc grafik będę miała wypełniony po brzegi. Jestem pewna, że masz listę innych chętnych, ale daj mi znać, gdybyś chciała, żebym zaproponowała kogoś na moje stanowisko. Słyszałam, że Mahmoud Labaki jest bardzo dobry, surowo ocenia. Guy dużo z nim pracował i naprawdę go szanuje – daj mi znać, czy potrzebujesz namiarów na niego. Do zobaczenia wkrótce, mam nadzieję.

Yvonne

Następnie wysyłam mail do Marca z działu zasobów ludzkich. Osoba, którą znalazł na zastępstwo,

właśnie się wycofała, więc wiem, że się ucieszy, gdy mu powiem, że jednak mogę przejść to stanowisko. Odpisuje natychmiast, jest zachwycony. Pracuj, myślę sobie, na razie możesz zrobić tylko tyle – bądź stale zajęta.

\*\*\*

Tydzień po kremacji zwłok mojej matki, podczas gdy jej prochy wciąż stały w pękatej urnie na półce w kuchni, ojciec wrócił do domu z prezentem dla mnie – nowym zestawem artystycznym. To był luty, trwały ferie zimowe, nie chodziłam wtedy do szkoły. Myślę, że to ciotka musiała mu powiedzieć, że trzeba jakoś odwrócić moje myśli od tego, co się wydarzyło. To był zestaw z żywicą, pozwalający na robienie przycisków do papieru, pamiątek i biżuterii. Były w nim metalowe buteleczki z płynami, które trzeba było połączyć szpatułką, a potem przelać do foremek. Spędziłam całe ferie na robieniu różnych drobiazgów. Rozkładałam gazetę na kuchennym stole – wskutek nalegań ciotki – a potem przelewałam płyn z dużej butelki do foremki. Gdy już to zrobiłam, dodawałam parę kropel ze znacznie mniejszej butelki zawierającej utwardzacz. To mnie fascynowało – że substancja płynna może się zamienić w ciało stałe dzięki dodaniu paru kropel innej cieczy. Co było tego przyczyną? Jak to działało? Małe foremki miały różne kształty: koła, owale, kwadraty. W płynie można było zanurzać rozmaite rzeczy – płatki kwiatów (ale one brązowiały), pasma włosów, koraliki. Najbardziej udał mi się owal z zanurzoną w nim małą plastikową baleriną, która kiedyś chyba służyła jako dekoracja do ciasta. Żywica twardniała przez noc. Pod koniec tygodnia zgromadziłam już całkiem sporą kolekcję. Chodziłam po domu i ukrywałam te przedmioty w najróżniejszych miejscach: w szafce w łazience, w garderobie ojca, na parapecie okna na półpiętrze. Wymyśliłam sobie, że w przyszłości będziemy przypadkiem na nie natrafiać i sprawi nam to przyjemność. Ale nikt nigdy nie chwalił się, że któryś znalazł, i w końcu ja sama o nich zapomniałam. Napotykałam niektóre wiele miesięcy później, w pudełku, w szafce czy na półce, nieodkryte, powleczone warstwą kurzu.

Błękit nieba w maju w niczym nie przypomina jego barwy w innych porach roku. To wtedy lato daje nam to, co ma do zaoferowania, jakby chciało przypomnieć, o co w tym wszystkim chodzi – gęsty nieprzenikniony błękit. Czerwiec jest bardziej chaotyczny, mętne niebo, gwałtowne ulewy. W czerwcu przypominamy sobie, że tak właśnie wygląda brytyjskie lato. Tak naprawdę to głupie. Dlaczego musimy żyć na tej wilgotnej wyspie? Lipiec jest nieprzewidywalny i robi to celowo. Lubi dawać nam do zrozumienia, że może wybrać każdą z dróg w zależności od nastroju. Brytyjczycy zazwyczaj podchodzą do pogody filozoficznie, ale od czasu do czasu przypadkowy gorący dzień daje nam odrobinę fałszywej nadziei. W sierpniu ogarnia nas duch walki. Deszcz leje w święto bankowe, ale przecież jesteśmy Brytyjczykami, potrafimy sobie z tym poradzić. Nawet nie spodziewaliśmy się niczego innego. Kaprysy lipca, mętne niebo czerwca, nawet czysty błękit maja – ani przez chwilę nie dajemy się temu zwieść.

To było długie lato, mój ukochany.

\*\*\*

Próbuję więcej wychodzić z domu. Jeżdżę do instytutu częściej, niż muszę, biorąc pod uwagę, że mój etat zwolni się dopiero we wrześniu. Kobieta, którą będę zastępować, Claire, jest w bliźniaczej ciąży. Kiedy przechadza się korytarzami, ludzie omijają ją szerokim łukiem, jakby się bali, że na nią wpadną i uruchomią niczym alarm samochodowy.

Londyn ma ponad osiem milionów mieszkańców. Tego lata roi się w nim od ludzi, ale bez ciebie wydaje mi się pusty. Wyprowadziliśmy się z Guyem na peryferie, żeby przed nim uciec, lecz wciąż do niego wracamy; jak opiłki żelaza przyciągane przez magnes. Kiedy żyjesz na przedmieściach, znasz miasto lepiej niż wtedy, gdy mieszkasz w samym centrum. Masz okazję przemierzać je każdego dnia.

Nasza lokalna stacja metra to stacja końcowa. „Jest tylko jeden problem z ostatnimi stacjami – to koniec linii”, zauważyła Susannah, gdy się tam przeprowadziliśmy. Po wejściu do pociągu przez pół godziny podróżuję nad ziemią, obserwując przez okno gęsto zabudowane tereny, domy stojące tyłem do torów, pranie wiszące na sznurach, dzieci i psy bawiące się w małych kwadratowych ogródkach za domami. Tyle milionów ludzi... Jaki jest sens ich istnienia, skoro nie są tobą? Gdy pociąg metra wjeżdża pod ziemię przy Finchley Road, odczuwam ulgę. Populacja kurczy się do osób przebywających w moim wagonie, a ja już wiem, że nie ma wśród nich ciebie.

\*\*\*

Właściwie to za czym ja tęsknię? Spędziliśmy razem tak mało czasu, a ja przeżyłam za dużą traumę, by brakowało mi seksu. Tęsknię za sposobem, w jaki koncentrowałeś się na mnie. Promień twojej uwagi zdawał się tworzyć wokół mnie ochronną barierę, której nic nie mogło spenetrować. Tęsknię za tym, kim byłam, gdy byłam z tobą. Może po prostu tęsknię za sobą. Może wszystko sprowadza się do prostej transakcji. Cena, którą płacę, jest proporcjonalna. To niekończące się lato ma być przeciwieństwem upojnej wiosny, którą spędziliśmy razem. Muszę zapłacić za radosne podniecenie i przyjemność robienia czegoś, co nie było mądre ani sensowne, choć upragnione. Idziesz do sklepu po lody, dajesz kasjerowi trochę pieniędzy. To naprawdę nie jest trudne.

\*\*\*

Gdy jestem w pracy, nie pozwalam sobie myśleć o tym, że znajdujesz się zaledwie kilka ulic dalej. To byłoby zbyt bolesne. Radzę sobie z tym, udając, że zniknęłaś, wyparowałaś. Gdy w szkołach zaczynają się wakacje, robi się łatwiej, bo wiem, że masz dzieci w wieku szkolnym, więc pewnie jesteście gdzieś we Francji albo w Hiszpanii, albo we Włoszech. Wyobrażam sobie ciebie na wietrznej plaży, jak grasz z nimi w krykieta, posyłasz piłkę w powietrze długim uderzeniem znad głowy, twój T-shirt wydyma się na plecach, szarpany morską bryzą, dzieci skaczą i piszczą, twoja żona leży na ręczniku kilka metrów dalej, czytając książkę. We wrześniu znowu robi się trudniej, ale wtedy będę miała już posadę, co w połączeniu z pracą wolnego strzelca zapełni mój grafik po brzegi na następne sześć miesięcy.

Przez całe lato wyznaczam sobie fałszywe ostateczne terminy. Do końca maja zacznę czuć się lepiej. No dobrze, poczuje się lepiej, gdy wyjedziemy z Guyem na ten długi weekend do Rzymu w czerwcu. Gdy wrócimy, zacznę zapominać o wszystkim, co się wydarzyło, o nim i o tobie. Rzym działa na mnie kojąco. Tam mogę iść ulicą i nie wpaść na nikogo, kogo pożądam albo się boję. Ale moja samotność powraca z nową siłą, gdy tylko wysiadamy z samolotu na Heathrow, gdy tylko znajdę się na tej samej wyspie co ty. To głupie, ale przyglądam się osobom czekającym przy barierkach w hali przylotów, kierowcom taksówek, zaniepokojonym rodzicom, cudzym krewnym. Czy naprawdę uważam, że mógłbyś w jakiś sposób dowiedzieć się, że wyjechałam, zdobyć dostęp do listy pasażerów i przebrać się za kierowcę tylko po to, żeby choć na moment mnie zobaczyć? W takich chwilach lękam się o własne zdrowe zmysły.

\*\*\*

Pod koniec sierpnia do domu przyjeżdża Adam. Widzimy go po raz pierwszy od niemal dwóch lat. W tym czasie rozmawialiśmy z nim siedem razy i tylko dwa odrobinę dłużej. Dowiadujemy się, że zamierza nas odwiedzić, gdy wyśle Guyowi esemes, w czwartek po święcie bankowym. „Możliwe, że przyjadę jutro na kilka dni, okej?” Mój syn nie wysłał esemesa do mnie. Mój syn wiedział, że gdyby zwrócił się do mnie, zasypałabym go pytaniami: o której godzinie przyjedzie, czy będzie głodny, jak długo zamierza zostać... Więc Guy odpisuje: „Świetnie. Do zobaczenia”. Potem każe mi usiąść

i wymienia długą listę rzeczy, o które nie wolno mi pytać Adama. Nie mogę go zapytać, gdzie w tej chwili mieszka. Nie mogę go zapytać, czy ma dziewczynę. Nie mogę go zapytać, czy bierze leki, czy wciąż gra w swoim zespole, czy może szuka pracy. Nie mogę zapytać znacząco: „A... jak się masz?”.

W piątek zostaję w domu przez cały dzień. Przygotowuję zapiekankę i sprzątam. O dziesiątej wieczorem, ponieważ nasz syn się nie pojawił, Guy nalega, żebyśmy zjedli zapiekankę, zamiast zachować ją na następny dzień, a potem poszli spać. W sobotę około piętnastej rozlega się dzwonek do drzwi. Zostaję na górze i pozwalam Guyowi otworzyć. Rozegra to znacznie lepiej niż ja.

Mój syn. Słyszę jego głos na dole, w moim domu, głos, który znam tak dobrze, że mogłabym go naśladować, te wszystkie jego szorstkie „taa” i „pewnie”. Zmuszam się, żeby pokonać stopnie powoli.

– Cześć... – mówię na powitanie.

Wypełnia sobą cały przedpokój, ten mój chłopak. Wzrost i zwalistą sylwetkę odziedziczył po ojcu, podobnie jak lekko zgarbione barki. Ma na sobie dzinsy, adidas i zieloną kurtkę z jakimiś pseudowojskowymi naszywkami. Na jego widok zalewa mnie fala miłości i przypominam sobie z bólem, który przeszywa mnie jak zygzak błyskawicy, jak wiele młodych kobiet też by go pokochało, gdyby otworzył się na przyjmowanie miłości. „Nic nie wiesz”, uniósł się kiedyś, podczas wizyty kilka lat wcześniej, gdy próbowałam z nim porozmawiać o tym, jak wiele miłości jest na świecie. „Nic”. Później Guy powiedział mi, że jednak była jakaś dziewczyna. Oświadczyła Adamowi, że usunęła jego dziecko, ale Adam nie miał pojęcia, czy to prawda.

Ma kilkudniowy zarost – pasuje mu. Jego gęste brązowe włosy wyglądają na nieprzystrzyżone i celowo rozczochrane w modny sposób. Nienawidzi, gdy się w niego wpatruję, więc zerkam na niego tylko przelotnie, chociaż nie widziałam go niemal dwa lata. Schudł czy przytył? Czy jego spojrzenie jest mętne i rozbiegane jak wtedy, gdy zażywał carbatrol? Trudno mi na niego patrzeć bez prób stawiania diagnozy albo bez tęsknoty i rozpaczających się na mojej twarzy.

– Cześć, mamó – mówi i po natężeniu jego głosu wnioskuję, że już się odwrócił i skierował do kuchni.

\*\*\*

Adam zostaje w domu przez cztery dni. Dużo śpi. Wieczorami w naszej sypialni odbywamy z Guyem szeptane rozmowy, w trakcie których on upiera się, żebym nie zadała Adamowi a n i j e d n e g o pytania, ani jednego. Ja uważam, że przesadza. Wydaje mi się, że Adam jest w całkiem dobrym stanie – dobrym w porównaniu z tym, z czym mierzyliśmy się wcześniej. Myślę, że mógłby podołać krótkiej delikatnej rozmowie, ale ugnam się pod naciskiem Guya.

Zapach syna w moim domu, jego postać i cień, gdy przechodzi z pomieszczenia do pomieszczenia, to mi wystarczy. Nie pracuję w trakcie jego pobytu, chociaż udaję, że owszem. Przesiaduję przy komputerze w moim gabinecie. Nie mogę znieść myśli o opuszczeniu domu, podczas gdy on tutaj jest, ale po czterech dniach odprężam się odrobinę i postanawiam pojechać do supermarketu. Zostawiam Guya i Adama siedzących na schodkach na tyłach domu w słabym świetle słońca i popijających herbatę w przyjacielskim milczeniu, podczas gdy Adam pali papierosa, którego sam sobie skręcił. Jadąc do

sklepu, myślę, że to dobry pomysł, dać im trochę czasu sam na sam. Może Guyowi uda się wyciągnąć z Adama parę informacji pod moją nieobecność.

Popycham wózek alejkami i napełniam go produktami, które mogłyby posmakować Adamowi. Nie rzeczami, które lubił jako dziecko, ale tymi, które podejrzewam, że może lubić teraz – bo nie wolno mi zapytać, co lubi. Warzywne burgery i chorizo, świeży makaron i frytki – moje wybory są eklektyczne. Kupuję mnóstwo jedzenia, chociaż wciąż mamy w domu zapasy z poprzednich zakupów, tych zrobionych przed jego przyjazdem. Już w kolejce do kasy dorzucam do wózka rodzinne opakowanie lukrecjowych cukierków.

Byłam poza domem zaledwie godzinę, ale gdy tylko przekraczam próg, wiem, że Adam wyjechał. W powietrzu czuć jego brak, widać go w barwie światła, słysząc w niemal całkowitej ciszy, w której rozlegają się kroki Guya, gdy podchodzi, żeby odebrać ode mnie siatki z zakupami. Adam czekał, aż wyjdę z domu, żeby móc wyjechać. Chciał uniknąć rozmowy, do której mogłoby dojść, gdyby się ze mną żegnał.

Patrzę na Guya oskarżycielsko. Reklamówki są przepełnione, ciężkie, uchwyty rozciągnęły się i wrzynają mi się w palce. Guy musi siłą wyjąć je z moich zaciśniętych dłoni.

– Próbowałam – mówi łagodnie.

\*\*\*

Wizyta i wyjazd mojego syna znowu wszystko pogarszają. Staram się czymś zająć, a tydzień później zaczynam etat. Byłoby lepiej, gdyby nie dojazdy do pracy, które zmuszają mnie do myślenia. Myślę o synu, o tym, że może znowu nie zobaczę go przez dwa lata, o tym, że poniosłam porażkę w jedynej relacji z mężczyzną, która naprawdę ma znaczenie. Myślę o Guyu, o tym, jaki jest pełen rezerwy i że to prawdopodobnie moja wina, że pozwoliłam, aby do tego doszło, bo mi to też pasowało. Myślę o tobie i stopniowo, nieuchronnie zaczynam odczuwać zgorzknienie. Dlaczego zrezygnowałeś ze mnie tak łatwo? Dlaczego wzięłeś moją wiadomość za dobrą monetę? Oczywiście mogę się mylić. Możliwe, że tęsknisz za mną rozpaczliwie, powstrzymujesz się od dzwonienia, bo uważasz, że to dla mnie najlepsze. Możliwe, że myślisz o mnie cały czas. A może w ogóle cię nie obchodzi, jak się mam. Możliwe, że już jesteś zaabsorbowany nowym romanssem. Wyobrażam sobie różne rodzaje kobiet, z którymi mogłoby cię coś połączyć. Wyobrażam je sobie jedną po drugiej.

\*\*\*

I w końcu przychodzi ten dzień, a gdy przychodzi, najgorszą rzeczą jest jego nieuchronność, jakbym na niego czekała. Jakbym nie zastanawiała się czy, lecz zaledwie jak i kiedy.

Dziesięć minut spacerem od miejsca, w którym mieszkamy, tuż przy głównym pasażu handlowym jest salon fryzjerski prowadzony przez bardzo drobnego, bardzo pięknego Włocha. To raczej młodzieżowy salon. Nie spodziewalibyście się po kobiecie w moim wieku, że będzie się strzygła w takim miejscu, i właśnie dlatego tam chodzę. To tam odnawiam sobie pasemka mniej więcej raz na dwa, trzy miesiące.



Właściciel, Bernardo, opowiada mi o swoim rodzinnym kraju, podczas gdy robi mi masaż głowy. Opowiada o tym, że we Włoszech wszystkie kobiety chcą wyglądać tak samo. To dlatego przyjechał do Londynu, bo tutaj każda kobieta jest inna. Zatrudnia Japonki, Polki i Koreanki i jeszcze jednego Włocha, który robi słodkie oczy do każdego klienta niezależnie od płci. Jego otwarte spojrzenie pożąda miłości. Podejrzewam, że spotyka się z jedną z Koreanek, ale nie jestem pewna. Lubię atmosferę opery mydlanej panującą w tym miejscu. Lubię obserwować niuanse relacji między personelem a klientami i między samymi pracownikami. Lubię przysłuchiwać się rozmowom innych klientów. Obserwuję w lustrze odbicie osób na fotelach obok, podczas gdy sama siedzę z folią we włosach. Nigdy nie jestem pewna, czy widzą, że im się przyglądam, czy nie.

Bernardo właśnie kończy mnie czesać. Wysuszył mi włosy, a teraz jeszcze przycina końcówki tu i tam. Nie spieszy się, chce, żebym poczuła się odrobinę bardziej wyjątkowo niż jego pozostali klienci. Pyta, czy powinien zainwestować w automat do kawy w salonie, a ja mówię, żeby nie zawracał sobie tym głowy. Właśnie zrobił krok do tyłu i podziwia swoje dzieło, a ja lekko odwracam głowę, potrząsając włosami, żeby zobaczyć, jak się układają, gdy kątem oka dostrzegam, że na ulicy stoi George Craddock i zagląda do środka przez okno salonu. Obserwuje mnie przez tafle szkła. Uśmiecha się.

Chowam się w toalecie salonu fryzjerskiego przez niemal piętnaście minut. Bernardo musi się zastanawiać, czy wszystko ze mną w porządku. Może myśli, że fryzura jednak mi się nie podoba albo że się pochorowałam. Mogłabym zadzwonić do Guya i poprosić, żeby po mnie podjechał, ale wtedy naprawdę musiałabym udawać, że jestem chora, i dalej zachowywać pozory, a moje zachowanie ostatnimi czasy i tak było już dość dziwne. Zresztą jeśli Guy po mnie przyjedzie, a George Craddock wciąż tam będzie, dowie się, jak wygląda mój mąż, jeśli jeszcze tego nie wie, i będzie mógł go zagadnąć. Będzie mógł do niego podejść i powiedzieć: „Witam, jestem George Craddock, pracuję z Yvonne. Chyba się nie poznaliśmy”. Nie mogę zadzwonić do ciebie. Jest sobota. A zresztą... nie mogę zadzwonić do ciebie.

W końcu dociera do mnie, że jedyne, co mogę zrobić, to opuścić salon, trzymając głowę wysoko niezależnie od tego, jak bardzo jest mi niedobrze.

\*\*\*

Gdy wychodzę na zewnątrz, rozglądam się w prawo i w lewo, ale nigdzie nie widzę ani śladu Craddocka. Oczywiście mógłby mnie obserwować z ukrycia, lecz jestem przekonana, że gdyby wciąż był w pobliżu, natychmiast by do mnie podszedł. To obrzydliwy zbieg okoliczności, mówię sobie, to wszystko. W pobliżu jest wiele sklepów, może po prostu robił zakupy. Od teraz będę musiała korzystać z usług innego salonu. Bernardo będzie się zastanawiał, dlaczego przestałam do niego przychodzić.

Skęcąc w lewo i oddalam się od domu w stronę centrum handlowego. Maszeruję ulicą energicznie, nie rozglądając się wokół. Muszę się upewnić, czy mnie nie śledzi. Mijając wejście do Marks & Spencer, skręcam nagle i przechodzę przez automatyczne drzwi. Nie oglądając się za siebie, podchodzę prosto do ruchomych schodów prowadzących na pierwsze piętro – to jedne z tych, które przyspieszają,

gdy się na nie wejdzie, co normalnie uważam za denerwujące, ale w tym szczególnym momencie uznaję za błogosławieństwo. Na pierwszym piętrze lawiruję między sobotnimi klientami, zmierzając do działu z damską bielizną. Tu nie może za mną wejść bez rzucania się w oczy. Częściowo ukryta za rzędami zmniejszających biust i sportowych staników odwracam się, żeby obserwować szczyt ruchomych schodów. Przez kilka minut serce łomocze mi w piersi, podczas gdy czekam, aż przed oczami pojawi mi się czubek jego głowy, a potem twarz – twarz, która była tuż przy mojej.

Nic takiego jednak się nie dzieje. Mniej więcej po dziesięciu minutach odwracam się i zaczynam powoli krążyć po dziale, wybierając rzeczy i je odkładając. Porozglądam się trochę, zanim wyjdę, myślę sobie, tylko po to, aby się upewnić. Właśnie zbieram się do wyjścia, gdy czuję jak wibruje telefon w mojej kieszeni. Myślę, czy go nie zignorować, ale wyciągam aparat z wewnętrznej kieszeni kurtki. Dostałam esemes z numeru, którego nie rozpoznaję. Treść brzmi: „Świetna fryzura”. Kasuję go.

\*\*\*

Potem dochodzi do serii incydentów. Niemal codziennie ktoś wydzwania do mnie z nieznanego numeru – czasami kilkanaście razy z rzędu, czasami w odstępach, czasami nic się nie dzieje przez wiele godzin. Potem wszystko się uspokaja, ale po tygodniu zaczyna się znowu. Na mój adres pracowniczy przychodzi kolejny mail od niego, niezobowiązująca wiadomość z kopią do pięciu innych osób włącznie z Sandrą, której treść sugeruje, żebyśmy wszyscy spotkali się któregoś wieczoru w pubie i podyskutowali o programie studiów. W pierwszej chwili czuję konsternację, bo przecież zablokowałam adres mailowy Craddocka, ale po chwili zauważam, że wysłał wiadomość z prywatnego konta, a nie z pracowniczego. Pozostali używają opcji „Odpowiedz wszystkim”. Dwie z pięciu osób uważają, że to świetny pomysł, a dwie przyjdą, jeśli będą mogły. Sandra przypomina George’owi i pozostałym, że ja już nie zajmuję się egzaminowaniem, ale ma nadzieję, że i tak przyjdę, żeby mogli skorzystać z mojej mądrości. Nie odpowiadam. Blokuję również jego prywatny mail.

\*\*\*

Tydzień później, gdy wracam do domu ze stacji metra, dostaję esemes od mojej kuzynki Marion, która mieszka w Bournemouth. Rzadko się z nią kontaktuję. Wiadomość brzmi: „Lepiej sprawdź swój mail, wysyłasz ludziom spam! Mam nadzieję, że wszystko u ciebie dobrze. Całuję, Marion”. Docieram do domu i odkrywam, że straciłam dostęp do konta hotmailowego, które założyłam, gdy rozpoczęłam karierę freelancerki. Ktoś się na nie włamał i rozsyła wszystkim z mojej książki adresowej linki do stron pornograficznych. Na nowszym koncie Google’a znajduję kilka wiadomości od osób, które mają oba moje adresy. Dają mi znać, co się dzieje. Niektórzy są wyrozumiali, inni oburzeni, jakbym celowo przez własną głupotę wysyłała im coś takiego. Posprzątanie tego bałaganu zajmuje mi trzy dni. Potem wszystko się uspokaja.

Praca na zastępstwo całkowicie mnie pochłania, a właściwie nie tyle sama praca, bo przecież zakres obowiązków znam bardzo dobrze, ile ponowne przyzwyczajenie się do całego etatu, do innego rytmu

tygodnia, innego rodzaju zmęczenia. To wszystko odwraca moją uwagę. Jakiś miesiąc później dostaję mail od Sandry z potwierdzeniem daty i godziny spotkania w pubie. Wyobrażam sobie, jak George Craddock mówi do niej: „Swoją drogą, może przypomnisz się Yvonne w sprawie spotkania? Nawet jeśli nie egzaminuje dla nas, byłoby świetnie usłyszeć jej opinię”. Odsyłam Sandrze szybką odpowiedź: „Przepraszam, jestem zawałona robotą! Do usłyszenia wkrótce. Y”. W normalnych okolicznościach dodałabym: „Pozdrów wszystkich ode mnie”. Wyobrażam sobie, jak Craddock komentuje to prostodusznie: „Szkoda, będziemy musieli wyciągnąć ją na drinka innym razem”. Mógłby próbować się ze mną skontaktować na setki innych niewinnych sposobów. Muszę mieć gotową strategię na każdą okoliczność.

W tamtym czasie popadam w skrajne stany emocjonalne – od strachu i paranoi po zdeterminowany pragmatyzm. Czasami jestem przekonana, że coś mi grozi. On już wie, że nie pójdę na policję, a skoro nie jestem gotowa, by zgłosić jeden atak, co go powstrzyma przed założeniem, że nie zgłoszę również następnego? Innym razem mówię sobie, że to normalnie funkcjonujący członek społeczeństwa, który zapewne też ma coś do stracenia – dom, rodzinę. Nie jest mną zainteresowany. Po prostu próbuje udowodnić samemu sobie, że nie zrobił niczego naprawdę złego, że może się ze mną kontaktować, a ja mu na to pozwolę – co tylko utwierdzi go w przekonaniu, że jego zachowanie było do przyjęcia. Może następnego dnia powiedział sobie: „Chyba trochę przeholowałem zeszłej nocy, ale sama tego chciała”. Może gdy wysyłał do mnie maile albo pisał esemesy, uważał, że to niezły żart. „To ją zaskoczy!” Ten człowiek jest wykładowcą uniwersyteckim. Ma pracę, zwyczajne życie, przypuszczalnie nie był wcześniej karany. Nawet by mu się nie śniło, żeby pójść za kobietą ciemną uliczką i zaciągnąć ją w krzaki – chociaż może właśnie o tym śni i fantazjuje, ale nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. Myślę o jego studentkach. Zastanawiam się, czy coś im grozi, ale w to wątpię. W dzisiejszych czasach molestowanie na uczelniach jest dostrzegane dość szybko, w każdym razie w większości instytucji. Craddock nie jest głupi. A zresztą wydaje mi się, że najbardziej lubi upokarzać kobiety, które nad nim górują. Dociera to do mnie któregoś dnia, gdy siedzę za biurkiem. Uważałam się za lepszą od niego i prawdopodobnie to widział. Ale jeśli tylko trochę odczekam, z pewnością sobie odpuści. To dla niego zabawa. Jeśli nie będę reagować, tylko dalej normalnie żyć, wszystko się skończy. To były zapewne przypadkowe incydenty. Nie jestem nawet przekonana, czy wszystkie – jak włamanie na moje konto na Hotmailu – były jego sprawką.

\*\*\*

To wydarza się w niedzielę. Guy wyjechał na weekendową konferencję do Northampton, ale właśnie zadzwonił do mnie i powiedział, że wróci wcześniej. Postanawiam wyjść do delikatesów, które są otwarte do szesnastej, i kupić coś do jedzenia, jakieś przekąski, oliwki, świeże sardele w oliwie i zbyt drogą focaccię. Chcę powitać mojego męża. Tęskniłam za nim przez weekend. Tego dnia byłam spokojna i w zupełnie niezłym nastroju. Sądziłam, że radzę sobie całkiem dobrze.

I wszystko potoczyłoby się zapewne inaczej, gdyby Guy wtedy nie zadzwonił i gdybym nie wyszła na

te zakupy. To wtedy go zobaczyłam, chociaż on nie zauważył mnie.

Właśnie wracam ze sklepu i skręcam w naszą uliczkę, gdy zaczyna mżyć. Wrzesień zbliża się ku końcowi i chociaż przez większość dnia było słonecznie, pogoda robi się już październikowa, co czuć w zapachu powietrza. Meteorolodzy zapowiadają babie lato, ich zdaniem październik będzie gorący i cudowny, ale dziś nic na to nie wskazuje. Zatrzymuję się, odstawiam torbę z zakupami na ziemię i naciągam na głowę kaptur płaszcza przeciwdeszczowego, utykając pod nim włosy, które odgarnęłam z twarzy. I właśnie wtedy, gdy podnoszę głowę, nie dalej niż sto metrów przed sobą zauważam George'a Craddocka zmierzającego w stronę naszego domu. Mój żołądek zapada się w siebie – nie potrafię inaczej tego opisać. Patrzę, jak mija nasz dom, jak zwalnia i zerka nań, chociaż się nie zatrzymuje. Odwracam się natychmiast i ruszam przed siebie. Co zrobi, gdy dotrze do zaułka? Pójdzie okreśną drogą czy wróci tą samą, którą przyszedł? Jeśli wybierze okreśną, będę miała czas, żeby dotrzeć do głównej drogi, nim mnie zauważy. Jeśli odwróci się na pięcie, gdy tylko minie nasz dom, wtedy zobaczy, jak pospiesznie odchodzę.

Idę szybko, ale nie biegnę. Gdy docieram do głównej drogi, udaję się prosto na stację metra, przecinam szeroką halę z wysoko sklepionym sufitem, przykładam kartę Oyster do czytnika i przechodzę przez bramki jednym płynnym ruchem, podczas gdy torebka obija mi się o biodro, a torba z zakupami huśta się w dłoni. Pociąg linii Piccadilly stoi na peronie z otwartymi drzwiami, jakby czekał na mnie. Dojazd nim do centrum zabiera znacznie więcej czasu niż linią Metropolitan, więc zazwyczaj wybieram fioletową i przesiadam się na King's Cross, ale w tej chwili w zupełności wystarczy mi niebieska. Wsiadam do wagonu, rozlega się dźwięk zwiastujący odjazd i drzwi się za mną zamykają. Dopiero gdy pociąg rusza ze stacji, odwracam się na siedzeniu, żeby spojrzeć za siebie i sprawdzić, czy nie szedł za mną. Nigdzie go nie widać.

Dojeżdżam do stacji Green Park. Wsiadam, idę do parku i nawet się nad tym nie zastanawiając, otwieram kieszonkę w torebce, gdzie przez cały ten czas trzymałam telefon na kartę, który mi dałeś, jak talizman. Włączam go i dzwonię pod jedyny numer, jaki mam w nim zapisany. Ku mojemu zaskoczeniu słyszę sygnał. Spodziewałam się, że od razu włączy się poczta głosowa. Serce skacze mi na myśl, że zostawiłeś telefon włączony dla mnie, chociaż oczywiście może być wiele powodów, dla których to zrobiłeś. Stoję pod dużym rozłożystym drzewem, którego liście zaczynają już żółknąć, a kiedy w końcu włącza się poczta, przez chwilę wsłuchuję się w ciszę po sygnale, a potem mówię głupio i niepotrzebnie: „To ja” – i się rozłączam. Kilka kropli deszczu spada z drzewa. Jedna znajduje skrawek nagiej skóry na moim karku, między kołnierzem płaszcza a włosami. Idę i siadam na ławce z telefonem na kolanach. Dzwonisz dwadzieścia minut później. Wydaje mi się to zupełnie naturalne. Nie wątpiłam, że oddzwonisz.

– Cześć – mówię.

– Cześć – odpowiadasz. – Czy coś się stało?

Cieszę się, że pomijamy wstępne grzeczności, te wszystkie „jak się masz” i „jak ci minęło lato”. Nie zniosłabym tego.

– Nie jestem pewna. Tak myślę. Chyba mamy problem. Przepraszam. Gdzie jesteś?

– Wyszedłem po papierosy dla brata mojej żony – wyjaśniasz. – To znaczy oficjalnie. Próbowałem znaleźć jakąś wymówkę, żeby wyrwać się z domu, i na szczęście mojemu szwagrowi skończyły się papierosy akurat wtedy, gdy okazało się, że my potrzebujemy mleka. Dlatego się udało. Inaczej to mogłoby potrwać z godzinę lub dwie. Gdzie jesteś?

– W Green Park.

– Pracujesz dziś?

– Nie – mówię. – Musiałam wyjść w pośpiechu. To znaczy byłam na zakupach, ale okazało się, że mam nieproszonego gościa. Nie mogę wrócić do domu.

Opowiadam ci o wszystkim, co się działo. Trzymam się faktów. Nie muszę ci mówić, jak się czułam przez te ostatnie kilka tygodni. Akurat tobie ze wszystkich osób nie muszę tego wyjaśniać. Podejrzewam, że gdyby to była zwykła rozmowa, zgromiłabym cię za to, że tak długo się nie odzywałeś, ale w tej chwili to wydaje się bez znaczenia. Teraz cię potrzebuję, i jesteś tutaj. Gdy kończę swoją opowieść, milczysz długo, a gdy wreszcie się odzywasz, twój głos jest cichy i ciepły.

– Wszystko z tobą w porządku? – pytasz.

– Będzie. Niedługo zadzwonię do Guya. Znajdę jakieś wytłumaczenie mojego wyjazdu do miasta, a potem spotkam się z nim na peronie. Będziemy mogli razem wrócić do domu. – Pociągam nosem. – On tylko przeszedł koło naszego domu. Nie ma w tym nic nielegalnego, prawda, w przechodzeniu koło czyjś domu?

Nie zapytałeś, czy jestem pewna, że to on. Jestem ci za to wdzięczna.

– Nawet ten incydent z salonem fryzjerskim... To główna ulica, mógł po prostu przechodzić.

– Hmm... – zastanawiasz się. – Gdzie będziesz jutro rano?

– Nie wiem, chyba w pracy. Nie mam wprawdzie ochoty, ale przecież nie mogę zostać w domu. Sama nie wiem. Łatwo mnie znaleźć.

– W porządku – mówisz. – Nie wracaj teraz do domu, tak jak powiedziałaś. Idź w jakieś miłe miejsce, na zakupy albo do kina, zadzwoń do męża i umów się z nim na dworcu. Ale zachowuj się naprawdę normalnie. Nie pozwól, żeby zaczął coś podejrzewać. To ważne, byś zachowywała się normalnie, gdy się z nim spotkasz i kiedy wrócicie razem do domu. Zdołasz to zrobić?

– Och, Boże... – wzdycham, spoglądając w niebo.

Zachowywać się normalnie? Co innego robiłam przez te ostatnie kilka tygodni?

– Dasz radę. Jesteś silniejsza, niż myślisz.

– Wiem, wiem.

– Teraz słuchaj. Czy jutro rano możesz wziąć wolne w pracy, powiedzieć, że jesteś chora czy coś, i dotrzeć do Vauxhall przed południem?

– Tak, oczywiście. Pojadę normalnie do pracy, a potem powiem, że źle się czuję, i wyjdę.

– Okej, pojedź metrem do Vauxhall, bądź tam w południe. Gdy wysiądziesz, sprawdź telefon. Zadzwonię albo wyślę ci esemes ze wskazówkami.

– Zobaczymy się?

– Och, Yvonne, oczywiście, oczywiście, że się zobaczymy.

– Powtórz moje imię.

– Yvonne. Zobaczymy się jutro. Będziemy razem jutro rano.

Bardzo powoli wypuszczam powietrze z płuc, jakbym wstrzymywała oddech przez dwanaście tygodni.

Zapada między nami milczenie i oboje nasłuchujemy swoich oddechów. Po dłuższej chwili mówisz miękko:

– Muszę już kończyć. Dbaj o siebie dzisiaj. Po prostu spędź teraz czas poza domem, wieczorem siedź w domu z mężem, a jutro się spotkamy, w porządku?

– Dobrze słyszeć twój głos – mówię.

Milczysz przez moment, a potem mówisz:

– I twój.

Rozłączasz się.

Siedzę na ławce wciąż z telefonem w dłoni. Po jakimś czasie spoglądam w niebo.

Docieram do Vauxhall sporo przed południem. Wychodzę z metra prosto w zgiełk śródmiejskiej autostrady prowadzącej do Vauxhall Bridge. Po jednej stronie majaczy ogromny kompleks biurowo-handlowy z kafejkami z widokiem na ogromne skrzyżowanie. Zajmuję jedno z miejsc na zewnątrz, ale nie zamawiam kawy; i tak już jestem nerwowa. Obserwuję samochody, autobusy i ciężarówki rozjeżdżające się w różne strony. Ryk tych wszystkich pojazdów wydaje mi się w jakiś sposób obraźliwy; trudno nie odbierać go osobiście. Dziesięć minut po dwunastej wysyłasz mi esemes: „Gdzie jesteś?”. Odpisuję: „Vauxhall, przy moście”. Odpowiadasz: „Jesteś po złej stronie, przejdź pod wiaduktem, Kennington Road”.

Po drugiej stronie ogromnego skrzyżowania zauważam ceglany wiadukt stacji kolejowej. Widzę dziwną stalową konstrukcję, w której mieści się kasa biletowa – kiedyś wygrała jakąś nagrodę architektoniczną. Muszę czekać na trzech światłach, drepcząc od jednej wysepki do drugiej, nim dotrę do przejścia pod wiaduktem. Gdy już pod nim przejdę, pokonuję jeszcze dwa ruchliwe skrzyżowania, zanim znajdę się na początku Kennington Road. Wyjmuję telefon, żeby napisać do ciebie z prośbą o dalsze wskazówki, ale ty już zdążyłeś wysłać mi wiadomość: „Nowy płaszcz? Ten kołnierz ci pasuje”. Rozglądam się i chociaż nie wyobrażałam sobie, że będę miała ochotę na zabawę, nie potrafie powstrzymać uśmiechu. Spoglądam na drugą stronę ulicy i unoszę telefon, żeby napisać: „Gdzie jesteś?”, ale gdy się odwracam, widzę, że stoisz zaledwie kilka kroków ode mnie, w sklepowych drzwiach, i patrzysz na mnie z uśmiechem. O dziwo, czuję lekkie rozczarowanie, bo ostatecznie jesteś tylko człowiekiem, mężczyzną w garniturze i okularach, średniego wzrostu, żyłastej budowy, o szorstkich brązowych włosach. Nasze ponowne spotkanie jest tak oficjalne i nieoczekiwane, że właściwie nie wiem, co teraz nas łączy ani co czuję po tak długiej przerwie w kontaktach między nami. A do tego nie mam pojęcia, co robić.

Przez chwilę widzę swoją niepewność odzwierciedloną w twojej twarzy, w końcu podchodzisz do mnie i mówisz, udając konspiracyjny ton:

– Chodź ze mną...

Idziemy dalej Kennington Road, po czym skręcamy w lewo. Po drugiej stronie ulicy jest park. Z zaskoczeniem dostrzegam mały padok i młodą kobietę jeżdżącą konno zaledwie pięć minut drogi od ryku stacji Vauxhall. Znak na płocie pośród wysokich pokrzyw mówi: „Nie karmić koni, gryzą”. Zatrzymuję się i wskazuję na niego.

– Mam coś lepszego – mówisz. – Popatrz.

Po naszej stronie ulicy jest wejście do miejskiej farmy. W zagrodzie pełnej siana i trocin tyłem do nas siedzi biała lama i rozgląda się pogardliwie. Para niewzruszonych indyków przechadza się dumnie, dziobiąc ziemię, a koza wyszarpuje siano z paśnika.

– W Vauxhall są lamy... – mówię. – Nie miałam pojęcia.

– Myślę, że tylko ta jedna.

– Nawet nie wiedziałam, że jest tutaj farma.

– Jestem pełen niespodzianek – uśmiechasz się z zadowoleniem, jakby to była twoja farma i twoje zwierzęta.

Po chwili skręcamy za róg i droga rozwidla się na wąskie uliczki, między które wciśnięto wiktoriańskie domy w zabudowie szeregowej, kształtem przypominające klin sera – pomieszczenia u szczytu trójkąta muszą być malutkie. Idziemy wzdłuż budynku, docieramy do samego końca, a ty nagle zatrzymujesz się i wyciągasz klucz. Patrzą na ciebie. Zakładałam, że pójdziemy usiąść gdzieś w parku albo w kawiarni. Przy wejściu znajdują się trzy dzwonki. Ze ściany obłazi farba. Ktoś powiesił poszewkę na kołdrę zamiast zasłon w oknie mieszkania na parterze. Otwierasz drzwi, za którymi piętrzy się stos kopert i ulotek reklamowych. Gdy wchodzę za tobą do środka, pochylasz się, żeby podnieść pocztę, po czym przeglądasz ją, a następnie rzucasz na małą półkę za drzwiami. Patrzą, jak robisz to wszystko, po części dlatego, że wciąż nie mogę do końca uwierzyć, że cię widzę, ale też dlatego, że to wydaje się całkiem naturalne. Korytarz jest pomalowany na ten sam kolor, co wszystkie korytarze we wszystkich wiktoriańskich domach w Londynie, które podzielono na mieszkania do wynajęcia. Guy nazwał tę barwę magnolią gospodarza. Przypomina mi się mieszkanie, które wynajęliśmy tuż po ślubie, to z kłótliwymi sąsiadami, gdzie wychowywaliśmy nasze dzieci, gdy były malutkie, gdzie zmagaliśmy się z naszymi doktoratami. Czasami wciąż w moim przestronnym podmiejskim domu z ogrodem i dwiema jabłoniąmi rosnącymi na tyle daleko od siebie, żeby latem można było zawiesić między nimi hamak, muszę sobie przypominać, że już nie mieszkam w takim miejscu jak to.

Ruszasz schodami na górę, a ja idę za tobą. Jakbyśmy byli parą. Mieszkanie znajduje się na pierwszym piętrze. Nim otworzysz drzwi, zatrzymujesz się i sprawdzasz tanią futrynę ze sklejki, pokrytą jakimiś zadrapaniami. Zgaduję, że to miejsce ma jakiś związek z twoją pracą, że nie jest ci obce, ale normalnie nie masz do niego dostępu. Wchodzimy do środka, do małego kwadratowego przedpokoju. Stajesz i nasłuchujesz przez chwilę. Panuje całkowita cisza. Potem wchodzisz do salonu, a ja idę za tobą. Niska dwuosobowa sofa, stół z opuszczanym blatem pod ścianą, firanki, przez które jak przez mgłę widać ulicę poniżej. Robię kilka kroków i rozglądam się; taniałość, pustka, anonimowość. Chcę tu zostać do końca życia.

Odwracam się do ciebie. Stoisz nieopodal, obserwując mnie. Twój wzrok jest łagodny, przepaszający.

– To najlepsze, co mogłem znaleźć... – mówisz cicho.

Wzruszam ramionami.



– Domyśliłam się już jakiś czas temu, czym się zajmujesz...

Patrzysz na mnie.

– W porządku – dodaję. – Wiem, że nie wolno ci o tym mówić, więc nie pytałam. – Rozglądam się po salonie. – Podejrzewam, że to tak zwana kryjówka.

Podchodzisz do mnie, bardzo delikatnie rozchyłasz mój płaszcz i ściągasz mi go z ramion. Pozwalam, by się zsunął, a ty bierzesz go i rzucasz na sofę. Potem znowu stajesz przede mną i wciąż bardzo delikatnie przesuwasz dłońmi po moich ramionach, począwszy od barków, a kończąc na łokciach. Czuję twój dotyk przez materiał bawełnianej bluzki.

– Jest tu wystarczająco bezpiecznie – zapewniasz. – A ty jesteś bezpieczna ze mną.

I robię to, co chciałam zrobić przez długich dwanaście tygodni. Rozpływam się w tobie.

\*\*\*

Później leżymy obok siebie na małym podwójnym łóżku w sypialni, której okno, z takimi samymi firankami jak w salonie, wychodzi na podwórze, inne okna, rynny i rury. Chociaż na wąskim łóżku ledwie mieszczą się dwie osoby, wypełnia ono pokój. Po jednej stronie stoi mała szafka z laminatu, po drugiej – szafa z przesuwными drzwiami; z otwieranymi by się tu nie zmieściła. Ściany pomalowano tak jak korytarz. Z sufitu zwisa naga żarówka, a z niej – pasmo pajęczyny.

Światło wlewające się do pokoju jest szare, surowe. Leżymy spleceni, na wpół rozebrani, z kołdrą pozbawioną poszewki skłębioną u naszych stóp – było nam pod nią za gorąco. Kochaliśmy się, a potem rozmawialiśmy. Opowiedziałeś mi o tym, jak obserwowałeś mnie w oknie kawiarni tamtego dnia, kiedy nasz romans zaczął się wraz z wymianą numerów telefonu, mimo że już wcześniej zdążyliśmy uprawiać seks. Dociera do mnie, że tamta kawiarnia znajduje się niemal naprzeciwko Apple Tree Yard, ale nie mogliśmy wiedzieć, co będziemy tam robić i do czego to doprowadzi. Po jakimś czasie rozmowa staje się zdawkowa, a ty zasypiasz. Ja leżę, wtulona w ciebie, z otwartymi oczami. Jedną rękę mam uwięzioną pod ciężarem twojego ciała i zaczyna mnie mrowić. Po kilku minutach lekko unoszę głowę i widzę, że jednak nie śpisz i patrzysz na mnie. Mam wrażenie, że obserwujesz mnie już od jakiegoś czasu. Wyciągam uwięzione ramię, przyjmuję inną pozycję, odsuwając się odrobinę, żebyśmy mogli się zobaczyć. Podnosisz dłoń i odgarniasz mi włosy z twarzy. Krzywię się na myśl o demaskującym świetle dnia wpadającym przez firanki. Uśmiecham się, ale ty nie odwzajemniasz uśmiechu. Wyglądasz poważnie.

– Wiesz, co będziemy musieli zrobić, prawda? – mówisz.

Patrzę na ciebie.

– Będziemy musieli odstraszyć Craddocka – wyjaśniasz bez owijania w bawełnę.

– Jak? – pytam.

Przyciągasz mnie do siebie, przytulasz do piersi.

– Zostaw to mnie.

Po chwili znowu zasypiasz z twarzą wtuloną w moje włosy. Jeszcze zdążymy porozmawiać, gdy się

obudzisz, ale nie spieszy mi się do tego. Właściwie to muszę skorzystać z toalety, ale nie chcę przerywać tej chwili. Chcę, żeby trwała i trwała, w tym szarym pokoiku, chcę ją przeciągnąć, aż stanie się cienka jak firanka w oknie albo pasmo pajęczyny zwisające z żarówki nad nami.

\*\*\*

Gdy jesteśmy już ubrani i pijemy kawę rozpuszczalną – czarną, bo w mieszkaniu nie ma mleka – na zapadającej się sofie w salonie, przedstawiasz mi swój plan. Zrobimy to razem, mówisz. W razie jakichkolwiek reperkusji będziemy się trzymać następującej historii: zwierzyłam ci się, bo powiedziałeś, że pracujesz w ochronie w pałacu Westminster. Potrzebowałam porady, a nie chciałam rozmawiać o tym z nikim z bliskich. Kevin, policjant, w razie czego potwierdzi tę historię. Ty dowiesz się, gdzie mieszka Craddock. (Pytam, jak to zrobisz, a ty obdarzasz mnie rozbawionym spojrzeniem i mówisz, że to akurat nie jest trudne). Ja podjadę po ciebie do najbliższej stacji metra, którakolwiek to będzie, w ten weekend i zawiozę cię do domu Craddocka. Ty wejdiesz do środka i z nim porozmawiasz. Ja zostanę w samochodzie.

Widzisz powątpiewanie malujące się na mojej twarzy, gdy patrzę na ciebie nad krawędzią taniego popękanego kubka, ale źle je interpretujesz. Zakładasz, że uważam, iż to nie wystarczy, by rozwiązać problem, podczas gdy mnie nie podoba się perspektywa odwiedzania Craddocka w domu. Czuję strach na myśl o zbliżeniu się do niego, nawet w twojej obecności. To odraza płynąca wprost z trzewi na myśl o znalezieniu się w pobliżu kogoś, kto wszedł we mnie wbrew mojej woli. Wiem, że tego nie zrozumiesz. Sądzisz, że moim zdaniem Craddock nie będzie wystarczająco przerażony, gdy pojawimy się na jego progu.

– Mógłbym do niego zadzwonić, anonimowo, ale nie jestem pewien, czy to by wystarczyło. Albo mógłbym po prostu znaleźć kogoś innego, kto by się tym zajął – proponujesz. – Znam kilku podejrzanych typów, to nie byłoby trudne.

Kręcę głową.

– Albo możemy wrócić na policję, do Kevina. Zgłosić mu to. Teraz możemy zgłosić również nękanie. Przynajmniej przy zwolnieniu za kaucją zakazałoby mu zbliżania się do ciebie.

Kręcę głową coraz gwałtowniej, myśląc o Adamie, Carrie i Guyu, i o mojej karierze – w tej kolejności. Dociera do mnie, jak bardzo chcę, żebyś doprowadził do konfrontacji z nim, jak wielką przyjemność sprawi mi wyobrażanie sobie jego strachu i niepewności, gdy stanie z tobą twarzą w twarz. Ten drań posika się ze strachu. I jest to mała podła myśl, która nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością.

– Wiesz... – mówisz ostrożnie – mogłabyś wejść tam ze mną.

Gdy moje oczy rozszerzają się w przerażeniu, odstawiasz kubek i pochylasz się ku mnie.

– Wpadniesz na tego człowieka prędzej czy później w sytuacji zawodowej, nie zdołasz tego uniknąć. Nie chcesz spojrzeć mu w twarz, podczas gdy wystraszę go na śmierć?

– Nie... – mówię, kręcąc głową – Nie, nie chcę.

Jakże inaczej potoczyłaby się reszta naszego życia, gdybym się na to zgodziła.

– No dobrze – przesuwasz się na sofie, żeby usiąść bliżej mnie.

Wydajesz mi kubek z dłoni i odstawiasz go na dywan. Przyciskasz swoje usta do moich. Czuję smak przypalanej kawy, gdy nasze języki łączą się przelotnie. Całujesz mnie w czoło, trzymając moją głowę w swoich dłoniach.

– Zatem ustalone. W ten weekend. Gdy z nim skończymy, już nigdy się do ciebie nie zbliży.

\*\*\*

W ten weekend babie lato, które tak nam obiecywano, wreszcie przybywa. Budzimy się w sobotni poranek, odsuwamy zasłony i oto jest. Pijemy z Guyem kawę w słońcu na ceglany patio na tyłach domu, ja w szortach, podkoszulku i okularach przeciwsłonecznych, on bez koszuli. Od czasu do czasu uśmiechamy się do siebie znad gazety i dajemy sobie znać, kiedy kończymy lekturę danego działu – obraz szczęścia w średnim wieku. Gdy wchodzimy do środka, światło wypełnia nasz dom kurzem. Panuję nad sobą. Jestem spokojna i zrelaksowana i potrafię teraz myśleć tylko o tym, co ty i ja zamierzamy zrobić.

Gdy przychodzi pora, ubieram się starannie. Powiedziałam Guyowi, że zamierzam zabrać trochę starych ubrań do punktu recyklingu. Leżą już spakowane w bagażniku. Mam na sobie bawełnianą spódnicę do kolan z efektownym fioletowo-niebieskim wzorem oraz biały T-shirt z krótkim rękawkiem i dzinsową kurtkę. Na gołe stopy włożyłam balerinki. To sobotni strój. Nigdy wcześniej nie widziałeś mnie tak ubranej. Biorę za dobry znak to, że jeszcze trochę zależy mi na wyglądzie. Dochodzę do siebie, myślę. To dlatego, że coś robię, a nie biernie przyjmuję to, co mi się przydarza. Jestem nerwowa, nawet trochę rozgorączkowana, ale szczęśliwsza, niż byłam od tygodni.

Gdy wsiadam do samochodu późnym popołudniem, Guy wychodzi na schodki przed domem, żeby pomachać mi na pożegnanie. Posyłam mu radosny uśmiech.

\*\*\*

Już czekasz przed stacją metra South Harrow, gdy docieram na miejsce. Też jesteś wygodnie ubrany: luźne spodnie do joggingu i obcisły szary T-shirt, adidasy i okulary przeciwsłoneczne, przez jedno ramię masz przewieszoną kurtkę z kapturem, a w drugiej ręce trzymasz dużą sportową torbę Nike. Oto ty, myślę sobie, wersja swobodna, ale energiczna, zrelaksowana, ale zdecydowana. Stoisz wyprostowany i się rozglądasz. Czuję przypływ pożądania.

– Spóźniłaś się – zauważasz, otwierając drzwi od strony pasażera i wsiadając do samochodu.

– Pięć minut – odpowiadam.

\*\*\*

Jak się okazuje, od mieszkania Craddocka dzieli nas tylko kilka minut jazdy, kilka zakrętów na przedmieściach, z których ludzie raczej próbują się wyrwać. Są tu niskie rzędy sklepików sprzedających wszystko za funta oraz sklepów monopolowych, od czasu do czasu kawiarnia wyglądająca na

opustoszała. W ogóle nie rozmawiamy, mówisz tylko, którędy mam jechać, i to odrobinę sprowadza mnie na ziemię. Pewnie koncentrujesz się na tym, co musisz zrobić, co powiesz, ale przecież uczestniczymy w tym razem. Po kilku minutach przy wjeździe do ślepego zaułka instruujesz:

– Tutaj skręć w prawo, dojeżdż do końca, zawróć i zaparkuj tam. – Wskazujesz miejsce.

Niezdarnie zawracam na trzy razy i parkuję, gdzie mi kazałeś. Mam nadzieję, że przez chwilę posiedzimy w aucie i porozmawiamy, ale ty już sięgasz po swoją sportową torbę.

– Może nie będzie go w domu – mówię.

– Jest w domu – odpowiadasz. – Poczekaj tutaj – dodajesz, jakbym miała zamiar zrobić cokolwiek innego.

Odwracam się do ciebie w nadziei na przelotny pocałunek, ale od razu wysiadasz z samochodu. Obserwuję we wstecznym lusterku, jak idziesz ulicą. W połowie drogi jest mały sklep spożywczy, a potem niski segment tanich kwadratowych domków. Zatrzymujesz się przy czarnych drzwiach. Podchodzisz do nich i widzę, że opierasz się o framugę. Dzwonisz czy dostajesz się do środka w inny sposób? Nie potrafię stwierdzić. Drzwi otwierają się, a ty znikasz we wnętrzu. Zerkam przez przednią szybę na żelazny słup tuż przede mną, żeby sprawdzić, czy są tu jakieś ograniczenia parkowania. Nie chciałabym przyciągać uwagi. Ale nie ma problemu po południu w sobotę. Lustruję ulicę w poszukiwaniu kamer przemysłowych, lecz nie widzę żadnych. Dociera do mnie, że jestem podekscytowana – zaczynam rozumieć, jaki przyływ adrenaliny daje to, co robisz.

\*\*\*

Nie wracasz tak długo... Dobry Boże, dlaczego nie odgadłam, że coś jest nie tak? Dlaczego nic nie zrobiłam? Jak wiesz, w sądzie strasznie to rozdmuchają. Jak mogłam tak po prostu siedzieć w samochodzie i czekać? Dlaczego nie spróbowałam do ciebie zadzwonić? – zapyta mnie adwokat oskarżenia. Dlaczego nie wysiadłam z auta i nie zaczęłam walić do drzwi, w których zniknąłeś? Co moim zdaniem tam się działo? Otóż wiedziałam bardzo dobrze, co się tam dzieje, stwierdzi. To dlatego siedziałam spokojnie i się stamtąd nie ruszałam. To dlatego czekałam.

Ale ja czekałam, bo kazałeś mi czekać. Nie wiem, jak długo to trwało. Włączyłam radio. Wiadomości zaczęły się i skończyły. Na czwórcę leciała audycja na temat wolności słowa w południowo-wschodniej Azji. Po jakimś czasie zmieniłam stację i słuchałam muzyki, najpierw klasycznej, potem jazzu, ale puszczała więcej reklam niż utworów. Wyłączyłam radio. Wysyłam esemes do Guya z informacją, że utknęłam w korku. Słońce przygasa, a błękitne niebo mętnieje, potem miesza się z szarością, aż w końcu robi się całkowicie szare. Pomarańczowe latarnie widoczne u wylotu uliczki zapalają się, mimo że do zmroku jest jeszcze dużo czasu. Obserwuję przechodzących ludzi, kobietę z dwojgiem dzieci, jednym w wózku, dwóch nastolatków. W którymś momencie w uliczkę skręca starsza kobieta w sari o barwie morskiej zieleni. Jest drobniutka jak dziecko, ma bardzo ciemną skórę i głębokie zmarszczki, ale gdy mijam mój samochód, zauważam, że uśmiecha się do siebie, choć dłonie ma zniekształcone artretyzmem, a krok niepewny, jakby była zagubiona w jakimś odległym, ale nieskończenie przyjemnym wspomnieniu.

Wreszcie cię widzę. Nie obserwowałam drzwi przez cały czas, ale akurat patrzyłam we wsteczne lustro, przyglądając się mężczyźnie ze sklepu spożywczego, wnoszącemu do środka brązowe plastikowe skrzynki. Jestem zaintrygowana tym, jak wiele może ich przenieść za jednym razem. Układa je w wysokie kolumny przesłaniające mu widok. Zastanawiam się, czy nie uszkadza owoców i warzyw, robiąc to w taki sposób. Wychodzisz przez czarne drzwi, zamykasz je za sobą delikatnie. Zerkasz na ulicę, potem w przeciwnym kierunku, przeczesujesz dłonią włosy i rozglądasz się znowu. Włożyłeś już kurtkę, torbę wciąż masz w dłoni. Podchodzisz do samochodu szybkim, ale spokojnym krokiem, otwierasz drzwi od strony pasażera i wsiadasz. Zatrząskujesz je za sobą i zapinasz pas bezpieczeństwa, wypowiadając tylko jedno słowo:

– Jedź.

\*\*\*

Gdy zbliżamy się do stacji metra, mówisz:

– Skręć za róg i zaparkuj.

Robię to i zatrzymuję się w bocznej uliczce. Siedzisz przez chwilę bez ruchu, potem lustrujesz ulicę. Wreszcie nie mogę już dłużej tego znieść i pytam:

– Co się wydarzyło?

Nie odpowiadasz. Siedzisz, gapiąc się przed siebie, i znowu robisz minę, którą widziałam już wcześniej, tę, która mówi mi, że jesteś daleko, zagubiony w myślach. „Jestem tutaj! – mam ochotę zawołać. – Musisz mi powiedzieć, co się wydarzyło”. Wyciągasz rękę, nadal unikając mojego wzroku, i kładziesz ją na moim kolanie. Ściskasz mocno. Twój gest nie jest czuły ani nie dodaje otuchy.

– Musisz pamiętać – mówisz, wciąż patrząc przed siebie – o tym, o czym rozmawialiśmy wcześniej... Poznaliśmy się w Izbie Gmin, jesteśmy tylko znajomymi. W porządku?

Nie miałam wyboru, jak tylko ci zaufać, prawda, najdroższy? W końcu na mnie patrzysz.

– Daj mi telefon.

Sięgam po torebkę leżącą na tylnym siedzeniu. Otwieram wewnętrzną kieszonkę i podaję ci aparat. Bierzesz go, pochylasz się i wsuwasz do płóciennej torby leżącej u twoich stóp, a potem z powrotem kładziesz mi rękę na kolanie.

– Jak będę mogła się z tobą skontaktować? – pytam słabo, bo domyślam się już, że to nie będzie proste.

– Nie będziesz mogła. Przez jakiś czas.

Wstrzymuję oddech.

– Wszystko będzie dobrze – mówisz, ale nie jestem pewna, czy te słowa są skierowane do mnie. – Po prostu wracaj prosto do domu, zachowuj się normalnie, okej? Pamiętaj, co powiedziałem, jeśli ktokolwiek zapyta.

To jest ten moment, w którym zauważam, że masz na sobie inne spodnie. Bardzo podobne do poprzednich, też granatowe, bez białego paska wzdłuż szwu. Spoglądam w dół i widzę, że masz też na

nogach inne adidas. Odwracasz się, całujesz mnie przelotnie, cofasz się, całujesz mnie znowu, powtarzasz tę jedną ciężką frazę: „Pamiętaj, okej?”, po czym wysiadasz z samochodu.

Patrzę, jak maszerujesz chodnikiem, nie oglądając się za siebie, za to rozglądając się na boki, z głową lekko pochyloną, odrobinę zgarbiony, jakbyś chciał odstraszyć gęstniejący zmrok.

\*\*\*

Jest ciemno, kiedy przychodzą. Później okaże się, że zjawili się tak szybko dzięki właścicielce mieszkania, które wynajmowałam, właścicielce, która pojawiła się u niego nieoczekiwanie. I dzięki mężczyźnie ze sklepu spożywczego, który widział, jak wychodzisz z mieszkania i wsiadasz do białej hondy civic. I dzięki kamerze przemysłowej przy głównej ulicy, która zidentyfikowała tablice rejestracyjne mojego auta, kiedy jechaliśmy z powrotem do metra. Jest ciemno. Wreszcie śpię jak zabita, głęboko, bardzo głęboko. W głębinach mego snu jest ciemno jak na dnie oceanu. Nawet nie śniłam, myślę później, tak głęboko spałam.

Budzi mnie walenie do drzwi. Mamy starą mosiężną kołatkę, starszą niż sam budynek. Wydaje donośny metaliczny huk, który odbija się echem w całym domu. Mamy też dzwonek do drzwi, wbudowany we framugę przez poprzednich właścicieli, którzy musieli przesadnie martwić się tym, że nie usłyszą gości. Ale dźwięk, który do mnie dociera, to walenie mosiężnej kołatki, mocne i głośne *łup-łup-łup*, trzy razy, raz za razem. Właśnie to mnie budzi. Po krótkiej chwili przerwy słychać jeszcze trzy uderzenia. Potem rozlega się dźwięk dzwonka naciskanego mocno przez kilka sekund.

Natychmiast się zrywam, podpieram na łokciach, w głowie mam gonitwę myśli, ciężko oddycham w ciemnościach. Zostałam gwałtownie wyrwana ze snu i nagle pojmuję wszystko z całkowitą jasnością. Dociera do mnie, że wiedziałam to od chwili, gdy wyszedłam z tamtego mieszkania. Wiem, co się wydarzyło, wiem, kto wali do moich drzwi w środku nocy, i wiem dlaczego. Elektroniczny zegarek wyświetla na suficie trzecią czterdzieści. W słabym świetle widzę, że Guy, odwrócony tyłem do mnie, już podniósł się na jednym łokciu i sięga dłonią do włącznika nocnej lampki. Gdy się odwraca, jego twarz jest wymięta, maluje się na niej pytanie.

*Łup-łup-łup*, mocno i głośno, na tyle mocno, że pewnie trzęsie się framuga, myślę. Guy zrywa się i chwyta bawełniany szlafrok przewieszony przez wiklinowe krzesło stojące po jego stronie łóżka. *Łup-łup-łup*, potem znowu dźwięk dzwonka. Guy okrąża łóżko i rusza do drzwi sypialni. Dopiero gdy je otwiera, przychodzi mi do głowy, żeby go ostrzec:

– To policja – mówię.

Mój drogi Guy. Zerka na mnie, potem opuszcza pokój i zbiega po schodach. Zdaję sobie sprawę, że gdy powiedziałam „To policja”, pomyślał o Adamie, o tym, że coś mu się przytrafiło. Naprawdę biegnie. Ja siedzę na skraju łóżka z głową w dłoniach. Nigdzie nie biegnę, bo wiem, że nie chodzi o Adama – oni przyszli tu po mnie.

Adam, Carrie, moje dzieci... Co on im powie? Sprawa trafi do gazet, nie zdoła tego ukryć.

Na dole rozlega się hałas ludzi wypełniających dom i oburzony, podniesiony, żądający odpowiedzi

głos Guya. Mój dom, sprowadziłam to do mojego domu. Teraz wszystko wyjdzie na jaw. Podczas gdy kroki mężczyzn dudnią na schodach prowadzących do sypialni, ja siedzę jak sparaliżowana na krawędzi łóżka. Nie próbuję nawet włożyć szlafroka. Wyobrażam sobie, jak Guy dzwoni rano do Carrie. Wyobrażam sobie, jak mówi: „Kochanie, nie uwierzysz, ale mama została aresztowana”. „Za co?” To pierwsze, o co każdy zapyta.

Część trzecia

---

**DNA**



DNA mnie stworzyło i DNA mnie zgubiło. DNA jest Bogiem.

Gdy ludzie myślą o DNA, zazwyczaj wyobrażają sobie swoje genetyczne dziedzictwo. Myślą o tym, że mają brązowe oczy po ojcu. Natomiast my, genetycy, myślimy o tym, jak niewiele wiemy, jak czynniki środowiskowe często zmieniają najbardziej rozpoznawalne z genetycznych cech w zaledwie tendencje i jak bardzo to, co niewytłumaczalne, przeważa nad tym, co możliwe do udowodnienia. Genom jest jak ogromne mętne jezioro, a my, tak zwani naukowcy, przypominamy nurków, ale ślepych, pływających powoli pod wodą, podnoszących obiekty z mułu na dnie, obracających je w dłoniach i próbujących odgarnąć szlam niezdarnymi palcami w rękawiczkach, niepewnymi, czy to, co podnieśliśmy, to kamyczek, perła, czy wyrzucony guzik. Ale pod pewnymi względami DNA daje pewność; w kryminalistyce na przykład. DNA to jedno z niewielu odkryć ludzkości, które sprawiają, że nie ma sensu kłamać.

\*\*\*

Pierwszy błąd, jaki popełniam, chociaż nie ostatni, to kłamię policjantom, którzy przychodzą mnie aresztować. Człowiek musi być naprawdę głupi, żeby kłamać, albo bardzo arogancki. Ja nie jestem ani głupia, ani arogancka, ale wpadam w panikę. Szok aresztowania, mdłości, niski poziom glukozy we krwi. Pierwsze, o co mnie pytają, to:

- Gdzie pani była wczoraj po południu, pani Carmichael?
- Zabrałam trochę ubrań do punktu recyklingu.

Jeśli chodzi o moje relacje z oficerami śledczymi, od tej chwili staczają się one po równi pochyłej. Policja pokazuje mi nagranie z kamery przemysłowej, która zarejestrowała mój samochód jadący wzdłuż Northolt Road, a ja mówię: „Wybrałam się na przejażdżkę”. Mój samochód został skonfiskowany, więc później znajdą w nim twoje DNA i małą smugę krwi George’a Craddocka w okolicach miejsca na nogi pasażera. Przeniosła się tam z jednej z twoich skarpetek.

\*\*\*

Później mówię prawdę czy też raczej część prawdy. Ty zostajesz aresztowany natychmiast, ja trzymam się wersji, którą ustaliliśmy: jesteś znajomym, któremu się zwierzyłam, bo byłam zdesperowana. Musi być jakiś powód, dla którego kazałeś mi to powiedzieć. Wiedziałeś, co robisz. Jesteś szpiegiem. Ostatecznie też masz pojęcie o DNA – no i nie jesteś głupi ani arogancki.

\*\*\*

Nie jestem pewna, jak to o mnie świadczy, ale nawet gdy mówią mi więcej o śmierci Craddocka, nie odczuwam lęku. To wszystko wydaje mi się takie absurdalne – nie to, że zginął człowiek, oczywiście, w tym nie ma nic absurdalnego, ani nawet nie to, że twierdzą, że to twoja sprawka. Absurdalne dla mnie okazuje się, że jestem w to uwikłana. Z pewnością, gdy fakty wyjdą na jaw, wszystko się skończy; to takie proste. Być może to właśnie moje pragnienie prostoty sprawia, że skupiam się na jednej rzeczy – na twoim dobru. Gdy policja mnie przesłuchuje, nie zastanawiam się serio nad własnym współudziałem. Wiem, że jestem niewinna, i oczywiście ty też im powiesz, że nie ponoszę winy za to, co się stało. Więc zastanawiam się, jak mogę ci pomóc. Nawet jeśli udowodnią, że odpowiadasz za śmierć tego człowieka, nie mogę uwierzyć, że zabiłeś go celowo. Jak mogę ci pomóc?

Trzymam się naszej wersji. Robię dokładnie to, co mi kazałeś. Opowiadam im o tym, co zrobił Craddock, o tym, jak udałam się do ciebie po radę, bo nie wiedziałam, do kogo innego się zwrócić, że rozmawialiśmy z Kevinem, że pojechałam po ciebie na stację metra, żeby zawieźć cię do domu Craddocka tamtego dnia, żebyś mógł zamienić z nim parę słów. Gdy podczas przesłuchania policjantka patrzy na mnie i pyta: „A jak opisałaby pani relacje między wami?”, odwzajemniam jej spojrzenie i mówię: „Byliśmy przyjaciółmi”. „Tylko przyjaciółmi?” Udaje mi się nawet wzruszyć ramionami, ale patrzę na blat stołu, gdy mówię: „Bardzo go lubię, pomógł mi, doradził, gdy nie wiedziałam, do kogo się zwrócić”.

\*\*\*

Później kobieta wraca. Mówi, że złożyłeś oświadczenie, wedle którego ty i ja jesteśmy kochankami, że poznaliśmy się, gdy występowałam przed nadzwyczajną komisją parlamentarną Izby Gmin. Niezła próba, ale nie potrafi mi podać żadnych szczegółów. Nie mówi nic o seksie w kaplicy czy w toalecie dla niepełnosprawnych. To dzięki temu wiem, że próbują mnie podpuścić. Kobieta nie wspomina o Apple Tree Yard. Nie mają na nas nic, żadnego rejestru połączeń telefonicznych, bo używaliśmy telefonów na kartę, których ty zdążyłeś się już pozbyć, żadnych maili. Są listy na moim komputerze, który skonfiskowali dzień po moim aresztowaniu, ale gdyby je znaleźli, pokazaliby mi je. Tylko jedna osoba poza tobą i mną wiedziała o naszym romansie. A ta osoba nie żyje.

Tym razem patrzę policjantce prosto w twarz.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego miałby powiedzieć coś takiego, bo to nieprawda.

\*\*\*

Komisarz Cleveland to ten, którego sprowadzają, żeby mnie złamał – zwałisty mężczyzna w typie zawodnika rugby, o prostych brązowych włosach i bladych oczach, przystojny mimo odrobinę krzywych zębów; taki rodzaj mężczyzny, który zapewne był popularny w szkole, prostolinijny i bezstronny. Chodzi zapewne na piwo z kolegami z pracy i dba o swój zespół. Otacza go atmosfera życzliwości przecząca

ogromnym rozmiarom. To tego rodzaju policjant, którego bezbronna kobieta chciałaby zadowolić w przekonaniu, że się nią zaopiekuje. Mężczyzna pochyła się, krzyżując ręce na stole, tak że marynarka fałduje mu się odrobinę na barkach. Patrzy prosto na mnie i pyta, jak się trzymam. Potem mówi, że mu przykro, i przedstawia oświadczenie, jakie złożył Kevin na temat naszego spotkania. Kevin twierdzi w nim, że w tamtym czasie rzeczywiście spekulował, że ciebie i mnie łączy coś więcej niż przyjaźń. (Kluczowe słowo tutaj, oczywiście, to „spekulował”). Kevin ma naprawdę dobrą pamięć. Zdobyli dużo szczegółów na temat napaści, wszystko na piśmie. Komisarz Cleveland omawia je ze mną uprzejmie i prosi, abym potwierdziła to, co się wydarzyło, fakt po fakcie. Rozbraja mnie bardzo delikatnie. Mówi mi, że Craddock był rozwiedziony, miał jedno dziecko i że jego żona kiedyś oskarżyła go o przemoc w rodzinie, ale potem wycofała skargę i wraz z dzieckiem wyemigrowała do Ameryki. Informuje o pornograficznych materiałach, które znaleźli na jego komputerze, o tym, jakiego rodzaju strony przeglądał. Podaje więcej szczegółów na temat tych stron, niż chciałabym znać. Cały czas zachowuje się przeprasząco. Nie chce jeszcze bardziej mnie zdenerwować. Po prostu wykonuje swoją pracę.

Chcę zadowolić tego człowieka. Chcę dać się złamać i powiedzieć mu, że owszem, ma rację, nakłoniłam kochanka, żeby rozbił czaszkę mojemu napastnikowi, wszystko zostało zaplanowane i chciałam tego – właśnie to miałby ochotę usłyszeć komisarz Cleveland. Płaczę trochę, gdy dociera do miejsca w oświadczeniu Kevina, w którym ten powtarza to, co mu powiedziałam o chorobie syna. Komisarz Cleveland mówi, że wie, jakie to musi być dla mnie trudne. Mówi, że może sobie tylko wyobrazić, jak wściekła i przerażona musiałam być po tym, co zrobił mi George Craddock, i potem, gdy zaczął mnie śledzić. W zupełności rozumie, że mogłam chcieć, aby ktoś sprzął go na kwaśne jabłko. Ostatecznie, mówi komisarz Cleveland, gdyby ktoś zrobił to jego żonie, on miałby ochotę na to samo.

Podnoszę głowę, wydmuchuję nos w wilgotną chusteczkę, którą międlłam w palcach, i mówię:

– Nie zasugerowałam czegoś takiego ani on. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Komisarz Cleveland obrzuca mnie zawiedzionym spojrzeniem i opuszcza pokój przesłuchań.

\*\*\*

Mój adwokat nazywa się Jaspreet Dhillon, z kancelarii Dhillon, Johnson & Waterford. Nie jest adwokatem z urzędu, przydzielonym mi na komisariacie w Harrow. Został polecony Guyowi przez znajomego prawnika, z którym mój mąż rozmawiał rankiem po moim aresztowaniu. Wisiał przez kilka godzin na telefonie, wydzwanając do wszystkich, których znał, żeby dowiedzieć się, co robić. Jaspreet – prosi, abyśmy nazywali go Jas – ma czterdzieści kilka lat, nosi okulary i jest nienagannie ubrany. Powiedziano nam, że jest najlepszy, i od razu przypadł mi do gustu. Pierwsze zwycięstwo Jasa to załatwienie mi zwolnienia za kaucją. Natychmiast ruszył do akcji. Udał się do sędziego pokoju i po dwóch dniach lądujemy w sądzie koronnym na przesłuchaniu w sprawie kaucji. Mam wrażenie, że wszystko dzieje się odrobinę za szybko, ale to dzięki temu moja sprawa nie trafia do prasy czy internetu: już zostałam postawiona w stan oskarżenia, sprawa jest w trakcie rozpatrywania przez sąd, więc nikt nie może publikować niczego, co mogłoby stanąć na przeszkodzie sprawiedliwemu osądzeniu mnie. Ciebie

nie ma na żadnym z tych przesłuchań – ty zostaniesz oskarżony później. Rzadko udaje się zyskać zgodę na zwolnienie za kaucją przy tak poważnych zarzutach, ale sędzia wyraża ją ze względu na moją dobrą reputację. Warunki są surowe: mam przebywać pod moim normalnym adresem, w tym czasie nie może tam mieszkać nikt inny poza moim mężem, muszę zgłaszać się na lokalny posterunek policji trzy razy w tygodniu i cały czas nosić lokalizator elektroniczny, muszę oddać paszport oraz wnieść kaucję w wysokości stu tysięcy funtów – sprzedajemy nasze obligacje, wypłacamy oszczędności i pożyczamy od przyjaciół, żeby zebrać tę kwotę, podczas gdy czekamy, aż dostaniemy pożyczkę pod hipotekę. A przede wszystkim nie wolno mi komunikować się w żaden sposób z tobą ani z którymkolwiek z twoich współników. Myśl, że masz współników, lekko zbija mnie z tropu. Zresztą jak miałabym się z tobą skontaktować, skoro zostałeś zamknięty w więzieniu Pentonville? Ty oczywiście nie wychodzisz za kaucją. Pozostajesz w areszcie.

\*\*\*

Po przesłuchaniu w sprawie kaucji zabieramy z Guyem Jaspreeta na pizzę. Żadne z nas jakoś szczególnie nie przepada za pizzą i nie mamy pojęcia, czy Jas ją lubi, ale chcemy jakoś okazać mu wdzięczność, a ja – po kilku dniach spędzonych w areszcie – mam ochotę pójść do restauracji dla zasady. Potrzebuję też długiego prysznic, ale na to będę miała jeszcze mnóstwo czasu w domu w nadchodzących miesiącach. Dom stanie się moim więzieniem.

Zostajemy usadzeni przy okrągłym stoliku, odrobinę za małym na trzy osoby. Składamy zamówienie, po czym niezobowiązująco zagaduję Jasa:

– Tak się zastanawiam, w którym momencie śledztwa zarzuty zostaną wreszcie zredukowane do nieumyślnego spowodowania śmierci.

Jestem przekonana, że nie jesteś winien morderstwa, a ja jestem winna zaledwie tego, że zawiozłam cię samochodem w to miejsce, gdzie wdałeś się w bójkę, której nie sprowokowałeś. Przecież właśnie to się wydarzyło i z pewnością wszyscy się o tym przekonają, gdy zacznie się rozprawa.

Jas wlepia we mnie wzrok, dosłownie zamiera w bezruchu ze szklanką gazowanej wody mineralnej w dłoni w połowie drogi do ust. Bąbelki musują, a plasterek cytryny obraca się w tę i w tamtą stronę. Przenoszę wzrok z niego na Guya.

– No bo to skończy się na nieumyślnym spowodowaniu śmierci i jakiejś ugodzie, prawda? – upewniam się. – Chyba nie będą marnować publicznych pieniędzy, skoro on mówi, że zabił tego człowieka przez przypadek?

Jas uśmiecha się słabo.

– Przykro mi to mówić – zaczyna, odstawiając szklankę bez skosztowania wody – ale oskarżenie powszechnie odrzuca ten wniosek i upiera się przy zarzucie morderstwa. Chociaż oczywiście ciężar dowodu jest inny. Nie muszą udowadniać, kto był odpowiedzialny za śmierć, ale tylko czy zamierzał popełnić morderstwo, czy też – przerywa z emfazą – dokonać poważnego uszkodzenia ciała. To wystarczy, żeby zarzut morderstwa się utrzymał.

Guy ściąga brwi.

– Jaki to ma wpływ na Yvonne?

Kelnerka pojawia się z nożem do steka.

– Kto zamawiał calzone? – pyta.

– Dziękuję – mówi Jas, a ona kładzie przed nim ostry nóż i się oddala. Jas nabiera powietrza w płuca.

Wygląda odrobinę blado. Zastanawiam się, czy cierpi na astmę. – To ma wpływ na Yvonne, bo jeśli traktują to jako wspólne przedsięwzięcie, ona zostanie oskarżona o to samo, co on. Jeśli w jego przypadku oskarżenie przychyli się do nieumyślnego zabójstwa, wtedy jej też nie oskarżą o nic więcej. Ale oskarżenie najczęściej upiera się przy morderstwie. Sprawcy, którzy muszą się przyznać do zabójstwa, bardzo często twierdzą, że było nieumyślne, żeby zyskać łagodniejszy wyrok. Minimalna kara za morderstwo to, cóż, dwadzieścia lat. Dwadzieścia pięć, jeśli narzędziem zbrodni był nóż. Trzydzieści, jeśli istnieje dowód na to, że oskarżony wyniósł z tego korzyści finansowe. Przy nieumyślnym zabójstwie kara spada do piętnastu, a nawet dziesięciu lat w zależności od okoliczności oczywiście.

Od nadmiaru liczb kręci mi się w głowie. Wydają mi się równie realne jak pięćsetfuntowe banknoty w grze Monopol.

– Więc jeśli zostanie oskarżony o morderstwo, ale będzie się upierał, że jest niewinny, co wtedy powie? Jaka będzie jego linia obrony? – pyta Guy cicho.

Przyswaja informacje znacznie sprawniej niż ja.

Jas wzrusza ramionami. Ostatecznie jest moim adwokatem, a nie twoim.

– Cóż, nie da się tego jeszcze stwierdzić. Na tym etapie musi tylko powiedzieć, że jest niewinny i dlaczego, a sytuacja może się zmieniać w miarę rozwoju sprawy i w zależności od rady, jaką otrzyma od swojego obrońcy. Być może powoła się na ograniczoną poczytalność. To stanowi podstawę do zredukowania oskarżeń, ale znowu: ciężar dowodu się zmienia, bo to obrona musi dowieść, że jej klient nie był w pełni władz umysłowych. W tych okolicznościach, gdybym ja mu doradzał, stawiałbym na utratę kontroli, ale potrzebowalibyśmy tak zwanego czynnika kwalifikującego.

Nie potrafię powstrzymać nuty oburzenia w głosie, mimo że mój mąż siedzi tuż obok.

– Ale przecież działał w samoobronie, prawda? Nie jest winny. Nie jest winny ani morderstwa, ani nieumyślnego zabójstwa, jeśli pokłócili się i działał w samoobronie?

Guy i Jas wymieniają spojrzenia, potem Jas mówi cicho:

– Yvonne, muszę cię ostrzec, że jego obrona to jego sprawa. I jego adwokatów. Moim zadaniem jest obrona ciebie. – Unosi lewą dłoń, obraca i patrzy na jej wnętrze, jakby mógł tam znaleźć jakieś odpowiedzi, po czym znowu podnosi wzrok na mnie. – Yvonne, mimo że jesteście oskarżeni wspólnie, musisz zrozumieć, że pora myśleć o sobie i dobru twojej rodziny.

Guy milczy. Wszyscy milkniemy. Lunch przybrał nieoczekiwany obrót. Przyszliśmy tutaj, żeby świętować moje zwolnienie za kaucją. W ogóle nie powinniśmy poruszać tego tematu, nie tutaj, nie w taki sposób. Myślę o nadchodzących miesiącach, o tym, ile czasu będziemy mieli na prowadzenie takich dyskusji, na zamartwianie się tym, co może się wydarzyć. Lekko kręcę głową. W tym momencie

Guy wstaje od stołu i rzuca serwetkę na blat.

– Skorzystam z toalety, zanim przyniosą jedzenie – mówi, chociaż normalnie nie czułby potrzeby, żeby się tłumaczyć.

Gdy się odwraca, dotyka kieszeni marynarki, sprawdzając, czy ma w niej telefon.

My z Jasem milczymy przez jakiś czas. Siedzimy we wnęce, przy kratownicy oplecionej sztuczną zielenią, pełniącej funkcję ścianki działowej. Z plastikowych pędów zwisają plastikowe winogrona. Adwokat patrzy na mnie, układając zaciśnięte usta w słaby uśmiech. Zdejmuje okulary, mruży oczy, nakłada je znowu, a potem mówi cicho:

– Wiem, że jesteś naukowcem, ale nie jestem pewien, czym się zajmujesz.

– Jestem genetykiem – wyjaśniam. – Pracowałam nad pierwszymi etapami projektu poznania ludzkiego genomu, potem przeniosłam się do prywatnej placówki, do Instytutu Beauforta. Udzielam konsultacji zarówno w parlamencie, jak i firmom z branży przemysłowej. Płacono mi całkiem nieźle, ale tęskniłam za własnymi badaniami i wolnością. Kilka lat temu zamieniłam etat na dwa dni pracy w tygodniu i zostałam wolnym strzelcem. Ostatnio wróciłam na jakiś czas na cały etat, żeby zastąpić kobietę, która poszła na urlop macierzyński.

– Musisz mieć bardzo silną pozycję – uśmiecha się słabo.

Wzruszam ramionami.

– Cóż, sama nie wiem. W którymś momencie osiąga się taki poziom doświadczenia, że człowiek dostaje punkty za sam fakt wykonywania swojej pracy od dawna.

– Myślę, że w twoim przypadku, Yvonne, chodzi o coś więcej.

Jas spogląda na mnie i uświadamiam sobie, że wziął moje słowa za przejaw fałszywej skromności. „Nie, nie – chcę powiedzieć – mylisz się. Moja skromność jest szczerą w stu procentach”.

– Skoro jesteś naukowcem – zmienia temat – może zdołałabyś coś mi wyjaśnić. Przeprowadzono wiele eksperymentów z udziałem szympansów, prawda?

– Tysiące – potwierdzam. – To nasi najbliżsi kuzyni pod względem genetycznym, posiadają dziewięćdziesiąt osiem procent naszego DNA. – Biorę łyk wody, a Jas robi to samo. – Chociaż warto zauważyć, że dzielimy też aż siedemdziesiąt procent DNA z muszkami owocówkami – dodaję.

Jas się nie uśmiecha.

– Niektórzy twierdzą, że szympansy to niemal ludzie. Podejrzewam, że właśnie dlatego tak wiele osób protestuje przeciwko eksperymentowaniu na nich.

Zdaję sobie sprawę, że mój adwokat zmierza do czegoś, co okaże się istotne dla naszej obrony i że sprowokowało go do tego odejście Guya od stołu.

– Możliwe, że znasz eksperyment, który mam na myśli – kontynuuję. – Czytałem o nim w gazetach wiele lat temu i utkwiał mi w pamięci, bo był szczególnie okrutny. Wytrącił mnie z równowagi. Właśnie urodziło nam się pierwsze dziecko, nasz syn. Oczywiście też masz dzieci, więc rozumiesz, co to znaczy, że byłabyś gotowa za nie umrzeć. Patrzysz na nie i wiesz, że poszłabyś za nimi w ogień.

Kto by pomyślał, że mój adwokat okaże się taki wylewny? Wcześniej zrobił na mnie wrażenie osoby

sympatycznej, ale dość chłodnej i zasadniczej. Wiem jednak, że do czegoś zmierza. Prawnicy zawsze zmierzają do pointy. Zerkam na tył restauracji, ale nie widzę Guya.

– To miłość, prawda? – mówi z namysłem. – Czysty altruizm. Czy mam rację, myśląc, że naukowcom nigdy tak naprawdę nie udało się wyjaśnić źródeł altruizmu?

Wzruszam ramionami.

– Wielu naukowców powie ci, że altruizm można wyjaśnić bardzo łatwo w kontekście instynktu przetrwania gatunku. Jesteś genetycznie zaprogramowany, żeby chronić swojego syna.

– Tak, ale nie jestem do końca przekonany, czy to wyjaśnia romantyczną miłość między dwojgiem dorosłych ludzi... – mówi on.

– Przetrwanie gatunku wymaga... – wtrącam, ale mi przerywa:

– Ale do rozmnażania wystarczyłoby zwykłe pożądanie. Mimo to miłości osób dorosłych często towarzyszy samopoświęcenie. Nawet partnerzy, których dzieci już dawno dorosły i opuściły rodzinne gniazdo, wciąż darzą się miłością głęboką i gotową do poświęceń – przerywa, a jego milczenie jest znamienne. – A często zakochują się w sobie nawet takie osoby, które nie mają wspólnych dzieci i nigdy nie będą mogły ich mieć, czy to ze względu na wiek, czy fakt, że każde z nich pozostaje w związku małżeńskim z kimś innym. Nawet tacy ludzie potrafią odczuwać głęboką i przemożną miłość, pragnienie, by chronić siebie nawzajem. Są zdolni do poświęcenia siebie, aby uratować tę drugą osobę.

Teraz już rozumiem, dlaczego ta rozmowa mogła się odbyć wyłącznie pod nieobecność Guya. Adwokaci specjalizujący się w prawie karnym muszą być niezwykle sprytni i taktowni, myślę.

– Tyle że ten eksperyment – kontynuuje Jas – ten, który zapadł mi w pamięć, bo naprawdę wytrącił mnie z równowagi... Otóż ten eksperyment zademonstrował, że nawet najbardziej altruistyczna i gotowa do samopoświęceń miłość ma swoje granice. Pokazał, że przychodzi moment, w którym każdy stawia swoje dobro na pierwszym miejscu.

Jas też zerka na tyły restauracji. Chyba oboje zastanawiamy się, czemu Guy nie wraca tak długo. Jas przemawia cicho i powoli, nie patrząc na mnie:

– To był prawdziwy eksperyment, ten, o którym mówię. Naukowcy umieścili szympansicę wraz z jej nowo narodzonym dzieckiem w specjalnie skonstruowanej klatce. Podłogę klatki wykonano z metalu i zamontowano w niej żarniki. Naukowcy zaczęli stopniowo podgrzewać podłogę. Początkowo szympansica wraz z dzieckiem przeskakiwała z nogi na nogę. Potem oczywiście dziecko wskoczyło matce na rękę, żeby ochronić się przed żarem. Jeszcze przez jakiś czas szympansica skakała po klatce, próbując uciec przed gorącą podłogą, wspiąć się po kratkach, po których nie dało się wspiąć, ale w końcu... i powtórzyli to kilkakrotnie... każda szympansica w końcu robiła to samo. – Jas patrzy na mnie, a ja nagle wolalabym, żeby tego nie robił. – W końcu każda szympansica kładła dziecko na rozgrzanej metalowej podłodze i stawała na nim.

– Dla kogo marinara?

Kelnerka pojawia się przy naszym stoliku z dwoma talerzami w dłoniach i trzecim balansującym ryzykownie na przedramieniu. Stawia przed nami potrawy jedną po drugiej. Patrę na pizzę, którą

wybrałam, ale której nazwę już zdążyłam zapomnieć. Ma pośrodku sadzone jajko otoczone zwiótczałymi liśćmi szpinaku i białymi grudkami sera. Wiem, że w trakcie żucia liście będą mi skrzypieć w zębach.

\*\*\*

Moment aresztowania był trudny. Przesłuchania były trudne. Roztrząsanie niekończących się zawłości prawnych, spotkania i dyskusje, które nastąpiły w kolejnych miesiącach, gdy przebywałam na wolności za kaucją, też były trudne. Ale nic nie okazało się tak trudne jak wizyta, którą złożyła mi córka w tamten weekend.

Carrie. Jak ją opisać? Proste brązowe włosy przystrzyżone schludnie na boba, nieskazitelne odręczne pismo. Była tego typu dzieckiem, które samo opróżniało temperówkę ze strużyn – to odziedziczyła po Guyu. Po mnie przejęła budowę ciała i duże oczy. Zdumiewała mnie i wtedy, i teraz. Gdzie się podziały trzaskanie drzwiami, wrzaski, irracjonalność typowa dla nastolatek i przewracanie oczami? Dopiero później, gdy otrząsnęliśmy się nieco z choroby Adama, dotarło do nas, że ona zawsze musiała być tą dobrą.

A zatem moja córka przyjeżdża do mnie z wizytą w weekend po tym, jak zostałam aresztowana i wypuszczona za kaucją. Kończy się na tym, że oglądamy wspólnie telewizję i dyskutujemy, do jakiego stopnia prezenterki wiadomości korzystają z zabiegów plastycznych. Ona siedzi na sofie stojącej prostopadle do mojej, z nogami schowanymi pod siebie, wytworna i ostrożna jak kot. Nie sądzę, bym kiedykolwiek widziała moją córkę wylegającą się na kanapie. W trakcie prognozy pogody zbieram się na odwagę, żeby poruszyć temat:

– Tata powiedział ci o tym, co się dzieje...

Guya nie ma w pokoju. Cały czas odpowiada na telefony oraz maile od przyjaciół i rodziny. Mnie oczywiście nie wolno rozmawiać z nikim o sprawie. Guy stał się buforem między mną a światem zewnętrznym.

Carrie obejmuje dłońmi kubek z zieloną herbatą, typowy kubek do kawy z amerykańskiej jadłodajni, ale ogromnych rozmiarów. Kupiła mi go w prezencie w słynnym barze w Nowym Jorku, gdy pojechali tam z Sathnamem, ale ja nigdy go nie używam. Jest dla mnie zbyt masywny. Za to ona korzysta z niego zawsze, gdy przyjeżdża do domu. Teraz upija łyk, a potem patrzy na mnie tymi ogromnymi oczami, opuszcza kubek i mówi:

– Tak, powiedział mi.

A później powoli odwraca ode mnie wzrok, delikatnie, jakby odrywała plaster z ręki pacjenta, znowu spogląda na telewizor i unosi kubek.

Wszystkie matki czują się osądzane przez córki. To nieuniknione. Podczas gdy one osiągają dojrzałość seksualną, wyłaniając się z poczwarki dzieciństwa, my zmierzamy już ku drugiemu krańcowi cyklu rozrodczego, obwisłe i wyschnięte. Która nastolatka chciałaby się zmienić w swoją matkę w średnim wieku? Wszystko, co robimy albo mówimy, każda sukienka, jaką wkładamy, albo nowy lakier do paznokci budzi w nich obrzydzenie. Jesteśmy dla nich tym, czym się staną, gdy wszystko się skończy.



Poniosłam wiele porażek jako matka, ale na moją korzyść przemawia to – i chciałabym to podkreślić – że nigdy nie odbyłam z Carrie rozmowy pod tytułem „Czy ty masz pojęcie, o ile trudniej było mojemu pokoleniu? Czy ty masz pojęcie, jak podważano nasz autorytet i wyszydzano nas tylko za to, że myślałyśmy o wkroczeniu do świata nauki?”. Nigdy nie powiedziałam czegoś takiego mojej pięknej, odnoszącej sukcesy córce. Nigdy nie zakładałam z góry, że rozumiem jej życie wewnętrzne, ani nie oskarżałam jej, że traktuje swoje prawa jak pewnik. Kocham ją tak bardzo i jestem z niej taka dumna. Wiem, że ona też mnie kocha, ale jest coś, czego nie potrafi znieść w naszych relacjach po tym, przez co przeszliśmy w związku z Adamem.

Kładę nogi na podnóżku. Podwija mi się nogawka spodni i widzę, że córka zerka na elektroniczny lokalizator umieszczony na mojej kostce, na twardą plastikową obrożę, do której noszenia nigdy się nie przyzwyczaję. Szybko odwraca wzrok. Później Guy powie mi, że Carrie i Sathnam chyba rozważali wzięcie ślubu następnego lata, ale z powodu naszego kryzysu wstrzymali planowanie. Gdy jednak proszę go o jakiś dowód, zmienia temat.

Zamykam się w łazience i z wściekłością szczotkuję zęby, gapiąc się na swoje odbicie w lustrze. Spluwam do umywalki i postanawiam, że nie zaprosimy jej i Sathnama na święta jak zawsze. Nie zaprosimy też przyjaciół, może nawet Susannah, która dzwoni dwa razy dziennie. Powiemy: „W tym roku wolelibyśmy spędzić święta spokojnie, tylko we dwoje. Jest nam trudno”.

\*\*\*

Po Nowym Roku otrzymujemy wiadomość, że data procesu została ustalona na marzec. Potem, co było do przewidzenia, dochodzi do opóźnienia i zostaje wyznaczona następna data, tym razem na czerwiec. Na cztery tygodnie przed procesem Guy organizuje dla mnie trzy sesje z adwokatem, który ma mnie przygotować do tego, co może mnie czekać w sądzie. Nie jest to mój adwokat procesowy, Robert, którego polecił nam Jas, lecz ktoś, kto specjalizuje się w szkoleniu świadków. Słyszymy, że dużo pracuje z policją i urzędnikami. Siedzę w wykuszowym oknie salonu, gdy przybywa. Ostatnio spędzam tam dużo czasu. Wyłożyłam siedzisko poduszkami. Jako że od miesiący prawie nie opuszczam domu, wyglądanie przez okno stanowi dla mnie ważną czynność.

Wóz adwokata przemyka obok naszego domu. Zgaduję, że to on, bo siedzi za kółkiem lśniącego czarnego kabrioletu z błyszczącą karoserią i matowym miękkim dachem. Nie wiem, jaka to marka, nie znam się na samochodach. Auto jedzie za szybko, żebym zobaczyła, kto prowadzi, ale nie mam wątpliwości. To musi być on. Pewnie zrobił kółko, bo kilka minut później nadjeżdża z tego samego kierunku, co za pierwszym razem, ale wolniej, jakby przeprowadzał rekonesans. Zatrzymuje się przy krawężniku. Widzę, że pochyla się, otwiera schowek i wyciąga małą ciemną torbę. Chowam się lekko za framugę okna, żeby mnie nie zauważył, jeśli spojrzy w kierunku domu. Z małej torby wyjmuje kompaktowe lusterko, staromodne, takie, jakie miała moja ciotka, z połączanym wieczkiem. Przegląda się w nim, przygląda włosy.

Powiedział, że pierwsza sesja odbędzie się w moim domu, dwie następne – w jego kancelarii. Nie

przyznał się do tego, ale zgaduję, że chciał mnie zobaczyć w moim naturalnym środowisku. To w trakcie następnych dwóch sesji zacznie traktować mnie ostro, podda mnie próbom, spróbuje przygotować na zastraszenie.

Stoję przez chwilę w salonie, póki nie usłyszę dzwonka do drzwi, po czym zmierzam do przedpokoju. W tym samym momencie Guy wyłania się z kuchni i obdarza mnie spokojnym spojrzeniem, jakby chciał mi przypomnieć, że dużo za to płacimy. Zna moją tendencję do rywalizowania z profesjonalistami w innych dziedzinach, do zachowywania się, jakbym mogła wykonywać ich pracę, gdybym tylko zechciała, ale wybrałam swoją. Odwzajemniam jego spojrzenie. Wiem, wiem.

Adwokat jest młody, szczerzy zęby w uśmiechu, ma gładko zaczesane ciemne włosy i okulary. Przykleja ten uśmiech do twarzy, gdy otwieramy drzwi.

\*\*\*

Zapraszam adwokata, by usiadł ze mną przy kuchennym stole, podczas gdy mój mąż nastawia wodę i napełnia kawiarkę. Próbuję nie myśleć o tym, że zaraz wypiję bez wątpienia najdroższą filiżankę kawy w moim życiu. Adwokat dalej się uśmiecha, mieszając posłodzony napój jedną z naszych cienkich srebrnych łyżeczek, po czym podnosi wzrok znad filiżanki i mówi do mnie beztrósco:

– A więc, Yvonne, jesteś winna?

Nie podoba mi się to, że zaczyna od sztuczki, ale obiecałam mężowi, że będę współpracować. Patrząc prosto na niego i odpowiadam tonem jednocześnie łagodnym i stanowczym:

– Nie, Laurence, nie jestem.

Laurence uśmiecha się do mnie, zerka na mojego męża, przenosi wzrok z powrotem na mnie i mówi:

– Cóż, to dobry początek, prawda? – Stuka łyżeczką o skraj filiżanki i ją odkłada. – Właśnie tego chcę w sądzie. Stanowczych, ale uprzejmych odpowiedzi. I bez cienia wahania. W porządku? To bardzo dobry początek.

Omawiamy ogólnie procedury sądowe i Laurence przedstawia nam dość przygnębiające statystyki. Badania przeprowadzone na Uniwersytecie Harvarda wykazały, w jaki sposób ludzie słuchają innych ludzi. Przedstawiono to na wykresach kołowych. Gdy kogoś słuchasz, budujesz sześćdziesiąt procent informacji na jego temat na podstawie samego wyglądu, trzydzieści procent zależy od brzmienia głosu, a zaledwie w dziesięciu procentach istotne jest to, co ten człowiek rzeczywiście mówi. Jako naukowiec sceptycznie podchodzę do statystyk. Mam ochotę zapytać: „A co z tym, jak ktoś pachnie i dotyka?”. Ale szybko odrzucam tę pokusę. Teraz nie mogę sobie pozwolić na myślenie o tobie. Podczas gdy ja piję kawę – ulubioną gwatemalską mieszankę – w mojej kuchni, siedząc przy moim stole, z moim mężem i współczującym adwokatem, ty tkwisz w celi w Pentonville. Wyobrażam sobie ciebie w więziennym stroju, leżącego na plecach na cienkim materacu, z dłońmi za głową wpatrującego się w sufit.

– Jak powinna się ubrać do sądu? – Mój mąż przechodzi do rzeczy.

Wie, że nie płacimy temu bystremu, nieopierzonemu chłopakowi czterystu funtów za godzinę za picie naszej kawy i znoszenie mojego sarkazmu.

– Elegancko, ale nie za bardzo biznesowo – odpowiada Laurence. – Chcemy, żeby sędziowie przysięgli dostrzegli jej kobiecą naturę.

– O Jezu... – mruczę pod nosem.

Nawet jeśli Laurence to usłyszał, nie reaguje. Guy posyła mi kolejne spojrzenie.

– Powiedzmy, że jakąś bluzkę z falbanką... – Laurence uśmiecha się do mnie, znowu demonstrując garnitur zębów.

Nikt nie będzie doradzał tobie, żebyś włożył bluzkę z falbanką, mój kochany. Jest jakiś męski odpowiednik takiego stroju?

– Nie jestem pewien, czy oskarżyciel okaże się mężczyzną, czy kobietą – kontynuuje Laurence – ale jeśli mężczyzną, to prawdopodobnie młodszym oskarżycielem zostanie ujmująca młoda kobieta, i to ona będzie odpowiedzialna za przesłuchiwanie ciebie.

– Dlaczego o tym wspominasz? – pyta Guy.

Laurence wzrusza ramionami.

– Z tego samego powodu zatrudnia się kobiety do obrony w sprawach o gwałt. Żeby członkowie ławy przysięgłych doszli do wniosku, że skoro ta ładna młoda kobieta broni tego kolesia siedzącego na ławie oskarżonych, to on nie może być taki zły, w przeciwnym razie by tego nie robiła. – Laurence bierze łyk kawy. – Muszę przyznać, że to zdumiewająco skuteczna strategia.

– A skoro ty ją znasz i wszyscy w kancelarii ją znają, to przypuszczalnie te młode ładne adwokatki też wiedzą, dlaczego przydziela im się sprawę obrony gwałciciela? – pytam lodowatym głosem i sama biorę łyk kawy. – Czy to nikomu nie przeszkadza?

Laurence uśmiecha się przepraszająco. Nie jest tutaj po to, żeby się ze mną kłócić. Mówi ostrożnie:

– Cóż, nawet gwałciciel zasługuje na obronę...

– Nawet jeśli to zależy od...

Guy mi przerywa:

– A więc ława przysięgłych prędzej uzna, że Yvonne jest winna, jeśli będzie przesłuchiwana przez kobietę?

– Tak.

Prycham i spoglądam w bok. Mój mąż i Laurence milkną i wiem, że obaj na mnie patrzą. Dlaczego przysłali mi tego chłopca? Potem zostanę skarcona i usłyszę, że to najbystrzejszy adwokat od tych spraw, ostry jak brzytwa. Po krótkiej pauzie najbystrzejszy adwokat mówi:

– Czy mamy zrobić przerwę? Wiem, że jest ci trudno.

– Nie, w porządku – zapewniam, unosząc głowę, którą skryłam w dłoniach. – Kontynuujcie, wróć za pięć minut.

Wstaję od stołu. Laurence przygląda włosy. Guy obserwuje mnie, gdy opuszczam pomieszczenie. Gdy wchodzę po schodach, kurczowo przytrzymując się drewnianej poręczy, słyszę, jak wstaje i zamyka drzwi do kuchni. Ich głosy są stłumione, ale wyobrażam sobie, że mój mąż mówi coś w stylu: „Przeżywa w tej chwili ogromny stres”. Laurence zapewne współczująco kiwa głową.

W sypialni kładę się na łóżku na plecach. Po chwili zakładam ręce za głowę i wlepiam wzrok w sufit.

\*\*\*

Wracam na dół po jakichś dziesięciu minutach. Guy ma ponurą minę. Przenoszę wzrok z niego na Laurence'a. Laurence siedzi nieruchomo i wlepia wzrok w stół. Gdy zajmuję miejsce, spogląda na mnie.

– Twój mąż, cóż... Yvonne, podał mi trochę więcej szczegółów.

– Opowiedziałem mu o tym, co ten człowiek zrobił – mówi Guy, nie patrząc na mnie.

Laurence patrzy na mnie współczująco.

– Nie do końca zdawałem sobie sprawę, że to było takie brutalne... eee... takie... cóż...

– A myślałeś, że jakie było? – Gapię się na niego, ale po chwili postanawiam odpuścić. – Czy twoim zdaniem to poprawia moją sytuację, czy pogarsza?

Laurence zerka na Guya.

– Właśnie wyjaśniałem twojemu mężowi, że z prawnego punktu widzenia to raczej ją pogarsza. Daje ci motyw. Oczywiście to nie wyjaśnia, dlaczego twój współoskarżony zachował się w taki sposób, biorąc pod uwagę, że byliście tylko przyjaciółmi. Nie znaliście się za długo, prawda?

– Nie – potwierdzam.

Liczba wątpliwości w tej sprawie jest tak ogromna, że powietrze robi się od nich gęste. Niewypowiedziane prawdy przypominają wielkie nietoperze latające po pomieszczeniu. Wszyscy o nich wiemy, ale nikt nic nie wspomina. Nawet Guy, mój mąż, nie zapytał mnie o to, co nas naprawdę łączyło. Zaufał moim słowom.

– Oczywiście na tym etapie trudno przewidzieć, jak oskarżenie rozegra sprawę – dodaje Laurence. – Mogą podkreślać to, jak brutalnie zachowywał się pan Craddock, żeby zaakcentować twój motyw. Mogą też twierdzić, że kłamiesz, że tak naprawdę uprawiałaś z panem Craddockiem seks za obopólną zgodą i wymyśliłaś całą tę historię, żeby narobić mu kłopotów.

Gapię się na Laurence'a. Wiem, że nie rozpozna niebezpiecznego spokoju w moim głosie.

– Dlaczego miałabym zrobić coś takiego?

Wzrusza ramionami.

– Kto wie? Mogłaś być zirytowana, że Craddock nie zadzwonił do ciebie po wszystkim czy coś... Ten wątek często się pojawia...

Lekkość jego tonu wydaje mi się taka obraźliwa, to, jak nieustannie generalizuje, swobodnie opowiadając o tym, co się wydarza w t a k i c h s p r a w a c h. „Nie jestem jedną ze spraw – mam ochotę powiedzieć. – Jestem sobą”. W tym momencie nawet ten mało rozgarnięty chłopiec zauważa wyraz mojej twarzy. Próbuje się wycofać:

– Odgrywam tylko rolę adwokata diabła. Chcę z tobą omówić wszystkie możliwości. Jeśli mamy cię przygotować, musisz się spodziewać wszystkiego, czym mogą cię zaatakować, a kto wie, może przyjmą właśnie ten punkt widzenia. Największym problemem dla oskarżyciela w sprawach o napaść seksualną zawsze jest to, że kobiety najwyraźniej nigdy nie walczą z napastnikiem. – W jego głosie pojawia się nuta

prawdziwej konsternacji, co uważam za niewybaczalne. – To trochę utrudnia nam pracę.

Patrzę na Laurence'a z taką wściekłością, że tylko kątem oka dostrzegam, jak Guy podnosi się i odwraca. Widzę, jak odrywa nóż od magnetycznego paska zamocowanego na ścianie nad płytą grzejną i przykłada go do gardła Laurence'a. Adwokat zamiera z zadartym podbródkiem. Lekko unosi obie ręce nad blatem. Wybałusza oczy, patrząc na mnie błagalnie. Ja patrzę na Guya zdumiona, ale nic nie mówię.

– O czym pan teraz myśli, panie Walton? – Głos Guya jest bardzo spokojny.

Laurence milczy. Najwyraźniej postanowił, że mądrze będzie nie odpowiadać.

– Czy mam ci powiedzieć, o czym teraz myślisz, Laurence? – proponuje Guy. – Czy chciałbyś wiedzieć, co się teraz dzieje w twojej głowie? To znaczy z biologicznego punktu widzenia?

Laurence zachowuje milczenie i siedzi w absolutnym bezruchu, nawet nie przełyka śliny. Guy kontynuuje:

– Oto, jak twój mózg reaguje w sytuacji zagrożenia. Przedstawię ci uproszczoną wersję. W twoich płatach skroniowych przyśrodkowych znajduje się grupa jąder nazywanych ciałem migdałowatym. To część układu limbicznego, ale nie będziemy się teraz wdawać w szczegóły. Otóż w sytuacji zagrożenia ciało migdałowate ma za zadanie poinformować cię jak najszybciej, abyś zachował się w sposób, który umożliwi ci jedną, jedyną rzecz – przetrwanie. Oczywiście masz też korę mózgową, która odpowiada za logiczne myślenie, ale działa ona wolniej niż ciało migdałowate, czego właśnie doświadczasz na własnej skórze. Pozwól, że wyjaśnię... – Guy nie przerywa nawet na moment. Właśnie w taki sposób wyklada, widziałam to na własne oczy, omawia temat ciurkiem, punkt po punkcie. – Odpowiadająca za logiczne myślenie część twojego mózgu wie, że nie ma najmniejszej możliwości, abym poderżnął ci gardło. A: mnóstwo ludzi wie, gdzie jesteś. B: jesteśmy w moim domu i wszędzie byłaby krew. C: jak Yvonne i ja mielibyśmy się pozbyć twojego ciała? D: czy ona nie ma już wystarczająco dużo kłopotów? Zatem teoretycznie wiesz, że robię to wszystko tylko po to, aby coś ci zademonstrować. Ale ciało migdałowate, odpowiadające za instynkty, mówi ci, a właściwie krzyczy, abyś na wszelki wypadek się nie ruszał, abyś robił to, co może ci ocalić skórę. Tak jak wspomniałem, ciało migdałowate działa szybciej niż kora, w taki sposób wyewoluowaliśmy. W sytuacji zagrożenia, zwłaszcza nieoczekiwanej, nie ma czasu na logiczne oszacowanie naszych szans na przeżycie. Jesteśmy zaprogramowani, żeby robić wszystko, co zapewni nam przetrwanie. Wszystko sprowadza się do tego, że chcemy po prostu przeżyć. W każdej sytuacji, w której poziom zagrożenia nie jest znany, ciało migdałowate zwycięży nad korą. Za każdym razem.

Guy przerywa, ale się nie rusza. Po chwili czy dwóch Laurence powoli unosi jedną dłoń i odpycha ramię Guya od swojego gardła.

– Chyba dowiodłeś swego – mówi.

Guy odkłada nóż na miejsce i siada. Laurence patrzy na mnie. Nie zamierzam go przeproszać, żeby nie wiem co. Zamiast tego mówię dość łagodnie:

– Widzisz, jedna sprawa to omawiać te kwestie z profesjonalnego punktu widzenia, tak jak ty to robisz. Inna sprawa, gdy na szali leży całe nasze życie. – Nie wygląda na udobruchanego, więc dodaję: – To jest

bardzo nerwowy okres, dla nas obojga.

Laurence unosi podbródek, jakby czuł potrzebę rozciągnięcia swojego wciąż nienaruszonego karku.

– Tak, nie wątpię.

\*\*\*

Po wyjściu Laurence'a zamykam drzwi na zamek i łańcuch, chociaż jest dopiero wczesny wieczór. Ostatecznie żadne z nas już nigdzie dziś nie wyjdzie i nikt nas raczej nie odwiedzi. Odwracam się i widzę, że Guy stoi za mną. Nasze spojrzenia się spotykają.

– Chodźmy na górę – mówi.

Po tonie jego głosu i wyrazie twarzy wnioskuję, że w tej chwili nie potrafi już więcej znieść.

Kiwam głową. On odwraca się i patrzę, jak idzie po schodach przede mną. Obserwuję jego zgarbione plecy i wiem, że naprawdę ma już dość, ma dość bycia tym silnym, ma dość niezadawania pytań i dość stania u mego boku.

Wchodzę za nim do sypialni. Siada na skraju łóżka i składa głowę w dłoniach. Podchodzę do niego i klękam na dywanie między jego kolanami. Odrywam mu ręce od twarzy i spoglądam na nie. Trzymam jego dłonie w moich i nagle dociera do mnie, że teraz muszę go prosić, błagać o jedną rzecz, której naprawdę będę potrzebowała w najbliższych miesiącach. Nie wiem, czy to ma sens, gdy znajduje się w takim stanie, ale jestem przekonana, że muszę go o to poprosić teraz, bo może nie będę już miała następnej okazji. Co, jak się potem okazało, było prawdą. Dwa tygodnie później policja przyjdzie ponownie mnie aresztować. Powiedzą, że próbowałam mi wysłać wiadomość z więzienia – najwyraźniej była to dość niewinna notka, ale wystarczyła, żeby zaliczyć to jako potencjalny kontakt między nami, stanowiący naruszenie warunków mojej kaucji, mimo że to nie ja go zainicjowałam. Bez mojej wiedzy odbędzie się rozprawa i kaucja zostanie cofnięta. Resztę okresu przed rozprawą i czas samej rozprawy spędzę w więzieniu Holloway. Wpatruję się więc w dłonie Guya, ale wiem, że on obserwuje moją twarz. Przez te wszystkie lata, które spędziliśmy razem, nigdy go o nic nie błagałam. Kłóciliśmy się, prosiliśmy o pewne rzeczy od czasu do czasu – czy mógłby odkurzyć schody, bo ja nienawidzę odkurzania; czy mógłby być trochę bardziej cierpliwy, gdy prowadzi samochód; czy mógłby spróbować zrozumieć, że robię się wybuchowa, gdy zbliża mi się ostateczny termin oddania jakiegoś projektu; czy mógłby, proszę, dla dobra nas obojga, zakończyć ten romans ze swoją młodą kochanką, raz i na zawsze...? – ale nawet wtedy nie błagałam. Nigdy nie miałam powodu, żeby błagać tak, jak zamierzam błagać teraz.

– Guy... – mówię. Tak rzadko zwracamy się do siebie po imieniu. Która para będąca ze sobą od lat to robi? Imiona są dla znajomych albo obcych, to elementy oznaczające dla tych, którzy nie znają nas w bardziej intymny sposób. – Muszę cię o coś poprosić. – Mój ton jest rzeczowy. Guy nie może wątpić w powagę moich słów.

Milczy.

– Muszę cię prosić, byś – cokolwiek się stanie – proszę... – Mój głos nie drży. Podnoszę wzrok na jego twarz. Patrzy na mnie. Wciąż trzymam jego ręce w swoich. – Proszę, trzymaj się z dala. To znaczy

od procesu. Proszę. Nie przychodź do sądu – dalej na mnie patrzy, więc dodaję: – i tak nic nie możesz zrobić.

Słyszając to, Guy gniewnie uwalnia ręce i zrywa się na równe nogi. Spuszczam głowę, myśląc, że ma zamiar wyjść z sypialni, może nawet z domu, i dopiero wtedy mój głos się załamuje.

– Proszę, porozmawiaj ze mną o tym Guy. Proszę...

Podchodzi do komody i opiera się o nią, opuszczając głowę.

– Nie miałem zamiaru wyjść. Nie zostawiłbym cię, gdy masz kłopoty, pamiętasz?

Dalej klęczę przy łóżku. Nie odpowiadam. W końcu mówi:

– Jas powiedział, że to ważne, abym siedział na galerii. To pokaże wszystkim, że cię wspieram. Ława przysięgłych to zauważy. „Jej mąż ją wspiera”.

– Wiem – mówię. – Wiem, że tak powiedział Jas, i może to prawda. – Nabieram głęboko powietrza w płuca. – Ale nie potrafię tego zrobić, jeśli będziesz tam siedział i słuchał. Będę musiała opowiadać różne rzeczy, oni będą mówili o mnie, o tym, co się wydarzyło – wyjaśniam niemal szeptem. – Jak ja to zniosę? Jak ty to zniesiesz? To nas zabije.

Nie mogę ryzykować, że Guy poczuje się obnażony i upokorzony. Gdybym mogła, wysłałabym go do Ameryki Południowej na kilka następnych tygodni. Chcę, aby wszyscy ludzie, których kocham, trzymali się z dala od tego wszystkiego.

Guy nie odpowiada, więc dodaję:

– Nie mogę mówić o tym w sądzie, jeśli będę wiedziała... Nie mogę...

– Nie mogłaś o tym mówić również w domu.

– Nie.

Wtedy on spogląda na mnie dużymi zranionymi oczami.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?! – Robi kilka niespokojnych kroków, po czym wraca do komody. – Zwróciłaś się do niemal obcej osoby, do mężczyzny, którego ledwie znałaś, tylko dlatego że pracuje w ochronie. Do mężczyzny, którego znałaś tak kiepsko, że nie podejrzewałaś, że pójdzie i zrobi coś takiego. A teraz jesteś w to zamieszana. Będą cię sądzić razem z nim. Będziesz siedzieć na... na... – jego głos załamuje się z frustracji – na ł a w i e o s k a r ż o n y c h razem z nim... Wolłaś zaryzykować coś takiego, niż powiedzieć mnie?

– Nie wiedziałam, że go zabije. Nie miałam pojęcia.

– To nie wyjaśnia, dlaczego zwróciłaś się do niego, a nie do mnie.

W tym momencie dociera do mnie, że prawda jest nawet gorsza niż kłamstwo, którego nie mogę wypowiedzieć. Wmawiałam sobie, że nie powiedziałam Guyowi o Craddocku, bo miałam romans, ale teraz wiem, że i tak bym mu nie powiedziała. Nie powiedziałabym mu, bo czułam wstyd, bo za dużo leżało na szali – nasz dom, nasze szczęście, nasze dzieci. Co gorsza, wiedziałam, że moje uczucia do Guya mogłyby nie przetrwać w konfrontacji z jego nieczułą reakcją. Gdyby na przykład zapytał: „Po co posłaś z nim na górę?”, nigdy bym mu tego nie wybaczyła. To by nas zabiło. Nie natychmiast, ale dwa, trzy, cztery lata później. Nasz związek byłby nie do odratowania. Ale muszę coś powiedzieć, muszę

znaleźć jakiś powód, dla którego mu się nie zwierzyłam, prawdziwy, lecz stanowiący zaledwie ułamek prawdy.

– Nie chciałam, żeby to... – nie przychodzi mi do głowy żadne inne słowo – ...żeby to cię zbrukało.

– Zbrukało? – Odwraca się z niedowierzaniem w głosie.

– Ja po prostu... – Bezradnie podnoszę dłonie i opuszczam je na kolana. – Ja po prostu chciałam utrzymać to z dala od ciebie, to wszystko. Z dala od naszego domu, z dala od naszych dzieci...

Guy prycha pogardliwie, tylko częściowo przekonany.

– Chcę, żebyś wyjechał za granicę, dopóki proces się nie skończy. To samo powiem Carrie w weekend. A ona może poprosić Adama. Będzie lepiej, jeśli to wyjdzie od niej. Myślałam, że może nawet moglibyście pojechać na wakacje, może...

– Nie opuszczę kraju.

– Cóż, to może chociaż niech oni wyjadą, jeśli się zgodzą. Może Sath i Carrie mogliby zabrać Adama ze sobą? Ale byłoby lepiej, gdybyście wyjechali we czworo. Po prostu chcę, żebyście wszyscy byli z dala od tego. Czy tak trudno to zrozumieć?

On patrzy na mnie i pyta łagodniejszym już głosem:

– Nawet jeśli to zwiększy prawdopodobieństwo, że zostaniesz skazana?

Patrzę na niego i odpowiadam równie łagodnie:

– Nie zostanę skazana. Jestem niewinna.



I tak to się zaczyna. W poniedziałkowy poranek wsiadam do furgonetki, która zabiera mnie z więzienia Holloway do sądu karnego. Podczas gdy auto podskakuje, zatrzymuje się i huśta, marudząc w porannym londyńskim korku, odczuwam głównie dojmującą świadomość zwyczajności tego wszystkiego – to znaczy dla ludzi, którzy mnie otaczają. Dla nich to jest po prostu początek kolejnego tygodnia pracy.

Towarzyszą mi dwie strażniczki z więzienia. Tego ranka żadna inna osadzona nie udaje się do głównego sądu karnego, więc mam ławkę tylko dla siebie. Wnętrze furgonetki cuchnie środkiem dezynfekującym, tą marką o gryzącej woni używaną w toaletach publicznych. Smród tuszuje nieco gęsta, słodka warstwa wanilii. Zapach jest tak mocny, że dostaję od niego mdłości. Kierowca furgonetki hamuje gwałtownie na każdym świetłach czy skrzyżowaniu i wciska gaz do dechy, gdy tylko ruszamy. Zaczynam się pocić, siedzenie bokiem nie pomaga. Mniej więcej w połowie drogi jedna ze strażniczek z ławki naprzeciwko zauważa, że z trudem oddycham, i bez słowa podsuwa mi nogą plastikowe wiadro. Odwracam głowę.

Okna furgonetki wpuszczają mało światła, ale dostrzegam skrawek nieba przez szkło przezierne z jednej strony. Mżawka pokrywa szybę. Gdzieś tam, na zewnątrz pracownicy biurowi lawirują w tłumie; niektórzy w prawdziwym pośpiechu, inni spieszą się z przyzwyczajenia. Ktoś wdepnie w kałużę i zaklnie. Ktoś inny zatrzyma się, żeby kupić kawę, a potem odmaszeruje szybkim krokiem, ściskając w dłoni styropianowy kubek. Jeszcze inna osoba, a może ta sama, wejdzie na jezdnię i ocknie się na dźwięk wściekłego, ale obojętnego ryku klaksonu taksówki. Rozdrażnienie towarzyszące poniedziałkowym dojazdom do pracy jeszcze nigdy nie wydawało mi się tak kuszące. Czy którakolwiek z tych osób spojrzy na furgonetkę przejeżdżającą ulicą, zastanawiając się, kogo wiezie?

W końcu zjeżdżamy pod ziemię. Zanurzamy się w mroku i zatrzymujemy. Zostaję skuta kajdankami i dopiero wtedy wolno mi wstać i zejść po schodkach spuszczonej z tyłu wozu. Jedna strażniczka idzie przede mną, druga – za mną. Moje oczy powoli przyzwyczajają się do zmroku i widzę, że zatrzymaliśmy się na olbrzymim parkingu. Zostaję zabrana w trzewia budynku.

Niezależnie od tego, jak okazały może się wydawać centralny sąd karny, jego wspaniałość nie sięga rejonów, w których trzyma się więźniów. Jest tu recepcja przypominająca te na komisariatach policji, gdzie otrzymuję pomarańczowy plastikowy śliniaczek z numerkiem. Poza salą sądową muszę go nosić przez cały czas, żeby każdy strażnik pełniący służbę od razu widział, gdzie mam zostać dostarczona. Gdy nakładam ten kołnierz przez głowę, myślę, że nie nosiłam niczego podobnego od czasów podstawówki.

Za biurkiem siedzi starszy czarnoskóry mężczyzna o siwych włosach i w okularach z grubymi szklami, zsuniętych na kraniec nosa. Gawędzi ze mną, notując dane na podkładce z klipsem. Jego zachowanie jest ciepłe i serdeczne. Jest przyzwyczajony do radzenia sobie ze zdenerwowanymi więźniami.

– Za chwilę cię przeszukamy, skarbie... – mówi.

Uśmiecham się. Będzie mnie nazywał skarbem każdego dnia przez następne trzy tygodnie.

– Wielu osobom mimo rewizji osobistej udaje się ukryć papierosy, ale muszę cię uprzedzić, że natychmiast poczuję dym, a palenie jest tu ściśle zabronione. W porządku?

– Ja nie palę – zapewniam.

– Dobrze – odpowiada, uśmiechając się z aprobatą niczym dyrektor szkoły. Udaje, że obrzuca mnie surowym spojrzeniem. – To b a r d z o szkodliwe dla zdrowia.

– Jest pan tutaj cały czas? – pytam, ale tak naprawdę mam na myśli: „Czy będzie się pan mną opiekował? Czy mogę na panu polegać?”.

Kiwa głową.

– Od siódmej rano do ósmej wieczorem. Przychodzę, nim zaczniecie się pojawiać, i siedzę tu dopóty, dopóki ostatni więzień nie opuści budynku.

Gdy formalności związane z moim przyjęciem dobiegają końca, zostaję poprowadzona niskim korytarzem w kremowożółtym kolorze, przypominającym rozwodniony budyń. Pod emulsją widać szorstką fakturę cegieł. Zauważam znak informujący: „To jest CZERWONA strefa”, a słowo „CZERWONA” jest dodatkowo otoczone czerwonym kółkiem. Kolejny znak głosi: „Znajdujesz się teraz w areszcie Serco...”. Nie udaje mi się przeczytać wszystkiego, ale zauważam zdanie na końcu: „Wszelkie czyny przestępcze będą zgłaszane na policję”. To zakrawa na ironię, ale moje rozbawienie jest zabarwione histerią.

– Gorąco tutaj – mówię do kobiety prowadzącej mnie korytarzem.

Czuję, jak oddech mi przyspiesza. Żadnego naturalnego światła, wąskie ściany, niski sufit... Jak oni mogą tu pracować całymi dniami?

Moja strażniczka jest białą kobietą popięćdziesiątce, o szerokich biodrach. Idzie powoli, oddycha z trudem. Podejrzewam, że ma rozedmę płuc.

– Powinnaś tu być, kiedy jest naprawdę gorąco – mówi, oddychając przez usta. Zatrzymuje się przy otwartych drzwiach do celi. – Niektórzy oskarżeni paradują bez ubrań. Nie chciałabyś stanąć przed sądem cała spocona, co nie?

Domyślam się, że w przeciwieństwie do mężczyzny za biurkiem ta strażniczka mi nie współczuje.

Gdy wkraczam do celi, czuję ucisk w sercu. To małe, duszne pomieszczenie, pozbawione okien. Ściany pomalowano na żółto, a podłogę na niebiesko – w ramach pocieszenia – ale jest tu tylko betonowa ławka z drewnianymi listewkami do siedzenia. Przebywam pod ziemią, w plastikowym kołnierzu, bez dostępu do naturalnego światła czy wentylacji, w pomieszczeniu, w którym wkrótce zapanuje duszący upał.

Drzwi zatrzymują się za mną. Siadam na ławce ze stopami zwróconymi do środka, dłońmi na

kolanach, wdychając powietrze przez nos, a wydychając przez usta. Próbuję zachować spokój.

\*\*\*

Mój adwokat procesowy Robert schodzi do mnie po jakimś czasie. Czekałam na niego mniej niż godzinę, ale mam wrażenie, że minęło wiele dni. Muszę wziąć się w garść, powtarzam sobie raz za razem. Będę tu siedzieć każdego dnia, w trakcie każdej przerwy na lunch, każdego ranka i popołudnia, za każdym razem, gdy dojdzie do jakiegoś opóźnienia. To jest znacznie gorsze niż więzienie. Muszę to wytrzymać.

Nie wytrzymam. Nie wytrzymam.

Przychodzi po mnie ta sama pozbawiona empatii strażniczka. Prowadzi mnie do pokoju konsultacyjnego, który wygląda identycznie jak cela, z tym że są tutaj stół i krzesła, wszystko przyśrubowane mocno do metalowej ramy. Zapewne po to, by więźniowie nie próbowali podnieść krzesła, żeby walnąć nim w ścianę albo rozbić głowę adwokatowi.

Robert jest już ubrany w togę i perukę. Gdy próbuje usadowić się wygodniej na metalowym siedzisku, toga zsuwa mu się z jednego ramienia i pozostaje tam przez resztę naszej rozmowy. Muszę powstrzymać matczyzny odruch poprawienia jej. Później zauważam, że na sali sądowej również dość często pozwala, by toga była w nieładzie. Zaczynam to traktować jako pozę z jego strony. Podejrzewam, że na wpuł świadomie stara się wyjść na ujmująco, dobrotliwie roztargnionego. „Nie lekceważ Roberta – ostrzegł mnie Jaspreet. – Może sprawiać wrażenie odrobinę niezorganizowanego, ale to tylko wybieg. Niezły z niego kombinator”. Ma ze sobą ogromną teczkę, którą rzuca na stół między nami.

– Dostaliśmy dziś niezbyt dobrą wiadomość – zaczyna, a ja wbijam w niego wzrok. – Organizują dostęp dla wózka inwalidzkiego ojca Craddocka.

Zaczyna mi wyjaśniać, że ojciec George’a Craddocka będzie obecny na sali w trakcie całego procesu pod opieką przydzielonej mu funkcjonariuszki. Normalnie na sali może zasiadać nawet czterech bliskich członków rodziny ofiary. W przypadku „naszej ofiary”, jak ujmuje to Robert, obecny będzie tylko ojciec, który cierpi na początkowe stadium stwardnienia rozsianego. Robert nie wierzy, by mężczyzna naprawdę był przykuty do wózka. Uważa, że to policja podsunęła mu ten pomysł. Jeśli przez cały proces będzie siedział na wózku inwalidzkim w kącie sali, na oczach ławy przysięgłych, zwiększy to szanse oskarżenia na uzyskanie wyroku skazującego.

– Z drugiej strony – wyjaśnia Robert – można to podnieść w trakcie apelacji. To jeden z elementów procesu, który może działać na szkodę oskarżonego. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Chociaż znam Roberta bardzo krótko, już zdążyłam go polubić, więc jestem odrobinę zaskoczona jego cynizmem, ale przytakuję. Nawet nie zaczęliśmy, a już rozumiem jak oni. Przychodzi mi do głowy jeszcze jedna myśl, chociaż staram się ją zdusić w zarodku – jeszcze nie zaczęliśmy, a on już zastanawia się nad podstawami do apelacji.

Zaczyna ze mną omawiać prawdopodobny rozkład dnia – zaprzysiężenie ławy przysięgłych, mowa wstępna oskarżyciela. Nie sądzi, by pierwszego dnia doszło do jakichś przerw na spory prawne, ale

wkrótce się zaczną, a wtedy członkowie ławy będą musieli opuszczać salę i wszystko od razu zwolni. Robert ma nadzieję, że rozumiem, dlaczego to wszystko będzie konieczne. Podczas tej rozmowy zachowuję się spokojnie i racjonalnie, ale poczucie klaustrofobii nie ustępuje. „Wydostań mnie stąd, proszę”, mam ochotę mu powiedzieć.

Po zakończonej konsultacji Robert wstaje i wychodzi. Musi wrócić do swojego gabinetu, sprawdzić, czy dokumenty są uporządkowane, i, jak podejrzewam, chwilę odsapnąć. Ściska moją dłoń, zanim wyjdzie, drugą ręką pocieszająco przykrywając jej grzbiet i patrząc mi w oczy. Ma bujne siwe brwi nad zaskakująco bladoniebieskimi oczami. Trochę się roztkliwiam i muszę go obdarzyć pogodnym, pewnym siebie uśmiechem, aby to ukryć. On wychodzi, strażniczka przychodzi. Zostaje odprowadzona do swojej celi.

\*\*\*

A potem, po kolejnym okresie oczekiwania, które zdawało się ciągnąć przez wiele dni, drzwi celi otwierają się, ale nie staje w nich znajoma kobieta, lecz dwoje strażników, którzy będą mnie pilnować na ławie oskarżonych, kobieta i mężczyzna, oboje w eleganckich białych koszulach. Uśmiechają się do mnie.

– W porządku, no to idziemy! – mówi kobieta, a ja zastanawiam się, co by się stało, gdybym wpadła w histerię i odmówiła opuszczenia celi. Co by się stało, gdybym padła na podłogę, tocząc pianę z ust i krzycząc?

Uśmiech mężczyzny jest zdeterminowany i pozbawiony radości. Patrzy na mnie, jakby oceniał – szybko i bez emocji – czy sprawię im jakieś kłopoty. Na chwilę wracamy do biurka w recepcji, gdzie zdejmuję plastikowy kołnierz. Łąduje na swoim miejscu w schowku oznaczonym odpowiednim numerem, który przypomina te staromodne hotelowe szafki na klucze. Strażnicy ustawiają się w szyku, ona przede mną, on za mną, i wracamy kawałek wąskim budyniowym korytarzem. Zatrzymują się przy drzwiach umieszczonych dokładnie naprzeciwko mojej celi i je otwierają. Czeka za nimi krótki bieg betonowych schodków. Dopiero gdy docieramy na ich szczyt i strażniczka otwiera kolejne drzwi, ze zdumieniem stwierdzam, że właśnie wkraczamy na salę rozpraw. Wyobrażałam sobie, że czeka nas długi spacer niekończącymi się korytarzami, że będę miała szansę wziąć się w garść. Ale nie, sala rozpraw i ława oskarżonych czekają na mnie tuż nad moją celą. Dzieli nas tylko kilkanaście betonowych schodków.

Przekraczam próg i moim oczom ukazuje się sala sądowa, wyłożone boazerią pomieszczenie o wysokim suficie, jaskrawo oświetlone i pełne ludzi. Robert oraz kobieta pełniąca funkcję młodszego adwokata obrony już siedzą na miejscach – oboje odwracają się i witają mnie skinieniem głowy. Kobieta ma na imię Claire, słyszałam o niej, ale jeszcze jej nie poznałam. Ma szeroki uśmiech i mnóstwo piegów. Zespoły obrońców rozmawiają przyciszonymi głosami. Dwaj prawnicy z Urzędu Ścigania Publicznego zajmują miejsca w ławce za adwokatami, a w kolejnym rzędzie rozsiadł się komisarz Cleveland. Atmosfera panująca w pomieszczeniu przypomina małą stację kolejową zalaną surowym żółtym światłem, którą wypełniają szmer rozmów, rozgardiasz i wyczekiwanie. Strażnicy wprowadzają mnie bezpośrednio na ławę oskarżonych, która znajduje się w boksie otoczonym przez wysokie panele

zbrojonego szkła. Jest tutaj długi rząd opuszczanych siedzeń z pokrowcami z zielonego materiału. Później zaobserwuję jeszcze wiele szczegółów dotyczących geografii celi i sali sądowej. Nigdy nie uda mi się do końca otrząsnąć z szoku wywołanego bliskim sąsiedztwem tych pomieszczeń. Niejednokrotnie w trakcie mojego procesu w sali rozpraw numer osiem będzie wyraźnie słychać krzyki innych więźniów. Drzwi, przez które będzie wchodził i wychodził sędzia, znajdują się na przeciwległej ścianie, ale po tej samej stronie pomieszczenia co drzwi do naszego boksu. Wnioskuje więc, że gabinety sędziów (wyobrażam sobie miękkie dywany, wielkie dębowe biurka, srebrne kubelki do lodu z monogramami) znajdują się bezpośrednio nad naszymi celami, świat peruk bezpośrednio nad wilgotnym podziemiem, do którego teraz należę. Podczas gdy sędziowie spożywają razem lunch przy dużym owalnym stole, obsługiwani przez sekretarzy, ja zjadam mój samolotowy posiłek w betonowej celi bezpośrednio pod nimi.

Oczywiście nad tym wszystkim zacznę się zastanawiać dopiero później, gdy proces będzie na zaawansowanym etapie, a ja będę miała mnóstwo czasu na refleksje podczas licznych opóźnień wywołanych przez kwestie prawne i biurokratyczne, które – jak zacznę rozumieć – stanowią nieodłączną część rozprawy. Ale zasiadając na ławie oskarżonych po raz pierwszy, nie mam czasu na rozmyślanie o takich rzeczach. Chociaż jestem oszołomiona jaskrawym światłem i tłumem ludzi, od razu zauważam, że ty już siedzisz na swoim miejscu między dwojgiem swoich strażników.

Mój ukochany, myślę. Jak bardzo się zmieniłeś. Chociaż pozwalam sobie spojrzeć na ciebie tylko przelotnie, chłonę twój widok i mimo naszego trudnego położenia łamie mi on serce. Skurczyłeś się – fizycznie się skurczyłeś. Odnoszę takie wrażenie, choć sama jeszcze stoję, a ty już siedzisz. Czy przebywanie w więzieniu aż tak na ciebie podziałało? Marynarka od garnituru – tego samego kosztownego szarego garnituru, który wyglądałam w krypcie pod pałacem Westminster – zwisa ci z ramion. Policzki masz zapadnięte. Chociaż ogoliłeś się gładko, twoja skóra ma szary odcień, jakby kilkudniowy zarost lepiej ci pasował. Włosy masz schludnie przyczesane, trochę przykłapnięte i zauważam, że przerzedzają ci się na czubku. Zawsze były takie przerzedzone? Czy może zauważam to dopiero teraz, bo wydajesz się taki bezbronny? W dużych ciemnych oczach, oczach, które wpatrywały się we mnie w pierwszych tygodniach naszego romansu, widać teraz pustkę – jakbyś patrzył na mnie, ale mnie nie widział. Nasze spojrzenia spotykają się na moment, ale nic tam nie ma.

Zasiadam w ławie oskarżonych. Teraz dzieli nas dwoje strażników. To musi być gra, myślę sobie. Wiem, że nie możemy dać po sobie poznać, że coś nas łączy. To zaszkodziłoby nam obojgu. Ale pustka w twoim wzroku jest straszliwa. Co się stało?

Byłeś przetrzymywany w innym miejscu niż ja, w celi kategorii A, to ciebie wprowadzili na salę w pierwszej kolejności. Twoje imię też figuruje pierwsze na akcie oskarżenia, więc wszystko w trakcie tego procesu najpierw będzie dotyczyło ciebie. Nawet teraz, gdy już zostałam usadzona, trudno mi oprzeć się pokusie, by na ciebie nie zerknąć. Ostatnim razem, gdy cię widziałam, siedziałeś na miejscu pasażera w moim samochodzie, w pobliżu stacji metra South Harrow. Dałabym tak wiele za pół godziny z tobą sam na sam, zanim to wszystko się zacznie. Nie po to, żeby rozmawiać o naszej obronie, lecz po to, by popatrzeć ci w oczy, dotknąć twojej twarzy...

Ten garnitur... ten sam kosztowny szary garnitur, który miałeś na sobie tamtego dnia w pałacu Westminster, gdy zabrałeś mnie na dół do kaplicy. Już po wszystkim ukląkłeś u moich stóp, nasunąłeś mi botek na nogę i go zapiąłeś. Na moment wracam we wspomnieniach do tamtej chwili i myślę, że to, co zrobiliśmy, wydałoby się takie wstrętne ławie przysięgłych, mimo że było tak niewinne. Nikogo nie skrzywdziliśmy tym aktem. Ale dzięki Bogu nic z tego nie wyjdzie na jaw podczas tego procesu. Gorący wstyd, który odczuwam, nie wynika z samej natury naszego czynu, ale z myśli o tym, w jaki sposób zostałby zaprezentowany w kontekście naszych zarzutów, jak zostałby wykorzystany, aby nas oczernić i potępić. Oskarżenie byłoby zachwycone tą informacją, ale nie otrzyma jej, bo obrona nie ma obowiązku ujawniać wszystkiego na temat swojego klienta. Ty też z pewnością widziałeś dokumenty, w których wstępnie przedstawiono naszą sprawę. Zastanawiam się, czy to dlatego włożyłeś ten garnitur pierwszego dnia procesu. Czy sygnalizujesz mi w ten sposób nasze zwycięstwo w tej kwestii. Nikt o nas nie wie i nikt się nie dowie. Musimy tylko trzymać nerwy na wodzy.

Aby przestać o tobie myśleć, spoglądam na zespoły adwokatów i przeżywam chwilę konsternacji, której znaczenie stanie się dla mnie jasne dopiero później. Patrzę na adwokata oskarżenia i odkrywam, że wygląda dokładnie tak, jak ostrzegał mnie Laurence: młoda kobieta po trzydziestce, drobna i nienagannie ubrana, o kasztanowych włosach i stalowym spojrzeniu. Ale przecież siedzi w złym miejscu, stwierdzam, ściągając nieznacznie brwi. Objasniono mi wcześniej rozkład sali sądowej. Dlaczego siedzi przy stole sąsiadującym ze stołem Roberta, po jego prawej stronie? Rozglądam się i dopiero po chwili dociera do mnie, że ta młoda kobieta nie jest oskarżycielem w naszej sprawie. Adwokat oskarżenia to kobieta w moim wieku, korpulentna, spowita w czarną togę, z okularami na nosie, typ szkolnej pielęgniarki. Siedzi na właściwym miejscu, po lewej stronie. Towarzyszy jej młodszy oskarżyciel – młody mężczyzna, który buja się na krześle. Tymczasem młoda pani adwokat z kasztanową grzywką należy do zespołu obrony. Nie mojej obrony, oczywiście. Ta kobieta reprezentuje ciebie.

Drzwi do ławy sędziowskiej otwierają się i wchodzi przez nie woźna sądowa, kobieta o ciemnych lokach, w todze, ale bez peruki. Odklepuje swoją formułkę:

– Proszę powstać. Wzywa się wszystkich do wejścia na salę... – mamrocze dalej, podnosząc głos tylko na sam koniec, gdy padają słowa: – Boże, chroń Królową.

Otwiera drzwi dla sędziego i nagle wszyscy zrywają się z miejsc, skupieni w grupkach adwokaci rozchodzą się i w pośpiechu zajmują swoje pozycje. Młodszy oskarżyciel przestaje się bujać na krześle i prostuje jak struna. Strażniczka siedząca po mojej lewej szturcha mnie łokciem, chociaż widzi, że już wstaję. Ten zbiorowy akt szacunku robi na mnie większe wrażenie niż cokolwiek innego tego ranka. Podkreśla powagę mojego położenia, uświadamia mi, że oto staję w obliczu autorytetu, bezradna, jak ostatnio byłam w dzieciństwie.

Po raz pierwszy mam okazję zerknąć na sędziego. Jest niski i ma pozbawioną wyrazu pomarszczoną twarz. Nie tyle podchodzi do swojego fotela, ile sunie majestatycznie, otoczony nimbem człowieka, któremu nie ciąży odpowiedzialność, który był zadowolony, ale nie zaskoczony, gdy nadano mu tę władzę. Odwraca się i wita zebranych na sali tradycyjnym skinieniem głowy. Adwokaci ustawiają się

przed nim, prawnicy i policjanci, wszyscy się kłaniają, a potem siadają. Sędzia zerka na ławę oskarżonych, a ja kłaniam się niezgrabnie, po czym również zajmuję swoje miejsce.

Na salę zostaje wezwana ława przysięgłych. Jej członkowie wchodzą drzwiami po lewej i zbijają się w grupkę pod galerią dla publiczności, która wciąż jest pusta. Wydają się tu nie na miejscu, zwyczajnie mężczyźni i kobiety w płaszczach, z torbami i plecakami. Sekretarz sądu wyczytuje nazwiska jedno po drugim, a ja obserwuję kolejne osoby przechodzące na przeciwną stronę pomieszczenia. Wszyscy zgromadzeni na nich patrzą, każde z nas czyni własne kalkulacje co do ich usposobienia. Czy ten łysy młody mężczyzna z kolczykiem, który się czerwieni, ale nie spuszcza głowy, nie sprawia wrażenia twardziela, kogoś, kto sam bił się raz czy dwa i może mu imponować zdolność człowieka do samoobrony? Czy kobieta o siwych włosach, która wygląda jak pracownica społeczna, będzie skłonna uwierzyć w twoją ograniczoną poczytalność? A tamten starszy biały mężczyzna o posturze wojskowego? Wygląda na człowieka, który uważa kobiety za przebiegłe stworzenia. A może wręcz przeciwnie, może jest rycerski i wierzy, że kobiety z natury są mniej skłonne do przemocy.

Kiedy już cała dwunastka zostanie wyczytana, długo szurają i pokaszują, sadowiąc się na miejscach. Większość z nich nie patrzy na nas. Są świadomi, że wszyscy się na nich gapią. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety wydają się ogromnie zakłopotani tym, że się tu znaleźli.

Potem przychodzi pora na zaprzysiężenie. Na sali musi panować cisza, podczas gdy kolejni członkowie ławy wstają i składają przysięgę. Wszyscy, poza pięcioma osobami, przysięgają na Boga Wszechmogącego. Z pozostałej piątki dwie osoby przysięgają na Allaha, a jedna – na świętą księgę Sri Guru Granth Sahib. Tylko dwie osoby składają przysięgę świecką.

Sędzia czyni wstępne uwagi, wyjaśniając członkom ławy przysięgłych, że muszą podjąć decyzję wyłącznie na podstawie dowodów, które zostaną im przedstawione na tej sali. Koncentruje się szczególnie na zgubnych skutkach wyszukiwania informacji na temat naszej rozprawy w internecie. Ostrzega sędziów przysięgłych przed Facebookiem, Twitterem i wszelkimi innymi portalami społecznościowymi. Te nazwy w ustach mężczyzny noszącego perukę z końskiego włosia brzmią tak komicznie, że jedna czy dwie osoby z ławy przysięgłych nie potrafią powstrzymać uśmiechu. Potem sędzia rzuca okiem na leżące przed nim papiery, pochyla się i uprzejmie zwraca do swojego sekretarza:

– Obawiam się, że nie mam porządku wystąpień...

Sekretarz odwraca się, wstaje i wskazuje na dokument po jego lewej.

– Jest tutaj, wysoki sędzie.

– Ach, wielkie dzięki.

Oskarżyciel już wstał. Korpulentna kobieta wydaje się duża i powolna, ale również poważna i godna zaufania. Ja bym jej zaufała. Sędzia udziela jej głosu skinieniem głowy. Kobieta spogląda na ławę przysięgłych i mówi uprzejmie

– Panie i panowie, występuję jako oskarżyciel w tej sprawie... – mówi dość cicho, na szkocką modłę miękko wymawiając głoskę „r”. Jej ton jest powściągliwy, pozbawiony ostentacyjności czy słusznego gniewu. Dominuje w nim smutek wynikający z tego, że musieliśmy się tu dzisiaj zebrać. – W sobotnie

popołudnie, w październiku zeszłego roku, mężczyzna przyrządził sobie w kuchni filizankę herbaty.

Na sali panuje cisza jak makiem zasiał.

– Ponieważ mieszkał sam i rozwiódł się kilka lat wcześniej, nie miał za dużo do roboty w weekendy. Napełnił dzbanek i właśnie kładł na talerzu dwa herbatniki, gdy zadzwonił telefon. Okazało się, że to jego owdowiały ojciec, mieszkający w hrabstwie West Midlands.

W tym momencie otwierają się drzwi do galerii dla publiczności. Widzowie zawsze są wpuszczani nieco później. Wszyscy zerkają w górę, podczas gdy strażnik wprowadza małą grupkę osób. Posuwają się powoli, nieśmiało. Natychmiast dostrzegam Susannah, która posyła mi bladą uśmiech. Za nią wchodzi dwóch młodych mężczyzn i jeden starszy, zapewne studenci prawa oraz ich wykładowca, a potem z pół tuzina gapiów. Oskarżyciel przerwała tylko na moment. Podejmuje przemowę, a my z powrotem skupiamy na niej uwagę:

– Jego ojciec, Raymond, był emerytowanym świeckim pastorem metodystów i jedyną osobą, z którą ten mężczyzna wciąż miał bliski i zażyły kontakt. Mężczyzna odebrał telefon i wypytał ojca szczegółowo, jak ten się czuje. Jego ojciec cierpiał – cierpi – na początkowe stadium stwardnienia rozsianego i jest częściowo niepełnosprawny. Po mniej więcej dziesięciu minutach mężczyzna wspomniał ojcu, że zaparzył sobie herbatę. Ojciec odpowiedział, że powinien jej sobie nalać, zanim zrobi się za mocna, czy też, aby użyć jego słownictwa, „za bardzo się zaparzy”...

W tym momencie przerywa, spuszcza wzrok na swoje notatki, podnosi stojącą przed nią szklankę wody i bierze mały, schludny łyk. Potem znowu zerka w papiery, ale nie po to, żeby coś sobie przypomnieć, lecz by podkreślić powagę historii, którą relacjonuje. Później zauważę, że często to robi w trakcie procesu. Dojdę do wniosku, że to pretensjonalne zachowanie, starannie kultywowany chwyt, taki sam jak zsuwająca się z ramienia toga Roberta. Kobieta znowu podnosi wzrok.

– Mężczyzna zakończył rozmowę – podejmuje przerwany tok myśli – obiecując, że wypije herbatę, a potem od razu oddzwoni do ojca. Ojciec powiedział, że wkrótce wybiera się do sklepu na rogu, ale jeśli się miną, to spróbuje potem się do niego odezwać. Mężczyzna poprosił ojca, żeby na siebie uważał. Martwił się, że ten potknie się o krawężnik, jako że miał problemy z chodzeniem.

W tym momencie kobieta znowu milknie, ale tylko na moment. Nie chce, żeby jej opowieść brzmiała melodramatycznie.

– To była ostatnia rozmowa, jaką ten mężczyzna odbył ze swoim ojcem. W rzeczy samej, była to ostatnia rozmowa, jaką odbył z kimkolwiek. – Ciche kasznięcie. – To jest z kimkolwiek poza osobą, która miała go zabić.

Jej ton i zdolności oratorskie tak mnie uspiły, że dopiero teraz dociera do mnie, iż sprawa jest już w toku. Nie będzie już więcej X ani Y, żadnych osobistych mitologii ani tajemnic. Tylko dowody. Sprawa Królowa przeciw Markowi Liamowi Costleyowi oraz Yvonne Carmichael się rozpoczęła.



Gdy oskarżyciel, pani Price, zaczynała swoją mowę wstępną, jej ton był cichy, smutny, jakby tak naprawdę nie miała ochoty tu być i pełnić swoich obowiązków. Ale gdy przedstawia w ogólnym zarysie fakty dotyczące naszej sprawy, jej głos przybiera na sile, a ona prostuje się odrobinę, jakby to prawda czyniła ją wysoką, jakby nawet ona, chociaż tak bardzo wyważona, nie potrafiła nie poczuć oburzenia na myśl o zuchwałości naszych deklaracji, na myśl o tym, że nie przyznajemy się do winy.

– Panie i panowie – podsumowuje, patrząc bezpośrednio na ławę przysięgłych. – Usłyszycie na tej sali argumenty obrony. Usłyszycie, że pierwszy oskarżony w tej sprawie uważa, iż nie powinien zostać uznany za winnego ze względu na ograniczoną poczytalność. Że nie był odpowiedzialny za to, co zrobił tamtego popołudnia, bo cierpi na... – milknie na sekundę, by podkreślić swoje niedowierzanie – z a b u r z e n i a o s o b o w o ś c i... Usłyszycie też argumenty drugiej oskarżonej, która twierdzi, że jest... – znowu ta króciutka pauza – c a ł k o w i c i e n i e w i n n a. Że nic nie wiedziała o zamiarach oskarżonego, gdy zawiozła go i jego torbę, zawierającą ubrania na zmianę, pod drzwi mężczyzny, który brutalnie ją napadł. Usłyszycie, że twierdzi, iż n i e m i a ł a p o j ę c i a, co się tam dzieje, podczas gdy siedziała w aucie pod tamtym domem, czekając w nieskończoność na kogoś, kogo miała tylko podwieźć. Usłyszycie, że n i e p r z y s z ł o j e j d o g ł o w y, że coś może być nie w porządku, gdy oskarżony nie wracał tak długo, po czym pojawił się w nowym stroju i innych butach, chociaż zaniedbał zmiany skarpetek i to właśnie z nich krew ofiary przeniosła się na dywanik samochodowy oskarżonej.

Tym razem kobieta milknie na dłużej, aby te krótkie pauzy niedowierzania odnalazły się w eterze sali sądowej, połączyły jak atomy, uformowały coś, co będzie większe niż suma ich części. Po chwili podejmuje przemowę, odrobinę ciszej:

– Stanowisko oskarżenia, panie i panowie, jest takie, że to... – znowu podnosi głos – n o n s e n s. Stanowisko oskarżenia jest takie, że to było morderstwo, wspólnie obmyślane i omówione. Że oskarżeni zaplanowali z zimną krwią, z wyprzedzeniem, że jedno z nich dokona tego czynu, a drugie będzie prowadzić samochód, aby ułatwić obojgu ucieczkę z miejsca zbrodni. Że każde z nich było w pełni świadome planów i czynów drugiej strony, a co za tym idzie, jedno jest równie winne jak drugie.

Po tym retorycznym kwiatku kobieta przerywa i spogląda na biurko, na którym leży ogromny biały segregator z mechanizmem dźwigniowym. Takie same segregatory leżą przed każdym z sędziów. My na ławie oskarżonych również je mamy, razem z dwoma innymi plikami dokumentów zbindowanymi wzdłuż lewego boku. Są to dowody rzeczowe numer jeden, dwa i trzy. Kobieta niepotrzebnie przekłada

dokumenty z miejsca na miejsce, zapewne po to, by zaznaczyć, że teraz, wreszcie, przechodzimy do rzeczy.

– Dowód rzeczowy numer jeden, panie i panowie. Będę go nazywać plikiem z mapami. Czy mogę poprosić państwa o otworzenie go na pierwszej stronie?

W zbindowanej książeczce znajduje się zbiór map. Pierwsza, w małej skali, pokazuje miejsce zamieszkania Craddocka w South Harrow oraz mój i twój dom. Od każdej lokalizacji poprowadzono kreskę wychodzącą na margines, gdzie zanotowano nasze adresy. Ty mieszkasz w Twickenham, ja w Uxbridge. Kolejna mapa, w większej skali, pokazuje dokładną lokalizację mieszkania Craddocka na jego ulicy. Do niektórych map dołączono małe prostokątne wydruki nagrań z kamer przemysłowych, również połączone kreskami z odpowiednimi punktami na planie miasta. Oskarżenie omawia te mapy jedną po drugiej, objaśniając szczegółowo, ile czasu zajęłoby przejście między lokalizacjami na piechotę, ile trwałaby jazda... Wymienia przystanki metra i autobusowe położone niedaleko miejsca zbrodni, omawia położenie i nazwy pobliskich sklepów. „To tylko dym i lustra – powie mi później Robert z lekceważeniem w głosie. – Oskarżenie musi naprodukować jak najwięcej faktów. Wszyscy sędziowie przysięgli oglądają telewizję. Oczekują faktów, niezaprzeczalnych faktów, więc oskarżyciel sypie nimi jak z rękawa, nawet jeśli nie mają żadnego znaczenia”.

W końcu pani Price odrobinę zniża głos i zwraca się do ławy przysięgłych:

– Panie i panowie, teraz poproszę państwa o przejście do dowodu rzeczowego numer dwa, który będę nazywać plikiem z materiałami ilustracyjnymi... – Nie bez powodu zaczęła mówić wolniej, ciszej, stała się wręcz powściągliwa. – Muszę państwa poprosić, aby oparli się państwo pokusie kartkowania tych materiałów, jako że chciałabym je objaśnić w odpowiedniej kolejności.

Pierwsza ilustracja przedstawia górną połowę ludzkiego ciała, nagą i łysą, przypominającą manekin krawiecki. Gdy otwieram plik, żeby ją obejrzeć, kątem oka zauważam, że ty nie zaglądasz do swojego. Patrzysz prosto przed siebie.

– Muszę teraz omówić z państwem obrażenia, jakie odniósł pan Craddock tamtego sobotniego popołudnia. Obrażenia, jakie odniósł, co udowodnię, zaledwie kilka minut po zakończeniu ostatniej rozmowy telefonicznej z niepełnosprawnym ojcem. Obrażenia zadane przez mężczyznę, którego widzą państwo na ławie oskarżonych, działającego w zмовie z kobietą siedzącą obok niego.

Na leżący przede mną rysunek nałożono serię obrażeń, ręcznie lub w programie graficznym, ale wydają mi się zdumiewająco realistyczne. Patrzę na rozległe szarawe plamy pokrywające tułów, sinoczerwony ślad na czole, fioletowawy na policzku. Usta są poranione, nos wyraźnie spłaszczony i złamany. Jest też gruba czerwona szrama na szyi. Na następnych stronach widnieją ilustracje samej głowy. Jedna z nich pokazuje paskudnie pokaleczone ucho z częściowo oderwanym płatkiem.

Patrząc na te rysunki, przewracając ilustracje strona po stronie, pani Price wymienia szczegółowo obrażenia odniesione przez George’a Craddocka. Na jego plecach znaleziono serię sińców świadczących o tym, że był deptany, podczas gdy leżał na brzuchu na podłodze – wyraźnie zaznaczono odciski podeszew adidasów. Jego czaszka była pęknięta – przyczyną śmierci okazał się obrzęk mózgu. Miał

złamany nos. Usta i prawe ucho poważnie pokaleczone. Wybito mu cztery przednie zęby.

W sali zapada cisza. Siedzę na ławie oskarżonych, patrząc prosto przed siebie, tak samo jak ty. Nikt już nie odczuwa ekscytacji związanej z rozpoczęciem procesu, rytuałem zaprzysiężenia czy melodramatyczną mową wstępną oskarżenia. Do wszystkich dotarło, że człowiek zmarł straszliwą śmiercią.

– Chciałabym teraz wezwać pierwszego świadka, doktora Nathana Witherfielda.

Woźny opuszcza salę, aby go wprowadzić.

Doktor Witherfield jest bardziej dziarski, niż można by się spodziewać po patologu. Wysoki, o haczykowatym nosie i jasnym głose, promienieje entuzjazmem. Odczytuje przysięgę głośno i z pewnością siebie. Odrzuca propozycję zajęcia miejsca. Jego zadanie polega zaledwie na potwierdzeniu natury obrażeń omówionych przez przedstawicielkę oskarżenia. Jako biegły sądowy może spekulować, wyrażać swoją subiektywną opinię, czego innym świadkom nie wolno robić. Ale jego spekulacje to nic więcej jak stwierdzenie oczywistych faktów.

– Pana imię i nazwisko?

– Doktor Nathan Witherfield.

– Czym się pan zajmuje? – Pani Price ustala kwalifikacje biegłego przez serię pytań. Dopiero potem prosi go, aby zajrzał do dużego białego segregatora zawierającego dokumentację sprawy. Jednocześnie zwraca się do ławy przysięgłych: – Prosiłabym, aby państwo również otworzyli segregatory. Proszę przejść od razu do materiałów umieszczonych za przekładką numer cztery, na stronie dwunastej. Raz jeszcze muszę prosić, aby oparli się państwo pokusie przeglądania kolejnych zdjęć. To ważne, abym na bieżąco wyjaśniała państwu, na co państwo patrzą.

Trzaski wypełniają salę, podczas gdy wszyscy odblokowują metalowe dźwignie w dużych białych segregatorach. Potem rozlega się jeden wielki szelest przerzucanych kartek, jakby przez salę przeleciało stado mew. Te hałasy na moment tłumią szum nieskutecznej klimatyzacji. Oskarżyciel czeka, aż wszyscy się uspokoją i przejrzą zdjęcia. Podobnie jak twój plik z materiałami ilustracyjnymi, twój segregator z dokumentacją pozostaje zamknięty.

– Panie i panowie, z góry przepraszam za drastyczną naturę tych zdjęć. Na większości z nich twarz ofiary została zaciemniona, aby zamaskować najbardziej zatrważające obrażenia.

To już nie są ilustracje. To kolorowe zdjęcia przedstawiające George'a Craddocka w jego mieszkaniu. Leży na plecach, większość jego ciała znajduje się w salonie, głowa w pobliżu aneksu kuchennego. Zamazanie twarzy przywraca mu nieco godności w obliczu śmierci, ale jego T-shirt i džinsy są wyraźnie widoczne. Podciągnięta nogawka spodni odsłania białą łydkę, na stopach miał szare skarpetki i skórzane kapcie. Przyglądam się miejscu, w którym żył. W tle widzę aneks kuchenny z eleganckimi białymi szafkami o drewnianych uchwytych, lodówkozamrażarką i płytą gazową. Na innych zdjęciach zobaczymy brązową skórzaną sofę z brązowo-pomarańczowymi poduszkami w afrykańskie wzory, fotografie dzikich zwierząt na ścianach, skradającą się panterę i szybującego orła, duży biały ręcznik pozostawiony na siedzeniu nowoczesnego jadalnianego krzesła, papiery i książki zaścielające stół ze szklanym blatem,

miskę po płatkach śniadaniowych, kubek i łyżkę wciąż stojące na jego krańcu, za stołem – wnęki z książkami. To całkiem elegancka kawalerka, odważna próba uczynienia komfortowego gniazdka z mieszkania wynajmowanego w podupadłej dzielnicy. Do pewnego stopnia mu się to udało, ostatecznie mnóstwo osób w Londynie mieszka w znacznie gorszych warunkach. Ale coś niepokoje mnie w tym obrazie życia Craddocka i w końcu dociera do mnie co. To ta miska po płatkach śniadaniowych. Craddock był szanowanym wykształconym mężczyzną, wykładowcą, ale odnoszę wrażenie, że ta miska po płatkach wciąż stojąca na stole po południu świadczy o samozaniedbaniu.

Oskarżenie zachęca nas, abyśmy porównywali zdjęcia z segregatora z materiałami ilustracyjnymi, podczas gdy szczegółowo omawia je z lekarzem. W którymś momencie zwraca się do patologa:

– A czy mógłby mi pan powiedzieć, doktorze Witherfield, jakiej siły trzeba użyć, żeby wywołać takie obrażenia w okolicy szyi?

– Oczywiście – odpowiada chętnie patolog. – To tępy uraz zadany ze sporą siłą, mogący być skutkiem deptania ofiary leżącej na podłodze w pozycji na wznak.

– A po czym można stwierdzić, że trzeba było do tego sporej siły?

– Cóż, oczywiście po siniakach i zmiążdżonej krtani. Przy takim zakresie obrażeń powiedziałbym, że ofiara leżała nieruchomo na ziemi, podczas gdy osoba stosująca siłę być może naskoczyła jej na gardło.

Dźwięk, który trudno opisać słowami, elektryzuje całą salę. Brzmi to jak rzeźnienie, ale przenikliwe i mimowolne, graniczące niemal z gulgotaniem. Z wysiłkiem wydostaje się z gardła ojca Craddocka siedzącego w wózku inwalidzkim w kącie sali, najbliżej drzwi wejściowych. Głowy wszystkich odwracają się w jego stronę. Sędzia spogląda na niego ostro. Widzowie zasiadający na publicznej galerii wychylają się przez barierkę – słyszą ten dziwaczny odgłos, lecz nie potrafią zidentyfikować jego źródła. Reszta z nas patrzy w milczeniu. Policjantka siedząca obok staruszka kładzie mu dłoń na ramieniu. Pochyliła się ku niemu i przemawia cicho, próbując go uspokoić, ale on dalej zawodzi. Przez chwilę mam wrażenie, że cierpi na zaburzenia mowy i jest to jedyny sposób, w jaki może się porozumiewać, ale wtedy on krzyczy:

– George! George, mój synek! Georgie!

Zerkam na sędziego, który marszczy brwi. Komisarz Cleveland już zerwał się na nogi i przepycha się w tamtą stronę. Wraz z pozostałymi policjantami otaczają mężczyznę, manewrują wózkiem i wypychają go z sali, ale krzyki staruszka jeszcze długo rozbrzmiewają na korytarzu. Wkrótce sędzia zarządza przerwę na lunch. Sekretarz sądu woła: „Proszę powstać!”, a my zrywamy się na nogi, podczas gdy sędzia opuszcza pomieszczenie. Adwokaci odchylają się na krzesłach, przeciągają. Funkcjonariusze zbici w grupkę przy drzwiach rozmawiają cicho. Policjantka przydzielona do opieki nad ojcem Craddocka wraca na salę bez niego i kręci głową. Strażnik siedzący obok mnie dotyka mojego łokcia, a ja odwracam się, żeby zejść na dół, do celi. Nie oglądam się na ciebie. Wracam do mojej betonowej, żółto-niebieskiej trumny i przynoszą mi lunch – szare klopsiki w kałuży brązowego zawiesistego sosu. Skubię parę ziaren ryżu leżących z boku. Biorę kęs białego chleba posmarowanego margaryną, ale staje mi w gardle, krtuszę się. Przełykam go, popijam odrobiną wody z plastikowego kubka, po czym odstawiam tacę

z jedzeniem na ławkę obok siebie, opieram się o betonową ścianę i zamykam oczy. Zdławione krzyki ojca George'a Craddocka wypełniają mi głowę. Klarujący się obraz twoich działań wydaje się tak ohydny, tak do ciebie niepodobny, że ledwie potrafię go pojąć, nawet gdy w wyobraźni wykrzywiam twoją przystojną twarz w maskę szału i nienawiści.

\*\*\*

Po lunchu twoja adwokat, młoda pani Bonnard, wstaje, żeby przesłuchać patologa. Oto jest dziwactwo systemu sądownictwa. W przeciwieństwie do oskarżenia obrona nie wygłasza żadnej mowy wstępnej, więc gdy pani Bonnard wstaje po raz pierwszy, nie mamy pojęcia, jaka będzie jej argumentacja, do czego będą zmierzać jej pytania.

I rzeczywiście cel jej pytań pozostaje dla mnie niejasny. Prosi patologa, aby ocenił, ile czasu mogło upłynąć, nim nastąpiła śmierć wskutek obrażeń odniesionych przez Craddocka. Potem porusza jakieś kwestie techniczne dotyczące obrzęku mózgu i ustala, że chociaż lekarz może to oszacować, w rzeczywistości margines jest dość szeroki. Poza tym nie da się dokładnie ustalić, który z ciosów w głowę rzeczywiście wywołał ów obrzęk. Craddock miał również ranę z tyłu głowy, którą odniósł, upadając na podłogę. Jeśli, jak sądzę, próbuje sugerować, że jego śmierć mogła być przypadkowa, to w mojej opinii nie ma szans. Dotkliwość obrażeń jasno dowodzi, że to był zdecydowany atak.

Ojciec Craddocka wrócił na salę w towarzystwie policjantki. Robert powie mi później, że sędzia ostrzegł policję, iż jakiegokolwiek dalsze interwencje ze strony tego człowieka mogą stanąć na przeszkodzie sprawiedliwemu osądzeniu i że jeśli mężczyzna nie zachowa ciszy, zostanie wyłączony z procesu. Od tej chwili staruszek pozostaje niewzruszony, ale jego obecność będzie silnie oddziaływać na ławę przysięgłych.

W końcu pani Bonnard mówi:

– Dziękuję, doktorze Witherfield, proszę pozostać na swoim miejscu. – Odwraca się do sędziego, kłania się lekko: – Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie.

Siada. Robert, mój adwokat, wstaje.

– Wysoki sędzie, nie mam pytań do tego świadka.

Siada znowu. Sędzia zwraca się do doktora Witherfielda:

– Dziękuję, doktorze, jest pan wolny. Pozwoli pan, że przypomnę, aby nie omawiał pan z nikim tej sprawy ani zeznań, które pan złożył.

Patolog kiwa głową i schodzi po schodkach.

Niektórzy sędziowie przysięgli wciąż patrzą na Roberta. Obrzucają go lekko zdziwionymi spojrzeniami, które jeszcze nieraz będą kierować w jego stronę w trakcie wystąpienia oskarżenia. Widzę, że zastanawiają się, dlaczego nie miał pytań do doktora Witherfielda. Sama bym się nad tym zastanawiała, gdyby Robert zawczasu nie wyjaśnił mi swojej strategii. „Nie będziemy wkraczać do akcji, dopóki nie będzie to konieczne – powiedział. – Pozwolimy, aby to drugi zespół obrony ścigał na siebie ogień. To tylko podkreśli, że to pan Costley jest tu sprawcą. Dlatego nie będziemy przesłuchiwać

patologa ani żadnego innego świadka oskarżenia”. Ja zostałam w to wplątana przypadkiem, więc dlaczego mielibyśmy ich przesłuchiwać? Zakodujemy to w umysłach członków ławy przysięgłych poprzez n i e z a d a w a n i e pytań świadkom strony przeciwnej. I rzeczywiście, w trakcie całego procesu Robert wezwie i będzie przesłuchiwał tylko jednego świadka – mnie.

Drugi dzień naszego procesu również skupia się na wynikach ekspertyzy zakładu medycyny sądowej. Nie tak to sobie wyobrażałam. Spodziewałam się, że oskarżenie zacznie od przedstawienia naszych motywów, oczernienia naszych charakterów, nakreślenia tego, co skłoniło nas do popełnienia tego potwornego czynu. Ale nie, drugiego dnia zeznania składa biegły od śladów krwawych.

Dziś potrafię się zdobyć na większą obojętność. Już tego drugiego dnia przestaję postrzegać Craddocka jako człowieka – staje się zaledwie dowodem rzeczowym. Nie sądzę, by wynikało to wyłącznie z mojej nienawiści do niego. Ma to też związek z uproszczeniem, jakiemu poddano jego życie i śmierć. Oto, co się dzieje, gdy umieramy – stajemy się serią faktów. Tylko od czasu do czasu zauważam przebłysk jego prawdziwego życia i to zawsze przez nieoczekiwane detale. W pliku z materiałami ilustracyjnymi znajdują się dwa szkice postaci przypominających sklepowe manekiny, umieszczone jeden obok drugiego na sąsiednich stronach. Jeden szkic przedstawia ciebie w ubraniu, które odkryto w plastikowym worku na śmieci porzuconym w śmietniku w parku trzy kilometry od twojego domu. To granatowe spodnie do joggingu, ta pierwsza para, oraz szary T-shirt, który miałeś na sobie, gdy zabrałam cię ze stacji metra tamtego dnia. Większość krwi znajdowała się na ciemnych spodniach i nie była widoczna gołym okiem, ale została zaznaczona na szkicu, od którego prowadzi kreska do okienka z ich opisem na marginesie. Jest też kilka plam krwi na szarym T-shircie i te zaznaczono na rysunku, ale dodano też powiększone zdjęcie koszulki z plamami wziętymi w kółko długopisem. Ślady są brązowe, mają łososiowy odcień, ale są wyraźne.

Druga ilustracja przedstawia Craddocka. Miał na sobie jasnobrązową koszulę i krew jest na niej bardziej zauważalna – to jego krew, krew, która zaczęła lać mu się z nosa po tym, jak mu go złamałeś. Gdy biegły od śladów krwawych komentuje ten rysunek, pada uwaga, że w koszuli brakowało guzika i nie ma sposobu na to, aby stwierdzić, kiedy odpadł, ale ponieważ wyraźnie widać plamę krwi wokół dziurki, sugerowałyby to, że doszło do tego przed napaścią. To tylko utwierdza mnie w przekonaniu, do jakiego doszłam na widok miski po płatkach stojącej od rana na stole w jadalni. Craddock mieszkał sam, był rozwiedziony. Kupował designerskie koszule, ale nie chciało mu się przyszywać z powrotem guzików, mimo że nie miał za dużo do roboty wieczorami. Wyobrażam sobie, jak oceniał prace studentów, oglądał telewizję i masturbował się przy filmach pornograficznych, które regularnie oglądał na swoim komputerze.

Twoja pani adwokat, opanowana pani Bonnard, znowu wstaje, by przesłuchać świadka oskarżenia.

Tym razem spiera się o różnicę między krwią a krwią rozcieńczoną. Krew rozcieńczona to taka, która wymieszała się z innym płynem, powiedzmy, z wodą czy moczem. I nie ma znaczenia, czy chodzi o całe wiadro, czy o jedną kroplę. Trwa spór o to, czy Craddock opróżnił pęcherz w trakcie ataku. Ekspert od analizy śladów krwawych dostaje do wglądu odpowiednią stronę z raportu patologa, wedle której pęcherz ofiary był opróżniony, ale nie jest w stanie stwierdzić, czy doszło do tego w trakcie ataku, czy ofiara oddała mocz tuż przed napaścią. Linia obrony pani Bonnard znowu wydaje mi się niejasna. Chce chyba podkreślić, że poplamione krwią ubranie Craddocka nie zostało przebadane pod kątem obecności moczu, chociaż powinno. Docieka też, czy smuga krwi znaleziona na podłodze była rozcieńczona, czy nie. Staje się jasne, że pani Bonnard zamierza rzucić wyzwanie każdemu świadkowi oskarżenia. Zakwestionuje każdy dowód rzeczowy zaprezentowany przez panią Price.

I znowu mój adwokat wstaje tylko po to, aby uprzejmie ukłonić się sędziemu i powiedzieć, że nie ma pytań do świadka. I znowu sędziowie przysięgli patrzą na niego pytająco. Tym razem jedna czy dwie osoby zerkają również na mnie.

\*\*\*

Po tym jak wypowiedzą się wszyscy biegli, pani Price zaczyna wzywać na świadków osoby, które w myślach nazywam amatorami. Ich zeznania zajmują resztę drugiego dnia i cały dzień trzeci. Wydaje mi się, że są powoływane głównie po to, aby oskarżenie nie zakończyło wystąpienia zbyt szybko. Jest tylko jeden świadek, który widział Craddocka tamtego dnia – mężczyzna ze sklepu spożywczego. Craddock poszedł tam rano, żeby kupić gazety „Guardian” i „Sun”, litrowy karton mleka, paczkę papierosów Marlboro Light, opakowanie cukierków Werther’s Original i paczkę salami. Zapłacił banknotem dwudziestofuntowym. Otrzymał zakupy w plastikowej torbie w białe i niebieskie pasy. Schował drobne do kieszeni zamiast do portfela. Istnieje nagranie z kamery przemysłowej przedstawiające go przy kasie. Spuszczam wzrok, gdy wyświetlają je na dwóch ekranach po obu stronach sali, jednym umieszczonym na ścianie, a drugim zawieszonym tuż pod galerią dla publiczności. Nawet teraz, po tym wszystkim myśl o zobaczeniu go żywego, poruszającego się budzi we mnie odrazę. Wracam do tego, co zrobił: jego twarz tuż przy mojej, studenci z workami na śmieci snujący się po wielkiej sali, moja skroń dociśnięta do ściany taksówki w drodze do domu, uśmiech, jaki posłał mi przez okno salonu fryzjerskiego.

Przesłuchanie jest bardzo szczegółowe.

– A jak opisałby pan sposób, w jaki to powiedział? – pyta w którymś momencie oskarżyciel.

Chodzi o zdanie brzmiące: „I paczkę marlboro lights”. Pani Price ustala dzięki temu przesłuchaniu zaledwie tyle, że George Craddock zachowywał się tamtego dnia zupełnie normalnie. Nie był nerwowy czy niespokojny i najwyraźniej nikt go nie śledził.

Niektórzy świadkowie są przesłuchiwani w niemal nieuprzejmym pośpiechu. Sąsiadka Craddocka, która zobaczyła mój samochód jadący ulicą, zostaje zapytana tylko o jedno:

– Mówi pani, że samochód jechał wolno. Czy ma pani na myśli, że jechał bardzo wolno?

Starsza biała kobieta wystroiła się na tę okazję w elegancki granatowy kostium. Kartka drży jej



w dłoni, gdy odczytuje tekst przysięgi. Zerka na ławę oskarżonych, gdy wchodzi, i raz jeszcze, gdy opuszcza salę, ale w trakcie składania zeznań patrzy stanowczo przed siebie.

– Eee... powiedziałabym, że bardzo wolno, tak jakby czegoś szukali...

Pani Bonnard natychmiast zrywa się na nogi.

– Wysoki sędzie, świadek nie jest tutaj po to, aby spekulować na temat zamiarów osób znajdujących się we wspomnianym samochodzie.

Sędzia pochyla głowę.

– Pani Morton, czy mogłaby pani łaskawie ograniczyć swoje odpowiedzi do konkretów, o które jest pani pytana?

– Och, tak, oczywiście... – drży pani Morton.

– A zatem bardzo powoli...? – powtarza pani Price.

– Tak, powiedziałabym, że bardzo powoli.

Nawet pani Bonnard nie ma pytań do tego świadka, a Robert, oczywiście, również nie ma żadnych. Gdy sędzia mówi pani Morton, że jest wolna, wygląda na nieco zawiedzioną, jakby zawaliła przesłuchanie do roli w teatrze.

\*\*\*

Czwartego dnia procesu cały poranek zajmują dysputy prawne. Trwa debata na temat dopuszczalności tak zwanego dowodu ze słyszenia, który mógłby postawić oskarżonego w złym świetle i miałby zostać przedstawiony przez świadka powołanego przez panią Price. Ma to jakiś związek z twoją przeszłością. Teraz, gdy oskarżenie skupia się na tobie, nieuchronnie przejdzie też do mnie – i do tego, co zrobił mi Craddock. Będzie znacznie trudniej.

Ława przysięgłych zostaje wezwana dopiero po południu. To wtedy dochodzi do kolejnego wydarzenia, które przywraca zgromadzonych na sali do rzeczywistości, wsysa nas w jej wir jak zwykle w momencie, gdy najmniej się tego spodziewamy. Jestem już zmęczona, chociaż nie tak bardzo, jak będę później. Nie sypiam za dobrze w więzieniu – nikt nie sypia dobrze w więzieniu, chyba że dostanie tabletkę, dzięki której padnie jak zabity.

\*\*\*

Ten jeden raz galeria dla publiczności jest niemal pusta – do incydentu z twoją żoną jeszcze nie doszło, nie pojawili się żadni studenci, a Susannah nie dała rady tu dotrzeć tego popołudnia. Widzę dwie osoby, które mogą być dalekimi krewnymi Craddocka. Emerytowana para, która przychodzi właściwie codziennie, siedzi w głębi, najbliżej drzwi. Miejsce dla świadka zajmuje właśnie kobieta, która znalazła ciało Craddocka. To do niej należało mieszkanie, które wynajmował. Przedstawia się jako Asuntha Jayasuriya, dyrektor zarządzająca Petal Property Services. Jest właścicielką siedemnastu nieruchomości pod wynajem w okolicy. To była wyłącznie kwestia przypadku, że ciało odkryto tak szybko. Zyskalibyśmy z tydzień, może nawet dziesięć dni, nim ktoś na uniwersytecie zgłosiłby, że Craddock

przestał przychodzić do pracy, i w jego domu pojawiłaby się policja. Mieliśmy pecha. Otóż Craddock zalegał z opłatami za czynsz. Pracownicy pani Jayasuriyi wysłali mu już kilka pism, ale nie uzyskali żadnej odpowiedzi, więc kobieta postanowiła pojawić się u niego nieoczekiwanie w sobotnie popołudnie. Normalnie nie robiła takich rzeczy, ale Craddock był jej wieloletnim lokatorem i nigdy wcześniej nie zalegał z czynszem, więc chciała się dowiedzieć, na czym polega problem. Zresztą i tak była w okolicy. Weszła do budynku i ruszyła schodami do mieszkania na pierwszym piętrze, licząc na to, że uda jej się go zaskoczyć. Tymczasem to ona przeżyła przykrą niespodziankę. Był z nią jej bratanek, ale poleciła mu, aby poczekał w korytarzu. Gdy zapukała do drzwi mieszkania B, nikt nie otworzył, ale słyszała dźwięki płynące z radia, więc nabrała podejrzeń, że Craddock jest w domu, tylko jej unika. Zapukała głośno i zawołała: „Wchodzę do środka, panie Craddock!”, po czym otworzyła sobie drzwi zapasowym kluczem. Nawet nie zdążyła ponownie go zawołać – drzwi otwierają się prosto na salon – i natychmiast zobaczyła ciało. Pani Jayasuriya jest nie tylko kobietą sukcesu, lecz także najwyraźniej kobietą wyjątkowo opanowaną, bo nawet nie krzyknęła ani nie zawołała bratanka na pomoc. Nie ruszając się z miejsca, zadzwoniła z komórki pod numer alarmowy.

Teraz siedzi wyprostowana, podczas gdy materiał z nagraniem zostaje odtworzony w sądzie. W jej głosie nie ma ani śladu hysterii czy szoku.

– Telefon alarmowy. Słucham?

– Myślę, że on nie żyje.

– Przepraszam, kto nie żyje?

– Mężczyzna. Mężczyzna, który wynajmuje ode mnie mieszkanie. Jestem tutaj, w mieszkaniu, a on leży na podłodze. Krew jest wszędzie. On nie żyje. Podaję adres... – Pani Jayasuriya podaje adres z pełnym kodem pocztowym.

– W porządku, jednostki są w drodze. Proszę podać nazwisko.

– Nazywam się Asuntha Jayasuriya. J, A, Y... – powoli literuje swoje nazwisko.

– A skąd pani wie, że ten człowiek nie żyje?

– To oczywiste.

Potem słyhać małe zamieszanie, pojawia się bratanek i krzyczy:

– Ciociu! Ciociu!

Pani Jayasuriya ucisza go w języku, którego nie rozpoznaje. Ale najwyraźniej każe mu się trzymać z daleka.

Chociaż pani Jayasuriya jest wyważona i pragmatyczna, nagranie wydaje się szokujące, ucisza zebranych na sali. Nie rozlega się nawet szuranie stóp czy szelest przewracanych papierów, towarzyszące wielu innym zeznaniom. To efekt tunelu czasoprzestrzennego. Przenosimy się tam, wyobrażamy sobie, że George Craddock leży na podłodze przed nami z głową w okolicach aneksu kuchennego. Widzimy krew i słyszymy zatrwożone okrzyki bratanka, a w tle rażąco wytworny ton prezentera radiowej czwórki.

W piątek ława przysięgłych w ogóle nie zostaje wezwana. Dalej trwają prawne spory o dopuszczalność dowodów ze słyszenia. Ty i ja siedzimy na ławie oskarżonych, jak zawsze, i przysłuchujemy się temu wszystkiemu. W którymś momencie pochylasz się i kładziesz przedramiona na małej półeczce przed sobą. Opierasz podbródek na przedramionach i patrzysz prosto przed siebie. Nie potrafię stwierdzić, czy jesteś znudzony, czy wyjątkowo skupiony. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak przeżywasz to wszystko. Strefa dla więźniów kategorii A w gmachu sądu prawdopodobnie bardzo przypomina tę, w której ja przebywam, ale podejrzewam, że twoje więzienie bardzo różni się od mojego. A siedzisz tam już tak długo. Czy się przystosowałeś? Czy niedostatki tego miejsca stały się dla ciebie rutyną? A może jesteś przerażony? Wyglądasz na zupełnie odmienionego, tak bardzo różnisz się od tych skrawków ciebie, które pozwoliłeś mi zobaczyć. Wspominam te upajające, pierwsze dni naszego romansu i mam wrażenie, że wydarzyły się w jakimś filmie. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę uprawialiśmy seks w pałacu Westminster. Ledwie potrafię uwierzyć, że w ogóle uprawialiśmy seks. Przenikało mnie wtedy dojmujące uczucie, od którego kręciło mi się w głowie, jakbym zanurzyła twarz w błogo pachnącym bukacie lilii. Czy to było szczęście? A może jakiś rodzaj uzależnienia od naszej opowieści, od dramatyizmu naszych działań? Jeśli to był film, to byliśmy jego gwiazdami.

\*\*\*

W trakcie weekendu nikt mnie nie odwiedza. Susannah proponowała, że przyjdzie, ale i tak już poświęca za dużo czasu na rozprawę, więc powiedziałam jej, żeby tego nie robiła. Zmyśliłam historyjkę, że muszę spędzić ten weekend bez myślenia o procesie, ale w rzeczywistości chciałam, żeby to ona zrobiła sobie przerwę. Ja nie mam przerwy i nie mogę na nią liczyć. W kolejce po śniadanie duża kobieta imieniem Letitia szturcha mnie umięśnionym ramieniem, zbliża twarz do mojej twarzy i pyta:

– Jak tam twój proces, bogata dziwko?

„Bogata dziwka”, tak mnie tu nazywają. Każdy ma jakieś przezwisko.

Jej pytanie nie jest ani uprzejme, ani przyjacielskie. Odwracam głowę, a Letitia, która ma cienkie szarawe blond włosy i nos po kilku złamaniach oraz błysk prawdziwej psychozy w oczach, wsuwa gruby palec wskazujący pod moją plastikową tacę i podbija ją do góry. Gorąca herbata parzy mnie przez koszulkę, a fasola w sosie pomidorowym pryska mi na spodnie. Strażniczka w kącie woła ze znużeniem:

– Letitia! Do mnie proszę, natychmiast!

Bardzo młoda, bardzo ładna czarnoskóra dziewczyna stojąca przede mną bierze z blatu cienką papierową serwetkę, wręcza mi ją i mówi mimochodem:

– Ta pieprzona lesba nie panuje nad sobą.

W trakcie czasu wolnego, który spędzamy w świetlicy, Letitia siedzi w kącie i piorunuje mnie wzrokiem, podczas gdy wiszący wysoko na ścianie telewizor ryczy reklamami, a nowa narkomanka w naszym skrzydle staje twarzą do ściany i powoli wali w nią głową.

– Ej, jełopo! – krzyczy Letitia do narkomanki. – Nabawisz się pieprzonego bólu głowy!

Potem wraca do gapienia się na mnie. Ignoruję ją. Jestem zirytowana, że wolno jej było przyjść na

światlicę po tym porannym incydencie. Ale jej agresja mnie nie przeraża. Wręcz przeciwnie, po całym tygodniu rozprawy przynosi ulgę.

\*\*\*

W poniedziałek oskarżenie zaczyna od ciebie. Pierwszy świadek to policjantka. Nazywa się sierżant Amelia Johns. To wysportowana kobieta o krótkich rudych włosach, bladej skórze i drobnej twarzy, niemal pozbawionej wyrazu. Po złożeniu przysięgi poprawia policyjną bluzę, wygładza spódnice i dopiero wtedy zajmuje miejsce. Pani Price już jest na nogach.

– Dziękuję, pani sierżant – mówi. – Zajmuje pani stanowisko sierżanta w policji stołecznej. Czy mogę zapytać, od jak dawna jest pani policjantką?

– Pracuję w policji od siedemnastu lat – odpowiada sierżant Johns, patrząc na ławę przysięgłych.

– I początkowo pełniła pani służbę w gminie Waltham Forest. Czy to się zgadza?

– Tak, zgadza się.

– Ale przeniosła się pani do gminy Westminster?

– Tak, siedem lat temu. Zostałam oddelegowana do zespołu ochrony pałacu Westminster i należących do niego terenów.

– A czy mogłaby pani wyjaśnić sądowi, na jakich zasadach funkcjonuje ten zespół? To chyba dość nietypowa sytuacja, czyż nie?

Sierżant Johns uśmiecha się lekko i mówi:

– Cóż, tak. To zaskakuje wiele osób. Funkcjonariusze pracujący w pałacu Westminster nie podlegają normalnemu zwierzchnictwu policji stołecznej, lecz odpowiadają przed personelem ochrony pałacowej.

– Zatem, jeśli dobrze rozumiem, policjanci, którzy tam pracują, przypominają raczej prywatnych ochroniarzy?

Sierżant Johns znowu przywołuje na twarz blady uśmiech.

– Tak, można to tak ująć.

– Czy mogłaby nam pani podać konkretny przykład?

– Cóż, personel policyjny patroluje teren i sporządza raporty, ale gdyby na przykład w Izbie Gmin popełniono przestępstwo, w teorii żaden policjant nie ma prawa tam wejść, jeśli nie zostanie o to poproszony przez straż parlamentarną albo kogoś, kto ją reprezentuje.

Pani Price udaje zdziwienie.

– A zatem, powiedzmy, że jeden z posłów zacznie dusić drugiego... – obrzuca ławę przysięgłych kpiarskim spojrzeniem – ...jestem pewna, że wszyscy mamy nadzieję, iż do takich ekscesów nigdy nie dojdzie, ale powiedzmy, że doszło. W teorii policjant na służbie nie miałby prawa interweniować, jeśli nie zostanie o to poproszony przez personel porządkowy parlamentu?

– Zgadza się.

– A funkcjonariusze porządkowi parlamentu... Jakiego rodzaju to są ludzie?

Kobieta milczy przez chwilę.

– Cóż, wielu z nich to byli wojskowi, ale to dość zróżnicowana grupa.

– Jacyś byli policjanci?

– Tak, kilku.

Pani Price milknie na moment.

– A czy do tego zespołu należał mężczyzna, który zasiada tu na ławie oskarżonych, pan Costley?

Z twarzą sierżant Johns dzieje się coś dziwnego. Zamyka się. Błady uśmiech, który wydawał się jej naturalną cechą, znika. Rysy tężeją. Czuję, jeszcze zanim się odezwie, że zacznie teraz odpowiadać ostrożniej.

– Owszem, był członkiem parlamentarnego personelu porządkowego.

– Wcześniej był policjantem przez jedenaście lat, sierżantem, tak jak pani, następnie opuścił policję stołeczną i został zatrudniony przez parlament.

– Nie mam informacji na temat policyjnego stażu Marka.

– Tak, oczywiście. A czy mogłaby mi pani wyjaśnić, jaką funkcję pełnił na terenie parlamentu?

– Był doradcą do spraw bezpieczeństwa.

– Na jakim stanowisku dokładnie pracował?

Bardzo uważnie obserwuję sierżant Johns, jej regularne rysy, pełną rezerwy twarz. Jestem pewna, że do czegoś między wami doszło, gdy pracowałeś w pałacu Westminster. Nie spojrzała na ciebie ani razu. Na mnie też nie.

– Pan Costley był zatrudniony jako doradca funkcjonariusza odpowiedzialnego za planowanie wydarzeń na terenach należących do pałacu... – Kobieta milknie, jakby z tą praktyczną informacją wiązały się jakieś przykre wspomnienia. – Do jego obowiązków należały, cóż, koordynacja działań, pilnowanie przestrzegania przepisów dotyczących zdrowia i bezpieczeństwa w trakcie wydarzeń, kontrolowanie księgi przebiegu służby, nadzorowanie ekip zmieniających się przed monitorami telewizji przemysłowej... i tak dalej.

Zastanawiam się, jak dużo wie o tym, co naprawdę robiłeś.

– Więc był po prostu urzędnikiem? Czy kimś ważnym?

Kobieta milczy długo.

– Cóż, każde stanowisko jest ważne dla właściwego funkcjonowania terenów parlamentarnych. Za wszystkim, co widać na pierwszy rzut oka, kryje się mnóstwo biurokracji.

– Chodzi mi o to, czy gdyby coś poszło nie tak, powiedzmy, że doszłoby do jakiegoś incydentu, czy brałby udział w akcji, czy też wypełniał formularz już po wszystkim?

– Wypełniałby formularz.

Pani Price milknie. Krzyżuje ramiona na piersi i wpatruje się w blat stołu moim zdaniem niepotrzebnie długo. Kątem oka zauważam, że pochyliła się i nieznacznie spuściła głowę. W końcu pani Price podnosi wzrok.

– Pani sierżant, chciałabym teraz, żeby opowiedziała pani sądowi o tym, do czego doszło między panią a panem Costleyem, tuż zanim poprosiła pani o przeniesienie pani na obecne stanowisko w gminie

Barking i Dagenham. – Kobieta patrzy na policjantkę i zachęca łagodnie: – Proszę, gdyby pani mogła...

– Tak, oczywiście – mówi sierżant Johns. – Złożyłam skargę na zachowanie grupy mężczyzn, ale w szczególności pana Costleya, skargę do wydziału zasobów ludzkich parlamentarnych służb porządkowych.

– Czy mogłaby pani, proszę, wyjaśnić sądowi, czego dotyczyła ta skarga?

– Niestosownego zachowania, to znaczy przy kilku okazjach. Pracowałam w Biurze Monitoringu, gdzie nadzorujemy widok z wszystkich kamer przemysłowych rozlokowanych na terenach parlamentarnych z podziałem na rejony. Mężczyźni obserwowali transmisję i przydzielali oceny kobietom według ich atrakcyjności seksualnej.

Pani Price stoi tyłem do mnie, ale potrafię sobie wyobrazić jej minę – udawane zaskoczenie. Potem wtrąca ostrożnie:

– Oczywiście, chociaż takie zachowanie jest naganne, niektórzy mogliby stwierdzić, że zdarza się nagninnie w środowiskach zdominowanych przez mężczyzn, powiedzmy, wśród ochroniarzy w centrach handlowych...

– Pan Costley posuwał się nieco dalej.

– Naprawdę? Czy zechciałaby nam pani to wyjaśnić?

– Młoda kobieta należąca do ekipy parlamentarnej poskarżyła mi się, że obserwował wejście dla gości do Portcullis House, a jeśli któraś odwiedzająca wydała mu się atrakcyjna, schodził na dół i ją śledził.

Po tych słowach kilku członków ławy przysięgłych zerka na ciebie. Ja pilnuję się, żeby tego nie zrobić.

– A czy ta kobieta powiedziała pani, co robił potem?

Twoja adwokat zrywa się z krzesła, ale zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, sędzia już wzdycha ze znużeniem i unosi dłoń, wcześniej spoczywającą na stole:

– Pani Bonnard, uprzedzając pani obiekcje, wierzę, że w minionym tygodniu diskutowaliśmy cały dzień na temat...

– Wysoki sędzie, uważam, że to pytanie wykracza poza...

– Gdy tylko pani Price wyjaśni zasadność tego pytania, ufam, że na nie zezwolę. Proszę poczekać na swoją kolej.

– Wysoki sędzie – pani Bonnard kłania się sztywno i siada.

Pani Price również kłania się sędziemu, po czym zwraca się z powrotem do sierżant Johns:

– A zatem czy mogłaby pani wyjaśnić, co wedle relacji pani znajomej działo się po tym, jak pan Costley zauważył na monitorze jakąś kobietę, którą uznał za atrakcyjną, i podążył za nią?

– Wracał do centrum monitoringu i opowiadał o tym, jak za nią chodził. Komentował jej figurę, mówił o tym, co robiła i tak dalej.

– A czy pani sama była świadkiem takich opowieści?

– Nie, zostało mi to zgłoszone. Ale kiedyś przyłapałam go na tym, jak przeglądał rejestr gości i porównywał z nagraniami z kamer.

– To chyba normalna czynność na jego stanowisku, czyż nie?

– Ale on wyszukał zdjęcia kobiety, którą był zainteresowany, w Google. Zamknął stronę, gdy tylko weszłam do pokoju. Tylko że jego biurko stało dokładnie naprzeciwko drzwi, więc zdążyłam zobaczyć dwadzieścia czy trzydzieści zdjęć przedstawiających tę samą kobietę. Gdy wyszedł z pokoju, zauważyłam, że na jego biurku leżał rejestr z jej nazwiskiem.

Myślę o moich zdjęciach, które można wyszukać w Google. Gdy człowiek pracuje w środowisku akademickim, jest ich całkiem sporo, a na większości wygląda się wyjątkowo niekorzystnie. Czasami studenci robią zdjęcia w trakcie przemów czy wykładów, publikują je, tweetują, niekiedy wrzucają nagrania wideo. Gdy zaczynasz występować przed ludźmi, nie ma czegoś takiego jak prywatność. To mogą być nawet dwie osoby, ale zanim się obejrzyysz, już cały świat będzie mógł zobaczyć, że tego dnia nie wyszczotkowałaś dokładnie włosów.

– A kiedy doszło do tego incydentu?

– Jakies trzy miesiące przed aresztowaniem pana Costleya pod zarzutem, pod którym jest obecnie sądzony.

Wlepiam wzrok w sierżant Johns.

– A czy może pani powiedzieć cokolwiek o kobiecie, której zdjęcia wyszukiwał? Oczywiście bez identyfikowania jej.

– Była przedstawicielką urzędu imigracyjnego. Omawiała w parlamencie temat weryfikacji personelu.

Odczuwam szok i smutek, słuchając tych rewelacji. Oczywiście. To nie moje zdjęcia oglądałaś w Google tamtego dnia, o którym opowiada sierżant Johns. Szukałaś zastępstwa. Ja w tamtym czasie byłam w rozsypce. Robiłaś, co w twojej mocy, aby okazać mi wsparcie, ale już rozglądałaś się za kimś nowym.

Przesłuchanie sierżant Johns ciągle trwa, lecz ja mam już pełen obraz sytuacji. Ustalono, że masz charakter drapieżcy, a twoje zachowanie jest niepokojąco nieuczciwe.

\*\*\*

Gdy pani Bonnard wstaje, aby przesłuchać świadka oskarżenia, robi to bardzo powoli, mrużąc oczy. Czy tylko to sobie wyobrażam, czy wszystkimi wstrząsnął dreszcz wyczekiwania, jakby nadeszła pora karmienia w zoo?

– Sierżant Johns... – zaczyna pani Bonnard cicho – dziękuję, że poświęciła pani swój czas na przyście tutaj kosztem pani obowiązków.

Policjantka wygląda na lekko zdezorientowaną. To było pytanie czy nie?

– Nie będę pani długo zatrzymywać, obiecuję... – Pani Bonnard uśmiecha się do niej. – Ale może mogłaby mi pani coś wyjaśnić. Rozumiem, że owa młoda kobieta, która złożyła pani skargę, to znaczy tę na temat pana Costleya obserwującego gości płci żeńskiej na kamerach przemysłowych... Rozumiem, że nie ma jej tu dzisiaj, bo przebywa za granicą? W Wietnamie, jak sądzę?

– Myślę, że w Tajlandii.

– Och... – Pani Bonnard udaje zaskoczenie. – W Tajlandii. A zatem źle to zanotowałam. Czy ma pani z nią kontakt?

– Nie, nie... Nie byliśmy przyjaciółkami, po prostu... po prostu usłyszałam, że wybiera się do Tajlandii. Wcześniej, to znaczy przed rozpoczęciem procesu.

– Cóż, jestem pewna, że zadowolimy się pani zeznaniami. Dlaczego ta młoda kobieta, zatroskana zachowaniem pana Costleya, zgłosiła się do pani? To znaczy dlaczego sama nie złożyła skargi bezpośrednio w wydziale zasobów ludzkich?

– Była nowa w pracy, czuła się trochę onieśmielona przez mężczyznę w biurze. Przyszła do mnie, bo...

– Ale to nie był prawdziwy powód, prawda, sierżant Johns?

Pani Bonnard nie patrzy na nią, wypowiadając te prowokacyjne słowa, i chociaż później będę miała wiele powodów, by nienawidzić tej młodej kobiety, muszę podziwiać jej styl. Zanegowała zeznania policjantki tak swobodnie, jakby była absolutnie pewna swego, jakby nie chciało jej się nawet tracić czasu na pokazywanie sierżant Johns, gdzie jest jej miejsce.

Policjantka waha się tylko przez ułamek sekundy, ale to wystarczy.

– Nie... ja... owszem, był. Wierzę, że to był prawdziwy powód.

– Wspomniana kobieta przyszła z tą skargą bezpośrednio do pani, bo wiedziała, że łączył panią z panem Costleyem przelotny związek, który zakończył się burzliwie, wobec czego była pani gotowa chętnie wysłuchać oczerniających go informacji. Czyż nie?

– To nieprawda – sierżant Johns rzuca gniewne spojrzenie ławie przysięgłych.

– Która część? Że łączył państwa związek czy że się zakończył?

– Że łączył nas związek. Nie byliśmy razem, wcale bym tak tego nie opisała. Złożył mi niestosowną propozycję.

– Poszła z nim pani na drinka po pracy, trzy czy cztery razy, jeśli się nie mylę...

– Kilka razy, raz czy dwa.

– To raz czy dwa?

– Może dwa.

– Czyżby? A ja mam informację, że trzy razy. Czy mam podać pani daty? Podczas ostatniej z tych okazji, w kwietniu zeszłego roku, doszło między wami do intymnego kontaktu w dobrze znanym pubie The Bull & Keg w dzielnicy Westminster.

Błada twarz sierżant Johns tężeje.

– Przede wszystkim przy pierwszej okazji byliśmy w grupie. Powiedziałabym więc, że spotkaliśmy się dwukrotnie. Po drugim kontakcie, do którego pani nawiązuje, został zainicjowany przez niego, a ja powiedziałam mu, żeby przestał.

– Natychmiast?

– Przepraszam?

– Natychmiast? Czy poprosiła pani pana Costleya, żeby przestał, natychmiast?

– Nie, nie natychmiast.



Pani Bonnard ścisza głos.

– Po jakiejś godzinie opuścili państwo wspólnie pub i udali się do metra piechotą, gdzie rozstali się państwo na tyle przyjaźnie, żeby na krótko się objąć.

Sierżant Johns nabiera powietrza w płuca.

– To, co zrobił, sprawiło, że poczułam się skrępowana. Wypiliśmy razem kilka drinków, a przy trzecim położył mi rękę na kolanie.

– Ale ta ręka nie pozostała na kolanie, prawda?

– Nie...

– Sierżant Johns... – Pani Bonnard udaje nieco znużoną. – Nie mam ochoty zawstydząć pani na sali sądowej, więc sugeruję, aby pozwoliła mi pani wyjaśnić sprawę sądowi. Przy omawianej okazji pani i pan Costley piliście razem mniej więcej od osiemnastej. On położył dłoń na pani kolanie. Zachowywaliście się ukradkowo, bo w tym samym pubie znajdowała się również grupa waszych współpracowników. W pewnym momencie pan Costley przesunął dłoń w górę, włożył ją pod pani spódnicę, wepchnął palce między pani uda i pod majtki i zaczął robić pani... zdaje się, że kolokwialny termin brzmi „palcówka”. Nie powstrzymała go pani ani nie zaprotestowała w żaden sposób. Innymi słowy, doszło między wami do intymnego kontaktu seksualnego, czyż nie? W oczach wielu ludzi zostałyby to uznane za jakąś formę związku.

Sierżant Johns zmienia się na naszych oczach. Przestaje być profesjonalistką, policjantką składającą zeznania w sądzie, a staje się osobą, nad której życiem seksualnym spekulują wszyscy zgromadzeni na sali, postrzeganą przez pryzmat naszych poglądów na te sprawy. Jestem całkiem pewna, że mężczyźni obecni w pomieszczeniu, inni policjanci siedzący w tylnych rzędach, członkowie ławy przysięgłych, może nawet sędzia wyobrażają ją sobie teraz w spódniczce z rozłożonymi nogami. Wyobrażają sobie, jakiego rodzaju majtki miała wtedy na sobie. Ja oczywiście porządkuję w myślach daty i robi mi się trochę niedobrze, gdy dociera do mnie, że robiłaś palcówkę sierżant Johns jakieś dwa czy trzy tygodnie po tym, jak się poznaliśmy. Na twarzach co najmniej dwóch kobiet zasiadających w ławie przysięgłych maluje się szok. Nigdy nie pozwoliłyby mężczyźnie na coś takiego, a co za tym idzie sierżant Johns musi być kimś zupełnie do nich niepodobnym. Inna kobieta, starsza, zmrużyła oczy. Jestem pewna, że współczuje sierżant Johns publicznego upokorzenia. Tak czy owak, każde z nas, kierując się własnymi uprzedzeniami, redukuje ją do symbolu tego, co myśli o takich sprawach. Policjantka zaczyna być definiowana przez ten czyn czy raczej przez to, że mu nie zapobiegła.

– Powiedziałałam mu później, że to mi się nie podobało. Następnego dnia w pracy.

– Powiedziała mu pani później, ale nie w czasie, gdy to się działo?

– Tak, zgadza się... – Sierżant Johns oddycha powoli, ostrożnie. Wygląda na to, że odzyskała trochę równowagę. – Powiedziałałam mu następnego dnia w pracy, że nie jestem zainteresowana. Stał się wobec mnie nieprzyjemny i wrogi. Dał mi jasno do zrozumienia, że będzie mnie chłodno traktował. Podczas spotkań zwracał się do pozostałych członków zespołu, ale mnie ignorował. Przynosił herbatę innym, ale nie mnie.

– A więc gdy pani młodsza współpracowniczka przysłała do pani i poskarżyła się na pana Costleya, z ochotą przekazała pani jej skargę do wydziału zasobów ludzkich?

– Tak – odpowiada sierżant Johns stanowczo.

Pani Bonnard milknie, pozwalając, żeby te stanowcze słowa wybrzmiały w powietrzu, po czym mówi cicho:

– Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie.

Robert wstaje, kłania się lekko i znowu powtarza, że nie będzie przesłuchiwał świadka. Sędzia patrzy na panią Price, a ona wstaje. Jej głos jest łagodny, matczyzny:

– Pani Johns, nie będę pani długo zatrzymywać. Proszę tylko powiedzieć, czy po tym, jak odrzuciła pani awanse pana Costleya, a on zaczął chłodno panią traktować, zwróciła mu pani na to uwagę? Czy w ogóle poruszyła pani z nim ten temat?

– Próbowałam z nim rozmawiać. Któregoś popołudnia, gdy zostaliśmy sami w biurze, próbowałam mu powiedzieć, że powinniśmy o tym zapomnieć.

– A jaka była jego reakcja?

– Powiedział mi, że mam paranoję.

Pani Price nie komentuje tego. Milczy, zapewne po to, aby dotarła do nas niesprawiedliwość tego oskarżenia.

– Dziękuję pani, sierżant Johns.

Sędzia pochyła się i informuje policjantkę, że jej męki dobiegły końca. Wszyscy patrzymy, jak sierżant Johns opuszcza salę. Fakty, jakie poznaliśmy na jej temat, otaczają ją niczym woń perfum. Patrzę, jak odchodzi – młoda, drobna i zgrabna. Pani Price dalej stoi. Spogląda na galerię dla publiczności, odkasłuje i mówi:

– Wysoki sędzie, nasz następny świadek to świadek incognito.

– Tak, dziękuję, jestem tego świadomy – odpowiada sędzia. – Proponuję, abyśmy zrobili sobie przerwę na lunch.

Jesteś tylko mężczyzną, Marku Costleyu. Czego ja się spodziewałam? Czy naprawdę sądziłam, że wybrałeś mnie, bo byłam wyjątkowa? Jestem tak zmęczona i zasmucona tą małą zdradą, którą popełniłeś wobec mnie, uganiając się za sierżant Johns, że oczywiście nie zauważam znacznie większej zdrady, jaką właśnie popełniłeś wobec niej. Nie zastanawiam się nad tym, że w którymś momencie musiałeś dość szczegółowo omówić to, co z nią robiłeś, ze swoją młodą, opanowaną panią adwokat o prostych kasztanowych włosach.

Gdy po lunchu wracamy na ławę oskarżonych, widzę, że frontową część sali oddzielono ciężką aksamitną kurtyną. Umożliwiła to długa szyna przytwierdzona do sufitu. Świadek incognito może teraz wejść na salę, złożyć zeznania i wyjść niezauważony przez oskarżonych czy kogokolwiek z galerii, chociaż ława przysięgłych będzie go widzieć. Oczywiście próbuję zgadnąć, jak wygląda, na podstawie brzmienia jego głosu, gdy składa przysięgę. Wyobrażam sobie, że przypomina starszego sędziego przysięgłego, tego białego mężczyznę o wojskowej postawie. Być może stanowi jego twardszą i bardziej ogorzałą wersję. Wyobrażam sobie, że ma dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i schludnie przyszyżone siwe włosy. Wyobrażam sobie, jak stoi przed lustrem i zaczesuje je staromodnym grzebykiem o bardzo drobnych ząbkach, takim, jakiego używał mój ojciec, chociaż dziś się ich już za często nie widuje. Ale oczywiście mogę się mylić. Świadek incognito może być równie dobrze niski, rudy i przypominać łasicę. To jedna z wielu rzeczy, których nigdy się nie dowiem.

Odczytuje przysięgę głośno i wyraźnie i odmawia zajęcia miejsca, gdy sędzia mu to proponuje. Pani Price wstaje, żeby go przesłuchać. Niemal lekko się kłania, zanim zacznie.

– Dziękuję panu za stawienie się w sądzie. Teraz, gwoli wyjaśnienia zebranym, dlaczego jest pan traktowany na specjalnych zasadach, czy mógłby pan powiedzieć, na czym polega pana praca?

Ze sposobu, w jaki niesie się jego głos, zgaduję, że świadek incognito zwraca się bezpośrednio do ławy przysięgłych:

- Jestem dyrektorem do spraw szkoleń.
- Pracuje pan dla MI5, naszej służby bezpieczeństwa?
- Tak, zgadza się.

Sędziowie przysięgli wpatrują się w mężczyznę w nabożnym skupieniu.

– A czy może pan wyjaśnić, czym się zajmuje?

– Tak, oczywiście. Moja praca polega na nadzorowaniu przebiegu bardzo surowych testów, zarówno fizycznych, jak i psychologicznych, jakim poddajemy wszystkich potencjalnych kandydatów na agentów.

– Czy może pan wyjaśnić, dlaczego psychologiczny element procesu testowania ma znaczenie? – pyta lekko pani Price.

– Tak, oczywiście... – Mężczyzna odchrząkuje, aby sprawniej przekazać swoją wiedzę. – Jedną z najważniejszych umiejętności, jaką musi dysponować agent służby bezpieczeństwa, jest zdolność do ukrywania swojego prawdziwego zawodu przed przyjaciółmi i rodziną. Niektórzy mówią, że są

urzędnikami państwowymi, inni, że pracują w przedsiębiorstwach importowo-eksportowych, robią karierę akademicką lub zajmują jakieś stanowisko w Unii Europejskiej. Jest kwestią nadrzędną, aby nasi agenci potrafili podtrzymywać tę mistyfikację przez długi czas. Inaczej narażaliby siebie, swoje rodziny i służbę na ryzyko.

– To musi nastęczać im sporych trudności? Że nie mogą powiedzieć nawet mężowi czy żonie, czym się zajmują?

– Tak, zgadza się.

Ponieważ nie widzę świadka incognito, obserwuję przysięgłych. Chcę zobaczyć ich miny, gdy cała prawda na twój temat wyjdzie na jaw. Zastanawiam się, czy pani Bonnard będzie próbowała dowieść, że źródłem twoich zaburzeń psychicznych była trauma wywołana przez pracę, że to na tej podstawie będzie się powoływać na twoją ograniczoną poczytalność. Świadek incognito zdecydowanie wzbudził zainteresowanie członków ławy przysięgłych. Właśnie na to liczyli, gdy zostali wybrani – na dobrą historię.

– A zatem jak się sprawdza, czy dany kandydat nadaje się do spędzania życia w kłamstwie?

Świadek incognito milczy przez moment. Wyobrażam sobie jego blady, ironiczny uśmiech.

– Cóż, oczywiście nie wolno mi ujawniać szczegółów stosowanych przez nas metod...

– Tak, tak, rozumiem, ale czy mógłby pan opisać to sądowi chociaż w przybliżeniu. – W głosie pani Price słyszę cień niecierpliwości, mimo że to jej świadek. Zgaduję, że nie lubi, gdy ktoś traktuje ją jak głupią.

– Poddajemy kandydata bardzo drobiazgowej procedurze trwającej kilka miesięcy. Przeprowadzamy wywiady i testy psychologiczne. Następnie umieszczamy go w środowisku firmowym, w którym przez dłuższy okres musi posługiwać się fałszywą tożsamością i danymi osobowymi. Część pracowników firmy stanowi nasz personel, ale potencjalny agent nie wie, które to osoby. Ich zadaniem jest sprawdzenie, czy agent potrafi podtrzymać swoją przykrywkę.

– Brzmi to tak – mówi pani Price powoli, ostrożnie dobierając słowa – jakby ta procedura stanowiła zaproszenie do popadnięcia w paranoję. Zachowanie własnej tożsamości w tej sytuacji musi być bardzo trudne. Czy to nie przyciąga do służby fantastów?

Zdążyłam się już przekonać, że dobry adwokat nigdy nie zadaje pytania, nie mając pewności, jakiej odpowiedzi udzieli świadek.

– Absolutnie nie – odpowiada świadek incognito stanowczo. – Wręcz przeciwnie. Fantasta, który nie byłby w stanie odróżnić prawdy od fikcji, stanowiłby zagrożenie i dla siebie, i dla innych. Jednym z moich najważniejszych zadań jest odsiewanie fantastów. Nie można na nich polegać w sytuacjach kryzysowych.

Sędziowie przysięgli spoglądają na świadka z ekscytacją. Ja sama podchodzę do jego słów nieco bardziej sceptycznie. Jak można odróżnić prawdziwego fantastę od kogoś, kto jest po prostu mistrzem mistyfikacji? Czy jakiegokolwiek testy psychologiczne mogłyby to wykazać? Bez wątplenia granica między takimi osobami jest nieostra. A już z pewnością taka się staje po kilku latach pełnienia służby.

– Dziękuję, to bardzo pouczające – mówi pani Price. – Chciałabym teraz przejść do sprawy rozpatrywanej przed tym sądem, a konkretnie do pana kontaktów z oskarżonym, panem Markiem Costleyem. Cofniemy się teraz o kilka lat, więc w razie potrzeby może pan korzystać ze swoich notatek. – Kobieta milknie. Świadek incognito musiał ze sobą przynieść jakiś notes lub teczkę. – Tuż po rozpoczęciu pracy w pałacu Westminster pan Costley złożył podanie o przyjęcie do służby bezpieczeństwa, czyż nie?

– Zgadza się.

Znowu zerkam na ławę przysięgłych i czuję dreszcz dziecinnej satysfakcji. Ja już wiem coś, czego wy dopiero się dowiecie.

– Czy to pan rozpatrywał jego podanie po pierwszej turze testów psychologicznych, wywiadów, kwestionariuszy i tak dalej?

– Tak, zgadza się.

– A czy może mi pan powiedzieć, do jakiego wniosku pan doszedł?

– Tak. Uznaliśmy, że pan Costley nie jest odpowiednim kandydatem i nie zostanie dopuszczony do udziału w następnym etapie szkolenia.

Odczuwam nie tyle szok, ile konsternację. W pierwszej chwili zastanawiam się, czy to jakiś rodzaj wyrafinowanego podwójnego blefu. Zerkam na ciebie kątem oka, ale patrzysz prosto przed siebie z niewzruszoną miną. Wszystkie te aluzje, które mi rzucałeś? Sekretne telefony? Kryjówka? Gdy moment konsternacji ustępuje, odczuwam już tylko chłód. Nie jesteś szpiegiem. Szpiegował cię nie chcieli. Dlaczego mnie okłamałeś? A właściwie nie tyle okłamałeś, ile pozwoliłeś mi wierzyć, że jesteś znacznie bardziej tajemniczy niż w rzeczywistości? Czy seks w kaplicy w godzinach pracy parlamentu nie wydawał ci się wystarczająco dziwny i ekscytujący? Ja byłabym nim podekscytowana, nawet gdybyś pracował w pałacowej ekipie cateringowej. Nie chodziło o twoją pracę. Dlaczego czułeś potrzebę, aby uwieść mnie za pomocą kłamstwa? Ale nie kłamałeś, oczywiście. Nie wprost. Po prostu zachowywałeś się wystarczająco tajemniczo, żebym sama wymyśliła sobie tę historię.

– A to dlaczego? – pyta pani Price świadka incognito.

– W trakcie testów stało się jasne, że pan Costley ma trudności z odgraniczaniem prawdy od fikcji. W skrócie: kiedy poproszono go, aby podtrzymał swoją zmyśloną tożsamość, sam zaczął w nią wierzyć. Dokładnie o tym mówiłem wcześniej w kontekście fantastów. Na tym polega różnica między kimś, kto potrafi kłamać przez długi czas, a kimś, kto przekonuje samego siebie, że jego kłamstwo jest prawdą.

– To, co pan opisuje, przypomina zaburzenia osobowości, czyż nie?

– Nie ująłbym tego w taki sposób – odpowiada świadek incognito. – Powiedziałbym, że...

Pani Bonnard zrywa się natychmiast.

– Wysoki sędzie, ten świadek nie jest zawodowym psychologiem. Nie ma kwalifikacji, aby odpowiedzieć na to pytanie.

Sędzia tylko spogląda znad okularów na panią Price, a ona natychmiast się wycofuje, bo i tak już osiągnęła to, czego chciała:

– Przepraszam. Sformułuję pytanie inaczej. Czy stwierdzenie, że w procesie rekrutacji pan Costley wykazywał zachowania sugerujące, iż ma trudności z odróżnianiem prawdy od fikcji, byłoby uzasadnione?

– Tak jest.

– A czy te trudności były na tyle duże, że odrzucił pan jego kandydaturę, chociaż zaliczył już testy fizyczne i przejawiał ogromną chęć dołączenia do służby bezpieczeństwa?

– Tak, zgadza się. Nie akceptujemy kandydatów z łatwością, ale też nie odrzucamy ich bez zastanowienia. Nie wątpiłem w entuzjazm pana Costleya i jestem pewien, że znakomicie spisywał się na stanowisku w pałacu Westminster, ale według mnie był nieodpowiednim kandydatem dla nas.

Do tej pory pani Price zdawała się dążyć do podkreślenia, że jesteś mentalnie niestabilny, ale robiła to oczywiście tylko po to, by na sam koniec obalić tę myśl.

– A jednak... Czy dobrze rozumiem, że chociaż pan Costley nie miał predyspozycji do pracy w służbie bezpieczeństwa, nie był pan na tyle zaniepokojony jego stanem psychicznym, aby poinformować o nim jego ówczesnego zwierzchnika?

– Nie, nie uważałem go za osobę niestabilną psychicznie.

– Czy możemy mieć jasność w tej sprawie? Ostatecznie pan Costley był częściowo odpowiedzialny za zapewnianie gładkiego przebiegu procesów demokratycznych zachodzących w tym kraju. Czy po dokonaniu jego ewaluacji nie czuł pan ani cienia niepokoju na myśl o tym, że będzie kontynuował pracę na aktualnym stanowisku?

– Nie, jak już powiedziałem, w żadnym razie.

Pani Price postanawia jednak podrażnić tę kwestię:

– Zatem chociaż uważał pan, że pan Costley może mieć trudności z odróżnianiem faktów od fikcji, był pan na tyle spokojny o jego stan psychiczny, aby pozwolić mu kontynuować pracę na urzędniczym, chociaż ważnym stanowisku, związanym z ochroną naszych posłów, w budynku, w którym na co dzień panuje podwyższony stan gotowości?

– Tak, zgadza się – potwierdza głośno świadek incognito.

\*\*\*

Pani Bonnard niemal drży, gdy wstaje, aby przesłuchać świadka. Po zgłoszonym przez nią wcześniej sprzeciwie łatwo wywnioskować, jaką przyjmie taktykę. Każe świadkowi incognito czekać, podczas gdy sama poprawia perukę, utykając pod nią niesforny pukiel włosów. To bardzo dobrze przemyślane działanie. Nie może okazać sądowi braku szacunku, ale chce, aby było jasne, że świadek nie zrobił na niej takiego wrażenia jak na innych. W końcu spogląda w jego stronę, obdarzając go niespiesznym ciepłym uśmiechem. Zaczyna od kwestii odrzucenia twojej kandydatury. W pewnym momencie pyta:

– ...i doszło do tego, jak już pan wspomniał, wyłącznie ze względu na wątpliwości, jakie żywił pan co do jego stanu psychicznego?

Mężczyzna szybko przyznaje jej rację:

– Tak, wyłącznie ze względu na te wątpliwości.

Pani Bonnard kluczy przez kilka minut, cały czas zachęcając świadka, aby zdradził nieco więcej szczegółów na temat swoich obaw. Każe mu się powtarzać, ale podejrzewam, że robi to po to, aby owe wątpliwości głębiej zakorzeniły się w umysłach ławy przysięgłych. W końcu siada. Robert rezygnuje z możliwości przesłuchania świadka incognito, więc sędzia patrzy na panią Price. Nikogo nie dziwi, że kobieta znowu wstaje.

– Wiemy już – zaczyna powoli – że nie wolno mi ujawnić pana nazwiska z oczywistych powodów... Mam też świadomość, że ilość informacji, jakie może pan podać sądowi na swój temat, jest ograniczona. Ale czy mógłby pan opowiedzieć nam odrobinę o swojej zawodowej przeszłości?

– Oczywiście – odpowiada mężczyzna. – Mogę powiedzieć, że spędziłem pewien okres w siłach zbrojnych, biorąc udział w operacjach, które wymagały podróży zagranicznych, po czym przeniósłem się i osiadłem w kraju. Teraz moja służba zbliża się ku końcowi. Nadzoruję szkolenia agentów i zajmuję się ewaluacją kandydatów na obecnym poziomie od ośmiu lat.

– Nie jest pan psychiatrą, prawda?

– Nie. Naturalnie przeszedłem wszechstronne szkolenie w zakresie...

– Ale nie jest pan zawodowym psychiatrą, nie odebrał pan medycznego wykształcenia i nie ma pan doktoratu?

– Nie, zgadza się.

– Nie jest pan członkiem Brytyjskiego Instytutu Psychologii ani żadnej innej akredytowanej organizacji?

– Nie, nie jestem.

– Zmierzam do tego... mam nadzieję, że mi pan wybaczy i nie potraktuje tego jako próby krytyki... że jest pan wyszkolony wyłącznie w zakresie oceniania, czy kandydat potrafi kłamać rodzinie lub współpracownikom i utrzymać konieczną w tym zawodzie mistyfikację. Innymi słowy, nie uważa pan się za wystarczająco wykwalifikowanego, by stwierdzić, że pan Costley ma jakiegokolwiek zaburzenia osobowości.

Świadek incognito milczy przez ułamek sekundy, po czym odpowiada:

– To prawda. Nie posiadam żadnych kwalifikacji, o jakich pani wspomniała.

– Dziękuję. – Pani Price patrzy na sędziego. – Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie.

Sędzia zwraca się do świadka incognito:

– Dziękuję, świadek jest wolny. Jestem zobligowany do ostrzeżenia pana, jak każdego świadka, aby nie omawiał pan z nikim szczegółów tej sprawy.

Wszyscy słuchamy w milczeniu, jak świadek incognito pokonuje kilka drewnianych schodków. Jego kroki brzmią ciężko. Tak jak myślałam, musi mieć ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Wyobrażam sobie, jak wychodzi na korytarz, idzie swobodnie szerokimi kamiennymi schodami, które wyprowadzają go na ulicę, a ludzie, którzy go mijają – jeśli w ogóle o nim myślą – podejrzewają zapewne, że jest policjantem, radcą prawnym albo biznesmenem. Czy taka praca nie czyni z każdego człowieka fantasty?

Robota? Czy to nie świadczy o tobie dobrze, Marku Costley, że nie chcieli cię przyjąć? Nigdy mnie nie okłamałeś, nie wprost. To leży w ludzkiej naturze pozwalać innym myśleć, że jesteśmy bardziej interesujący niż w rzeczywistości. Ja pozwoliłam ci wierzyć, że jestem jednym z czołowych genetyków w kraju, podczas gdy w rzeczywistości odniosłam umiarkowany sukces jako naukowiec, a teraz odcinam kupony od dawnych badań, od czasu do czasu przeprowadzam egzaminy czy udzielam konsultacji. Nie byłam na czele od lat.

\*\*\*

Tamtej nocy po raz pierwszy od rozpoczęcia procesu śnię o nim. Ale nie śnię o sali sądowej wypełnionej suchym klimatyzowanym powietrzem ani o tobie. Nie mam żadnych koszmarów w związku z morderstwem Craddocka, żadnych wizji zakrwawionych zwłok goniących mnie z rozpostartymi ramionami. Zamiast tego śnię o miejscu na terenie sądu, w którym nigdy nie byłam.

Tamtego dnia rozprawa nie zaczęła się punktualnie, bo jeden z członków ławy przysięgłych utknął w opóźnionym pociągu. Wiadomość przekazano nam w momencie, gdy mieliśmy właśnie wychodzić na górę, więc strażnicy zawrócili, żeby odprowadzić mnie do celi. Zdążyliśmy zrobić zaledwie kilka kroków, gdy czarnoskóry mężczyzna o siwych włosach zawołał z recepcji:

– Zapytajcie ją, czy chce się napić czegoś ciepłego!

– Chętnie wypiłabym filiżankę herbaty! – odrzyknęłam w odpowiedzi, chociaż tak naprawdę nie miałam na nią ochoty.

Wiedziałam, że to pomoże mi zabić trochę czasu.

– Posadźcie ją przy kuchni – polecił mężczyzna strażnikom.

Ku mojemu zaskoczeniu i radości nie odprowadzono mnie do celi, ale posadzono przed małym pokoikiem, gdzie podgrzewa się posiłki więźniów w mikrofalówce. Jeden ze strażników sobie poszedł, drugi przycupnął na pobliskim stoliku, żeby mieć na mnie oko. Najwyraźniej nie było mi wolno oficjalnie tu przebywać, ale uznali, że nie należę do osób, które wpadłyby w szale do kuchni w poszukiwaniu noża. Zresztą i tak były tam tylko plastikowe sztucce. Sympatyczny mężczyzna wszedł do kuchni i wrócił po chwili z dwoma plastikowymi kubkami z herbatą. Postawił jeden przede mną, a ja podniosłam go i wzięłam łyk. Herbata była przyjemnie gorąca. Mężczyzna usiadł na krześle obok mojego i odniosłam wrażenie, że gdyby mógł, powiedziałby coś w stylu: „Co taka miła pani robi w takim miejscu?”. Ale zamiast tego stwierdził:

– Jest pani wykształconą kobietą.

Wymawiał słowo „wykształconą” z dużą atencją. Podobnie robili moi dziadkowie z Fenland, rodzice mojej matki, z którymi straciłam kontakt po jej śmierci.

– Czy kiedykolwiek była pani na zwiedzaniu?

W pierwszej chwili nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale szybko domyśliłam się, że mówi o zwiedzaniu tego budynku, gmachu sądu, jego części historycznej, a nie tej nowoczesnej, w której byliśmy, o starych salach sądowych, które zawsze pojawiają się w serialach telewizyjnych.



Zaprzeczyłam. Pokręcił głową w odpowiedzi, jakby był zasmucony, że nie miałam okazji tego zrobić.

– Wie pani, urządzają wycieczki po starej części budynku. Powinna pani kiedyś pójść. Mnóstwo ludzi to robi.

Biorąc łyk herbaty z plastikowego kubka, spuściłam głowę, aby ukryć uśmiezek na myśl o tym, że po zakończeniu procesu mogłabym tu wrócić na zwiedzanie, dla zabawy. Mężczyzna raz jeszcze pokręcił głową.

– Bardzo interesujące, mówię pani. Tyle historii w tym miejscu... – Siorbał, by ochłodzić nieco płyn. – Stare sale sądowe tutaj są takie małe... Łatwo zrozumieć, dlaczego potrzebowali nowych.

A potem opowiedział mi o alejce skazańców.

\*\*\*

Tamtej nocy śnię o tej alejce skazańców. Wyobrażam ją sobie dokładnie, mimo że nigdy jej nie widziałam, na podstawie samego opisu. Opuszczony teraz zaułek znajduje się na tyłach gmachu. Okazuje się, że w sądzie karnym Old Bailey jest wiele nieużywanych rewirów – gdzieś tu można nawet obejrzeć fragment rzymskiego muru. Alejka skazańców funkcjonowała przez stulecia i przypuszczalnie niegdyś była zbudowana z kamienia. Miły ochroniarz karaibskiego pochodzenia powiedział mi, że chociaż trudno w to uwierzyć, teraz wyłożono ją białymi płytkami, tak że przypomina wnętrze publicznej toalety. „Skazaniec stawał przy wlocie alejki”, zaczął opowiadać mężczyzna...

W moim śnie stoję na początku alejki. Widzę amfiladę sklepionych przejść, każde następne jest mniejsze od poprzedniego. Pierwsze przejście, pokryte białymi płytkami, jest na tyle wysokie, że mogę je przekroczyć bez pochylania głowy, ale tak wąskie, że ocieram się o nie ramionami. Każde następne jest coraz niższe i coraz węższe... muszę więc kucać i przeciskać się bokiem... ale niezależnie od tego, jak niskie i wąskie się robią, zawsze jestem w stanie prześlizgnąć się przez otwór, co jest przerażające, bo oznacza, że moja wędrówka nigdy się nie skończy... Miły strażnik wyjaśnił mi, że zaułek specjalnie zbudowano w taki sposób, bo skazańcy zmierzający na szafot, który czekał na końcu alejki, zazwyczaj wpadali w panikę. Coraz bardziej klaustrofobiczna przestrzeń miała uniemożliwić im ucieczkę. Ale logika tego rozumowania wydaje mi się pokrętna, jeśli nie wprost sadystyczna, bo cóż mogłoby bardziej przstraszyć skazańca, niż zamykające się nad nim przejścia, coraz mniejsze i mniejsze, i świadomość, że za ostatnim łukiem czeka trumna.

W moim śnie nie ma trumny, nie ma szafotu, nie ma wrzeszczącego tłumu gapiów. Jest tylko jedno sklepione przejście za drugim. Za każdym razem trudno mi uwierzyć, że uda mi się przecisnąć przez kolejny otwór, ale za każdym razem mi się to udaje. Wędrówka nigdy się nie kończy. Tylko to wypełnia mój sen – przeciskanie się przez sklepione przejścia, żadnej krwi ani przemocy, tylko dojmujące przerażenie, pogłębiające się z każdym krokiem. Budzę się, dysząc ciężko, z włosami zlepionymi potem i klejącymi się do twarzy, tylko po to aby odkryć, że znajduję się w swojej celi, w więzieniu.

Ława przysięgłych może tego nie wiedzieć, ale ja to wiem, bo Robert mi powiedział. I ty też musisz to wiedzieć. Zeznania świadków wzywanych do tej pory przez oskarżenie były w dużej mierze nieistotne. Znaczenie będzie miała tylko opinia biegłego psychologa, a jedyne, co będzie się liczyć, to czy cierpisz na zaburzenia osobowości i możesz się powołać na ograniczoną poczytalność, czy nie. Sędziowie przysięgli wciąż mają głowy pełne nagrań z telefonów alarmowych i dyskusji na temat rozcieńczonej krwi, więc podejrzewam, że nie zdają sobie sprawy ze znaczenia opóźnienia, do którego dochodzi dzień po moim śnie. Biegły świadek oskarżenia, psychiatra nazwiskiem Sanderson, musi przeprowadzić z tobą wywiad w więzieniu i dokonać oceny psychologicznej. Dla sędziów przysięgłych oznacza to jedynie tyle, że dostają dzień wolny.

\*\*\*

Jest środowy poranek. Gdy opuszczałam więzienie Holloway, niebo było zachmurzone, ale po dziesięciu minutach przebywania w gmachu sądu tracę jakiegokolwiek poczucie rzeczywistości. Na zewnątrz, w normalnym świecie mogłoby przygrzewać słońce albo mogłaby szaleć zadymka, ale tutaj klimat zawsze jest ten sam – duszne zamknięte pomieszczenie skąpane w blasku świetlówek. Gdy wspinam się po betonowych stopniach do sali sądowej, dociera do mnie, że nie tyle doświadczam tego procesu, ile jestem jego organiczną częścią. Rutyna jest mi tak bliska, tak znana, że dni przed procesem wydają się zagubione w odległej przeszłości. Ledwie potrafię uwierzyć, że kiedyś miałam dom, męża, pracę i dorosłe dzieci, które nie kontaktowały się ze mną tak często, jak bym chciała. Normalne czynności, takie jak parzenie kawy czy przygotowywanie tosta, wydają mi się odległym snem. Próbuję sobie wyobrazić fizyczne wygody mojego domu: ciemnozielona wykładzina na schodach, gładkie drewno dębowej poręczy pod dłonią. Wspinanie się po schodach we własnym domu...

Ty już siedzisz na ławie oskarżonych. Policjanci rozmawiają cicho. Komisarz Cleveland stoi przy swoim krześle, podciąga spodnie, pochyla się lekko i uśmiecha na słowa jednego z młodszych współpracowników. Zauważyłam, że często krzyżuje ramiona na piersi, wysoko, jakby przy takich rozmiarach czuł się odrobinę niezdarnie i robił to w celu zapobieżenia wszelkiemu ryzyku. Młodszy oskarżyciel, mężczyzna, który lubi bujać się na krześle, oferuje Robertowi miętówkę z dużego opakowania, z którego częstuje wszystkich adwokatów. Ale nie widzę pani Bonnard, a to jest nietypowe. Normalnie zawsze jest zwarta i gotowa, czeka na początek sesji w atmosferze gorliwej niecierpliwości.

Po kilku minutach kobieta wpada do sali, przyciskając do piersi plik papierów, ignoruje wszystkich i zmierza prosto do miejsca, gdzie siedzi asystujący jej młodszy obrońca. Przez chwilę rozmawiają gorączkowo, po czym razem opuszczają salę. Po paru minutach ona wraca. Za nią idą mężczyzna i kobieta, jak się później okaże, biegli psychologowie obrony. W przeciwieństwie do innych świadków oni mogą siedzieć na sali, podczas gdy zeznaje psycholog oskarżenia, bo ich zadaniem będzie podważenie jego opinii. Sadowią się w tym samym rzędzie co prawnicy z prokuratury Korony. Podczas gdy czekamy na sędziego, pani Bonnard wciąż się odwraca i coś do nich szepcze.

Drzwi od gabinetu sędziego się otwierają.

– Proszę wstać! – woła woźny, podczas gdy sędzia wkracza na salę, a my zrywamy się z miejsc, posłuszni jak zawsze.

Sędzia pozdrawia wszystkich zwyczajowym skinieniem głowy, a my kłaniamy się i siadamy. Woźny już szykuje się do opuszczenia sali, żeby przywołać ławę przysięgłych, gdy pani Bonnard nieoczekiwanie wstaje.

– Wysoki sędzie... – mówi, tylko odrobinę za głośno.

Woźny zatrzymuje się w połowie drogi. Sędzia ściąga brwi, spoglądając znad okularów. Wszyscy wpatrują się w tę młodą kobietę, która do tej pory wydawała się taka opanowana i pewna siebie. Stoi plecami do mnie, ale po sposobie, w jaki trzyma łokcie, domyślam się, że ściska klapy swojej togi obiema dłońmi. Odchrząkuje; chce o coś poprosić. Sędzia patrzy na nią i obdarza swoim normalnym pobłażliwym uśmiechem, chociaż nieco sztucznym. Wie, że zaraz usłyszy coś, co mu się nie spodoba.

– Wysoki sędzie – mówi kobieta – zanim ława przysięgłych zostanie wprowadzona... przykro mi to mówić, ale możliwe, że dojdzie do kolejnego opóźnienia, i trudno mi powiedzieć, jak długo to opóźnienie będzie trwało.

Sędzia zerka ostentacyjnie na zegar zawieszony tuż pod barierką galerii dla publiczności.

– Obawiam się, że problem tkwi w raporcie doktora Sandersona. Otóż najwyraźniej drukarka tu w budynku jednak nie działa. Chociaż otrzymałam raport drogą elektroniczną dziś o siódmej rano, byłam już w drodze tutaj. Zaczęłam go czytać w pociągu, ale ma on dwadzieścia osiem stron... – Kobieta milknie. Sędzia tylko się na nią gapi. – Wysoki sędzie, jestem przekonana, że nie będę w stanie zapewnić mojemu klientowi pełnej i odpowiedniej obrony, jeśli nie otrzymam szansy na szczegółowe przeczytanie raportu w wersji drukowanej, sporządzenie koniecznych notatek i przedyskutowanie ich z klientem. Niektóre części tego raportu uważam za dyskusyjne, inne w rzeczy samej dotyczą meritum naszej obrony. Nie ryzykowałabym dalszych opóźnień, gdyby to nie była sprawa najwyższej wagi.

Sędzia wzdycha.

– Czy naprawdę nie można dostarczyć pani Bonnard fotokopii raportu?

Rozgląda się po sali z pełnym napięcia uśmiechem, jakby kierował to pytanie do wszystkich, łącznie z woźnym sądowym oraz ludźmi zgromadzonymi na galerii, i naprawdę nie mógł zrozumieć, dlaczego nikt nie potrafi mu pomóc. Czuję niestosowne, ale odruchowe pragnienie, żeby unieść dłoń jak pupilka nauczyciela, jaką zawsze byłam, mimo że oczywiście ja również nie posiadam kopii tego raportu,

podobnie jak Robert.

– Wysoki sędzie, udało mi się ustalić, że być może uda się wydrukować raport na innej drukarce, ale będę musiała przeczytać go ponownie w całości. Zdaję sobie sprawę, że to nad wyraz irytujące opóźnienie, ale gdybym otrzymała raport przed opuszczeniem domu dziś rano, oczywiście wydrukowałabym go w domu i zapoznała się z wydrukiem w pociągu.

Sędzia się pochyła.

– Jeśli się nie mylę, raport został wysłany do wszystkich wczoraj przed północą? – Jego uśmiech staje się coraz bardziej napięty.

– To możliwe, wysoki sędzie, ale wieczorem straciłam dostęp do internetu i byłam w stanie odebrać pocztę dopiero rano w pociągu.

Sędzia wzdycha znowu i zaciska usta. Podejrzewam, że potrafi być bardzo wybuchowy w niedzielne popołudnie, gdy pieczone ziemniaki dochodzą przed pieczeniem jagnięcą. Znowu spogląda na zegar:

– Ogłoszę przerwę do godziny jedenastej. Czy tyle czasu pani wystarczy, pani Bonnard?

Kobieta pochyła głowę w ukłonie.

– Dziękuję. Z pewnością zdążę wydrukować dokument i go przeczytać, ale mogę jeszcze potrzebować trochę czasu na konsultację z moim klientem.

Robert siedzi bokiem, opierając ramię o tył krzesła. Widzę, że marszczy brwi.

– Ile czasu? – cedzi sędzia.

– Wysoki sędzie, z całym szacunkiem, proponowałabym, aby zwołać ławę przysięgłych dopiero po lunchu, o czternastej.

Sędzia patrzy na nią krótko, po czym mówi, wbijając wzrok w powietrze przed sobą:

– Proszę wprowadzić ławę przysięgłych...

Robert zerka na mnie, wciąż marszcząc brwi. Woźny wychodzi i wraca po chwili wraz z całą grupą. Gdy sędziowie przysięgli przecinają salę, młody mężczyzna na samym końcu przystaje na moment, żeby wyjąć coś z plecaka.

– Proszę zająć swoje miejsce – prosi sędzia z odrobiną niecierpliwości w głosie. – Obiecuję, że to nie potrwa długo.

Członkowie ławy siadają, a sędzia zwraca się do nich:

– Panie i panowie, pojawiła się pewna kwestia prawna, której rozwiązanie zajmie trochę czasu. Jak już państwu mówiłem, państwa zadaniem tutaj jest osądzać dowody, a moim – kwestie prawne. Co w efekcie oznacza, że państwo będą mieli przerwę, a ja nie.

Na twarzach członków ławy przysięgłych pojawiają się pełne ulgi uśmiechy, gdy dociera do nich, że sędzia, zupełnie nieoczekiwanie, zażartował.

– W rezultacie będziemy potrzebować państwa obecności dopiero po zakończeniu przerwy na lunch. Są państwo wolni do godziny czternastej.

I tyle. Członkowie ławy przysięgłych zostają wyprowadzeni z sali. Zastanawiam się, dlaczego sędzia nie przeprosza ich za to, że niepotrzebnie tu przyjechali tego ranka, ale podejrzewam, że to mogłoby

podważyć jego autorytet. Z wyżyn można sypać żartami, ale przeprosinami już nie.

– Proszę wstać – warczy woźny.

Wszyscy wstajemy i kłaniamy się sędziemu, gdy wychodzi.

Pani Bonnard odwraca się do ciebie, mojego współoskarżonego, i woła:

– Zaraz do ciebie zejść!

Jestem trochę zdezorientowana. Czy zdobycie wydruku raportu nie stanowiło dla niej najpilniejszego problemu? Twój zespół obrońców zbiera papiery, teczki i opuszcza salę w pośpiechu.

Komisarz Cleveland odwraca się, żeby spojrzeć na swoich kolegów przy drzwiach, i unosi brwi. Potem podchodzi do stołu oskarżenia. Pani Price zwraca się do niego, rozkładając dłonie:

– Grają na czas. – A potem tylko odrobinę ciszej dodaje: – Brak dostępu do internetu, tere-fere.

Robert wciąż tkwi z jedną ręką na oparciu krzesła, zamyślony. Jego młodsza pomocnica siedzi obok w milczeniu.

\*\*\*

Doktor Sanderson napełnia mnie strachem w chwili, gdy tylko wkracza na salę. Ma twarz jak buldog i puszyste siwe włosy. Konieczność składania zeznań w sądzie najwyraźniej nie robi na nim najmniejszego wrażenia, chociaż przypuszczam, że został opłacony. Zajmuje miejsce dla świadka, a pani Price omawia z nim psychologiczną ewaluację ciebie. Mówiąc ogólnie, psycholog twierdzi, że nie ma absolutnie żadnych szans, abyś cierpiał na zaburzenia osobowości. Swoją opinię uzasadnia twoim dobrym zachowaniem w areszcie śledczym, brakiem wcześniejszych problemów psychicznych i stabilną historią zatrudnienia. Jego zdaniem najbardziej obciąża cię to, że lubisz konfabulować. Jako dowód podaje wykalkulowany sposób, w jaki dążyłeś do stosunków pozamałżeńskich. Innymi słowy, jesteś kłamcą. Nie jesteś szalony, nie cierpisz na zespół stresu pourazowego ani na pograniczne zaburzenie osobowości. Nie jesteś też psychopatą. Jesteś po prostu kłamcą.

\*\*\*

Pani Bonnard robi, co może. Próbuje radzić sobie z doktorem Sandersonem tak samo, jak radziła sobie z innymi świadkami oskarżenia – atakuje. Pyta, jakie ma doświadczenie w składaniu zeznań, i ustala, że ten lekarz niemal zawsze opowiada się po stronie oskarżenia. Cytuje raport, który napisał dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zatytułowany: *Obrona w sprawach karnych i symulowanie choroby*. Każe mu wyjaśnić, że symulowanie choroby to techniczny termin określający sposób, w jaki przestępcy próbują uniknąć odpowiedzialności za swoje winy, udając zaburzenia psychiczne i dokładnie zbierając informacje na ich temat.

– Często pan uważa, że ludzie symulują, prawda? – pyta.

Buldog patrzy na nią chłodno i niewzruszony odpowiada:

– Uważam, że symulują, gdy nie ma żadnych dowodów na to, że cierpią z powodu poważnego zaburzenia psychicznego. Udają, że tak jest, aby uniknąć kary. – Spogląda na ławę przysięgłych w taki

sposób, jakby miał ochotę przewrócić oczami.

Wtedy pani Bonnard wyciąga ostatnią broń ze swojego arsenału. Prosi doktora Sandersona, aby skomentował sprawę, w której składał zeznania na rzecz oskarżenia, dotyczącą kobiety, która pchnęła nożem ojczyrna po latach molestowania seksualnego.

– Pana opinia, jak rozumiem, była taka, że ta kobieta nie cierpiała na zespół stresu pourazowego?

– Zgadza się – odpowiada mężczyzna. – W mojej opinii nie cierpiała.

– Sceptycznie podchodzi pan do tego, czy zespół stresu pourazowego naprawdę istnieje – zauważa pani Bonnard, spuszczając wzrok jak zawsze, gdy rzuca jednym ze swoich zabójczych stwierdzeń.

Doktor Sanderson nie zamierza ustąpić ani o włos:

– Sceptycyzm nie należy do moich obowiązków. Do moich obowiązków należy przeprowadzenie oceny lekarskiej zgodnie z wymogami prawa.

Teraz wiem, dlaczego pani Bonnard grała na czas po przeczytaniu ewaluacji psychologicznej sporządzonej przez doktora Sandersona. Ten raport jest dla ciebie druzgocący. Doktor Sanderson okazuje swój cynizm z wystarczającym umiarem, by nie wyjść na szorstkiego. Wygląda mi na człowieka pełnego nienawiści, który nie ma w sobie ani odrobiny empatii. Jest tego typu osobą, która jeszcze kilka lat temu powiedziałaaby, że napastowanie seksualne nie istnieje, chyba że w umyśle ofiary. Ale trzeba przyznać, że wierzy w każde swoje słowo. Kocha swoją pracę i jest w niej dobry. Jest zupełnie szczery.

\*\*\*

Gdy Robert odwiedza mnie w mojej celi pod koniec dnia, widzę, że nie jest zadowolony.

– Chociaż nasza obrona nie opiera się na założeniu, że pan Costley jest niewinny, naturalnie chcielibyśmy, aby został za takiego uznany, bo wtedy ty automatycznie zostałabyś oczyszczona z zarzutów.

– Jak twoim zdaniem pani Bonnard poradziła sobie z psychologiem? – pytam, chociaż znam odpowiedź.

Robert marszczy brwi. Toga znowu zsunęła mu się z ramienia, peruka jest odrobinę przekrzywiona. Wygląda na zmęczonego.

– Powiedzmy po prostu, że rozgrywa sprawę nieco inaczej, niż ja mam w zwyczaju – prychna szyderczo. – Normalnie miewam nieco lepsze stosunki z innymi zespołami obrony w trakcie procesów, w których sądzonych jest wielu oskarżonych. Ostatecznie to leży w naszym interesie, żeby współpracować.

Oboje siedzimy w milczeniu przez minutę czy dwie w małym pokoju konsultacyjnym. Jutro przyjdzie kolej na mnie.

\*\*\*

Taktyka oskarżenia wobec mnie jest prosta. Pani Price miesza z błotem własną ofiarę. Przedstawia George'a Craddocka jako potwora. Nie próbuje dyskredytować czy umniejszać jego napaści na mnie, tak jak robiłby to adwokat obrony, gdyby to Craddock siedział na ławie oskarżonych. Robi coś wręcz

przeciwne. Im gorzej Craddock wypadnie, tym więcej motywów mi to daje. Oskarżenie przedstawia dowody uzyskane przez policyjnego eksperta komputerowego, dotyczące pornograficznych stron, które odwiedzał Craddock. Jego była żona okazała się nieosiągalna – nie udało im się z nią skontaktować w Stanach Zjednoczonych, więc sprowadzają jej siostrę, żeby złożyła zeznania na temat małżeństwa Craddocka i zarzutów dotyczących przemocy w rodzinie. Nie wiedziałam, że można wykorzystywać dowody ukazujące martwą ofiarę w złym świetle, ale najwyraźniej można. Zaczynam odnosić wrażenie, że w trakcie tego procesu wszystko jest dozwolone, bo cała sprawa stoi na głowie. Wszystko jest na opak, jakby proces odbijał się w lustrze tamtej kawiarni, w której spotkaliśmy się z Kevinem. Wszystko, co powinno się liczyć na moją korzyść, jest skierowane przeciwko mnie.

Sam Kevin zostaje powołany na świadka jako następny i składa przekonujące zeznania na temat tego, jaka byłam opanowana i jak jasno się wysławiałam w trakcie naszej rozmowy, chociaż wyczuwał, że bardzo cierpię w związku z tym, co mi się przydarzyło. Kevin jest dobrym świadkiem, na sali sądowej wypada równie sympatycznie jak w kawiarni. To pełen współczucia mężczyzna, którego praca polega na pomaganiu kobietom – nie mógłby mi bardziej zaszkodzić. Wszystko jest do góry nogami, wywrócone na lewą stronę. W trakcie zeznań Kevina mam ochotę skryć twarz w dłoniach i zacząć krzyczeć jak nigdy wcześniej podczas całego tego procesu.

Pani Price nie odwołuje się do spekulacji Kevina na temat natury relacji między nami. Ten dowód został uznany za niedopuszczalny w sądzie. Istnieją tylko dwie osoby, które można zapytać o to, co nas łączyło – ty i ja.

Nawet taksówkarz, który wiózł mnie do domu tamtej nocy, jest świadkiem oskarżenia. Wytropili go na podstawie paragonu, który mi wydał, a który znaleźli pośród moich papierów, gdy przeszukiwali dom. On też robi dobre wrażenie. Ma silny londyński akcent, trochę mamrocze, ale to serdeczny, miły człowiek

– Co pan zaobserwował między oskarżoną a ofiarą? – pyta go pani Price.

Robert wstaje. Wnosi sprzeciw po raz pierwszy w trakcie procesu i kilka osób z ławy przysięgłych patrzy na niego z zaskoczeniem.

– Wysoki sędzie, ten świadek jest proszony o wyrażenie swojej opinii...

Sędzia unosi dłoń, aby przerwać Robertowi w pół zdania, po czym rozważa coś przez chwilę i w końcu mówi:

– Sądzę, że pytanie dotyczy tego, co świadek zauważył. Pani Price, proszę zadbać o to, aby pani pytania nie odbiegały od tego. Dobrze?

– Oczywiście, wysoki sędzie.

– Zatem proszę kontynuować.

Robert siada. To jego pierwsza interwencja i został zgaszony. Przechodzi mi przez myśl, że jeśli on sprawia wrażenie słabego, z pewnością cała nasza sprawa wygląda słabo.

– Cóż, tak jak powiedziałem mojej żonie tamtej nocy, byłem trochę zaniepokojony – kontynuuje taksówkarz ostrożnie, odrobinę zarozumiale, przenosząc wzrok z oskarżyciela na ławę przysięgłych i z powrotem. – To był mój ostatni kurs tamtego wieczoru. Sam mieszkam w zachodnim Londynie, więc

byłem zadowolony, że mi się trafił, i pomyślałem, że skończę nieco wcześniej i pojedę do domu. Żona czekała na mnie, a ja powiedziałem jej, że myślę, iż ta kobieta, którą odwoziłem do domu, była w złym stanie. Kulila się w kącie taksówki, jakby... Nie wiedziałem, co się działo, ale nie wyglądała dobrze.

\*\*\*

Te dające zupełnie przeciwny efekt zeznania dobiegają końca i przychodzi moment, w którym oskarżeniu zaczyna brakować argumentów. Bez dowodów potwierdzających naturę naszego związku sugestia, że nakłoniłam cię do zabicia Craddocka, brzmi mało przekonująco. Poza wyraźnym stwierdzeniem, że to, co ten człowiek mi zrobił, było bardzo złe, oskarżenie niewiele może zrobić. Zastanawiam się, czy o tym wie. Zastanawiam się, czy pani Price myśli sobie: „Och cóż, wystarczy, że dopadniemy jego. Zrobimy, co w naszej mocy, żeby skazać również ją, ale nie wygląda to za dobrze”. Zastanawiam się, nie po raz pierwszy, do jakiego stopnia uczestnicy tego procesu są zaangażowani w niego emocjonalnie. Jak bardzo tych ludzi obchodzi to, co się tu dzieje?

\*\*\*

Jest piątkowe popołudnie. Członkowie ławy przysięgłych jeszcze sadowią się z powrotem na swoich miejscach, kiedy podnosi się młodszy oskarżyciel. Tym razem pani Price pozostaje na swoim miejscu. Najwyraźniej młodszym adwokatom też trzeba dać coś do roboty.

– Wysoki sędzie, mamy pewne dokumenty do przedłożenia...

Młody mężczyzna od miętówek odczytuje oświadczenie ratownika medycznego, który nie został wezwany na świadka, bo przebywa w szpitalu na operacji usunięcia wyrostka robaczkowego. Ale jego oświadczenie wystarczy.

– Dokument znajduje się w segregatorze na stronie dwieście trzynastej...

Następuje chwila przerwy, podczas gdy sędzia przegląda swoją dokumentację. Tak naprawdę nie rozumiem, jaki związek z tą sprawą mają zeznania nieobecnego ratownika, ale później Robert wyjaśnia mi, że chodzi o to, do jakiego stopnia mieszkanie zostało posprzątane po tym, jak Craddock został zabity. To jest ważne, jeśli obrona ma się opierać na ograniczonej poczytalności. Najwyraźniej im dokładniej wysprzątałeś, tym lepiej byłeś zorganizowany, tym bardziej odpowiedzialny za swoje czyny i przy zdrowych zmysłach. Mimo wszystko szczegółowe oświadczenie paramedyka wydaje mi się przesadą. Ostatecznie oskarżenie już zademonstrowało, że wiedziałeś, co robisz. Ale musimy słuchać o tym, jak ratownicy medyczni włożyli rękawiczki chirurgiczne na buty przed wejściem do mieszkania. Normalnie poczekaliby na odzież ochronną, żeby nie naruszyć dowodów – ostatecznie wedle zgłoszenia człowiek już nie żył – ale ponieważ trwałoby to za długo, podjęli decyzję, żeby wejść i sprawdzić, czy w mieszkaniu nie znajduje się ktoś jeszcze, kto potrzebowałby pomocy. To kolejny przykład sytuacji, w której informacje są nam podawane tylko po to, aby później uchronić kogoś przed krytyczną oceną, a nie dlatego, że mają jakikolwiek związek z naszą sprawą. Pan Miętówka dalej odczytuje oświadczenie paramedyka:



– „Gdy wszedłem do mieszkania, natychmiast udałem się do kuchni, gdzie znalazłem niezidentyfikowanego białego mężczyznę leżącego na plecach z głową skierowaną w stronę lodówkozamrażarki. Zauważyłem dużą kałużę krwi w okolicach głowy...”

I znowu wracamy do początku – do ciała. Znowu krążymy wokół tego tematu. Nie wokół człowieka, lecz wokół zwłok. Zwłoki jak zwykle są na miejscu, jak trup w horrorze, który pojawia się wszędzie, gdziekolwiek spojrzy główny bohater – w sypialni, kuchni, salonie, biurze, samochodzie... Oczywiście ciało Craddocka to prawdziwe zwłoki, pozostaje w bezruchu, ale jednocześnie nie możemy przed nim uciec. Nieopierzony adwokat odczytuje fragment, w którym paramedyk opisuje przybycie na miejsce zbrodni policji i policyjnego lekarza, kończąc słowami „zgon stwierdzono o godzinie osiemnastej”.

Zgon. Życie ulotniło się z Craddocka na dobre. Nie oddaliło się na chwilę. Nigdy już nie wróci.

Słowo „zgon” wciąż wisi w powietrzu, gdy młodszy oskarżyciel dodaje:

– I jeszcze tylko jeden dokument, wysoki sędzie. – Po czym odpala mały ładunek głębinowy w i tak już mętnych wodach informacji, jakie ma na twój temat ława przysięgłych: – W dwa tysiące piątym roku Mark Costley przyznał się do zarzucanej mu napaści zwykłej.

Sędziowie przysięgli wyglądają na zaskoczonych i trochę skonsternowanych. Czują, że jest to istotna informacja, i oczywiście chcą usłyszeć więcej szczegółów. Nie byli świadkami prawnych debat dotyczących przyjmowania dowodów stawiających oskarżonego w złym świetle, podczas których wyszło na jaw, że zostałeś uznany za winnego napaści po wdaniu się w bójkę z mężczyzną przed pubem. Ten mężczyzna najwyraźniej obraził twoją żonę. Ławie przysięgłych jednak nie wolno wysłuchać szczegółów tej sprawy, bo pani Bonnard upierała się, że to mogłoby stanąć na przeszkodzie sprawiedliwemu osądzeniu. Wciąż obserwuję reakcję członków ławy, gdy pani Price wstaje i mówi ledwie słyszalnym głosem:

– Wysoki sędzie, to podsumowuje moje wystąpienie jako oskarżyciela Korony.

To było tak nieoczekiwane, że rozglądam się po sali, by zobaczyć, czy ktoś jeszcze jest równie zaskoczony jak ja. Nie potrafię się oprzeć wrażeniu, że zabrakło jakiegoś podsumowującego wniosku, ale na to będzie czas później, w trakcie mów końcowych. To wtedy będę mogła oczekiwać teatralnych gestów. Członkowie ławy przysięgłych też wyglądają na nieco zaskoczonych. Sędzia zwraca się do nich i mówi, że skoro jest niemal piętnasta w piątek, nie widzi sensu, aby obrona zaczynała swoje wystąpienie. Przypomina, że nie wolno im omawiać sprawy z nikim w trakcie weekendu. Są wolni aż do dziesiątej piętnaście rano w poniedziałek. Prezentowanie dowodów zajęło oskarżeniu dwa tygodnie. Okaże się, że nasza obrona pójdzie znacznie szybciej.

Sędziowie przysięgli wychodzą z sali gęsiego na naszych oczach. Patrzą, jak wracają do swego normalnego życia. Wszyscy na sali oddychają z ulgą. Kobieta z Urzędu Ścigania Publicznego z westchnieniem zamyka teczkę. Sędzia pyta Roberta, czy będzie przedkładał jakieś dokumenty, a ten odpowiada, że owszem, dostarczy je sędziemu przed północą. Teraz Robert odwraca się i mówi do mnie:

– Zejdę do ciebie za kilka minut.

Wstaję z mojego miejsca rozczarowana. Nie wiem, czego się spodziewałam po podsumowaniu

oskarżenia, ale z pewnością czegoś więcej. Może to dlatego, że myślałam, iż oświadczenie paramedyka zakończy się jakąś puentą. A może dlatego że sama jeszcze nie zajęłam miejsca dla świadka. Czy to arogancja, czy desperacja z mojej strony, że nie mogę się tego doczekać?

\*\*\*

Kiedy Robert schodzi do celi, wygląda nieco beztrosko, jakby właśnie skończył służbę. Może to dlatego, że jest piątkowe popołudnie. Przeprowadził ze sobą młodszą adwokat Claire i tłoczmy się razem przy małym stoliku w pokoju konsultacyjnym. Robert mówi, że wieczorem złoży sędziemu wniosek o oddalenie oskarżenia przeciwko mnie. Z zeznań wszystkich świadków, których prokuratura powołała w mojej sprawie, znaczenie miały tylko słowa Kevina. Ale chociaż jego zeznania mogły wyjaśniać mój motyw, nie został on udowodniony. Robert nie mówi o tym otwarcie, ale uratowało nas to, że Kevinowi zabroniono spekulować co do natury mojego związku z tobą. Mimo więc tego wszystkiego, czego nasłuchiwałam się na twój temat w ostatnich dniach, chciałabym móc ci powiedzieć: „Miałeś rację, to dzięki przemilczeniu naszego związku jestem bezpieczna”.

Patrzę, jak Robert i Claire zbierają się do odejścia. Mam ochotę ich zatrzymać, bo kiedy już sobie pójdą, nie pozostanie mi nic innego, jak siedzieć i czekać w tej celi, aż zostanę odwieziona do więzienia. Zarówno oni, jak i inni adwokaci spędzą weekend z dala od tej sprawy, powrócą do zewnętrznego świata, do normalnego życia, do rozmów o pogodzie, wiadomości o dziesiątej, zbyt drogich restauracji i butelek wina, które okazało się nie tak dobre, jak powinno. To wszystko czeka na nich, na Roberta i Claire, i pozostałe osoby zaangażowane w naszą sprawę, ale nie na mnie, nie na ciebie, nie na ojca Craddocka.

– A jak wygląda sytuacja Marka? – Moja troska jest szczerą, mimo wszystko.

Usłyszawszy to pytanie, zatrzymują się i wymieniają spojrzenia. Claire już otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale Robert ją uprzedza:

– Cóż, mogę tylko powiedzieć, że gdybym ja był jego adwokatem, nie opierałbym obrony na ograniczonej poczytalności. Jak sama widziałaś, pani Bonnard nie zdołała złamać doktora Sandersona. Lepiej, żeby miała cholernie dobrego psychologa po swojej stronie, tylko tyle mogę powiedzieć. Musi mieć jakiegoś asa w rękawie. Costley latami zajmował odpowiedzialne stanowisko, ma rodzinę, żadnych poważnych epizodów psychiatrycznych w przeszłości. Byłem zaskoczony, że na to się decydują w tych okolicznościach. Oczywiście każdy z nas jest zobligowany przyjmować instrukcje od klienta, a ja nie uczestniczyłem w ich spotkaniach, więc... – zaciska usta, przechyla nieco głowę.

Zadaję im to samo pytanie, co Jasowi w pizzerii:

– Dlaczego nie twierdzą, że działał w samoobronie?

Robert i Claire znowu wymieniają spojrzenia. Potem Claire mówi łagodnie:

– Wyniki ekspertyzy sądowej bardzo utrudniłyby taką linię obrony.

\*\*\*

Sama nie wiem, co czuję, gdy odchodzą. Być może w poniedziałek na wniosek Roberta oskarżenie przeciwko mnie zostanie oddalone, a ja wyjdę na wolność. To wszystko wydaje się takie nagłe. Nawet jeszcze nie składałam zeznań. Robert nie przedstawił żadnych dowodów na moją obronę, choć rzeczywiście dowody przeciwko mnie wydają się wątpliwe. Trwa przerwa w połowie meczu. Trenerzy przebywają ze swoimi drużynami, wygłaszają mowy dopingujące, omawiają dotychczasowy przebieg gry i mówią zawodnikom, co musi się wydarzyć w drugiej połowie. Dla mnie wygląda to całkiem dobrze, dla ciebie – raczej źle. Martwię się o ciebie, oczywiście, że się martwię. Ale kusząca i przerażająca myśl, że w poniedziałek mogłabym wrócić do domu, wypełnia moją głowę jak chmura, jak migrenowy ból głowy. Nie potrafię myśleć o niczym innym. Powinnam była sobie przypomnieć opowieść Jasi o szympansicy. Gdybym o niej pamiętała, mój ukochany, nie uśmiechnęłabym się głupio, gdy Robert i Claire ściskali moje dłonie, opuszczając pokój konsultacyjny w tamto piątkowe popołudnie.

W poniedziałek rozpoczyna się druga połowa procesu. Przez cały weekend pozwalałam sobie żywić nadzieję na uwolnienie. Poranna podróż furgonetką przypomina normalny przejazd. Już nie robi mi się niedobrze. Gawędzę ze strażniczkami, które mnie pilnują. Gdy docieramy na miejsce, starszy czarnoskóry mężczyzna wita mnie z uśmiechem, a kiedy pytam:

– Jak ci się udał weekend, Thomasie? – odpowiada:

– Pięknie!

Susannah już siedzi na galerii. Gdy zajmuję swoje miejsce, pokazuję jej pełne nadziei kciuki skierowane w górę, a ona odwzajemnia się słabym uśmiechem. Robert podchodzi do mnie i mówi:

– Tylko nie rób sobie za dużych nadziei.

Mimo wszystko dopiero w chwili, gdy już wszyscy siedzimy na swoich miejscach, ale ławy przysięgłych jeszcze nie ma, w momencie, gdy sędzia mówi: „Nie przychyliam się do wniosku...” – dociera do mnie, że okłamywałam się przez cały proces. Przez całe dwa tygodnie powtarzałam sobie, że nic na mnie nie mają. A przez cały weekend wmawiałam sobie oczywiście, że sędzia umorzy moją sprawę. Nie dlatego że wnioski o umorzenie tak często są rozpatrywane pozytywnie – rzadko tak bywa – ale dlatego że przecież ja wiem, iż powinien to zrobić. Jakim cudem umysł działa tak dwutorowo? Nigdy tego nie rozumiałam, tej złożoności ludzkiej psychiki. Jak ludzie mogą operować na dwóch poziomach, żyć normalnie, podczas gdy wszystko wokół się wali? Nie trzeba być cudzołożnikiem, żeby tego doświadczyć. Wystarczy iść rano do pracy, chociaż dziecko jest chore albo ma kłopoty. To musi dotyczyć ogromnej większości rasy ludzkiej. „Jak się masz?” – zapytała mnie recepcjonistka w Instytucie Beauforta wesołym głosem dzień po tym, jak u mojego syna zdiagnozowano chorobę dwubiegunową. „Świetnie!” – zaszcebiotałam w odpowiedzi.

Kiedy zarzuty zostają oddalone albo oskarżonego uznaje się za niewinnego, nie wraca już na dół do celi nawet na czas załatwienia formalności. Po prostu wypuszcza się go, od razu. W boksie otaczającym ławę oskarżonych znajdują się drzwi otwierające się na salę i po prostu się przez nie przechodzi. Można wyjść na korytarz, zejść po schodach i wydostać się prosto na ulicę.

Siedząc na ławie oskarżonych, zastanawiam się, o czym myślisz, ale ty pozostajesz milczący i niewzruszony. Z pewnością ucieszyłbyś się, gdybym została uwolniona, mimo powagi własnej sytuacji, prawda? A potem uderza mnie otrzeźwiająca myśl: Dlaczego w ogóle muszę zadawać to pytanie? Jestem tak rozczarowana, że ledwie zauważam, co się dzieje na sali. Uniesienie głowy i śledzenie rozwoju

wydarzeń wymaga wysiłku, ale mówię sobie, że muszę pozostać czujna. Ani się obejrzę, a sama zasiądem na miejscu dla świadka.

Sędzia właśnie skończył porządkować jakieś papiery. Podnosi wzrok, rozgląda się po sali, obdarza nas wszystkich uśmiechem i pyta:

– A zatem jesteśmy gotowi na ławę przysięgłych?

\*\*\*

Pani Bonnard zaczyna od wezwania kilku świadków, których zeznania mają zatrzeć złe wrażenie, jakie na ławie przysięgłych mogły wyrzeć słowa sierżant Amelii Johns czy świadka incognito. Powołuje twojego szefa z pałacu Westminster i byłego współpracownika z czasów, gdy służyłeś w policji. Dociera do mnie, że broniąca cię kobieta znajduje się w wyjątkowo trudnej sytuacji. Z jednej strony chce, aby sędziowie przysięgli cię polubili i dostrzegli w tobie ludzkie cechy, z drugiej musi udowodnić, że masz zaburzenia psychiczne, aby mogła się powołać na ograniczoną poczytalność. To niełatwe zadanie. Ale jedyny świadek, który tak naprawdę się liczy, to jej psycholog. „Lepiej, żeby miała cholernie dobrego”.

Pani Bonnard ma ich dwoje. Nie wiem, jak wiele swobody pozostawia się adwokatom przy wyborze psychologów zeznających w ich sprawach – podejrzewam, że istnieje jakiś rejestr, zapewne każdy ma swoich ulubieńców – ale pani Bonnard wybrała dwoje zawodników z dzikimi kartami: młodego mężczyznę, który ledwie wygląda na wystarczająco dorosłego, aby mógł mieć jakiegokolwiek doświadczenie zawodowe, oraz kobietę podobną do niej. Zastanawiam się, czy liczy na to, że ława przysięgłych spojrzy bardziej przychylnym okiem na jej młodych, pełnych zapału psychologów niż na tęgiego, niesympatycznego świadka oskarżenia, doktora Sandersona. Na mnie to podziałało. Oboje wydają mi się sympatyczni. Zauważyłam, że podczas składania zeznań przez Sandersona robili notatki.

Chociaż stanowią zespół, tylko młoda kobieta zajmuje miejsce dla świadka. Nazywa się doktor Ruth Sadiq, ma starannie ułożone ciemne włosy oraz bladą skórę. I bardzo drobne dłonie, co zauważam, gdy składa przysięgę. Przypominam sobie, co Laurence powiedział mi o tym, w jaki sposób ludzie odbierają informacje. Ta kobieta również przeprowadziła z tobą wywiad w więzieniu i prezentuje znacznie bardziej wyrozumiały portret twojej osoby niż doktor Sanderson. Owszem, zgodziłaby się z doktorem Sandersonem, że konfabulujesz, ale to cecha osób z problemami psychicznymi, takich, które mają wysoce stresującą pracę i skomplikowane życie rodzinne – można ją postrzegać jako mechanizm obronny. Okazuje się, że doktor Sadiq jest specjalistką od wysokofunkcjonujących pacjentów z zaburzeniami psychicznymi. Zaburzenia osobowości, takie jak psychopatia, często są diagnozowane u ludzi, którzy wiodą chaotyczny styl życia, wyjaśnia – u narkomanów, alkoholików czy bezdomnych. Takie osoby znacznie częściej widuje się też na ławach oskarżonych. Ale bardzo inteligentni ludzie, mający dobry system wsparcia, potrafią wypracować sobie mechanizmy obronne, prowadzące do złagodzenia objawów. Na przykład spokojne środowisko i życie w otoczeniu osób zachowujących się konsekwentnie pozwala pacjentom z osobowością chwiejną emocjonalnie na gromadzenie wskazówek dotyczących właściwego zachowania przez obserwację ludzi zdrowych. Doktor Sadiq mówi bardzo cicho – sędzia

dwukrotnie prosi ją, żeby nieco podniosła głos – i nie przejawia oratorskiej pewności siebie ani szyderczego nastawienia doktora Sandersona. Czuję, że wzbudziła sympatię ławy przysięgłych. Moja nadzieja odżywa.

– A zatem twierdzi pani, jeśli dobrze rozumiem – podpowiada pani Bonnard – że u osób o silnym systemie wsparcia niestabilne zachowania, zazwyczaj towarzyszące osobowości chwiejnej emocjonalnie, bywają niewidoczne?

– Tak, zgadza się. Wierzę, że choroba manifestuje się wtedy na inne sposoby.

– Czy zechciałaby pani opisać sądowi te sposoby?

– Cóż, w zaawansowanej formie osobowość chwiejna emocjonalnie może prowadzić do czegoś, co nazywamy dysocjacją, to jest do sytuacji, w której człowiek oddziela się od rzeczywistego życia i zaczyna tworzyć własną, samopodtrzymującą się narrację, prawie jakby wierzył, że ogląda siebie w filmie, jeśli można to tak ująć. Jest centralną postacią własnego dramatu i w tej sytuacji czuje się bezpiecznie. To, jak wierzę, spełnia również kryteria narcystycznego zaburzenia osobowości.

Pani Bonnard udaje przyjemne zaskoczenie:

– A zatem – mówi – ktoś pozostający w stanie dysocjacji, będącej rezultatem osobowości chwiejnej emocjonalnie czy narcystycznej albo kombinacji tych dwóch zaburzeń, mógłby korzystać ze zmyślonych historii na swój temat, aby radzić sobie z codziennym życiem i ukrywać swoją chorobę przed tymi, którzy go otaczają?

– Właśnie tak. Jeśli chory tworzy własną historię, to zachowuje kontrolę nad swoim życiem i, jak już mówiłam, czuje się bezpieczny.

– A czy osobom postronnym ktoś taki nie wydałby się po prostu... cóż... fantastą?

Doktor Sadiq uśmiecha się i mówi:

– Nie jest to zbyt fachowy termin, ale owszem, wierzę, że taką osobę można by nazwać fantastą, podczas gdy w rzeczywistości cierpi ona na poważne niezdiagnozowane zaburzenie psychiczne i używa zaawansowanego mechanizmu obronnego, aby radzić sobie z codziennym życiem.

Wszystko to brzmi przekonująco i pasuje do twojego wyobrażenia na swój temat, do ryzykownego seksu, do twojej potrzeby udawania, że jesteś kimś ważniejszym i bardziej ekscytującym niż w rzeczywistości... Historie, które opowiadamy sobie na nasz temat, sposób, w jaki wybieramy świadków... Próbuję spojrzeć na tę teorię obiektywnie, usunąć element własnego zainteresowania jej prawdziwością, i wciąż wydaje mi się wiarygodna.

Pani Bonnard obdarza doktor Sadiq ciepłym uśmiechem i mówi:

– Dziękuję pani, pani doktor. Proszę pozostać na miejscu.

\*\*\*

Pani Price wstaje, żeby przesłuchać świadka obrony. Nie ma w niej nic z kociego opanowania pani Bonnard, z jej przerażającej powolności i precyzji. Gdy zabiera głos, nie ma się wrażenia, że jej przesłuchanie to spektakl. Ponieważ siedzi bliżej miejsca dla świadka niż pani Bonnard, nie musi

odwracać głowy, zatem rzadko udaje mi się dostrzec wyraz jej twarzy, ale z ułożenia ramion zgaduję, że wciąż ma tę lekko znużoną minę, jakby jej racje były tak oczywiste, że ledwie chce jej się brać świadka przeciwnej strony w krzyżowy ogień pytań.

– Doktor Sadiq – mówi, spuszczać wzrok i znowu go podnosząc. – Pani t e o r i a, że ludzie z zaburzeniami osobowości mogą rozwinać mechanizmy obronne, które chronią ich przed chaosem, i że potrafią ukrywać te bardzo poważne zaburzenia przez wiele lat przed przyjaciółmi, rodziną, współpracownikami, lekarzami i tak dalej... była założeniem pani pracy doktorskiej, jeśli się nie mylę? Tej, której broniła pani na uniwersytecie w Kingston. Zgadza się?

Doktor Sadiq wciąż jest spokojna:

– Owszem, zgadza się.

Pani Price podnosi wzrok i rzuca proste pytanie:

– To pani ulubiona teoria, prawda?

I w tym momencie doktor Sadiq popełnia ogromny błąd. Nie odpowiada. Spogląda na panią Bonnard, jakby prosiła o instrukcje, ale twoja adwokat może tylko wpatrywać się w nią zachęcająco. To naprawdę ogromny błąd. Sprawia, że kobieta wygląda na piątkową uczennicę szukającą właściwej odpowiedzi. Zerka na sędziego i ławę przysięgłych, ale nikt nie jest w stanie jej pomóc. Spogląda na ławę oskarżonych, a ja mam ochotę się pochylić i powiedzieć: „No dalej, zapomnij o skromności, trzymaj się twardo swojej opinii, bądź zdecydowana. W sześćdziesięciu procentach liczy się twój wygląd, w trzydziestu procentach to, jak brzmisz, a tylko w dziesięciu procentach to, co rzeczywiście mówisz. Te trzydzieści procent należy do ciebie”.

– Cóż, tak, można tak powiedzieć, to teoria, w którą wierzę. Ale jestem przekonana, że wyjaśnia wiele rzeczy – mówi w końcu doktor Sadiq.

– Ale, doktor Sadiq... proszę mi wybaczyć – zauważa pani Price cierpliwie – czyż owa teoria, którą pani wyklada w swojej pracy doktorskiej, nie jest negowana przez większość znanych psychologicznych narzędzi diagnostycznych wykorzystywanych w sprawach karnych? Na przykład przez klasyfikację zaburzeń psychicznych Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego?

Znowu ta kompromitująca pauza.

– Cóż, tak, ale...

– A co z międzynarodową klasyfikacją chorób i problemów zdrowotnych?

– Cóż... – Doktor Sadiq się zacina.

Reszta przesłuchania to już tylko krwawy sport. Pani Price wymienia jeden za drugim podręczniki, artykuły, prace autorów o imponującym resume. Serce we mnie zamiera. Wiem wszystko o sztuce cytowania. Wiem, że prezentowanie nowej teorii ma sens jedynie wtedy, gdy jesteśmy w stanie przewidzieć cytaty, którymi będą się posługiwać nasi przeciwnicy, i wyciągać jak z rękawa te działające na naszą korzyść. Mogłam im to powiedzieć. To ja powinnam tam siedzieć. Ta kobieta jest miła, młoda, inteligentna, kompetentna, a jej teoria – absolutnie przyzwoita, ale zupełnie brakuje jej agresji, która umożliwia zaprezentowanie własnej koncepcji jako faktu. Chociaż nie ma go na sali, nieprzyjemny doktor

Sanderson bije doktor Sadiq na głowę dzięki samej pewności siebie.

\*\*\*

Nie nadeszła jeszcze pora lunchu, gdy doktor Sadiq otrzymuje pozwolenie na opuszczenie miejsca dla świadka. Gdyby sędzia nalegał, a miał do tego wszelkie prawo, żeby pani Bonnard kontynuowała, być może nic z tego, co potem nastąpiło, by się nie wydarzyło. Nie byłoby na to czasu. Pani Bonnard oznajmiłaby wtedy, że ty nie będziesz zeznawał. Sędzia wygłosiłby oficjalne ostrzeżenie, że oskarżenie może z tego wyciągnąć negatywne wnioski. Możliwe nawet, że Robert zdążyłby rozpocząć swoje wystąpienie i natychmiast wezwałby swojego jedynego świadka – czyli mnie.

Ale sędzia patrzy na zegar wiszący pod barierką galerii, uśmiecha się do pani Bonnard, może nawet trochę mu jej żal, i mówi:

– Myślę, że teraz może być odpowiedni moment na zarządzenie przerwy.

Pani Bonnard zgadza się z zapalem. Po tym jak sędzia opuszcza salę, obserwuję uważnie jej plecy. Kobieta opada na krzesło, pochyla się odrobinę. Nie widzę wyrazu jej twarzy, ale myślę, że musi wiedzieć, iż przegrywa. A potem kątem oka zauważam, jak ty się pochylasz, unosisz dłoń i stukasz gwałtownie w kuloodporne szkło. Zgromadzeni na sali odwracają się i ja też na ciebie patrzę. Do tej pory byłeś tak niewzruszony, taki milczący, że niemal zapomniałam, że zasiadasz ze mną na ławie oskarżonych. Prawda jest taka, że mężczyzna siedzący kilka kroków ode mnie, mężczyzna, który trwa w bezruchu i nie zdradza żadnych emocji, jest tak niepodobny to ciebie, iż niemal całkowicie oddzieliłam twój los od mojego. Wychudzony Mark Costley w niczym nie przypomina X, kochanka, który przyciskał usta do moich ust.

Pani Bonnard podnosi głowę i się odwraca. Posyła ci znużony uśmiech. Strażnik siedzący obok mnie wstaje i dotyka mojego łokcia. Nie patrząc na ciebie, odwracam się, żeby opuścić boks i wrócić do mojej celi.

\*\*\*

Po lunchu wszystko wskazuje na to, że pani Bonnard odzyskała animusz, co jest dziwne, bo jej sytuacja wygląda kiepsko i nie ma już żadnego innego wyjścia.

– Wysoki sędzie – mówi, gdy wszyscy znowu zajmujemy miejsca, a ona wstaje. – Nie będę powoływać więcej świadków.

\*\*\*

Gdy Robert się podnosi, widzę, że spogląda na panią Bonnard i obdarza ją bezpośrednim, lekko pytającym spojrzeniem, ale ona pochyla głowę nad swoimi papierami, ignorując to. Sędzia uśmiecha się do Roberta, jakby czuł ulgę, że wreszcie stanie przed nim mężczyzna. Robert kłania się lekko i mówi:

– Wysoki sędzie, zamierzam wezwać tylko jednego świadka, Yvonne Carmichael.

Wstaję.



Wstaję, a moi strażnicy również się podnoszą i opuszczamy boks gęsiego, mijając ciebie i twoich strażników. Przed siedzeniami jest mnóstwo miejsca na nogi, ale wystarczyłoby, żebym przesunęła się tylko odrobinę w bok, a mogłabym otrzeć się o twoje kolana, przechodząc. Ty jednak siedzisz nieruchomo, patrząc prosto przed siebie. Strażnik idący przodem pokonuje trzy schodki i otwiera drzwi w bocznej ścianie boksu, które pozwalają nam wyjść na salę. Zmierzając do miejsca dla świadka, mijam policjantów, prawników i adwokatów i wiem, że wszyscy mnie obserwują, ale nikt równie uważnie jak ława przysięgłych. W tym momencie zerkam na nich. Trzymam głowę wysoko. „Wiecie co – myślę sobie i zastanawiam się, czy widać to w moim spojrzeniu – mam tego dość”. Mam dość tego, że mówi mi się, co mam robić, jak wyglądać i się wypowiadać. Jestem niewinna. Nikogo nie zabiłam. I nie mam się czego bać – ani tych sztywnych procedur, ani policjantów, ani dokumentów, ani Letitii w kolejce na śniadanie. Mam dość strachu. Nie boję się nawet ławy przysięgłych. Może to jej członkowie powinni bać się mnie.

Sędziowie przysięgli skupiają na mnie wzrok. Obserwują mnie z tym samym zafascynowanym przerażeniem, z jakim mogliby patrzeć na jaguara, który wydostał się z klatki w zoo i teraz przechadza się między nimi. Tak się cieszę, że w końcu mam okazję opuścić swój boks. Wyobraźcie sobie, że oskarżeni w procesach o morderstwo to też ludzie.

Odczytuję przysięgę głośno i stanowczo, oddaję karteczkę woźnemu, a potem rozglądam się po sali, jakbym przyglądała się jej po raz pierwszy.

Miejsce dla świadka oferuje zupełnie inny punkt widzenia niż ława oskarżonych. Człowiek wprawdzie znajduje się na podwyższeniu, tak żeby wszyscy mogli go widzieć, ale może patrzeć na innych z góry. Zdążyłam już tak dobrze poznać to pomieszczenie: barwę światła, szum klimatyzacji... Nie odczuwam strachu. Siadam, a Robert wstaje i obdarza mnie życzliwym spojrzeniem, uśmiechając się kącikiem ust. Przestaję wątpić w jego metody. Mogę na nim polegać.

– Proszę się przedstawić wysokiemu sądowi – mówi do mnie.

Instynktownie naśladowuję biegłych, policjantów i patologów. Ja też jestem ekspertem. Patrzę na ławę przysięgłych:

– Nazywam się Yvonne Carmichael.

– Pani Carmichael, czy może nam pani powiedzieć, jaki zawód pani wykonuje?

– Jestem genetykiem.

Robert nie poświęca zbyt wiele czasu na omawianie mojej kariery, zaledwie ustala, gdzie pracuję i od jak dawna się tym zajmuję. Przelotnie wspomina moje wieloletnie stabilne małżeństwo i dwoje dorosłych dzieci oraz to, że mój mąż, podobnie jak ja, jest szanowanym naukowcem. Nie lubię opowiadać o Guyu, Adamie i Carrie – odruchowo ściszam głos – ale wiem, że Robert musi mnie o to wypytać, aby wykreować obraz mnie jako Pani Całkowicie Normalnej. To nie stanowi dla niego zbyt dużego problemu. Jestem taką osobą. Po jakimś czasie dochodzimy do tego aspektu mojej pracy, który robi na ludziach największe wrażenie, chociaż w rzeczywistości jest to jedno z zadań wymagających ode mnie najmniej wysiłku – do moich wystąpień przed komisjami parlamentarnymi. I znowu Robert nie poświęca na to za dużo czasu. Robi to tylko po to, aby ugruntować moją wiarygodność. Gdy kończy, sama jestem przekonana, że nie byłabym zdolna do zrobienia rzeczy, które przecież zrobiłam, nie mówiąc już o popełnieniu czynów, o jakie jestem oskarżona.

– I to przy ostatniej z tych okazji poznała pani mężczyznę siedzącego na ławie oskarżonych, pana Marka Costleya?

– Tak, zgadza się.

Robert prostuje się odrobinę, krzyżuje ramiona na piersi i mówi swobodnie:

– Czy może mi pani powiedzieć, jakie wrażenie na pani zrobił?

– Tak – mówię. – Polubiłam go. Zaczęliśmy rozmawiać w korytarzu. Ewidentnie dobrze znał pałac Westminster, oprowadził mnie po nim, pokazał mi wielką halę – krótka pauza. – Kaplicę w krypcie. Wiedział dużo o historii i funkcjonowaniu parlamentu. Wydawał się bardzo kompetentny.

Rozglądam się po sali i wreszcie dochodzi do tego, na co czekałam, od kiedy nasz proces się rozpoczął – patrzysz na mnie. Twoje spojrzenie jest łagodne. Nie pozwalam sobie zerkać na ciebie dłużej niż przez sekundę. Gdy przesuwam wzrok, zauważam minę komisarza Clevelanda – siedzi w tej samej linii co ty, dwa rzędy za stołem oskarżenia. On też na mnie patrzy, ale w jego spojrzeniu nie ma łagodności. Zapewne myśli: „Pieprzyłaś się z nim i ja to wiem. Po prostu nie mogę tego udowodnić”.

– Zaprzyjaźniliście się? – pyta Robert.

– Tak, spotkaliśmy się na kawie kilka razy.

– Byliście tylko przyjaciółmi – oświadcza Robert, a ja kiwam głową. Nie czekając, aż zacznę się nad tym rozwodzić, mój adwokat kontynuuje: – Rozumiem, że pan Costley zasięgał u pani porady.

– Tak – mówię. – Jego siostrzeniec rozważał karierę w zakresie nauk ścisłych. Rozmawialiśmy o tym.

W tym momencie Robert przerywa, to wymowna pauza, celowa, taka, którą wszyscy zgromadzeni na sali rejestrują.

– Pani Carmichael, teraz musimy omówić wydarzenia, które pośrednio doprowadziły do tego, że się pani tutaj znalazła w sytuacji, można powiedzieć, w której nigdy nie wyobrażała sobie pani się znaleźć... – Przerywa znowu. Pochyla się i pyta: – Czy chciałaby pani, abym poprosił o opróżnienie galerii z publiczności?

Robert uprzedził mnie, że zada to pytanie, i powiedział, żebym się zgodziła, ale, o dziwo, chociaż jestem do tego całkowicie przygotowana, policzki płoną mi na myśl o czekającym mnie upokorzeniu, a słabość w moim głosie jest całkowicie szczerą, gdy mówię:

– Tak, proszę, jeśli to możliwe.

\*\*\*

To delikatność Roberta doprowadza mnie do płaczu, gdy modulowanym głosem zadaje mi te wszystkie pytania, które mogliby chcieć mi zadać członkowie ławy przysięgłych.

– Niektórym ludziom – zauważa łagodnie – trudno będzie zrozumieć, dlaczego nie potrafiła pani powiedzieć nawet własnemu mężowi o tym potwornym, brutalnym ataku...

Oczy zachodzą mi łzami. Twarz mi się napina i drży z wysiłku, gdy próbuję zachować opanowanie. Mimo wszystko wciąż udaje mi się patrzeć na ławę przysięgłych. Chcę, żeby zrozumieli, nie tylko ze względu na mnie.

– Wiem, że każdy, komu się to nie przytrafiło, miałby z tym problem, i ja wcześniej też myślałabym zapewne w podobny sposób. Ale w rzeczywistości mąż to ostatnia osoba, której chce się powiedzieć. Gdybym powiedziała mojemu mężowi, to wdarłoby się do mojego domu. Sama bym to tam wpuściła. A za dwa lata moglibyśmy siedzieć przy stole w kuchni i rozmawiać o tym, jak on się czuł w związku z tym, że zostałam zaatakowana. Ale to nie przytrafiło się jemu, to przytrafiło się mnie...

I nagle się załamuję, i zaczynam szlochać, i uświadamiam sobie, jaka jestem wściekła. Co, do cholery, Guy robił w Newcastle? Dlaczego nie było go na tamtym przyjęciu? Jak się nad tym zastanowić: dlaczego ciebie na nim nie było? Wszyscy ludzie, którzy twierdzą, że mnie kochają, moja rodzina, wszyscy moi przyjaciele, gdzie oni, do cholery, byli tamtej nocy?

Gdy unoszę wzrok, widzę, że jednej z kobiet zasiadających w ławie przysięgłych, Chince, po twarzy lecą łzy.

\*\*\*

Mija trochę czasu, nim gorące łzy wściekłości przestaną płynąć. Robert robi przerwy między pytaniami, ale stopniowo dla wszystkich staje się oczywiste, i dla mnie też, że jestem zupełnie rozbita. Nawet najniewinniejsze z pytań – co robiłam w weekend po napaści? – prowokuje nowy potok łez i chociaż sama jestem zaskoczona i zawstydzona tym, że nie potrafię się kontrolować, w zasadzie odczuwam ogromną ulgę. W końcu mówię o tym na głos, mówię prawdę, akceptuję swoją wściekłość

i swój ból. Próbuję spojrzeć na siebie z boku. Czy ktokolwiek jeszcze mógłby mieć wątpliwości co do mojej szczerości?

Robert patrzy na zegar, po czym zerka na sędziego i zadaje mi jedno, ostatnie pytanie:

– Pani Carmichael, kiedy udała się pani do pana Costleya z prośbą o radę... czy snuła pani jakiegokolwiek myśli na temat zemsty na panu Craddocku za to, co pani zrobił?

Potrząsam głową, szlocham, wykręcam w palcach chusteczkę jak dziecko, osuszam oczy, patrzę na Roberta, znowu potrząsam głową, znowu szlocham.

– Żebyśmy zyskali jasność – kontynuuje Robert łagodnie – czy życzyła pani sobie, aby George’owi Craddockowi stała się fizyczna krzywda? Czy zachęcała pani albo nakłaniała pana Marka Costleya, aby zabił George’a Craddocka?

Dalej szlocham, jestem w stanie tylko kręcić głową. Robert spuszcza wzrok, odczekuje chwilę, po czym mówi:

– Wysoki sędzie...

– Tak... – mamrocze sędzia.

Patrzę na niego i widzę, że zerka na mnie z nieco pogardliwą miną. Zgaduję, że należy do tych mężczyzn, którzy nie potrafią znieść widoku płaczącej kobiety. Czują się wobec niej bezradni i zirytowani, jak Henry Higgins w *My Fair Lady*. Dlaczego kobiety nie mogą bardziej przypominać mężczyzn?

– Czy mógłbym zasugerować z racji tego, którą mamy godzinę, i w obliczu bardzo oczywistego zdenerwowania mojego świadka...

– Tak, myślę, że tak – chętnie zgadza się sędzia. Rozgląda się po sali. – Zarządzam przerwę do jutra. Sędziowie przysięgli, czy możemy państwa prosić o przybycie tutaj punktualnie o dziesiątej rano?

Członkowie ławy przysięgłych zbierają swoje rzeczy. Unikają patrzenia na mnie, gdy szybkim krokiem opuszczają salę. To dziwne, że ja muszę tu siedzieć i patrzeć, jak odchodzą. Nie potrafię oprzeć się myśli, że będą dziś zasypiać z moim obrazem przed oczami – zranionej, ludzkiej i szczerze szlochającej na miejscu dla świadka.

Po ich wyjściu Robert wychodzi zza swojego stołu i daje znak strażnikowi, który czeka, aby odeskortować mnie z powrotem na ławę oskarżonych. Zbliży się do mnie, spleta palce, unosi dłonie w górę i potrząsa nimi w geście gratulacji.

– Dobra robota – mówi cicho, poważnie. – Naprawdę dobrze sobie poradziłaś.

Odpowiadam słabym uśmiechem i dopiero wtedy dociera do mnie, jak skrajnie jestem wyczerpana. Zalewa mnie fala tęsknoty za Guyem i dziećmi, i moim domem. Do tej pory udawało mi się tak skutecznie trzymać to wszystko na dystans, nie myśleć o nich. Ale teraz zaczynam powoli rozumieć, że jeśli wkrótce nie uda mi się wyjść z tej sali i wrócić do normalnego życia, to umrę.

\*\*\*

Tamtej nocy po raz pierwszy od momentu aresztowania śpię dobrze na cienkim materacu w swojej celi

w więzieniu Holloway.

\*\*\*

Następnego dnia znowu zostaję odeskortowana na miejsce dla świadka, już opanowana i o suchych oczach, w świeżo wyprasowanej białej bluzce. Mam nadzieję, że najgorsza część przesłuchania już za mną, i przygotowuję się psychicznie na krzyżowy ogień pytań oskarżenia – chociaż nie potrafię sobie wyobrazić przekonującej linii ataku z ich strony. Chcieli, żeby Craddock wyszedł na potwora, więc nie mogą podawać w wątpliwość moich zeznań dotyczących ataku. Podejrzewam, że mogliby zapytać o mój związek z tobą, ale i tak nie mają żadnych dowodów. Co mogą zrobić?

Robert szybko zadaje pozostałe pytania. Wie, że ława przysięgłych miała całą noc na rozmyślanie nad moją sytuacją i prawdopodobnie jej członkowie czują ulgę, widząc, że już się opanowałam, i będą chcieli, żebym taka pozostała. Są po mojej stronie. Robert nie wraca już do napaści czy jej następstw, skupia się natomiast na wydarzeniach tamtego sobotniego popołudnia, na tym, jak przyjechałam po ciebie na stację metra, zawiozłam cię na ulicę, przy której mieszkał Craddock, na naszej rozmowie przed i po – na tym, że nie chciałeś mi powiedzieć, co się wydarzyło. Kończy pytaniem:

– Pani Carmichael, czy na którymkolwiek etapie, przed jazdą do domu George’a Craddocka albo w jej trakcie, nakłaniała pani pana Marka Costleya do zabicia albo skrzywdzenia mężczyzny, który na panią napadł?

– Nie.

– Czy miała pani jakiegokolwiek podejrzenia, że Mark Costley zamierza zabić lub skrzywdzić George’a Craddocka?

– Nie, żadnych.

\*\*\*

Czy odczuwam ukłucie niepokoju, gdy wstaje pani Bonnard? Nie, nie sędzę. Napięcie jeszcze nie zaczęło narastać. Właściwie to w tym momencie nie wyobrażam sobie, że mogłoby dojść do czegoś takiego.

– Pani Carmichael – zaczyna kobieta. – Wszyscy widzieliśmy, jak trudny był dla pani wczorajszy dzień, i oczywiście nie chcę bardziej pani denerwować, ale chciałabym zadać pani jeszcze kilka pytań na temat wieczoru, w trakcie którego, jak pani twierdzi, została pani zaatakowana przez ofiarę w tej sprawie.

To słowo – „twierdzi” – przeszywa mnie tak gładko, jakby wsunęła mi bardzo cienką igłę do żołądka. Jak mam zaprotestować? Ja niczego nie twierdzę. To się wydarzyło. Patrzę na nią. Pani Bonnard odwzajemnia moje spojrzenie.

– Chciałabym z panią wyjaśnić tylko kilka szczegółów, jeśli pani pozwoli?

– Tak, oczywiście.

– A zatem wcześniej tamtego dnia pracowała pani w domu, zgadza się?

– Tak.

– Włożyła pani sukienkę na przyjęcie i pojechała pani metrem do miasta. Czy to się zgadza?

– Tak, zgadza się.

– I prosto ze stacji metra przeszła pani do budynku uniwersyteckiego, w którym miało się odbyć przyjęcie? Rozumiem, że jest on nazywany kompleksem Dawsona?

– Tak, zgadza się.

– I przebywała pani na przyjęciu z panem Craddockiem przez kilka godzin, piła pani z nim, zanim pojechaliście razem na górę do jego ustronnego gabinetu na piątym piętrze, gdzie, jak oboje wiedzieliście, nikogo nie powinno być o tej porze?

– Powiedział, że musi zabrać jakieś dokumenty ze swojego gabinetu.

– Tak, wspomniała pani o tym wczoraj, pani Carmichael. – Ton pani Bonnard jest zaskakująco neutralny. – Chcę tylko ustalić, czy na tym przyjęciu, gdy pani paliła i piła z panem Craddockiem, przez jakiś czas siedzieli państwo razem na zewnątrz, na małym dziedzińcu na tyłach budynku?

– Tak.

– A w czasie, gdy siedzieli państwo razem na niskim murku, czy pamięta pani, by położyła pani dłoń na kolanie pana Craddocka?

– Nie, nie pamiętam.

– Czy pamięta pani, by on położył swoją dłoń na pani kolanie?

Zastanawiam się przez chwilę i naprawdę nie gram na czas.

– Mógł to zrobić. Tak, zrobił to, tak sędzę. Położył ją tuż nad moim kolanem, żeby mnie przytrzymać.

– Czy mogłaby pani być bardziej konkretna?

– Śmialiśmy się z czegoś, z jakiegoś żartu, który opowiedział ktoś inny. Były wtedy z nami inne osoby, przysunęły sobie krzeselka i siedziały naprzeciwko nas. Jedna z nich powiedziała coś śmiesznego, a ja parsknęłam moim drinkiem. Myślę, że trochę wylałam, zachwiałam się, położyłam dłoń na jego kolanie, żeby odzyskać równowagę.

– Pani położyła dłoń na jego kolanie?

– Albo on swoją na moim, albo oboje to zrobiliśmy. Naprawdę nie jestem pewna. Możliwe, że oboje to zrobiliśmy.

– Więc oboje pozostawaliście w otwartym fizycznym kontakcie w trakcie tej rozmowy?

– Cóż tak, ale to było tylko...

– Flirtowaliście, prawda?

– Cóż, nie nazwałabym tego w ten sposób. Rozmawialiśmy, żartowaliśmy, było tam mnóstwo innych ludzi...

– Pani Carmichael, naprawdę nie chcę się wdawać w szczegółową dyskusję na temat definicji flirtu, ale gdybym powiedziała, że ludzie na tamtym przyjęciu zwrócili uwagę na waszą dwójkę, to by pani nie zaskoczyło, prawda?

– Nie, podejrzewam, że nie.

Czy ja flirtowałam z George'em Craddockiem tamtego wieczoru? To całkiem możliwe. Ale flirt flirtowi nierówny. Istnieje flirt towarzyski, taki, jaki wszyscy uprawiamy przez cały czas ze współpracownikami; z mężczyzną w kolejce za nami, gdy nabijamy kartę Oyster; z kelnerem, który przynosi nam wodę z lodem. I jest flirt zamierzony. Taki, jaki uprawialiśmy my, idąc korytarzami pałacu Westminster. Te dwa rodzaje wyraźnie się różnią. Z pewnością każdy to rozumie?

– Pani Carmichael, czy to prawda, że powiedziała pani George'owi Craddockowi, że jest pani rozwiązła?

– Absolutnie nie! – Czuję przyływ triumfu, bo pyta o coś zupełnie absurdalnego.

Kobieta unosi nieskazitelnie wyregulowaną brew.

– Czyżby? Wydaje się pani tego bardzo pewna.

– Tak, oczywiście, że jestem pewna.

– A co, gdybym pani powiedziała, że mogę powołać świadka, który słyszał to na własne uszy?

– Powiedziałabym, że ta osoba jest w błędzie. Wszyscy na tym przyjęciu byli pijani. To było tego rodzaju przyjęcie.

Kobieta milknie na moment, niemal niezauważalnie wyginając plecy, a potem mówi cicho:

– Ja nie mówię o tym przyjęciu, pani Carmichael.

– W takim razie nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

Kobieta wzdycha, patrzy w papiery, opiera się łokciem o pudło z dokumentami, znowu milknie. Ja siedzę cicho i czekam.

– Czy przypomina sobie pani... – zaczyna powoli – ...tę okazję, gdy spędziła pani tydzień z George'em Craddockiem, to było dziewięć miesięcy przed jego śmiercią.

– Chodzi pani o ten okres, gdy bywałam na uniwersytecie jako zewnętrzny egzaminator, słuchając prezentacji studentów?

– Tak, dokładnie o ten okres mi chodzi – odpowiada szybko, jakby mnie na czymś przyłapała.

– Tak, tak, pamiętam. W tamtym tygodniu spędzałam każdy ranek na ocenianiu studentów razem z nim i inną wykładowczynią. W piątek zjadłam z obojgiem lunch. Byliśmy całkowicie zgodni co do ocen, to było wyłącznie zawodowe...

– Pamięta pani? To dobrze... – Kobieta znowu milczy długo, prychna pod nosem, spuszcza wzrok, potem go podnosi. – Zatem może będzie pani również pamiętała, jak powiedziała pani George'owi Craddockowi, przy świadku, że jest pani rozwiązła.

– Nie – kręcę głową.

– Czy nie opisała pani siebie słowami – tutaj zacytuję z oświadczenia świadka, które z radością mogę przeczytać w całości – „Tania i łatwa, to cała ja”.

– Och! – Wreszcie mi świta, o co chodzi. – Ależ to niedorzeczne! Ja mówiłam o kawie w atrium.

– Czy nie użyła pani frazy: „Lubię udawać wyrafinowaną, ale w rzeczywistości jestem łatwa”?

– Tak, ale mówiłam o automacie do kawy.

– Pani Carmichael, nie pytam pani o kontekst towarzyszący temu komentarzowi. Jestem pewna, że

przekomarzała się pani z panem Craddockiem na temat wielu rzeczy, ale proszę odpowiedzieć na pytanie „tak” lub „nie”. „Tania i łatwa”, czy użyła pani tej dokładnie frazy? Tak czy nie?

– To głupie.

– Tak czy nie?

– To niedorzeczne, podaje pani...

– Tak czy nie?

– Próbuję...

– Tak czy nie!

– Nie w sposób, jaki pani ma na myśli! – Tę ostatnią odpowiedź wykrzykuję.

Nie potrafię się powstrzymać. Nie wierzę, że to się dzieje.

Po wyprowadzeniu mnie z równowagi młoda pani adwokat ustępuje. Zerka najpierw na sędziego, potem na ławę przysięgłych, jakby chciała powiedzieć: „Widzicie? Zrobiłam, co w mojej mocy. Widzicie, jak to wygląda”. Teraz już wiem, dlaczego zawsze wybierają młode adwokatki do obrony gwałcicieli, tak jak powiedział Laurence – biedny Laurence, który siedział z nożem na gardle w naszej kuchni tylko dlatego, że zbyt beztrosko przekazywał nam prawdę. Teraz wiem, z czym musiałabym się zmierzyć, gdybym wybrała drogę sądową i pozwała Craddocka – a wiem, że mierzę się tylko z ułamkiem tego. Jestem sądzona za morderstwo, ale gdybym stała tutaj jako ofiara napaści seksualnej, byłabym sądzona dokładnie w taki sam sposób. Cieszę się, myślę, i jest to myśl okrutna i jednoznaczna. Cieszę się, że zatłukłeś go na śmierć. Zasłużył na to wszystko.

Wiem, że na mojej twarzy maluje się mieszanka wściekłości i złości, ale to zaledwie wierzchołek góry lodowej moich uczuć.

Przesłuchanie trwa dalej. W końcu przychodzi przerwa na lunch.

\*\*\*

W porze lunchu Robert odwiedza mnie w mojej celi. Ku mojemu zaskoczeniu nie wydaje się przesadnie zaniepokojony tym, co knuje pani Bonnard. Najwyraźniej uważa, że jej zachowanie jest raczej nieporadne.

– Podejmuje niezręczną próbę odmalowania ciebie jako nierządnicy, podczas gdy my już ustaliliśmy, że nie jesteś taką osobą.

– Dlaczego to robi?

Robert wzrusza ramionami.

– Chwyta się różnych sposobów. Myśli, że im gorzej wypadniesz, tym lepiej będzie wyglądał Costley.

Bezpośrednie przesłuchanie poszło tak dobrze, mówi, że w ogóle nie martwi się tym, co próbuje osiągnąć pani Bonnard ani co może zrobić oskarżenie. Niezależnie od tego, jak mnie przedstawią, nie ma to związku z tym, czy pan Costley cierpi na zaburzenia osobowości, czy nie. Robert rozumie, że to dla mnie nieprzyjemne, ale nie powinnam niepotrzebnie się martwić. Mógł zgłosić sprzeciw, ale uważa, że lepiej pozwolić jej kontynuować. Dzięki temu wyjdzie na niemiłą i mściwą, a do tego odbierze amunicję



oskarżeniu. Jeśli pani Price planowała tę samą linię ataku, będzie musiała się powtarzać.

– Zaprezentowałaś się wczoraj jako wzorowa obywatelka – mówi Robert i łatwo jest uwierzyć w jego wizję mnie; jest taka kojąca.

Możliwe, że na chwilę sama zapomniałam o tym, jaka jest prawda.

\*\*\*

Po lunchu strażnicy wprowadzają mnie na ławę oskarżonych, wstaję, gdy wchodzi sędzia, potem zostaję wypuszczona przez boczne drzwi boksu. Tym razem nie patrzę na ławę przysięgłych, gdy przechodzę przez salę, chociaż wszyscy obserwują mnie jak wcześniej. Galeria dla publiczności znowu jest otwarta, ale nie podnoszę wzroku. W tym konkretnym momencie jeszcze nie boję się pani Bonnard.

– Pani Carmichael – zaczyna twoja adwokat. Jej ton jest neutralny, zupełnie jak przed lunchem. Zastanawiam się, czy spotka mnie więcej paskudnych insynuacji. Zamiast tego kobieta mówi: – Chciałabym dowiedzieć się odrobinę więcej o pani przeszłości. Mam nadzieję, że mi pani wybaczy, ale była pani dość ambitną osobą na uniwersytecie, prawda? Uważano panią za jedną z najlepszych studentek, jeśli się nie mylę?

Przypominam sobie, że powinnam kierować odpowiedzi do ławy przysięgłych.

– Tak, zgadza się.

Kobieta poświęca trochę czasu na pytania na temat mojej edukacji, mojego małżeństwa, hobby. Biorąc pod uwagę, jak ostro zaatakowała mnie tego ranka, członkowie ławy przysięgłych patrzą na nią ze zdumieniem i nawet sędzia jest zakłopotany. Lekko marszczy brwi, gdy pani Bonnard porusza temat mojego małżeństwa.

– Poznała pani swojego męża na uniwersytecie...

– Tak.

Po jakimś czasie sędzia pochyła się i odchrząkuje, a pani Bonnard mówi:

– Przepraszam, wysoki sędzie, jeszcze tylko jedno pytanie, a potem byłby chyba odpowiedni moment na zrobienie krótkiej przerwy. Pani Carmichael, czy opisałaby pani swoje małżeństwo jako szczęśliwe?

– Tak, bardzo szczęśliwe.

– Żadnych próbnych separacji, karczemnych awantur, dzikich romansów? – Uśmiecha się do mnie.

– Żadnych.

– Dziękuję, pani Carmichael, na razie to wszystko. Będziemy kontynuować po przerwie.

Sędzia zwraca się do ławy przysięgłych:

– Sugerowałbym nie więcej niż dziesięć minut przerwy. – A gdy ławnicy zaczynają opuszczać salę gęsiego, mówi: – Pani Bonnard...

Twoja adwokat wstaje, kłania się i prosi o pozwolenie na zbliżenie się do stołu sędziowskiego. Komisarz Cleveland odchyła się na krześle, wypinając pierś. Zakłada ręce za głowę, a potem opuszcza je powoli. Ojciec Craddocka siedzi bez ruchu na swoim wózku inwalidzkim. Opiekująca się nim funkcjonariuszka przemawia do niego cicho, ale nie wygląda na to, by reagował. Ja patrzę na ciebie, ale

ty siedzisz z głową odchyloną do tyłu i z zamkniętymi oczami. To już prawie koniec... – myślę sobie. Wygląda na to, że wszystko będzie zależało od mów końcowych.

\*\*\*

Przerwa trwa dłużej, niż zakładano. Sędzia wchodzi na salę, a woźny udaje się po ławę przysięgłych, po czym wraca z wiadomością, że jedna z osób wciąż korzysta z toalety. Woźny przekazuje tę wiadomość w taki sposób, jakby spodziewał się, że za jej doręczenie zostanie ugotowany we wrzącym oleju. Z miny sędziego wnioskuję, że w istocie mógłby ukarać woźnego w taki sposób, ale to nic w porównaniu z tym, co zrobi nieszczęsnemu członkowi ławy przysięgłych, gdy już wszyscy wrócą na miejsca. Sędzia uderza dłonią w blat stołu, ściąga okulary i mówi:

– Chciałbym, żeby sędziowie przysięgli wrócili na salę natychmiast...!

Woźny znowu się kłania i wychodzi. W trakcie całej tej wymiany zdań komisarz Cleveland stoi przy stole pani Price i rozmawia z nią cicho. Sędzia spogląda na niego i warczy:

– Komisarzu, bardzo proszę! Na miejsce!

Zwalisty komisarz Cleveland prostuje się jak struna, niczym ołowiany żołnierz, czerwieni się z zażenowania, kłania nisko i wraca na swoje miejsce, mimo że wiele osób wciąż swobodnie wędruje po sali.

Ja pozostałam na miejscu dla świadka przez całą przerwę i zaczynam czuć, że to był błąd. Ile jeszcze to może potrwać? Zalewa mnie fala zmęczenia.

\*\*\*

Tym razem pani Bonnard wstaje bardzo powoli, a ja odczuwam cień niepokoju. Zerkam na Roberta, ale on wciąż przegląda swoje papiery.

– Chciałabym się nieco cofnąć w czasie – mówi. – Mam nadzieję, że okaże mi pani nieco cierpliwości.

W tym momencie czarnoskóry mężczyzna w średnim wieku, ubrany w różową koszulę i siedzący na skraju ławy przysięgłych po prawej, otwarcie ziewa. Zauważam, że wszyscy wydają się zmęczeni, nie tylko ja. To wina zamkniętego obiegu powietrza na sali sądowej, myślę. Na pewno nie pomaga. Klimatyzacja zdaje się produkować wyłącznie irytujące buczenie.

– Czy mogłaby pani przypomnieć sądowi – podejmuje pani Bonnard – kiedy po raz pierwszy uczestniczyła pani w posiedzeniu komisji w pałacu Westminster? Jak dawno temu?

– Cztery lata temu – odpowiadam pewnie.

– To była nadzwyczajna komisja Izby Gmin dotycząca...

– Nie – przerywam jej. – To była komisja stała Izby Lordów. Komisje stałe już nie funkcjonują, ale w tamtym czasie w Izbie Lordów istniały cztery. Każda z nich zajmowała się inną sferą życia publicznego. – Omówiłam to wszystko już wczoraj z Robertem, ale kontynuuję: – Ja występowałam przed komisją stałą do spraw nauki. Omawiałam postępy w sekwencjonowaniu mapowanego genomu.

Zastanawiam się, czy pani Bonnard chce, żebym wyszła na karierowiczkę. W serialach telewizyjnych ambicje zawodowe kobiety zawsze są prezentowane jako coś patologicznego.

– Ale pracowała pani na pełen etat w Instytucie Beauforta, prawda?

Mój drogi, zrozumienie, że ta kobieta nie skupia się na moich ambicjach zawodowych, lecz na lokalizacji mojego miejsca pracy, zajęło mi znacznie więcej czasu, niż powinno.

– Czy może pani powiedzieć sądowi, gdzie znajduje się Instytut Beauforta?

– Na ulicy Karola II.

– To ulica równoległa do Pall Mall, jeśli się nie mylę, prowadzi do St James's Square Gardens?

– Tak.

– Jest tam całkiem sporo instytutów, prawda? Instytutów, prywatnych klubów, bibliotek badawczych... – Zerka na ławę przysięgłych i uśmiecha się lekko. – Kuluary władzy, tego typu rzeczy...

– Ja nie... ja...

– Proszę wybaczyć. Czyli jak długo pracowała pani dla Instytutu Beauforta?

Gdy odpowiadam, w moim głosie pobrzmiwa nuta irytacji. To dlatego, że jestem zmęczona.

– Wciąż tam pracuję. Ale na cały etat pracowałam osiem lat.

– Ach tak, przepraszam, już pani mówiła. I w trakcie tych ośmiu lat codziennie dojeżdżała pani do pracy komunikacją miejską, autobusem i metrem?

– Głównie metrem, tak.

– Dochodziła pani pieszo z Piccadilly?

– Od stacji metra Piccadilly, zazwyczaj, tak.

– A w porze lunchu, w przerwach na kawę... Czy jest tam dużo miejsc, w których można coś przekąsić? Dużo pubów, do których można pójść po pracy i tak dalej?

W tym momencie adwokat oskarżenia, pani Price, wzdycha i widać, że chce zgłosić sprzeciw. Biorąc pod uwagę irytację sędziego wywołaną opóźnieniem po przerwie, jestem zaskoczona, że jeszcze nie interweniował, ale on zaledwie spogląda znad okularów na młodą panią adwokat, a ona przepaszająco unosi dłoń w odpowiedzi.

– Proszę mi wybaczyć, *My Lord*. Zmierzam do konkluzji...

Kobieta zwraca się z powrotem do mnie i odrobinę zniża głos.

– Zatem w sumie pracowała pani na stałe lub dorywczo na terenie gminy Westminster przez ile... jakieś dwanaście lat? Dłużej?

– Prawdopodobnie dłużej – mówię i napięcie zaczyna narastać.

Napięcie nasila się i wzbiera. Przenika mnie niepokój w postaci lekkiego ucisku w splocie słonecznym.

– A więc... – mówi Bonnard coraz wolniej – można powiedzieć... przy tych wszystkich dojazdach i spacerach od stacji metra i wyjściach na lunch, i tak dalej, że jest pani dobrze zaznajomiona z tamtą okolicą?

Napięcie wzrasta. Zaczynam oddychać coraz szybciej. Czuję, jak moja pierś wznosi się i opada,

początkowo niezauważalnie, ale im mocniej próbuję się kontrolować, tym bardziej widoczne się to staje. Atmosfera na sali sądowej się zagęszcza, wszyscy to czują. Sędzia wpatruje się we mnie uważnie. Czy tylko to sobie wyobraziłam, czy przysięgły w różowej koszuli, którego widzę kątem oka, odrobinę się wyprostował, pochylił do przodu na swoim siedzeniu? Nagle nie mam już dłużej odwagi patrzeć bezpośrednio na ławę przysięgłych. Nie mam odwagi patrzeć na ciebie, siedzącego na ławie oskarżonych. Kiwam głową, bo nagle odebrało mi mowę. Wiem, że za kilka sekund zacznę hiperwentylować. Wiem to, mimo że nigdy wcześniej mi się to nie przydarzyło.

Twoja adwokat kontynuuje cichym głosem, nadal klucząc:

– Jest pani zaznajomiona ze sklepami, kawiarniami...

Czuję piekące krople potu na karku. Cierpnie mi skóra głowy. Kobieta przerywa. Zauważyła moje zdenerwowanie i chce dać mi do zrozumienia, że odgadłam poprawnie. Wiem, do czego zmierza, a ona wie, że ja wiem.

– Małymi bocznymi uliczkami... – milknie znowu. – Zaułkami...

I to jest właśnie ten moment. Zerkam na ciebie, siedzącego na ławie oskarżonych, a ty skrywasz twarz w dłoniach.

Teraz już otwarcie hiperwentyluję, próbuję łapać powietrze szybkimi haustami. Biedny Robert patrzy na mnie zdezorientowany. Jest coś, czego mu nie powiedziałam. Zespół oskarżenia też mi się przygląda, pani Price i młodszy oskarżyciel, prawnik prokuratury Korony za nimi, a w kolejnym rzędzie komisarz Cleveland i jego ekipa, ojciec Craddocka i opiekująca się nim funkcjonariuszka przy drzwiach. Wszyscy skupiają się na mnie. Poza tobą. Ty już na mnie nie patrzysz.

– Zna pani, prawda... – ciągnie twoja adwokat tym swoim satynowym, wijącym się głosem – mały zaułek zwany Apple Tree Yard.

Zamykam oczy. Pani Bonnard długo milczy. Ja też się nie odzywam, więc kobieta w końcu powtarza cicho:

– Apple Tree Yard...

Wymawia tę nazwę w zamyśleniu, jakby wspominała własną wizytę w tamtym miejscu. Robi to, aby znaczenie tych słów zawisło w powietrzu, tym recyklingowanym powietrzu, którym oddychaliśmy przez niemal trzy tygodnie. Otwieram oczy i patrzę na nią. Ona odwzajemnia moje spojrzenie. Chce, żeby wszyscy na sali, ale szczególnie ławnicy wiedzieli, że to ważny moment. To nie jest potrzebne, bo mój gwałtowny oddech świadczy o tym dobitniej niż jakiegokolwiek teatralne sztuczki. „To tylko dym i lustro” – wszystko, nawet wyniki ekspertyzy sądowej. Adwokaci muszą dawać ławie przysięgłych to, czego ona się spodziewa, aby zyskać oczekiwane rezultaty. Pani Bonnard daje ławie przysięgłych o wiele więcej – świadka przyłapanego w trakcie składania zeznań. O cóż jeszcze mogliby prosić?

Część mojego mózgu odpowiadająca za logiczne myślenie, kora mózgowa, funkcjonuje na tyle dobrze, że mogę zastanawiać się nad tym wszystkim, podczas gdy patrzę na panią Bonnard. Tymczasem ciało migdałowate jest tak skołowane, że nie mam pojęcia, co powinnam robić i czuć – myśli kłębią mi się w głowie jak szczury w płonącym budynku, biegają od ściany do ściany.

– Apple Tree Yard – kontynuujecie pani Bonnard, napotykać moje spojrzenie – to zaułek w gminie Westminster, w dzielnicy St James’s, dokładnie rzecz biorąc, gdzie uprawiała pani seks z pani kochankiem, Markiem Costleyem, w miejscu publicznym, dość pośpiesznie, mogę sobie wyobrazić, w godzinach szczytu, na stojąco, we wnęce drzwiowej, zanim udała się pani na przyjęcie, gdzie upiła się pani i uprawiała seks z panem George’em Craddockiem w jego gabinecie w kompleksie budynków Dawsona, podczas gdy pani studenci sprząтали po przyjęciu na dole. Następnego dnia powiedziała pani panu Costleyowi, że uprawiała pani seks z George’em Craddockiem, i stwierdziła pani, że została do tego zmuszona. Jakiś czas później znowu poskarżyła się pani Markowi Costleyowi, że George Craddock panią nęka. Poprosiła go pani, aby się z nim rozprawił. Zawiozła pani pana Costleya do domu pana Craddocka, absolutnie świadoma tego, co może się wydarzyć. Pan Costley, pani kochanek, wszedł do środka, by rozmówić się z panem Craddockiem – w stanie wysokiego napięcia, wyprowadzony z równowagi pani opowieścią – a pan Craddock zaczął z niego szydzić, twierdząc, że była pani bardzo chętna. Słyszając te słowa, pan Costley zadał mu kilka ciosów, które doprowadziły do jego śmierci.

Patrzę na panią Bonnard. Pozostali patrzą na mnie. Dlaczego Robert nie interweniuje? Dlaczego nie wstał? Otóż nie wstał, bo jest zaskoczony takim obrotem sprawy podobnie jak wszyscy inni. Planuje strategię. Czy aby na pewno? Czy właśnie to robi? W relacji pani Bonnard jest tak wiele szczegółów, którym chciałabym zaprzeczyć, ale to wymagałoby skrupulatnego oddzielenia prawdy od fikcji. Tymczasem ja jestem w stanie wydobyć z siebie tylko słabe:

– To nie jest prawda...

Ale wciąż nie patrzą na ławę przysięgłych.

– Pani Carmichael – mówi pani Bonnard, spoglądając prosto przed siebie, nie na mnie, jakby rozważała coś na głos, zachęcając ławę przysięgłych do śledzenia toku jej myśli. Jej głos jest stanowczy, ale nieszczególnie oskarżycielski. Ona tylko stwierdza prosty fakt. – Zaledwie wczoraj zajmowała pani miejsce dla świadka, tak jak dziś, i pod przysięgą zeznała pani sądowi, że pani małżeństwo było szczęśliwe, nigdy nie miała pani romansu, i upierała się pani, że pani związek z panem Markiem Costleyem był wyłącznie platoniczny. Skłamała pani mężowi, skłamała pani policji i skłamała pani sądowi. – Kobieta znowu milknie, patrzy na mnie łagodnie. – Jest pani kłamczuchą, prawda?

– Nie... – mówię słabo.

– Czy chce pani, abym raz jeszcze wymieniła wszystkie osoby, które pani okłamała? Miała pani romans z panem Markiem Costleyem, który ukrywała pani przed mężem, policją i przed tym sądem. Zeznania złożone pod przysięgą, akta sprawy...? – Podnosi lekko głos, pobrzmiwa w nim oburzenie. – Czy naprawdę muszę to wszystko powtarzać? S k ł a m a ł a pani mężowi, s k ł a m a ł a pani policji i s k ł a m a ł a pani temu sądowi!

– Tak – szepczę.

Powiem cokolwiek, byleby tylko pozwolono mi opuścić miejsce dla świadka. Z przyjemnością wrócę nawet do mojej betonowej celi z groteskowo żółtymi ścianami i niebieską podłogą, jeśli tylko pozwolą mi zwinąć się w kłębek na drewnianym siedzisku ławki. Zrobię i powiem wszystko, byleby tylko

zostawili mnie w spokoju.

– Przepraszam? – kobieta pytająco pochyla głowę w moją stronę, ale patrzy na ławę przysięgłych.

– Tak.

Pani Bonnard pozwala, aby ta sylaba zawisła w powietrzu jak gwiazda, po czym mówi cicho:

– Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie.

I siada.

Przyjdzie jeszcze czas po tym wszystkim, gdy będę rozmyślać o kwiatach jabłoni. Będę leżeć w hamaku zawieszonym między jabłonkami w moim ogrodzie i wpatrywać się w konstelacje kwiatów, białych na tle czarnych gałęzi, i zastanawiać się, czy kiedyś, w epoce przedindustrialnej, Apple Tree Yard naprawdę było sadem, a może ta nazwa ulicy została po prostu wzięta z powietrza, jak wiele innych. Ten czas jest jeszcze odległy. Teraz wciąż zajmuję miejsce dla świadka, mierząc się z wrogimi pytaniami pani Price, chociaż dzięki wysiłkom twojej pani adwokat, Marku Costleyu, oskarżenie nie miało za dużo roboty do wykonania.

\*\*\*

Robert zrobił, co w jego mocy. Gdy tylko mógł zabrać głos, poprosił o przerwę na porozumienie się z klientką, ale jego prośba została odrzucona. Sparaliżowany przez ewidentny brak informacji na temat naszego związku w zamian skoncentrował się na Craddocku. Ponownie podkreślił brutalność napaści, mój strach w obliczu jego ponownego pojawienia się w moim życiu. Ale moje wyznanie przez cały czas rozbrzmiewało na sali niczym święteczny dzingiel w domu towarowym. I oczywiście w świetle tego, do czego właśnie się przyznałam, napaść na mnie wydała się zgromadzonym mniej straszna – widziałam to na twarzach członków ławy przysięgłych. Czarnoskóry mężczyzna w różowej koszuli patrzył na mnie obojętnie, starszy mężczyzna o wojskowej postawie zacisnął usta, Chinka wyglądała na zdumioną. Ta nowa wiedza na mój temat zmieniła sposób, w jaki mnie postrzegali. Moje działania i to, co mi zrobiono – to wszystko zastąpiło mnie samą. Miałam ochotę im powiedzieć, że nie jestem tym, co zrobiłam, ani tym, co zrobiono mnie, ale zdaniem innych naprawdę stanowimy sumę naszych działań i tego, co nam się przydarza. To jedyne dowody, jakimi dysponują. Nasze życie wewnętrzne może być dalekie od tego, co widać na zewnątrz, ale nie możemy oczekiwać, by inni ludzie to zrozumieli. Nie mogą znaleźć się w naszej skórze niezależnie od tego, w jak bliskim związku z nami pozostają.

Widzę siebie odbitą w oczach sędziów przysięgłych i mam wrażenie, jakbym patrzyła w krzywe zwierciadło w wesołym miasteczku, które wybrusza mnie, rozciąga i zniekształca prawie nie do poznania. Trzy dekady kariery naukowej czy odchowanie dwojga dzieci nic nie znaczą w zestawieniu z jednym rżnięciem w ulicznym zaułku.

\*\*\*

Następnego dnia przychodzi pora na podsumowanie. Oskarżenie zaczyna pierwsze. Pani Price ma do dyspozycji niezły arsenał. Wyniki ekspertyzy sądowej stawiają cię w bardzo niekorzystnym świetle, a próbująca cię bronić pani Bonnard wręczyła mnie oskarżeniu na tacy. Teraz dodatkowo niszczy mnie w swojej mowie końcowej:

– Panie i panowie, na początku tego procesu dano państwu do zrozumienia, że mój klient odpowie „niewinny” na zarzut morderstwa, powołując się na ograniczoną poczytalność, i że przedłożymy dowody potwierdzające, iż cierpi na zaburzenia osobowości. Panie i panowie, nadal twierdzimy, że pan Costley zmaga się z poważnymi zaburzeniami psychicznymi, ale nie musimy już tego udowadniać, aby mogli go państwo uniewinnić. Proszę pozwolić, że wyjaśnię...

Od momentu ujawnienia sądowi naszego romansu twoja niewinność zaczęła być uzasadniana utratą kontroli. Czynnikiem kwalifikującym, o którym opowiadał mi Jas, okazuję się w rezultacie ja. Pani Bonnard kontynuuje:

– Nigdy nie dowiemy się prawdy na temat tego, co się wydarzyło między George’em Craddockiem a Yvonne Carmichael tamtego wieczoru, gdy uprawiała seks zarówno z Markiem Costleyem, jak i z nim w odstępie zaledwie kilku godzin, najpierw we wnęce drzwiowej budynku przy Apple Tree Yard, a potem w gabinecie budynku uniwersyteckiego po przyjęciu suto zakrapianym alkoholem. George Craddock nie żyje i nie może wyjaśnić swoich czynów, więc mamy tylko zapewnienia Yvonne Carmichael, że ów stosunek nie odbył się za obopólną zgodą. Ale możemy zakładać, że jakiegoś rodzaju stosunek naprawdę zaistniał i że Yvonne Carmichael opowiedziała o nim swojemu kochankowi, mojemu klientowi, a później twierdziła, że jest dręczona przez George’a Craddocka. Zatem czyj to był pomysł, aby pojechali do mieszkania Craddocka tamtego dnia? Powiem państwu, że był to pomysł Yvonne Carmichael. Tamtego dnia Mark Costley myślał tylko o tym, by chronić kobietę, którą kochał... – W tym miejscu pani Bonnard robi dłuższą pauzę. – A jaki dowód macie, panie i panowie, na to, że Mark jest tego rodzaju człowiekiem, który chciałby chronić kobietę, którą kocha? Cóż – uśmiecha się blado – możecie to wywnioskować ze sposobu, w jaki trzymał ich romans w tajemnicy dopóty, dopóki się dało, aby ją chronić. Dopuścił się wręcz próby ukrycia go przed sądem, gotowy do wzięcia na siebie całkowitej winy za to, co się wydarzyło, póki nie zaczął sobie uświadamiać, że musi powiedzieć prawdę.

Siedzę na ławie oskarżonych, słucham tej opowieści i dociera do mnie, że do stworzenia jakiejś historii potrzeba tylko serii faktów, które dadzą się powiązać. Pająk potrafi czasami przetrząsnąć nić między gałęzią a słupem płotu znajdującym się kilkadziesiąt centymetrów dalej. Często wydaje się to dość nieprawdopodobne, ale możliwe.

– Kto wie, co doprowadziło do przemocy między tymi mężczyznami tamtego popołudnia? Kto wie, w jakim stanie znajdował się Mark Costley, gdy doprowadził do konfrontacji z George’em Craddockiem? Był podenerwowany, zaniepokojony i rozpaczliwie chciał chronić kobietę, którą kochał, przekonany, że znalazła się w sytuacji prawdziwego zagrożenia ze strony tego człowieka. Nigdy się nie dowiemy, czy była to prawda. Kto wie, co odpowiedział mu George Craddock. Być może zdrwił z niego, z rozwiązłości jego kochanki, i była to drwina, której Mark nie potrafił znieść w obliczu tego, co



się ponoć wydarzyło...

To była odważna próba, muszę jej to przyznać, ale nie miała żadnych dowodów na poparcie teorii, że Craddock cię sprowokował, prawda, mój ukochany? Utrata kontroli zawsze stanowi słabą linię obrony. Powinieneś był się trzymać ograniczonej poczytalności.

\*\*\*

„Kto wie?” – jak mówiła pani Bonnard. Ja chciałabym wiedzieć. Być może opowiesz mi o tym pewnego dnia. Tymczasem mam własną teorię, a brzmi ona tak: nie sądzę, byś naprawdę zamierzał zabić George’a Craddocka tamtego dnia. Gdybyś planował jego śmierć, nie prosiłbyś mnie, żebym przyjechała po ciebie na stację metra i zawiozła cię tam. Po co miałbyś ze mnie robić potencjalnego świadka? Nie chciałbyś mieć świadka morderstwa, natomiast potrzebowałeś świadka swojego bohaterstwa, bo postrzegałeś siebie jako człowieka, który robi to, co trzeba. To, co wydarzyło się tamtego dnia, to było wspólne przedsięwzięcie, ale nie w sensie, jaki ma na myśli oskarżenie. Ty potrzebowałeś wspólnej fantazji. Chciałeś, abym postrzegała cię jako swojego bohatera, mściciela. Wziąłeś ze sobą ubrania na zmianę, żeby później móc mi powiedzieć, że byłeś gotowy na wszystko, ale nie było to konieczne, bo i tak dałeś mu nauczkę. Już nie będzie sprawiał mi więcej kłopotów. Byłeś gotowy zrobić mu krzywdę, wystraszyć go i złamać prawo, ale nie miałeś zamiaru go zabić. Wiedziałaś, jak trudno byłoby ci się z tego wywinąć. Wiele można o tobie powiedzieć, ale nie to, że jesteś głupcem.

Czy drwił z ciebie, mój ukochany? Czy powiedział ci, że to, co zrobił, sprawiło mu przyjemność i mnie też? Trudno mi sobie wyobrazić, by Craddock miał odwagę zachować się tak bezczelnie w rozmowie z tobą. A może dał się oszukać twojej przeciętnej budowie i swobodnemu strojowi. Może nie czuł lęku. A może zaatakował cię, żeby go nastraszyć, i zrobiłbyś to samo niezależnie od tego, co by ci powiedział.

Ale on upadł, prawda? Upadł na podłogę. I w którymś momencie coś się wydarzyło, gniew przejął nad tobą władzę. Może Craddock z ciebie drwił, a może po prostu dałeś się ponieść adrenalinie i rzeczywiście straciłeś nad sobą kontrolę. On upadł albo ty go przewróciłeś. Uderzył tyłem głowy o krawędź blatu w kąciку kuchennym. A gdy już leżał na podłodze, nie potrafiłeś przestać. Skakałeś po nim. Biłeś go i kopałeś. Zatłukłeś go na śmierć. Możliwe, że trwało to zaledwie kilka sekund.

W którymś momencie przerwałeś. W którymś momencie pochyliłeś się, żeby zobaczyć, co zrobiłeś.

Zastanawiam się, co się wtedy wydarzyło, mój ukochany. Zastanawiam się, co się wydarzyło w twojej głowie, gdy tamten mężczyzna wydał ostatnie tchnienie, opryskując drobinkami wydychanej krwi twój policzek, kiedy się nad nim pochyliłeś. Mimo czasu, jaki miałeś na pozbycie się ubrań i umycie, jego DNA i tak znaleziono na twoim ciele przy aresztowaniu. DNA dostaje się wszędzie. W którymś momencie musiałeś się wyprostować, spojrzeć na człowieka leżącego na podłodze, i wyobrażam sobie, że to mogła być ta chwila, w której twój umysł rozdzielił się na dwoje, podobnie jak rozdarte musiały być komórki nerwowe w mózgu twojej ofiary. Jakaś część ciebie wciąż żyła twoją prywatną narracją, tą, którą stworzyłeś i kontrolowałeś, a druga część próbowała pojąć surową rzeczywistość tego, co właśnie

zrobiłeś. Bo problem polega na tym, i musiałeś to sobie wtedy uświadomić, że śmierć jest nieodwracalna. To była fantazja, która po zrealizowaniu nie mogła zostać z powrotem schowana do pudełka. Oto doszło do permanentnego oddzielenia, oddzielenia George'a Craddocka od samego życia. W którymś momencie musiałeś pojąć, że już nie żyjesz w dramacie, który sam wyreżyserowałeś. Straciłeś nad nim kontrolę i nie możesz tego cofnąć, wracając do żony i dzieci mieszkających na przedmieściach. Zabiłeś kogoś.

Mogę tylko przypuszczać, co się potem wydarzyło. Wyobrażam sobie, jak robisz kilka kroków w tył, odwracasz się od ciała, łapiasz za głowę, wsuwając zakrwawione dłonie we włosy przy skroniach, w te szorstkie brązowe włosy z odrobiną siwizny. Potem spoglądasz za siebie i widzisz, że owszem, ciało wciąż tam jest. To naprawdę się wydarzyło. Paradoks zwłok: życie zniknęło, ulotniło się, ale to, co zostaje, nie może nigdzie uciec. Kiedy chcesz, żeby ciało zniknęło, tak naprawdę pragniesz cofnąć swój czyn. Gdybyś mógł, tchnąłbyś z powrotem życie w swoją ofiarę, żeby mogła się podnieść, odwrócić i odejść. Wyobrażam sobie, jak krążysz po tamtym mieszkaniu, próbując uspokoić oddech, ale nie będąc w stanie uspokoić umysłu.

Ale musiała nadejść ta chwila – i, mój najdroższy, zastanawiam się, ile czasu ci to zajęło – gdy twój rozdarty umysł połączył się na nowo, by zmierzyć się z rzeczywistością. Ostatecznie kiedyś byłeś gliniarzem, zostałeś wyszkolony, by podejmować szybkie decyzje. Zastanawiam się, czy zrobiłeś to świadomie. Chociaż nie jestem pewna, czy to ma znaczenie. Tak czy siak, po kilku minutach krążenia po mieszkaniu musiałeś wybrać drogę, która wyprowadziłaby cię z tego zakłętą kręgu. To, że byłeś przygotowany na każdą ewentualność, miałeś przy sobie ubranie i buty na zmianę, to wszystko sprawiło, że nie mogłeś zadzwonić pod dziewięć dziewięć dziewięć, aby zgłosić śmiertelny wypadek. Byłeś na tyle doświadczony, opanowany i racjonalny, żeby zdawać sobie z tego sprawę. Gdyby nie te przygotowania, które tak skrupulatnie poczyniłeś, fantazjując o morderstwie, miałbyś większe szanse na uniknięcie odpowiedzialności po tym, jak naprawdę je popełniłeś. Mógłbyś powiedzieć, co się wydarzyło, przyznać się do kłótni, w której człowiek przypadkowo stracił życie, okazać rozpacz. Każdy, kto ma odrobinę oleju w głowie, wie, że byłby to najlepszy sposób na uniknięcie zarzutu morderstwa. Ale wszystko to, co zrobiłeś, by karmić swoje fantazje, sprawiło, że rzeczywistość zaczęła wyglądać podejrzanie. Postanowiłeś więc zaryzykować swoją wolność i moją. Nie myślałeś wtedy o mnie, siedzącej na zewnątrz w samochodzie. Nie myślałeś o mnie w ogóle. Myślałeś tylko o tym, że gdybyś teraz wezwał karetkę, byłbyś skończony, natomiast jeśli obierzesz niezwykle ryzykowną strategię ucieczki, istnieje szansa, bardzo niewielka, ale istnieje – jeśli ciało nie zostanie odkryte przez jakiś czas, jeśli kamery przemysłowe między mieszkaniem Craddocka a stacją nie będą działać, jak to często bywa...

W którymś momencie może nawet poczułeś cień satysfakcji. W końcu do tego doszło. Twoje paranoidalne fantazje się spełniły. Nie byłeś już tylko mężczyzną znudzonym swoją pracą, który wymyśla sobie bardziej ekscytujące życie. Twoja narracja stała się rzeczywistością. To ty uczyniłeś z niej rzeczywistość. Wyobrażam sobie, że dość sprawnie zabrałeś się do roboty. Zająłeś się kwestią dowodów sądowych, prześledziłeś swoje działania od momentu wejścia do mieszkania, wytarłeś

wszelkie powierzchnie, które potrzebowały wyczyszczenia ściereczką znaną w kuchni. Sprawdziłeś ostrożnie, czy nic nie zostało. Poszedłeś do lustra w przedpokoju i starłeś wszelkie ślady krwi z twarzy i włosów. Dopiero wtedy stanąłeś za drzwiami wejściowymi do mieszkania, wyjąłeś zapasowe spodnie ze swojej torby Nike'a i włożyłeś je, zmieniłeś adidas. W tym momencie, wyobrażam sobie, musiałeś odczuwać niemal euforię.

Czy mój widok, siedzącej w samochodzie, cierpliwie czekającej na ciebie, ci nie wystarczył? Czy otrzeźwiająca rzeczywistość tego, co zrobiłeś, co ryzykowałeś nie tylko w swoim imieniu, lecz także w moim – i to bez mojego pozwolenia – czy to nie wystarczyło, abyś poczuł skrępowanie, gdy podszedłeś do samochodu i zobaczyłeś moją twarz? Zapomniałeś o mnie. Chcę przez to powiedzieć, że zapomniałeś o tym, iż jestem prawdziwą osobą, która ma własne potrzeby i pragnienia, i własną narrację. W tamtym momencie byłam zaledwie elementem twojej historii.

„Jedź”.

\*\*\*

Sala rozpraw numer osiem, centralny sąd karny Old Bailey, taki czysty, nowoczesny i sprawnie działający. Ale nawet w tym sterylnym, wyłożonym boazerią pomieszczeniu z kwadratowymi lampami na suficie i kocem znużenia otulającym wszystkich zgromadzonych, nawet tutaj daje się wyczuć charakterystyczne podniecenie, gdy sędziowie przysięgli wracają na salę. Wiem, podobnie jak ty, jak wiele możemy stracić, ale dopiero gdy wszyscy wstajemy, dociera do mnie, że inni też mają coś do stracenia. Każde zwycięstwo czy przegrana decyduje o wartości adwokata. Pani Bonnard kompulsyjnie odchrząkuje. Sędzia wyraził już swoją opinię w podsumowaniu, więc jego reputacja też leży na szali – ostatecznie jest to jedyny moment w całym procesie, gdy traci pozycję niekwestionowanego samowładcy. Policjanci oczywiście wiedzą, jaki wyrok chcą usłyszeć, a komisarz Cleveland poprawia krawat, wsadza go pod marynarkę i porusza barkami, jakby schludny wygląd miał mu zapewnić pożądany wynik. Nawet członkowie ławy przysięgłych, którzy teraz wchodzą na salę tymi samymi drzwiami co sędzia – w trakcie obrad przebywali w specjalnym pokoju – nawet ci wszechpotężni ludzie nie opuszczą gmachu sądu bez szwanku. Za parę chwil doprowadzą do tego, że mężczyzna i kobieta albo zostaną wypuszczeni na wolność i powrócą do swoich rodzin, domów i zwyczajnego życia, albo na wiele lat zostaną zesłani do podziemi, do innego świata. A oni będą musieli żyć z tą decyzją do końca swoich dni.

Wstając, zerkam na publiczną galerię i dopiero teraz zauważam, że obok Susannah siedzi mój mąż. Patrzy na mnie. Czekał, aż podniosę wzrok i go zobaczę. Jest w bladoniebieskiej koszuli i marynarce, gęste proste włosy ma umyte, a twarz szeroką i otwartą. Patrzy na mnie, jakby spijał mój widok, próbował stwierdzić, jak się mam. To za dużo. Drżą mi kolana. Moje życie, moje prawdziwe życie, tam, na górze, kilka metrów ode mnie... Wiem, że Guy chce mnie wspierać, ale to udręka. Próbuję się uśmiechnąć, a on próbuje odwzajemnić ten uśmiech, ale nawet on nie potrafi ukryć strachu malującego się na jego twarzy. Susannah uśmiecha się do mnie pełna nadziei, a Guy unosi dłoń, machając niedostrzegalnie, trochę przeprasza, bo chyba musi wiedzieć, że jego nieoczekiwana obecność

namąci mi w głowie.

– Przepraszam – mówi bezgłośnie.

Potem powie mi, że dotrzymał obietnicy. Trzymał się z dala od procesu. Ale nie obiecywał, że nie pojawi się na ogłoszeniu wyroku. Wrócił z Maroka po weekendzie spędzonym z Carrie, Sathem i Adamem. Był w naszym domu przez cały ten czas. Susannah dzwoniła do niego codziennie, informując o postępach sprawy. Wie wszystko, gdy stoi tam na galerii, a ja na ławie oskarżonych, i patrzymy na siebie przez chwilę czy dwie, nim odwrócimy głowy, przenosząc wzrok na wchodzącą ławę przysięgłych.

Stoję. Jakimś cudem trzymam się na nogach. To cud, bo nie mogę oddychać. Czuję, jakbym miała w piersi wór kamieni napierający na organy wewnętrzne. Zastanawiam się nawet przez moment, czy tak wygląda zawał serca. Ale wiem, że nie. Znajomy kardiolog powiedział mi kiedyś, że atakowi serca często towarzyszy przytłaczająca rozpacz, zejście w czarną otchłań świata, który wydaje się obcy, lecz nieunikniony. Ja nie odczuwam czegoś takiego, wręcz przeciwnie, brak tchu sprawia, że niemal szybuję w powietrzu. Czuję się lekka jak piórko, bo nagle dociera do mnie, że to niemal koniec. Dzięki Bogu, dzięki Bogu... Już wyobrażam sobie, jak chwiejnym krokiem opuszczam boks, przechodzę przez salę i wychodzę na korytarz. Wyobrażam sobie, jak zbiegam schodami do wyjścia, a Susannah – i Guy, tak, Guy – czekają na mnie na zewnątrz. Wyobrażam sobie to wszystko, o czym nie pozwalałam sobie myśleć przez cały proces: moją kuchnię, wysłużony skórzany fotel przy dwuskrzydłowych drzwiach wychodzących na ogród, gdzie często siadam z kawą – o tej porze roku będzie skąpany w słońcu; Guya na górze, pracującego i nieobecnego, mojego syna siedzącego na schodkach na tyłach domu i palącego papierosa podczas jednej z rzadkich wizyt u nas; moją córkę z jej chłopakiem w kuchni – lubią dla nas gotować, gdy przyjeżdżają w odwiedziny. To odrębne, ale ściśle powiązane obrazy, które pojawiają się w mojej głowie jak migawki z poprzedniego życia, mojego domowego życia. Wszystko to jest mi teraz tak bliskie. Kiedy dzieciaki wrócą z Maroka? „Być może w ten weekend” – powiedziały.

Ale najpierw werdykt.

\*\*\*

Związki opierają się na opowieściach, nie na prawdzie. Każdy z nas ma osobistą mitologię, historie, które opowiada, aby jego życie nabrało sensu dla niego samego. I to zwykle się sprawdza, dopóki pozostajemy przy zdrowych zmysłach i bez partnera. Ale w chwili, gdy wkraczasz w intymny związek z drugą osobą, dochodzi do rozdźwięku między twoją historią a cudzą na temat ciebie.

Pamiętam to z procesu. Pamiętam, jak dostojna pani Price wstała, żeby wygłosić mowę wstępną. Była taka spokojna, tak dobrze przygotowana. Miała swoją historię i była to historia kompletna. Nawet nie musiała odchrząkiwać. Na moment spuściła wzrok na stopy, żeby zaakcentować, jak podejrzewałam, swoją pokorę wobec prawdy, którą miała zamiar wyłożyć przed sądem. To nie jest jej historia, zdawał się mówić ten spuszczone wzrok, o nie. To jest coś, co naprawdę się wydarzyło. Niezależnie od tego, jakie uczucia żywiłam wobec tej kobiety, potrafiłam się zdobyć na tyle obiektywizmu, aby to zauważyć

i podziwiać. Miała swoją hipotezę, tak jak ja mam swoją. Ona testowała swoją poprzez sztuczki i podstępny, dowody wyrywane z kontekstu, by stworzyć ów efekt dymu i luster, zatem nie jestem pewna, czy naukowa analogia rzeczywiście ma tu sens. Ale dzięki temu zrozumiałam, że jako naukowiec opowiedziałam więcej historii, niż zdawałam sobie z tego sprawę czy miałam ochotę się do tego przyznać. Ty, Marku Costleyu, byłeś fantastą. Potrafiłeś sobie radzić ze swoim normalnym życiem dopóty, dopóki wspierałeś je za pomocą pochlebnych dla siebie opowieści, w których byłeś szpiegiem, uwodzicielem, mściwym bohaterem i kto wie, kim jeszcze. Twoje opowieści stały się dla Ciebie koniecznością, zawładnęły tobą, odebrały ci poczucie rzeczywistości. A wszystkie te nasze historie skończyły się tak, że ty i ja poszliśmy do więzienia.

Dzień po śmierci matki chodziłam za ojcem z pomieszczenia do pomieszczenia. Nie zbliżałam się do niego ani nie próbowałam go dotknąć. Nie szukałam fizycznej pociechy, zaledwie jego obecności. Moja matka sama wypisała się ze szpitala, bo dobrze sobie radziła w tygodniach poprzedzających śmierć, jednak później przeprowadzono dochodzenie dotyczące tego, dlaczego pozwolono jej opuścić placówkę, skoro było wiadomo, że jest narażona na ryzyko. Szła tak długo, aż znalazła tory kolejowe – tę samą linię, którą mój ojciec dojeżdżał do pracy w Londynie, i tę samą, z której ja miałam korzystać przez wiele następnych lat. Przepisnęła się przez płot z drutu kolczastego – musiała pochylić głowę, aby wejść między zwoje – i zeszła po stromym nasypie w stronę torów. Świadek widział, jak zsuwała się na siedząco, trzymając ręce po obu stronach ciała, powoli się opuszczając, jakby bała się upadku. W trakcie dochodzenia maszynista pociągu powiedział, że chociaż stała dokładnie pośrodku torów, między szynami, obróciła się tyłem do nadciągającego składu. Zastanawiał się, czy zrobiła to, bo nie chciała, żeby jej twarz go prześladowała. Mnie nie pozwolono brać udziału w dochodzeniu, ale słyszałam, jak mój ojciec i ciotka rozmawiali później o tym, co powiedział maszynista, i jak gorąco było w sądzie koronera, chociaż na zewnątrz było tak zimno.

Moje wspomnienia dotyczące matki wciąż są wyraźne, chociaż jest ich niewiele. Pamiętam, jak siedziałam z nią przy kuchennym stole i bawiłyśmy się w kocią kołyskę – musiałam mieć wtedy ze cztery lata albo pięć. Używałyśmy do tego grubej zielonej wełny. Ona trzymała palce w górze, żebym mogła przełożyć nitki, a ja śpiewałam jakąś pioseneczkę, której nauczyłam się w przedszkolu. Nie wychodziło nam to za dobrze, w każdym razie nie tak dobrze jak wtedy, gdy bawiłam się w to z koleżankami. Nasza kocia kołyska bardziej przypominała dziurawą pajęczynę. Moja matka miała gołe nogi. Chowala je pod krzesło, na którym siedziała. Kostki sterczały jej nad krawędziami kapci.

Dzień po śmierci matki chodziłam za ojcem z pomieszczenia do pomieszczenia. Gdy wstał od kuchennego stołu, żeby przenieść się do salonu, poszłam za nim i usiadłam na oparciu fotela, na którym się sadowił. Gdy udał się na górę, też poszłam za nim. A gdy w końcu zamknął się w łazience, bo chyba nie był w stanie patrzeć mi w oczy, usiadłam pod drzwiami, opierając się o nie plecami i przytulając kolana do piersi, i czekałam, aż wyjdzie.

\*\*\*

Jest wiosna, rok po naszym procesie. Jestem już w domu. Mój syn zawiesił w ogrodzie hamak, długi,

upleciony z wytrzymałego niebieskiego plastikowego sznurka. Zawiesił go między dwiema jabłonkami. Spędzam dużo czasu w tym hamaku owinięta w szary koc, który Guy znalazł w pokoju dla gości. Jest wyjątkowo ciepło jak na kwiecień. Bujam się delikatnie między jabłonkami i spoglądam w pozimowe niebo.

Zostałam wypuszczona z Holloway dwa dni temu. Adam mieszkał w domu przez cały ten czas, gdy siedziałam w więzieniu. Mówi, że miał dość sceny muzycznej Manchesteru, ale nie jestem pewna, czy mu wierzę. Myślę, że wprowadził się z powrotem, żeby być blisko Guya. Martwiłam się, że moje zwolnienie go odstraszy, ale gdy przywieźli mnie do domu, sam zabrał mnie do ogrodu, pokazał mi hamak i powiedział:

– Jest tak ciepło. Pomyśleliśmy, że po tym wszystkim... pomyśleliśmy, że będziesz chciała pobyć trochę na zewnątrz.

Tamtego wieczoru w dzień mojego zwolnienia nie było alkoholu ani świętowania. Carrie przyjechała z Leeds z bagażnikiem pełnym świeżego jedzenia. Wszystko, co dla mnie przyrządziła, było świeże: cztery sałatki, talerz egzotycznych owoców... Siedzieliśmy wokół kuchennego stołu, prawie się nie odzywając, a oni patrzyli, jak nadziewam owoce na widelec. Carrie mogła zostać tylko na jedną noc, potem musiała wracać do domu. Latem biorą z Sathnamem ślub. Czeka na nią dużo spraw organizacyjnych.

Guy i Adam opiekują się mną. Widzę, jak od czasu do czasu wymieniają spojrzenia.

Czasami, gdy leżę w hamaku, słyszę, jak w domu dzwoni telefon. Kuchenne drzwi wychodzące na ogród są otwarte, więc dociera do mnie szmer głosu Guya. Wyobrażam sobie, że mówi: „Tak, wszystko z nią w porządku. Bardzo wychudła, ale wszystko z nią dobrze”. Adam pomaga ojcu sprzątać garaż. Wygląda dobrze, jest szczupły, ale umięśniony, w workowatych bojówkach i koszulce bez rękawków, wciąż z tym kilkudniowym zarostem, który mu pasuje. Wiem, że gdy znowu poczuję się dobrze, być może go odstraszę. Ale nie czuję się dobrze. Leżę w hamaku i wpatruję się w niebo.

\*\*\*

Minęły nieco ponad dwa lata od momentu, gdy się poznaliśmy. Zostałam zwolniona z więzienia dwa dni temu, po odsiedzeniu trzech miesięcy z półrocznego wyroku za krzywoprzysięstwo. Przyznałam się do winy przy pierwszej możliwej okazji, więc otrzymałam relatywnie lekki wyrok. Zwolniono mnie warunkowo, więc jestem wolna, ale nie do końca. Jeśli złamię zasady zwolnienia warunkowego, mogę zostać ponownie osadzona w każdej chwili. Ty nie zostałeś uznany za winnego morderstwa, ale skazano cię za nieumyślne zabójstwo na czternaście lat. Jeśli wliczyć w to czas, który spędziłeś w areszcie śledczym, oraz redukcję wyroku za dobre zachowanie, masz szansę wyjść na wolność za pięć czy sześć lat od dziś. Ja zostałam uznana za niewinną morderstwa, jak również nieumyślnego zabójstwa. Puszczono mnie wolno, ale natychmiast aresztowano za krzywoprzysięstwo, w korytarzu pod salą rozpraw numer osiem. Trzej policjanci już na mnie czekali. Komisarz Cleveland wyszedł za mną i obserwował mnie tymi swoimi bladymi oczami.

\*\*\*

To, że mnie zdradziłeś, trochę ci pomogło. Odrobinę przechyliłeś szalę na swoją korzyść. Moje kłamstwo sprawiło, że sędziowie przysięgli uznali cię za mniej winnego. Złe rzeczy, które ja zrobiłam, sprawiły, że twoje czyny wydały im się mniej potworne.

\*\*\*

Leżę w hamaku, gapię się w niebo i myślę o tobie, moim kochanku, o Marku Costleyu, byłym policjancie, który pracował w ochronie pałacu Westminster, lubił niebezpieczny seks i snuł niestworzone historie, dzięki którym czuł się mniej zwyczajnie. Szpiedzy cię nie chcieli, mój ukochany. Gdyby cię przyjęli, nic z tego by się nie wydarzyło.

Mój kochanek, Mark. Kim był? Mężczyzną, dla którego normalne życie okazało się po prostu za normalne? Mężczyzną, który wciąż szukał dreszczyku emocji, uprawiając pozamałżeński seks i opowiadając zmyślane historie na swój temat tylko po to, aby odkryć, że potrzebuje coraz więcej podnieć? Tak jak George Craddock oglądał coraz twardszą pornografię, aż stracił umiejętność odróżniania swoich fantazji od rzeczywistości, tak samo twoja potrzeba przeżywania ekscytującego życia prowadziła cię do kolejnych erotycznych przygód, pełnoprawnych romansów, a w końcu do przemocy. Problem z historiami polega na tym, że uzależniają.

\*\*\*

Guy wychodzi i staje na schodkach. Widzi, że na niego patrzę, i się uśmiecha. Trzyma w dłoni filiżankę herbaty. Bierze łyk, a potem unosi ją pytająco. Ale ja nie chcę herbaty, kręcę głową i zamykam oczy, żeby sobie poszedł. Kiedy je otwieram, wciąż na mnie patrzy, ale po chwili u jego boku zjawia się Adam, trzymając znalezionej w garażu szlifierkę, która musi mieć ze dwadzieścia lat. Wymieniają jakiś żart na jej temat i wracają do domu.

Mniej więcej godzinę później Adam pojawia się na schodkach, siada, nie patrząc na mnie, i zaczyna zwijać papierosa. Spoglądam na dom i widzę, że Guy stoi w oknie na górze i patrzy na ogród. Rozmawia przez komórkę. Mówi coś, ale po chwili spuszcza wzrok i zauważa, że na niego patrzę. Odwraca się natychmiast, automatycznie, i odchodzi od okna, żebym nie mogła go widzieć. Zastanawiam się, z kim rozmawia. Zastanawiam się, czy z Rosą.

\*\*\*

Po południu przyjeżdża Susannah. Wychodzi do ogrodu z tekturową tacą, w której umieszczono cztery styropianowe kubki z kawą, oraz papierową torebką pełną ciastek. Stoi przez chwilę w drzwiach, nieruchomo, i patrzy na mnie leżącą w hamaku, jakby próbowała pobieżnie ocenić mój stan, nim się zbliży. Potem się uśmiecha i ostrożnie idzie po trawie w cielistych sandałach na koturnie. Siada na skraju skalniaka kilka kroków dalej, odstawia tacę na ziemię, wyjmuje dwa kubki i przynosi mi jeden.

– Hej – mówi i pochyla się, żeby mnie pocałować, odsuwając gorący napój na bezpieczną odległość. –



Pomyślałam, że może będziesz miała ochotę na porządną kawę.

Kładzie torbę z ciastkami na moim brzuchu, gdzie ta pozostaje, nietknięta.

Niezdarnie sadowię się w hamaku, żeby móc sączyć kawę bez ryzyka wylania jej na siebie. Susannah wraca do skalniaka ze swoim kubeczkim i wystawia twarz do słońca. Przez jakiś czas siedzimy w milczeniu, potem rozmawiamy przez chwilę, zdawkowo, o tym, jak się mam, o tym, co u niej słyhać, o tym, co zrobię w nadchodzących tygodniach, o tym, że przez jakiś czas nie będę mogła brać na siebie za dużo. W którymś momencie ona patrzy w stronę domu i mówi:

– Myślałam, że Guy i Adam zaraz do nas dołączą.

Nie odpowiadam.

Susannah, przyjaciółka, o której nie śmiałam nawet marzyć, gdy dorastałam. Widzę, że się waha. Zmaga się z czymś, milknie, chce to powiedzieć delikatnie. Czekam i w końcu zaczyna cicho:

– Każdego dnia, wiesz... każdego dnia pod koniec sesji. To zawsze było takie straszne opuszczać galerię dla publiczności i spoglądać w dół na ciebie, wiedząc, że zostaniesz zabrana przez tych ludzi, że nie masz wyboru, że wracasz do więzienia. Każdego dnia schodziłam po stopniach na zewnątrz i nawet gdy lało jak z cebra, robiłam głęboki wdech. Nie potrafiłam uwierzyć, że mogę po prostu odejść, a ty nie. To było takie dziwne. I mijałam czasami tych starszków. Facet był straszny, cały czas nawijał, że jego zdaniem to ty jesteś najgorsza. Niemal zepchnęłam tego drania ze schodów... – Potem obdarza mnie nieskończenie łagodnym spojrzeniem. – Pierwsza rzecz, jaką musiałam robić, jeszcze zanim wsiadłam do metra, to zadzwonić do Guya. Musiałam do niego dzwonić codziennie. Kazał mi obiecać. Każdego dnia odbierałam komórkę z tamtej kawiarni, a potem stawałam na zewnątrz, nawet jeśli padało, i natychmiast ją włączałam. I nawet nie sprawdzałam własnych wiadomości czy maili, bo wiedziałam, że Guy będzie czekał na mój telefon. I każdego dnia musiałam opowiedzieć mu wszystko. Jak wyglądałaś, czy się trzymałaś, kto był w sądzie tamtego dnia i jak mu poszło, czy nasz adwokat wykonywał dobrą robotę, jak moim zdaniem rozwija się proces. Szłam na stację metra, mijając bar, w którym zawsze popijali piwo policjanci, przechodziłam przez ulicę, uważając na autobusy i taksówki, bo ten odcinek drogi zawsze jest ruchliwy, i przez cały czas rozmawiałam z Guyem. Nie schodziłam na peron, żeby nie stracić sygnału, zanim nie opowiedziałam mu wszystkiego.

Milczę. Ona spogląda na kubeczki z kawą, które przyniosła dla Guya i Adama, i wiem, że martwi się, iż napój stygnie. Jest niezwykle słonecznie jak na kwiecień, ale wciąż chłodno.

\*\*\*

Zastanawiam się, kiedy do tego doszło. Kiedy nastąpił moment twojej zdrady? Podejrzewam, że to musiało się wydarzyć w celi w gmachu sądu w trakcie jednej z konsultacji, które oboje odbywaliśmy z naszymi adwokatami. Zapewne byłeś pod wrażeniem tej opanowanej młodej kobiety, pod pewnymi względami wbrew zdrowemu rozsądkowi. Zjednała cię swoją oczywistą kompetencją. Zacząłeś ją postrzegać jako swojego anioła zemsty, a może dobrą wróżkę.

Być może postanowiłeś to zrobić dość wcześnie, gdy zobaczyłeś, jak pani Bonnard błaga o przełożenie

sesji po pobieżnej lekturze raportu doktora Sandersona na swoim telefonie. Może to wtedy zdałeś sobie sprawę, że sytuacja jest poważna. A może zdecydowałeś się na to, gdy siedziałeś w celi i sam czytałeś ten raport, tak zdecydowanie odrzucający teorię, że cierpisz na osobowość chwiejną emocjonalnie z elementami narcystycznych zaburzeń. Wyobrażam sobie, że pani Bonnard przysłała cię odwiedzić po wybląganiu tej przerwy, a ty obserwowałeś jej twarz, gdy wyjaśniała ci delikatnie, że ewaluacja biegłego psychologa najprawdopodobniej utrudni obronę opartą na ograniczonej poczytalności, że debata nad jego diagnozą będzie – jestem pewna, że użyła tego słowa – problematyczna. „Będzie dla nas problematyczna”. Adwokaci często używają liczby mnogiej w takich sytuacjach.

A może pomyślałeś o tym trochę później, gdy siedziałeś na ławie oskarżonych zaledwie parę kroków ode mnie, słuchając zeznań doktora Sandersona i patrząc, jak zazwyczaj błyskotliwa pani Bonnard nie może z nim wygrać. Dziwna sprawa, twoja pani adwokat sprawiła, że doktor Sanderson wyszedł na okropnego człowieka, który nie ma w sobie ani krztyny ludzkiej dobroci, mimo to pod koniec owego przesłuchania nikt na sali nie wątpił w jego werdykt na temat twojego stanu psychicznego. Jak się czułeś, słuchając tego, patrząc, jak twoje szanse na uniewinnienie toną pod ciężarem jego pewności siebie? Oczywiście mogłeś podjąć tę decyzję jeszcze później. Może dopiero gdy zobaczyłeś, jak doktor Sadiq zacina się podczas składania zeznań, albo gdy pani Price zacytowała przeciwko niej pierwszy z autorytetów. Jak się wtedy czułeś? Jak gorąca musi być metalowa podłoga klatki, nim szympanśica położy na niej dziecko i stanie na nim?

W którymś momencie musiałeś podjąć decyzję, która doprowadziła panią Bonnard do przyjęcia zupełnie nowej linii obrony. Żaden adwokat nie decyduje się na coś takiego ni stąd, ni zowąd. Gdy obrona zmienia zdanie w trakcie procesu, robi tylko prezent oskarżeniu. Twoja pani adwokat zgodziłaby się na to wyłącznie pod warunkiem, gdyby w trakcie procesu na światło dzienne wyszła nowa informacja. Potrzebowała jakiegoś powodu, więc dałeś jej ten. Popatrzyłeś na panią Bonnard, siedzącą naprzeciwko ciebie przy stoliku w jednej z cel sądu, i obdarzyłeś ją tym swoim najlepszym spojrzeniem, otwartym, bezpośrednim, szczerym, tym, które zawsze sprawiało, że czułam skurcz w żołądku. I zwróciłeś się do niej słowami:

– Jest coś, czego ci nie powiedziałem.

\*\*\*

Kwiecień dobiega końca, a wraz z nim odchodzi słońce. Czeka nas deszczowy maj. Któregoś ranka przy śniadaniu Adam i Guy dyskutują o tym, czy można zostawić hamak w ogrodzie, czy lepiej go zdjąć. Guy mówi, że gdyby był zrobiony z prawdziwego sznurka, trzeba byłoby go schować, ale ponieważ to plastik, to nic się nie stanie. Poruszam się po domu jak duch. Nie chcę, żeby mi się poprawiło, żebym znowu przejęła kontrolę nad swoim życiem, bo mogłoby to odstraszyć Adama. Spędzam mnóstwo czasu w gabinecie, udając, że nadrabiam zaległości w korespondencji mailowej i nawiązuję ponowny kontakt z moim życiem. To zadowalające wyjaśnienie. Czasami wychodzę z gabinetu, staję na podeście schodów i nasłuchuję, jak Guy i Adam kręcą się po domu, rozmawiając. Czasami Guy pracuje, a Adam brzdąka na

gitarze w swojej starej sypialni. Od czasu do czasu któryś z nich wychodzi, ale nigdy nie opuszczają domu jednocześnie. Raz, gdy Adam wychodzi na jakiś czas, siadam na górnym stopniu schodów i słucham odgłosów krzątania się Guya na dole. Porusza się ciężko jak wielki zraniony niedźwiedź i nagle jego samotność wydaje mi się nie do zniesienia. Nie potrafię pogodzić się z myślą, że może ukrywać swój ból, dopóki lepiej się nie poczuje, więc schodzę do niego, ale kiedy tam docieram, nagle tracę odwagę i mijam kuchnię. Siadam bezużytecznie w salonie, a on po jakimś czasie wchodzi z kubkiem herbaty i stawia go przede mną. Potem wolnym krokiem opuszcza salon. Ktoś, kto go nie zna, powiedziałby, że zachowuje się swobodnie. Opanował do perfekcji sztukę metodycznego krzątania się wokół małych domowych spraw. Mam ochotę go przywołać, powiedzieć mu, żeby ze mną usiadł. Ale mogłabym mu powiedzieć tylko: „Chcę, abyś poczuł się lepiej, ale nie chcę o tym rozmawiać”. To byłoby niesprawiedliwe, więc milczę.

Guy myśli, że przestałam go kochać. Nie przekonuje go argument, którego używał w trakcie własnego romansu. Uważa, że był w stanie kochać Rosę i mnie jednocześnie, bo jest mężczyzną, ale ponieważ ja jestem kobietą i jestem bardziej szczerą, to oznacza, że nie mogłabym postąpić w ten sposób. Doszedł więc do wniosku, że byłam zdolna do zrobienia tego, co zrobiłam z Markiem Costleyem, bo już nie kochałam jego. Myli się. Traktowałam to wszystko bardziej po męsku, niż mógłby sobie wyobrazić. Jego biologiczny determinizm w tej kwestii opiera się częściowo na nauce, a częściowo na rycerskości, ale myli się w obu przypadkach. Przecenia mnie i sprawia mu to więcej bólu, niż musiałby odczuwać.

Nie odkochałam się w nim nawet na moment. Nie odkochałam się w naszym życiu tutaj, w tym domu, w świecie, który sobie razem stworzyliśmy. Zbudowaliśmy go nie bez powodu. Odpowiadał nam. To tu mieliśmy być. Odkochałam się w czymś bardziej subtelnym i konkretnym. Odkochałam się w sposobie, w jaki przez lata radziłam sobie z ciężką pracą, z czynionymi przeze mnie poświęceniami, z moją zdolnością do wychowania dwojga dzieci przy jednoczesnym robieniu tego wszystkiego, co poza tym robiłam.

Siedzę na sofie, sącząc herbatę, którą zrobił mi Guy, i nagle przypominam sobie, że kiedy nasze dzieci były małe, trzymałam w gabinecie czajnik i filiżankę do kawy. Śpiewałam dzieciom piosenki i kąpałam je, przez cały czas rozmyślając o jakichś technicznych zagadnieniach związanych z sekwencjonowaniem białek, żeby mogła wrócić do biurka, gdy tylko położę je do łóżek i ucałuję na dobranoc. Carrie, gdy była mała, codziennie rano po śniadaniu uciniała sobie godzinną drzemkę. Na ten czas sadzałam Adama przed telewizorem i pisałam gorączkowo albo czytałam artykuły naukowe. Czasami, gdy przyłapywałam się na jednej z tych faz, pozwalałam sobie na myśl: „Mogę to zrobić. Patrzcie na mnie, jak sobie radzę”. Gdy dzieci były malutkie, często jeździliśmy do matki Guya na niedzielne obiady. Zmarła, gdy miały sześć i osiem lat. Lubiła przyrządzać prawdziwy niedzielny obiad dla Guya i jego dwóch sióstr. Za każdym razem, gdy Guy odszedł od stołu, żeby zmienić pieluchę, one trzy niemal zaczynały wyśpiewywać hymny pochwalne na jego cześć. Nikt nie chwalił mnie za to wszystko, co ja robię, za to całe zonglowanie. Nigdy też o to nie prosiłam. Brałam to za oczywistość, podobnie jak wszyscy inni.

Byłam zdolna do zrobienia tego, co z tobą zrobiłam, nie dlatego że odkochałam się w Guyu. Byłam

zmęczona i jeśli już w czymś się odkochałam, to w tej swojej umiejętności godzenia obowiązków. Odkochałam się w sobie.

\*\*\*

Myszę, że istnieją dwa rodzaje cudzołożników: jednorazowi i seryjni. Ja należę do tej pierwszej kategorii. Nigdy nie miałabym romansu, gdybym nie poznała ciebie. To było jedno z tych wydarzeń, których prawdopodobieństwo wynosi jeden na milion, jak wejście na jezdnię akurat w momencie, gdy zza rogu wypada biała furgonetka, a kierowcę rozprasza dzwoniąca komórka. W przypadku jednorazowych cudzołożników do zdrady dochodzi w jakimś przełomowym momencie małżeństwa i tak naprawdę bardziej chodzi o to małżeństwo niż o romans. Gdy jest już po wszystkim, nasz wstyd i poczucie winy są tak głębokie, że możemy tylko czuć tchórzliwą wdzięczność wobec małżonka, którego zdradziliśmy, za to, że wciąż z nami jest.

Teraz wiem już, że ty zaliczasz się do tej drugiej kategorii. Jesteś cudzołożnikiem seryjnym. Seryjni cudzołożnicy zdradzają niezależnie od tego, kogo poślubili – chociaż mogą wmawiać sobie co innego. Ich romanse nie mają nic wspólnego z małżeństwami. Muszą się im oddawać, bo inaczej nie mogliby znieść prozy życia. Na pierwszy rzut oka czyny seryjnych cudzołożników mogą się wydawać bardziej naganne niż mój, ale w rzeczywistości oni zazwyczaj lepiej oszukują i istnieje mniejsze ryzyko, że zniszczą doskonale funkcjonujące małżeństwo, uganiając się za podnietami, których doświadczają gdzie indziej. Z moralnego punktu widzenia nie ma różnicy. Teraz to rozumiem.

Nie wiem nic o twoim małżeństwie. Nie wiem, jak wyglądało twoje normalne życie. Zgaduję tylko, że byłeś zdolny do tego, by uczynić je podwójnym. W domu, w Twickenham, byłeś zasadniczo zwyczajnym człowiekiem. Oglądaliście z żoną telewizję i dzieliliście się obowiązkami domowymi. Od czasu do czasu sprzeczałyście się o to, czyja kolej na wymianę winiety podatkowej na samochodzie, zupełnie jak ja i Guy. I były jeszcze twoje romanse – niemal jeden po drugim. Nie potrafiłbyś pozostać w małżeństwie, gdyby nie te romanse, a jednocześnie stabilność twojego domowego życia sprawiała, że były one możliwe – jedno nie istniałoby bez drugiego. Twoje życie przypominało wyczerpującą partię ping-ponga, przeskakiwałeś od jednego trybu do drugiego i stałeś się tak uzależniony od adrenaliny, jaka temu towarzyszyła, że już nie mogłeś bez niej funkcjonować.

Wyobrażając sobie dramaty, dzięki którym nasze codzienne życie stawało się bardziej znośne, doprowadziliśmy do prawdziwego dramatu, którego konsekwencji nie zdołaliśmy udźwignąć. I nagle zapragnęliśmy odzyskać nasze zwykłe życie, ale ono już nie istniało. Odkryliśmy, że bezpieczeństwo to towar, który można sprzedać w zamian za ekscytację, ale nigdy nie można go odkupić.

Zastanawiam się, co się wydarzy, gdy zostaniesz zwolniony z więzienia. Czy odzyskasz swoje życie? Jakoś nie sądzę. Twoja żona nie sprawiała wrażenia osoby wielkodusznej. Ale kto by się jej dziwił. Czy skontaktujesz się ze mną wtedy? Czy będziemy zdumieni tym, jak się postarzeliśmy, jacy zwyczajni jesteśmy? Nie wiem. Wiem tylko, że Guy i ja na razie jakoś sobie radzimy. Kochamy się nawzajem. Tyle wiem.

\*\*\*

Powoli wracamy do normalności. Guy znowu zaczyna uczyć. Adam wciąż z nami mieszka, ale mówi, że poszuka jakiegoś lokum do wynajęcia. Myśli o wyprowadzce do Crouch End. Ma tam przyjaciela, który gra na klawiszach. Crouch End leży znacznie bliżej niż Manchester. Mogę z tym żyć. Moja kuratorka, Irlandka po sześćdziesiątce, zachęca mnie, żebym trochę częściej wychodziła z domu. Mówi, że dobrze robię, że się nie śpieszę, ale że nadszedł czas, aby zacząć patrzeć w przyszłość. Czy zastanawiałam się, jaką pracę mogłabym teraz wykonywać? Nie, nie zastanawiałam się nad tym. Ciekawe, czy jakaś lokalna kawiarnia albo sklep mnie zatrudnią.

\*\*\*

Jakiś miesiąc po wyjściu z więzienia zostałam sama na jeden dzień i pod wpływem impulsu postanowiłam pojechać metrem do miasta. Gdybym to przemyślała, nie zrobiłabym tego, ale wiedziałam, że wcześniej czy później znajdę się w gminie Westminster, i nie chciałam, żeby to było przypadkiem. Chciałam pojechać tam celowo, żebym nie poczuła się jak w zasadzce. Instytut Beauforta, pałac Westminster, ogrody nad brzegiem Tamizy – uznałam, że pozwolę sobie na jedną wizytę, żeby się przekonać, czy uda mi się spotkać nasze duchy spacerujące ramię w ramię wzdłuż rzeki albo siedzące w kawiarni z kolanami dociśniętymi mocno pod stołem. Zrobię to raz, pomyślałam, a potem odpuszczę.

Nie pojechałam tam od razu. Najpierw zrobiłam kilka innych rzeczy, jakby próbując oszukać samą siebie, że moja pielgrzymka jest przypadkowa. Załatwiłam trochę zakupów w domu towarowym John Lewis, a potem ruszyłam wzdłuż Bond Street, zaglądając przez otwarte drzwi do pustych designerskich sklepów, zerkając na nieliczne czarne stroje wiszące na chromowanych wieszakach i sprzedawczynie stojące bardzo nieruchomo, a potem – przysięgam, niemal o tym nie myśląc – dalej zmierzałam na południe i przekroczyłam Piccadilly w pobliżu Królewskiej Akademii Sztuki, gdzie zerknęłam na wejście, ale uznałam, że nie mam ochoty na oglądanie wystawy. Rozważałam porzucenie całego tego pomysłu i powrót prosto do stacji metra Piccadilly Circus, ale zamiast tego poszłam dalej Church Place tylko dlatego, że jest zamknięta dla ruchu kołowego, a ja miałam ochotę uciec od korków.

A potem nagle znalazłam się tam.

Zwabiłam tam samą siebie podstępem. Stałam w połowie Duke of York Street i spojrzałam w lewo. Przez cały tamten tydzień na przemian świeciło słońce i padał deszcz, i niebo miało dziwny żółtawoszarawy kolor. Grube ciemne chmury tłoczyły się wokół słońca, które przebijało się przez nie od czasu do czasu, jakby w każdej chwili wszystko mogło się wydarzyć.

Pierwsza rzecz, jaką zobaczyłam, gdy podeszłam bliżej, to rusztowanie spowijające stary poczerniały budynek na rogu. Połowa okien już została zniszczona przez prace rozbiórkowe sąsiedniego budynku – ten był najwyraźniej następny do wyburzenia. Budynek naprzeciwko wnęki, w której się kochaliśmy, już zniknął. Puste okna, na które patrzyłam, zastanawiając się, czy nikt nas nie zobaczy, dająca schronienie bryła – wszystko to ustąpiło miejsca niebu, temu szarozółtemu niebu. Teren otoczono płotem, na którym

przytwierdzono znak informujący czerwonymi drukowanymi literami na białym tle: „PRACE ROZBIÓRKOWE W TOKU. WSTĘP WZBRONIONY”. Za płotem było słychać ryk maszyn, koparek i młotów pneumatycznych, a także okrzyki ludzi w kaskach. Stałam tak, gdy nagle usłyszałam zgrzyt przypominający odgłos starego pociągu zatrzymującego się na małej stacyjce, i ramię ogromnej żółtej koparki niespodziewanie zawisło mi nad głową, po czym gigantyczne rozwarte kleszcze z powrotem zanurkowały za płotem. Mimo że między mną a tym potworem znajdowało się ogrodzenie, przeszłam na drugą stronę ulicy.

Burzą to, mój ukochany, pomyślałam, stojąc tam. Zaulek Apple Tree Yard niemal już zniknął. To, co mnie zgubiło, zostaje zniszczone, rozbierają to miejsce cegła po cegle.

Długo stałam i wsłuchiwałam się w dźwięki destrukcji, której nie mogłam zobaczyć. Potem zrobiłam kilka kroków, próbując dojrzeć wnękę, w której zostawiłeś we mnie swoje DNA. Nie potrafię ustalić, która to była. Wszystkie wyglądają na takie płytkie... Zresztą było wtedy ciemno. Ferwor tamtej chwili, to zaabsorbowanie... Trudno w to teraz uwierzyć. Trudno uwierzyć, że byłam zdolna do czegoś takiego.

\*\*\*

Zdradzę ci wstydlivy sekret, mój ukochany. Czasami nocą wstaję i wyslizguję się z sypialni. Guy przekręca się we śnie, gdy to robię, ale nawet gdybym go obudziła, opuszczając pokój, on wie, że nie ma po co wstawać i iść za mną. Przychodzę tutaj, na górę, do mojego gabinetu. Podłączam do prądu grzejnik olejowy i uruchamiam komputer, który policja oddała mi po procesie. Małe światełka mrugają, podczas gdy grzejnik zaczyna szczekać, a ja siedzę, nie płacząc, całkowicie opanowana, i otwieram folder Admin. Są tam foldery wewnątrz folderów i jeszcze więcej folderów. I w końcu docieram do tego o nazwie Accountancy i, tylko dla pewności, przeglądam listę dokumentów, a czasami otwieram je wszystkie, jeden po drugim. Robiłam to już z dziesięć, może nawet ze dwadzieścia razy, ale wciąż nie potrafię się powstrzymać przed robieniem tego w takie noce. Szukam czegoś, czego tam nie ma.

Szukam dokumentu *VATquery3*, który stworzyłam ponad dwa lata temu, w noc po naszym pierwszym spotkaniu w krypcie pałacu Westminster, i opisałam w nim to, co zrobiliśmy pod wizerunkami torturowanych świętych. Ten dokument już nie istnieje. Został usunięty, ale nie przeze mnie. Jedyne osoba, która mogła go usunąć, to mój mąż. Musiał tu przyjść natychmiast po moim aresztowaniu, może nawet jeszcze w czasie, gdy policja była w domu. Ale żeby mógł to zrobić, musiał już wcześniej wiedzieć o istnieniu tego pliku. Podejmował ryzyko, usuwając go, chroniąc mnie. Gdyby został przyłapany, uczyniłoby to z niego mojego współnika. Szukam tego pliku, chociaż wiem, że go tam nie ma, ale bardziej niż pliku szukam czegoś innego. Szukam informacji, której nigdy tu nie było. Szukam faktu, który dałoby się poznać tylko wtedy, gdyby można było odwrócić związek między komputerem a obsługującą go osobą, gdyby komputer był wielkim okiem obserwującym jednostkę przy klawiaturze, rejestrującym jej myśli czy czyny. Siedzę, szukam pliku, który już nie istnieje, i próbuję zgadnąć, czy Guy odczytał go przed usunięciem.

Już nic nie piszę. Dostałam nauczkę. Przeglądam pliki, dopóki nie poczuję zmęczenia, następnie zamykam ten folder i pozostałe, w których był ukryty... Układam dokumenty do snu, jakbym gasiła światła w szkolnym dormitorium, jedno po drugim. Potem wygodniej sadowię się w fotelu, ciasniej otulam szlafrokiem i pozwalam, by uśpiły mnie ciepło bijące od olejowego grzejnika i pustka moich myśli. Nad ranem kulę się, gdy przed oczami staje mi mały, lecz bolesny obraz. To my. Leżymy na wpół rozebrani, nasyceni sobą w mieszkaniu w Vauxhall, o którym myślałam, że jest kryjówką szpiega, a w rzeczywistości należało do zmarłego wuja twojej żony i czekało na odnowienie pod wynajem. Leżymy na nagim materacu, ze skłębioną kołdrą bez powłoczki u naszych stóp. Światło wpadające przez firanki jest zabarwione szarością, ale wciąż surowe; ujawnia każdą zmarszczkę i starczą plamę – wymowne oznaki tego, kim naprawdę jestem, ale przynajmniej ciebie też nie oszczędza. To koniec września, po którym ma nastąpić gorący październik. Jest dziś zaskakująco ciepło. Leżymy twarzami do siebie, spleceni. Jedną rękę przerzuciłeś przez moją talię, drugą obejmujesz moje ramiona, wsuwając mi palce we włosy i przytrzymując moją głowę tak, że dociskasz ją do swojej piersi. Śpisz, budzisz się i zasypiasz znowu. Ja jestem w pełni przytomna, wdycham zapach twojej skóry, włosów, potu, zapach naszego zaspokojenia. Muszę skorzystać z toalety. Zastanawiam się, czy jeśli poruszę się bardzo, bardzo powoli, uda mi się wyplątać z twoich objęć bez budzenia cię, ale twoja dłoń w moich włosach temu zapobiega. Leżę przez moment, ciesząc się ciężarem twojego ramienia na mojej talii. Mimo że nos mam dociśnięty do twojej piersi i twoje włosy łaskoczą mnie w nozdrza, uśmiecham się do siebie.

Czuję, że już nie śpisz, i mówię cicho prosto w twoją pierś:

– Wiesz, czego naprawdę chcę...?

– Mmm...? – mruczysz.

– Chcę, żebyś go zabił – mówię. – Chcę, żebyś zmiażdżył mu twarz.

Ściskasz mnie mocniej, nie odpowiadasz. Wtulam się w ciebie jeszcze bardziej. Po jakiejś chwili twój oddech znowu staje się ciężki. Wreszcie, chociaż nie chcę cię budzić, próbuję odrobinę się przesunąć, poruszyć głową, wyplątać włosy spomiędzy twoich palców. Odrobinę odchyłam głowę, żeby na ciebie spojrzeć. Nawet nie otwierasz oczu. Lekko marszczysz brwi. Ramię przerzucone przez moją talię przyciąga mnie do siebie, dłoń w moich włosach porusza palcami, umacnia swoją pozycję.

– Nie sądzę... – mamroczesz.

Uśmiecham się, podczas gdy przytulamy się jeszcze mocniej. Uśmiecham się na myśl o tym, jak się wygłupiamy. Oboje wiemy, że mogłabym wstać, gdybym chciała, ale na tym właśnie polega ta gra. Lubisz rościć sobie do mnie prawo, a to pochlebia nam obojgu. Więc jeszcze przez kilka minut będziemy udawać, że jestem twoja, a ty jesteś mój i żadne z nas nie ma wyboru. A skoro nie mamy wyboru, to nie ciąży na nas odpowiedzialność. Jeśli jesteśmy ofiarami naszych pragnień, naszych nieokiełzanych pragnień, to nic z tego nie jest naszą winą, prawda? Nikomu nie stanie się krzywda. Jesteśmy wolni od wstydu, od winy. Jesteśmy niewinni.

# Podziękowania

Ta książka w swej obecnej formie nie mogłaby powstać, gdybym nie otrzymała pozwolenia na wzięcie udziału w procesie o morderstwo, odbywającym się w centralnym sądzie karnym Old Bailey latem 2011 roku. Mam ogromny dług wdzięczności wobec sędziego Stephena Kramera, który udzielił mi specjalnego zezwolenia na siedzenie w pobliżu adwokatów, oraz wobec Lorny Heger z Urzędu Ścigania Publicznego za zdobycie dla mnie tego pozwolenia, a także sierżanta Marka Whithama za przedstawienie mnie Lornie. Chciałabym też podziękować komisarzowi Nickowi Mervinowi oraz wszystkim oficerom z jego zespołu dochodzeniowo-śledczego za kawy, kanapki i niewyczerpaną cierpliwość w związku z moimi pytaniami. Podziękowania należą się również Vincentowi Zdzitowieckiemu z Police Operations w pałacu Westminster, doktor Sarah Burge z Wellcome Trust Sanger Institute, doktor Ruth Lovering z University College London oraz Glennowi Harrisowi z kancelarii 33 Bedford Row. Mam nadzieję, że wszyscy z wymienionych wybaczą mi, że w niektórych momentach celowo nagięłam fakty do swoich potrzeb – albo że po prostu źle coś zrozumiałam.

Dziękuję jak zawsze mojemu agentowi Antony'emu Harwoodowi oraz mojej redaktorce Sarah Savitt. Jestem również głęboko zobowiązana Arts Council England za wsparcie udzielone tej książce.

LD





## **LOUISE DOUGHY**

Jest uznaną brytyjską pisarką, dziennikarką, krytyczką i komentatorką kultury dla brytyjskich oraz zagranicznych gazet, regularnie występuje w BBC. Mieszka w Londynie.

Dotychczas napisała osiem powieści. Bestseller Mroczny zaułek znalazł się na prestiżowej liście bestsellerów Richard & Judy Book Club oraz wśród finalistów nominowanych do najważniejszych brytyjskich nagród literackich: Specsavers National Book Awards i CWA Daggers.

Telewizja BBC na podstawie książki zrealizowała serial Apple Tree Yard z Emily Watson i Benem Chaplinem w rolach głównych.

Błyskotliwy thriller – ćwierć miliona  
egzemplarzy sprzedanych w Wielkiej Brytanii

Yvonne ciężko pracowała, by zrealizować swoje ambicje i marzenia.  
Zrobiła zawrotną karierę w dziedzinie genetyki, ma piękny dom,  
udane małżeństwo i dwójkę dorosłych dzieci.

Jej ułożone życie wywraca się do góry nogami, gdy pewnego dnia ulega  
urokowi nieznanego, fascynującego mężczyzny. Wybucho między nimi  
gwałtowny i namiętny romans, kontynuowany w mrocznych zaułkach  
Londynu, a Yvonne ryzykuje utratę wszystkiego, co miało dla niej  
jakakolwiek wartość. Początkowo wierzy, że uda jej się oddzielić  
sekretny związek od codziennego życia, jednak brutalny akt przemocy,  
którego jest ofiarą, krzyżuje jej plany i sprawia, że kobieta wpada  
w wir kłamstw i zbrodni.

Trafia na salę sądową, oskarżona o współudział w morderstwie.  
Jak to się stało, że znalazła się w takiej sytuacji? Kto próbuje jej  
zaszkodzić? Yvonne musi walczyć o prawdę wszelkimi metodami.

*Opis procesu sądowego to arcydzieło. Opowieść  
ku przestrodze, o tym, co się dzieje, gdy fantazja zaczyna  
przesłaniać prawdziwe życie.*

„The Guardian”

*Nie ma takiej kobiety, która chociaż raz w życiu nie zdałaby  
sobie sprawy, w przyprawie paniki, że znajduje się w złym miejscu,  
w złym czasie i z nieodpowiednim mężczyzną.  
Frapująca i z odwagą napisana książka.*

Hilary Mantel



Zamówienia  
[www.burdaksiążki.pl](http://www.burdaksiążki.pl)  
tel. +48 22 360 37 77  
[facebook.com/burdaksiążki](https://www.facebook.com/burdaksiążki)

Książka dostępna  
też jako e-book

Zeskanuj kod  
i pobierz  
darmową  
próbę książki

